Autorka „Kici Koci”: Dziecko nie musi się przytulać

▶28



Paulina Polko

Potrzebujemy uważności, nie podejrzliwości

▶10



WYSOKIE OBCASY

Anna Kiełbasińska

Koniec kariery sportowej to brutalna zmiana



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Apeluję do premiera i prezydenta: Nie igrajcie z ogniem

▶4

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X 9 770860 908167

Sobota – czwartek, 14-19 listopada 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 266.11365, 1 Nakład 69 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

OGŁOSZENIE Kraj/34454117



JUŻ DZIŚ W ŚRODKU GAZETY

Magazyn Na Narty

PARTNER Tirol AUSTRIA

eprasa.pl e47b8e13bb



Michał Olszewski

Niewiadomski wiecznie żywy

Kiedy na Błoniach Stadionu Narodowego kończył się Marsz Niepodległości, kiedy dogasały ostatnie race, a tłumy z biało-czerwonymi flagami i opaskami powstańczymi na ramionach szukały już swoich autokarów, żeby rozjechać się po kraju, po drugiej stronie Alei Zielenieckiej, w Teatrze Powszechnym, rozpoczynała się warszawska premiera spektaklu „Proces Eligiusza Niewiadomskiego".

To skondensowany i hipnotyzujący zapis zakończonej wyrokiem śmierci rozprawy, jaka toczyła się w ostatnich dniach grudnia 1922 roku, po zabójstwie Gabriela Narutowicza. Zamachowiec ze spektaklu Bartosza Szydłowskiego jest postacią charyzmatyczną, groźną, świetną retorycznie, zdeterminowaną, owładniętą obsesją Polski czystej rasowo, Polski bez Żydów. I Polski autokratycznej, rządzonej przez jednego władcę, bez niepotrzebnego demokratycznego rozgdakania. Żywotność tej narracji sprzed ponad 100 lat temu jest widoczna w dzisiejszej Polsce na pierwszy rzut oka. „Judeopolonia", która pchnęła Niewiadomskiego do zamachu, to przecież wciąż żywa klisza polityczna. I równie żywe jest poszukiwanie odpowiedzialnych za porażki i niepowodzenia. Dla sfrustrowanego życiowymi klęskami Niewiadomskiego celem stali się Żydzi, dla jego politycznego potomstwa są nimi Ukraińcy, Niemcy, Żydzi, politycy Koalicji Obywatelskiej. I „Proces" i Marsz Niepodległości opowiadają w gruncie rzeczy o tym samym – o wielkim lęku, z którego wyrasta wielki radykalizm.

Marsz Niepodległości opowiada o wielkim lęku, z którego wyrasta wielki radykalizm

Tegoroczny Marsz Niepodległości szedł w głębokim cieniu krakowskiego zamachu, przeprowadzonego 7 listopada przez Michała Oksińskiego. Motywacji terrorysty już nie poznamy, wiemy natomiast, że Oksiński interesował się Breivikiem, co może oznaczać, że dołączy do grona zamachowców zatrutych ideologią skrajnej prawicy. Możliwe też, że blisko mu do Stefana Wilmonta – zabójcy Piotra Adamowicza, prezydenta Gdańska. Ale pytania o stan psychiczny sprawcy nie zmieniają tu niczego, podobnie jak w przypadku Niewiadomskiego, który przed sądem zeznał, że strzelał nie do człowieka, tylko do znienawidzonego politycznego symbolu. Zabójca Narutowicza, o czym warto pamiętać, był postacią jednocześnie piekielnie trzeźwą i piekielnie zamroczoną. – Wiedziałem, że to zbrodnia. Ale wiedziałem też, że to obowiązek – zeznawał przed sądem.

Nie chcę przez to powiedzieć, że w Marszu Niepodległości brali udział potencjalni zabójcy przeciwników politycznych. Natomiast nie ulega dla mnie wątpliwości, że poglądy, które nieśli na sztandarach uczestnicy marszu, są żyzną glebą dla Niewiadomskich, Oksińskich i Wilmontów.

Upiór Niewiadomskiego krąży po Polsce i ma się znakomicie. Niestety, nie tylko w teatrze. ●

Palestyna
I że cię nie opuszczę



FOT. REUTERS/DAWOUD ABU ALKAS

Narzeczeni idą przez Gazę, by wziąć ślub. Zrobią to razem z kilkudziesięcioma innymi parami, potem setki gości wielu rodzin zatańczą na wspólnym weselu. Bo mało kogo stać tam z osobna na wystawną uroczystość, której wymaga tradycja. Gaza, 7 listopada 2026 rok.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Symbol walki z przemocą seksualną
Gisele Pelicot w Warszawie

Przyjeżdża na premierę polskiego wydania swojej poruszającej autobiografii „Hymn do życia. Niech się wstydzą oni".

We wrześniu 2024 roku rozpoczął się proces sądowy zwany „procesem z Mazan" przeciwko jej mężowi – Dominique'owi Pelicotowi i 50 innym mężczyznom oskarżonych o gwałty na Gisèle. Przez dziewięć lat – między 2011 a 2020 rokiem – mąż podawał jej środki odurzające, po czym wpuszczał do domu poznanych w internecie mężczyzn, którzy dokonywali na niej gwałtów. Pelicot nagrywał te akty przemocy seksualnej i udostępniał je w sieci. Sąd w Awinione uznał Pelicota i pozostałych oskarżonych winnymi, skazując męża Gisèle i ojca trójki ich dzieci na 20 lat więzienia.

Gisèle Pelicot w czasie procesu zrezygnowała z prawa do anonimowości. Dzięki temu aktowi bezprecedensowej odwagi doprowadziła do światowego nagłośnienia sprawy oraz dyskusji na temat społecznego postrzegania gwałtu. Pelicot w 2025 roku została odznaczona najwyższym francuskim odznaczeniem – Legią Honorową, a rok wcześniej redakcje kanału BBC i amerykańskiego tygodnika „Time" uznały ją za najbardziej wpływową osobę roku.



FOT. PAP/ EPA/CHRISTOPH RUTENKOLK

Spotkanie autorskie z Gisèle Pelicot odbędzie się 24 listopada w warszawskim studiu im. Agnieszki Osieckiej radiowej Trójki. A dzień później w Ambasadzie Francji weźmie udział w paneu dyskusyjnym z okazji Międzynarodowego Dnia Eliminacji Przemocy wobec Kobiet, współorganizowanym przez Fundację Feminoteka. ●

Ola Długołęcka

Andrzej rysuje



Wyborcza.pl



Andrzej Wajda: „Zobaczysz, że tutaj, w Polsce, będą rządzić tacy ludzie, którzy sami zaproszą Rosjan, byleby tylko tej władzy nikomu nie oddać, byle się tylko przy niej utrzymać".

Jarosław Kurski: Andrzej wypowiedział zdanie, którego sensu nie byłem w stanie wówczas zrozumieć. Był 2016 rok. Pierwszy rok rządów PiS, protesty obywateli w obronie zagarnianego Trybunału Konstytucyjnego

Cały tekst na Wyborcza.pl

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

W poniedziałek „Duży Format"

Echo miłości w ciekłym azocie



RYS. BARBARA NIEWIADOMSKA

Ku zdumieniu zgromadzonych sąd zadecydował: sześć zarodków trzeba podzielić po równo. Trzy dla niej, trzy dla rodziców zmarłego męża.
Co się dzieje z zarodkami, gdy związek się kończy – reportaż Doroty Salus

eprasa.pl e47b8e13bb

Szkodliwa gra metaforą choroby

„My” to ci normalni. „Oni” to chorzy

Politycy sugerują sobie schizofrenię, paranoję, psychozę. Czemu to służy, wiadomo.

Agnieszka Jucewicz

Groźny szaleniec, którego miejsce jest w szpitalu psychiatrycznym”, „kolejny wariat”, „bardzo chory psychicznie człowiek, który nigdy nie powinien być dopuszczony do politycznych frakcji z powodu swojego szaleństwa, nieobliczalności i opętania” – to wybrane komentarze pod tekstem Piotra Głuchowskiego o Grzegorzu Braunie.

Trącą tą samą nutą, co słynne już „Antek, świrze”, wypowiedziane kilka miesięcy temu przez Radosława Sikorskiego pod adresem Antoniego Macierewicza w Sejmie.

Podobnych wypowiedzi jest mnóstwo. Padają zarówno z ust polityków obu stron sceny politycznej, jak i ze strony internautów i internautek, niezależnie od ich światopoglądu. Można wręcz powiedzieć, że tego rodzaju inwektywy, jak zresztą choroby, do których się odwołują, są absolutnie demokratyczne.

●

„To jest psychol. Polskim premierem jest świr” – to Jacek Kurski o Donaldzie Tusku na antenie Telewizji Republika, dwa lata temu.

„Miejsce tego człowieka jest w domu wariatów” – to z kolei Janusz Korwin-Mikke o Rafale Trzaskowskim, kiedy ten ujawnił plan przebudowy Alei Jerozolimskich.

„Jarosław Kaczyński zachowuje się jak obłąkany człowiek, którego wypuścili z Tworek” – to europoseł Krzysztof Hetman kilka lat temu w wypowiedzi dla Onetu. Podobnego zdania był zresztą Roman Giertych. Kaczyńskiemu, po tym, jak ten oskarżył Tuska o to, że jego przemówienia są pisane w Chinach zalecił, żeby „zwiększył dawkę medykamentów lub udał się na pogłębione leczenie do Tworek”.

W tym samym szpitalu psychiatrycznym „arystokrację brukselską” widzi Mateusz Morawiecki, co wyjawił w Polsacie na początku tego roku.

„Wariat”, „świr”, „czubek”, „psychol”. Wysyłanie do „psychiatryka”, „wariatkowa”. Polecenia „wsadzenia pacjenta w kaftan bezpieczeństwa”. Sugerowanie: schizofrenii, paranoi, psychozy. Czemu to służy, wiadomo. Chodzi o obśmianie przeciwnika, podważenie jego wiarygodności, dyskredytację. Przedstawienie go jako kogoś nieprzewidywalnego, niebezpiecznego, kogo należy się bać i go wykluczyć.

Ale chodzi też o mobilizację własnego elektoratu. „My” to ci normalni, odpowiedzialni, zdolni do podejmowania racjonalnych działań. „Oni” to ci chorzy, działający wyłącznie w emocjach, pozbawieni rozsądku.

Ktoś powie: „Ależ to taka metafora”, „Bez przesady. To tylko upust własnej (oczywiście uzasadnionej) frustracji i bezradności”. „Przecież tak się przyjęło mówić”.

Społeczny skutek takich „metafor”, czy też raczej obelg za nich przebranych, poza wzmacnianiem polaryzacji i przesuwaniem granic tego, co wolno powiedzieć publicznie, a czego nie, jest jeszcze jeden: utrwalenie stereotypów wokół osób chorujących psychicznie.

●

Z kompleksowych badań stanu zdrowia psychicznego społeczeństwa i jego uwarunkowań (EZOP II), przeprowadzonych pod egidą Instytutu Psychiatrii i Neurologii w latach 2018-19 wynika, że ponad 86 proc. Polek i Polaków nie chciałoby, żeby osoba, która ma doświadczenie takiej choroby i leczyła się w szpitalu psychiatrycznym, uczyła ich dzieci. 84 proc. nie chciałoby mieć takiej osoby za lekarza, 81,3 proc. – za synową lub zięcia, 77 proc. – za szefa w pracy, 67,6 proc. – za bliskiego współpracownika. A ponad połowa- za sąsiada. W ogóle, co piąty Polak i co piąta Polka żywi niechęć wobec takich osób.

Niebawem ma ponoć powstać kolejna edycja tego badania. Nie sądzę jednak, żeby akurat wyniki postaw wobec osób z doświadczeniem kryzysu psychicznego były diametralnie inne.

Używając tego typu argumentów bezpośrednio przyczyniamy się do stygmatyzacji osób żyjących z zaburzeniami psychicznymi i wpływamy na to, jak będą one postrzegane- jako osoby niebezpieczne, niezdolne do pełnienia funkcji społecznych, które należy odizolować i wykluczyć z publicznej debaty. To, z kolei, prowadzi do autostygmatyzacji, czyli sprawia, że takie osoby same zaczynają się tak postrzegać.

Osoby i polityków, którzy lubują się w takich psychiatrycznych „metaforach”, szczerze zachęcam do spotkania z osobami żyjącymi z zaburzeniami psychicznymi. Rozmowę z nimi i poznanie ich. Jest nadzieja, że już nigdy po takie „metafory” nie sięgną.

Podpowiem, że nie trzeba koniecznie szukać takich osób po oddziałach psychiatrycznych. Działają w stowarzyszeniach i organizacjach pacjenckich (jak Ef-Kropka w Warszawie, czy Stowarzyszenie „Otwórzcie Drzwi” w Krakowie). Pracują jako Asystenci Zdrowienia w Centrach Zdrowia Psychicznego. Są wśród nas. ●

Agnieszka Jucewicz

REKLAMA Kraj/34458051



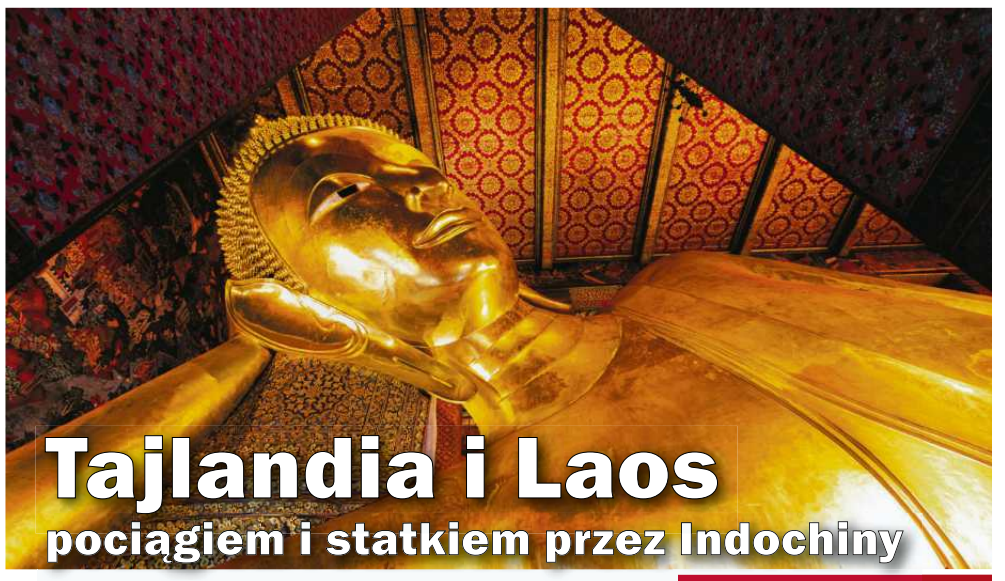
4 kolacje w cenie

Zobacz największe atrakcje Anglii, od królewskiego Windsoru i malowniczych wiosek Barnaby'ego po miejsce urodzenia Churchilla i zagadkowe kamienie Avebury.



Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Londyn. Oksford oczami inspektora Morse'a i dolina Tamizy detektywa Barnaby'ego. **Dz. 2** Zwiedzanie Windsoru wraz rezydencją królów angielskich. **Dz. 3** Szekspir i Stratford-upon-Avon oraz zachwycające krajobrazy Cotswolds z Chipping Campden. **Dz. 4** Angielski urok Cotswolds i Blenheim Palace. **Dz. 5** Rzymskie miasto Bath. **Dz. 6** Avebury, Salisbury i Bournemouth. **Dz. 7** Bournemouth – Portsmouth. Powrót do Warszawy.

7 dni I Wyloty z Warszawy 19/05, 25/08 2027 | od 6.998,–



11 obiadów i 3 kolacje

Wyjątkowa podróż łącząca przejazd pociągiem z Bangkoku do dawnej królewskiej stolicy Luang Prabang w Laosie oraz rejs po rzece Mekong do północnej Tajlandii.



Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Polski. **Dz. 2** Przylot do Bangkoku. Spacer na „Złotą Górę” i powitalna kolacja. **Dz. 3** Bangkok. Zwiedzanie świątyni Wat Pho. Targ kwiatowy i rejs po kanałach (tzw. klongach po tajsku). **Dz. 4** Podróż pociągiem z Bangkoku do Nakhon Ratchasima (Korat) **Dz. 5** Nakhon Ratchasima (Korat) – Khon Kaen. **Dz. 6** Khon Kaen. Wizyta w wiosce jedwabiu i podróż do Wientianu w Laosie. **Dz. 7** Wientian. Wycieczka po mieście. **Dz. 8** Wientian i przejazd pociągiem Kolei Laotańsko-Chińskiej do Luang Prabang. **Dz. 9** Luang Prabang. Wycieczka rowerowa, wizyta w wiosce i wodospady Kuang Si. **Dz. 10** Luan Prabang. Dzień wolny i wieczorna ceremonia Baci. **Dz. 11** Rejs po Mekongu: Luang Prabang – Jaskinie Pak Ou – Pakbeng. **Dz. 12** Rejs po Mekongu: Pakbeng – Złoty Trójkąt, Tajlandia. **Dz. 13** Złoty Trójkąt – Chiang Mai. Muzeum Opium i świątynia Wat Rong Khun. **Dz. 14** Chiang Mai. Dzień wolny lub fakultatywna wycieczka do Parku Narodowego Doi Inthanon. **Dz. 15** Zwiedzanie Chiang Mai i lot do Bangkoku. **Dz. 16** Bangkok – Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 17** Przylot do Warszawy.

17 dni | Wyloty z Warszawy 25/01, 13/10 2027, 21/02 2028 | od 13.998,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW37

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl e47b8e13bb

TEMAT WAŻNY TEMAT



Panowie, nie igrajcie z o

Polska prawica wreszcie znalazła nowy mit na miarę smoleńskiego.

Z BYŁYM PREZYDENTEM RP **ALEKSANDREM KWAŚNIEWSKIM** ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

Chyba już pora zadać to pytanie. Jak tragedia na krakowskim Rynku wpłynie na politykę? Martwię się, że jeszcze podkręci polaryzację, której pan się obawia?
– Czegoś takiego w Polsce jeszcze nie przeżywaliśmy. To jest szok. A szoki potrafią wpłynąć na ludzi otrzeźwiająco i ostudzająco.

Ale czy tak będzie? Nie wiem. To, co się stało, pokazuje, jak bardzo świat zmienia się na gorsze i jak nikt nie jest na te zmiany impregnowany. Młode pokolenie ma dostęp do wszelkich informacji, jest połączone ze światem nieporównywalnie w stosunku do poprzednich generacji.

A jednocześnie, gdyby młodego człowieka zapytać, kto jest jego przyjacielem, powiernikiem – kolega z klasy, koleżanka, rodzice, a może rodzeństwo, nauczyciele lub ksiądz – to zapewne większość powie, że tym najwierniejszym druhem jest smartfon. Znów otrzymaliśmy, tym razem w wyjątkowo smutnych okolicznościach, potwierdzenie wielkiej atomizacji młodego pokolenia.

Obowiązek zaradzenia jej spada na nas wszystkich. Na rodzinę, na Kościół, na szkołę, na media. Wszyscy musimy być wyczuleni, tak po prostu, na tych zatomizowanych i pogubionych ludzi. Być bardziej obecni w ich życiu, wsłuchiwać się, próbować rozmawiać z nimi. Bo inaczej takie zjawiska mogą się nasilać.

Obawiam się, że sytuacja polityczna nie będzie temu sprzyjać. „Idzie prezydent!" – ile razy, wchodząc gdzieś, tak się pan anonsował?
– Mnie raczej znali, nie musiałem się przedstawiać.

A Karol Nawrocki, chyba już rozpoznawalny jako prezydent, torował sobie drogę do budynku Trybunału Konstytucyjnego, krzycząc: „Idzie prezydent!".
– Słabo. Prezydent nie powinien przyjmować takiej roli, czyli prezydenta wkraczającego do Trybunału.

Z jednym wszakże wyjątkiem. Gdyby prezydent szedł do Trybunału z jakąś istotną ideą porozumienia, znalezienia rozwiązania. Ale wówczas to nie musiałoby się odbywać w taki gorszący sposób, drzwi byłyby przed nim szeroko otwarte.

Choć tak naprawdę miejscem na rozmowę o ratowaniu Trybunału Konstytucyjnego pozostaje Pałac Prezydencki. Wciąż najbardziej prestiżowe miejsce.

To wszystko, co się dzieje, w jakiej sytuacji znalazło się nasze życie polityczne, świadczy o patologii.

Dziś już wiemy, że Anna Korwin-Piotrowska – „pani dwojga nazwisk", jak ją nazywa Nawrocki – zaprosiła prezydenta tamtej nocy z piątku na sobotę. Już wiedziała, że on koniecznie chce natychmiast, nocą, przyjść do Trybunału, więc uznała, że elegancko jest głowę państwa zaprosić. Czyli Nawrocki mógł wejść do budynku Trybunału ze swoją ochroną, z funkcjonariuszami SOP-u. Nie musiał się przepychać.
– Ale co tu komentować? Sceny, które nie powinny mieć miejsca? Mówię, mamy ciężką patologię polityczną.

Prezydent nie wypełnia swoich funkcji, czyli głowy państwa ponadpartyjnej, koncyliacyjnej i szukającej rozwiązania problemów, także tych najtrudniejszych. Od początku – kampanię zostawiam na boku, ona ma swoją logikę i swoją retorykę – jest prezydentem konfrontacji z premierem. Uważa, że choć uzyskał 50,89 procent głosów, czyli niewiele więcej ponad połowę, to ma mandat absolutny, który pozwala mu na wszystko, także na to, co nie jest legalne.

Tak mała różnica powinna skłaniać prezydenta do wykazywania więcej wrażliwości na głosy płynące z tej strony, która na niego nie głosowała. Lecz Nawrocki uznaje, że jego celem politycznym – ważniejszym

eprasa.pl e47b8e13bb



gniem

niż obowiązki głowy państwa wynikające z konstytucji – jest doprowadzić do upadku koalicji rządzącej rządu Donalda Tuska w wyborach w 2027 roku. I pomóc zwycięzcy w szeroko rozumianej koalicji prawicowej zostać premierem. Chce być akuszerem nowej większości, która stworzy rząd jemu podległy.

Teraz do tego potrzebuje podzielonego Trybunału?
– W ogóle nie potrzebuje Trybunału. Potrzebuje tego kryzysu, żeby umacniać ducha walki.

Gdyby Trybunał normalnie funkcjonował, Nawrocki miałby problem.
– Jaki?

Trybunał mógłby oceniać jego konstytucyjne uzurpacje, blokowanie profesur, ambasadorów...
– To by padł zarzut, że Trybunał jest stronniczy, ogranicza prezydencką władzę.

Nawrocki ma osobisty interes w tym, by nie było legalnie i sprawnie funkcjonującego sądu konstytucyjnego?
– Otóż to.

Kaczyński dawno odkrył, że Trybunał ogranicza władzę ustawodawczą. On to nazywa imposybilizmem, bo bez kontrolowanego Trybunału nie mógłby przeprowadzać swoich politycznych celów. Dlatego po przejęciu władzy w 2015 roku w pierwszej kolejności ruszył na Trybunał. No i na media, bo rozumie, że – jak sam powiedział w 2016 roku – „w Polsce za pomocą telewizji można wykreować obraz, jaki się chce, bo społeczeństwo nie analizuje tego, co tam widzi, tylko przyjmuje jako prawdziwe”.
– Przez chwilę bądźmy do spodu uczciwi. Gdzie pani lokuje grzech pierworodny związany z Trybunałem Konstytucyjnym?

Wiem, o czym chce pan przypomnieć...
– To proszę, niech pani mi odpowie.

Wybór w 2015 roku sędziów TK na zapas przez kończący kadencję Sejm, w którym większość miała koalicja PO-PSL.
– Kto to wymyślił?

Nie wiem, kto wymyślił, ale realizował Robert Kropiwnicki z PO. To on wrzucił do ustawy o Trybunale poprawkę umożliwiającą wybranie sędziów z wyprzedzeniem.
– Jaką odpowiedzialność za tę straszliwie złą decyzję podniósł pan poseł Kropiwnicki?

Żadną. Ale przypominam, ówczesny Trybunał Konstytucyjny orzekł, że to niezgodne z konstytucją, że Sejm wybrał trzech sędziów prawidłowo, a dwóch nie. Czyli sąd konstytucyjny zadziałał, powstrzymał nielegalny wybór Sejmu.
– Mamy jeszcze dwie osoby, które powinny ponieść zasadniczą odpowiedzialność za to wszystko, co przez 11 patologicznych lat doprowadziło nas do obecnego kryzysu.

Drugą jest prezydent Andrzej Duda, który ewidentnie działał niezgodnie z konstytucją, bo dobę przed tym wyrokiem TK przyjął ślubowanie od pięciu sędziów. Czyli wyprodukował dublerów, bo powołał sędziów na miejsce wówczas legalnie obsadzone.

Tak więc Andrzej Duda jest drugim na mojej ławie oskarżonych obok posła Kropiwnickiego, który chwalił się jakże chytrą decyzją, lecz na pewno miał mocodawców.

A trzecią osobą, która ponosi odpowiedzialność za te wszystkie nieszczęścia, jest pani premier Beata Szydło, która zdecydowała – mimo jasnego zapisu konstytucyjnego, że orzeczenia TK powinny być drukowane niezwłocznie – nie publikować wyroków Trybunału Konstytucyjnego. Bo musiałaby opublikować wyrok kasujący wybór, jak pani to nazywa, na zapas – a obsadzenie całego TK za jednym zamachem w sprzyjających warunkach okazało się na rękę prawicy, kiedy niespodziewanie przejęła władzę.

Minęło 11 lat. Żadna z tych osób nie poniosła żadnej odpowiedzialności.

Kropiwnickiego było łatwo ukarać, bo można go wyrzucić z partii, ale jak mieli być ukarani Duda i Szydło?
– Szydło trzeba by uchylać immunitet w Parlamencie Europejskim, ale Andrzej Duda dzisiaj nie ma żadnego immunitetu.

Pan oczekuje od dzisiejszej władzy, że tę trójkę rozliczy?
– Ja już niczego nie oczekuję po 11 latach oczekiwania na cokolwiek. Nie liczę na to, że politycy zaczną rzeczywiście rozmawiać o odpowiedzialności.

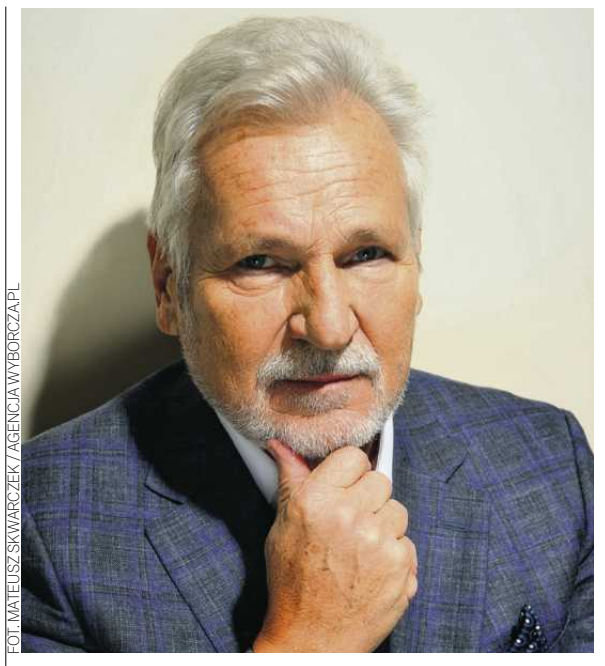
Proszę powiedzieć, jaka jest przyczyna przejęcia Trybunału na początku kadencji PiS i Dudy?
– Kaczyński chce mieć wolną rękę w zmianie ustroju bez zmiany konstytucji.

– Tak. I zabezpieczenie dla niezgodnych z konstytucją działań.
– To obciąża politycznie Kaczyńskiego, bo to był jego plan, ale nie tylko jego.

Odpowiedzialność polityczną również ponoszą osoby, które doprowadziły do tego, że prezydent Bronisław Komorowski przegrał w 2015 roku reelekcję.

Gdyby wygrał, a miał wszelkie szanse, nie mielibyśmy całej tej historii. To on byłby bezpiecznikiem zapewniającym, że Trybunał działa zgodnie z prawem.

A może PiS przegrałby wybory parlamentarne, bo wygrał je na fali wygranej w wyborach prezydenckich.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

To, co się teraz dzieje w TK, wydarza się trzy lata za późno. Wtedy świeżo upieczona opozycja była w szoku, świeżo upieczona władza miała wielki mandat społeczny. Dziś władza się zużyła, opozycja okrzepła, no i jesteśmy rok przed wyborami, co oznacza, że każdy ryzykowny krok rządu będzie bezlitośnie wykorzystywany w kampanii

– PiS by wygrał, bo wybory parlamentarne po ośmiu latach Platformy były dla Platformy nie do wygrania.

Czyli odpowiedzialność polityczna osób, które spowodowały, że kampania Komorowskiego była zła...

...była fatalna...
– ...zgoda, fatalna. Więc czy te osoby poniosły odpowiedzialność?

Nie.
– Natomiast z każdym rokiem od przegranej PO i Komorowskiego pogłębia się kryzys konstytucyjny, w TK zasiadają dublerzy, którzy według instytucji europejskich nie powinni orzekać. Prawnie staje się to wszystko dramatycznie zagmatwane.

Aż jesienią 2023 roku przychodzi nowa władza, która w opozycji obiecywała, że wszystko odkręci. I co?

Duda ma weto.
– I tak, i nie. Bo propozycji reformatorskich było mało. Wiadomo, odpowiedź na ten zarzut brzmi: „A po co je składać, Duda zablokuje”. Ale nowa większość sejmowa mogła przynajmniej pokazać determinację. A tymczasem nowy rząd zdecydował się nie publikować wyroków TK. Czyli po pełnych energii społecznej wyborach trwało w najlepsze konsekwentne psucie i obniżanie prestiżu resztek Trybunału.

I teraz dochodzimy do momentu kluczowego, w którym już na pewno nie da się ominąć kwestii tej odpowiedzialności politycznej. Wie pani, o czym mówię?

O roku 2025 i wyborach prezydenckich.
– Wygranie tych wyborów to była jedyna szansa na odwrócenie tych niszczycielskich procesów. I one były do wygrania! A co robi rządząca koalicja? Przegrywa, i to w dużej mierze na własne życzenie. Za to też ponosi się odpowiedzialność polityczną.

Kto poniósł?

Nikt. Znowu.
– Kandydat, szef sztabu, premier też muszą się uderzyć w piersi. Tym bardziej że Tusk też przegrał te wybory jako szef partii.

Wie pani, jeżeli nad tym wszystkim przechodzimy tak spokojnie, to żadnych kryzysów nie zażegnamy. Ja bym oczekiwał, że przynajmniej te osoby, które nie sprawdziły się w kampanii prezydenckiej, które doprowadziły do

• **Zawieszony w czynnościach służbowych prezes Bogdan Święczkowski próbuje wejść do budynku Trybunału Konstytucyjnego w Alei Szucha 12A. Warszawa, 30.10.2026**
FOT. MICHAŁ BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl e47b8e13bb

tak idiotycznej decyzji jak debata w Końskich czy brak myśli przewodniej w kampanii, powinny ponieść za to najwyższą polityczną odpowiedzialność.

Czy...
– ...nie, to jeszcze nie koniec mojego wykładu.

Znalazłem bardzo ciekawe kalendarium kryzysu konstytucyjnego. Od 2015 roku PiS złamał 17 zasad, opozycja 3, łącznie z grzechem pierworodnym wyboru sędziów TK na zapas. Owszem, dysproporcja obciąża prawicę, ale strona liberalna nie jest niewiniątkiem. To powoduje, że dzisiaj wszystko to, co się dzieje, to jest ślepa ulica. Tych 20 złamanych zasad się nie odwróci.

To, co się stało 30 października, czyli zawieszenie w czynnościach na miesiąc prezesa Bogdana Święczkowskiego i wiceprezesa Bartłomieja Sochańskiego, to ślepa uliczka? Odsunięcie ich od orzekania to początek rozliczania, np. Święczkowskiego i za Pegasusa w czasach, gdy był prokuratorem krajowym oraz prawą ręką Ziobry, i za manipulowanie składami orzekającymi w TK dla partyjnych interesów. W końcu może poniesie odpowiedzialność. A jej pan przecież oczekuje.
– To, co się stało 30 października, na pewno było konieczne. Ale kontekst jest przeciwko sędziom podejmującym te konieczne i odważne decyzje. Bo oni co prawda są legalnie wybrani przez Sejm, ale ze względu na świadomą obstrukcję prezydenta nie mogą złożyć ślubowania.

Mogą i złożyli, bo przesłali mu tekst roty. Komisja Wenecka uznała, że gdy Nawrocki nie współpracuje z instytucjami państwa, to wolno go obejść, czyli złożyć ślubowanie wobec urzędu prezydenta.
– Dobrze, uznała. No i co? To jest tylko opinia, nie wyrok.

Komisję Wenecką tworzy 61 profesorów i sędziów sądów konstytucyjnych, którzy reprezentują 61 państw.
– Zgoda – i wyrazili swoją opinię.

I jest jeszcze orzeczenie zabezpieczające Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, że sędziowie wybrani przez Sejm powinni być dopuszczeni do orzekania. Przecież ma pan świadomość, że Trybunał ma obowiązek respektowania tego orzeczenia.
– To jest argument, ale prawniczy. A proszę mnie nie wciągać w dyskusję prawniczą. Zostaną napisane liczne prace doktorskie, habilitacyjne na ten temat. Pani rozmawia nie z prawnikiem, tylko z politykiem. Więc jako polityk pani mówię, że sytuacja jest patologiczna.

Proszę spojrzeć, co się teraz dzieje w Trybunale. Jest ośmiu sędziów, uchwalili, że mają kworum, będą orzekać, Święczkowski pozostanie zawieszony, a potem straci immunitet i stanie przed sądem.

Pozostali sędziowie, siódemka, wierni Święczkowskiemu, chcą stworzyć drugi Trybunał...

...czy pseudotrybunał?
– Oni pani powiedzą, że Trybunał. I będą orzekać gościnnie w Sądzie Najwyższym, bo sędzia Zbigniew Kapiński, pierwszy prezes SN, popiera Nawrockiego i Święczkowskiego.

Kapiński to neosędzia, czyli nie jest pierwszym prezesem SN.
– Według pani.

Nie. Według Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który pod koniec 2019 roku podważył neo-KRS. A trzy połączone izby Sądu Najwyższego w 2020 roku stwierdziły, że składy sądów, w których zasiadają sędziowie powołani w procedurze przed neo-KRS, która nie jest niezależnym organem, są nieprawidłowe.



• **Protest środowisk Konfederacji i Ruchu Narodowego przeciwko działaniom rządu w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. Rzeszów, 07.11.2026 r.**
FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

W haśle „Byle nie Tusk" liderzy prawicy mieli tylko cel. Wreszcie znaleźli coś lepszego – mit. Niech pani spojrzy na tych ludzi protestujących pod TK, na ich twarze, na ich wypowiedzi. Oni są autentycznie przejęci

– Zgoda, ale przecież oboje wiemy, że niezależnie od tego, co by się zdarzyło, ile i jakich opinii by wydano, o Trybunale przy Alei Szucha 12 pod przewodnictwem sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej Nawrocki powie, że to nie jest Trybunał.

No i co? A to Nawrocki ma moc namaszczania Trybunału?
– To ja też odwołam się do motywu biblijnego i zostanę prorokiem. Scenariusz będzie taki: ta ósemka będzie siedzieć w okopach na Szucha i podejmować kolejne decyzje, bo będzie starała się przywrócić Trybunał obywatelom. Za czym jestem, żeby była jasność.

Jednocześnie powstanie quasitrybunał w Sądzie Najwyższym czy gdzieś indziej, może w Kancelarii Prezydenta. I będzie trwała prawniczo-polityczna dyskusja, który Trybunał to jest ten legalny, który ma więcej uprawnień, który bardziej łamie prawo i tak dalej. Pożytku z tego żadnego nie będzie.

Jak długo to potrwa?
– Do października 2027 roku.

A pamięta pan protest na Woronicza w gmachu TVP po odwołaniu w grudniu 2023 roku władz TVPiS? Kaczyński okupował budynek na krzesełku w hallu, studia programów informacyjnych przy Placu Powstańców Warszawy były okupowane, programy informacyjne musiały przenieść się na Woronicza. Okupacja skończyła się po 24 dniach.
– A zauważa pani różnicę? Kiedy to się wydarzyło?

Trzy lata temu.
– Więc to, co się teraz dzieje w TK, wydarza się trzy lata za późno. Wtedy świeżo upieczona opozycja była w szoku, świeżo upieczona władza miała wielki mandat społeczny, a dziś władza się zużyła, opozycja okrzepła, no i jesteśmy rok przed wyborami, co oznacza, że każdy ryzykowny czy dwuznaczny krok rządu będzie bezlitośnie wykorzystywany w kampanii.

Więc demonstracje będą falowały, zimą przyjdzie mniej ludzi, ale wiosną znowu więcej, i tak aż do października. Jeżeli wygra prawica, to będzie oznaczało, że wyborcy uznali to za zamach na Trybunał, jeśli koalicja rządząca – że to przywrócenie TK obywatelom.

Ale w tym drugim przypadku zrobi się jeszcze ciekawiej. Bo najpewniej Tusk będzie kandydatem na premiera, a prezydent może skorzystać z okazji i się na niego nie zgodzić. Lecz wówczas musi wysunąć swojego kandydata, ale ten kandydat raczej nie uzyska większości w Sejmie, który wyznaczy Tuska. I Tusk zostanie premierem.

I mamy kolejne trzy lata...
– ...no właśnie, czego? Wojny między prezydentem a premierem czy jakiejkolwiek współpracy?

Raczej będzie to, co teraz, tylko jeszcze bardziej.
– A może nie. Bo będą się zbliżać wybory prezydenckie i Nawrocki być może wyciągnie wnioski z pierwszej kadencji. Takie, że jeśli chce prezentować się jako twardy, waleczny, dbający o siłę i prestiż państwa polskiego, które odnosi sukcesy i jest podziwiane w świecie, to nie może temu wizerunkowi podstawiać nogi.

Przecież kiedy po nocy wtargnął do Trybunału, cały świat to zobaczył, wszyscy to pokazywali. Byłem wtedy za granicą i stale słyszałem pytanie: Co się u was dzieje? A to jest nie do wytłumaczenia dla cudzoziemca, choć angielski jako tako znam. Bo jak przetłumaczyć „dublera w sądzie konstytucyjnym" Brytyjczykowi, Francuzowi czy Niemcowi? Na czym polega problem sędziego dublera w sądzie konstytucyjnym? Albo czemu prezydent wbrew prawu nie przyjmuje ślubowania od legalnie wybranych sędziów Trybunału Konstytucyjnego? To jest Mrożek. A do Mrożka też się trudno przed Niemcem czy Duńczykiem odwołać.

Natomiast jeżeli to wszystko, co się teraz dzieje, będzie sprzyjało prawicy i ona wygra za rok, to nie mam żadnych wątpliwości, że obecny Trybunał po prostu zostanie rozwiązany.

Pokładam nadzieje niewielkie, ale jednak jakieś, w tym, co usłyszeliśmy na koniec posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Że dojdzie do spotkania w cztery oczy Tusk – Nawrocki.

Prezydent już je przesunął na później, stawia warunki.
– Ale chyba jednak się spotkają? A wtedy pojawi się szansa, że w rozmowie męskiej – tego słowa lubi używać prezydent, a i premier jest gotów do męskiej rozmowy, bo wychowany na podwórkach gdańskiego Wrzeszcza, więc nie jest pod tym względem zupełnie bez szans – wyjaśnią sobie, gdzie jesteśmy.

Bo że panowie się nie lubią, to wiemy, i że mają podobne zamiary, też wiemy. Nawrocki chce zniszczyć Tuska i vice versa.

Pytanie do obu jest takie: Czy jeżeli na stole leży interes Polski, wizerunek Polski i znalezienie wyjścia z sytuacji beznadziejnej, jest w nich jakaś gotowość do współpracy?

Jak mogłaby taka współpraca wyglądać?
– Liczę na to, że dwóch panów z Gdańska w szczerej, męskiej rozmowie znajdzie sposób, by Trybunał mógł wreszcie orzekać.

Łatwo powiedzieć.
– Weźmy sprawę ambasadorów. W tej chwili brakuje 60. Może prezydent podpisze nominacje dla 40 zawodowych dyplomatów, dla 20 politycznych nominacji powie „nie". I wtedy rozpoczynają się rozmowy o podzieleniu się tą dwudziestką, na przykład prezydent dostaje Chiny, znowu Rumunię, znowu ONZ czy Waszyngton i Watykan. Świat się nie zawali. Polityczność jego kandydatów nie wyklucza, że to będą kompetentni, odpowiedzialni ludzie.

Teraz weta. Prezydent wetuje rzeczy ideologiczne, jak związki partnerskie czy aborcja, wiadomo, tu zdania nie zmieni; choćby chciał, musi dbać o swój elektorat, trzeba się z tym pogodzić. Ale nie wetuje ustaw, które są światopoglądowo letnie, a decydujące dla bezpieczeństwa czy budżetu państwa.

I tu jest drugi temat do męskiej rozmowy dla obu panów. Bo prezydent dłubie przy budżecie, choć w konstytucji zapisaliśmy, że z prawa weta prezydenckiego wyjęty jest budżet. Właśnie po to, żeby tak kluczowa sprawa nie stawała się zakładnikiem polityki partyjnej – ale popełniliśmy błąd, bo nie wyłączyliśmy spod weta również ustaw okołobudżetowych.

Powinno być tak, że albo rząd odpowiada za budżet, czyli za wpływy i za wydatki, i jest z tego rozliczany, a prezydent pozostaje stroną bierną, albo prezydent wtrąca się wedle swe-

eprasa.pl e47b8e13bb

go rozeznania, ale jest z tego rozliczany. Panowie mogliby to obgadać, ustalić zasady współpracy i przejść do sprawy trzeciej – sądu konstytucyjnego.

Uprzedzam pytanie – nie będę im podpowiadał, choć jakiś pomysł mam. Ale mogę określić jeden warunek: obaj muszą uznać, że priorytetem są polska przyszłość, stabilność finansowa i wizerunek Polski w świecie oraz gotowość do odpowiedzi na zagrożenia zewnętrzne.

Czy oni są do tego zdolni? Nie wiem.

Pan mówi „interes Polski". Polska dla każdego znaczy coś innego, to i interesy mają różne.
– Nie, Polska nie może znaczyć czegoś innego.

Nie może, ale znaczy.
– Jeżeli dalej w tych kategoriach będziemy rozpatrywać fundamentalne spory, to mamy problem.

Obie strony się zgadzają, że w interesie Polski jest sprawny i legalny Trybunał Konstytucyjny. Tyle że postrzegają jego sprawność i legalność inaczej. Na co nakłada się bieżący kontekst polityczny – gdyż nawet przyjmując, że Nawrocki jako patriota też chce sprawnego i legalnego Trybunału, to na razie w jego interesie jest Trybunał niesprawny i nielegalny. Bo marzenie ma ogromne – być liderem obozu narodowego, a taki Trybunał mobilizuje jego wyborców. I nie powstrzyma zmiany ustroju bez zmiany konstytucji.
– Zgoda.

Ale mam dziwne wrażenie, że polaryzacja jest w interesie obu stron.

Kryzys trybunalski to jest test polskiej klasy politycznej. Czy jest jeszcze w stanie usiąść wspólnie do stołu i zastanowić się nad rozwiązaniem problemu? Czy prezydent w tej sprawie zdoła być moderatorem, czy nie przełamie się i pozostanie stroną?

Stroną. Po jego napastliwym, oskarżycielskim wystąpieniu na posiedzeniu RBN pan się jeszcze zastanawia?
– Ludzie się zmieniają.

Tak? Po roku prezydentury Nawrockiego widzimy, że jest coraz bardziej niebezpieczny i coraz bardziej z tego zadowolony.
– Pod tym względem prezydent się nie zmieni. Konsekwentnie zresztą realizuje swój polityczny plan, a środki dostosowuje do sytuacji.

A jak pan ocenia zachowania sędzi Anny Korwin-Piotrowskiej?
– Dobrze, że pani wreszcie o to pyta. Tak naprawdę tylko ona odegrała rolę odważną i świeżą. Trzeba naprawdę ogromnej osobistej odwagi i własnych, mocnych przekonań, by iść na front. Bo przecież pani sędzia nie musiała.

Ona sama mówi, że musiała, bo jako na najstarszej stażem sędzi TK ciążył na niej obowiązek, by nie godzić się ze stanem zastanym i beznadziejnym.
– Tym bardziej doceniam to, co zrobiła. Natomiast gdy chodzi o resztę, to wszyscy odegrali role, które znamy. Niczym mnie nie zaskakują.

A Zbigniew Kapiński, pierwszy prezes SN? Po nocy z Nawrockim szturmował TK.
– Też żadna niespodzianka. To osoba powołana na to stanowisko przez Nawrockiego.

A jeśli chodzi o prezydenta, to już komentowałem: patologia. Przypominam, że to nie pierwsza nagła i niezapowiedziana wizyta Nawrockiego w Trybunale. W połowie października ostentacyjnie wsparł Święczkowskiego, kiedy ten z pomocą własnego ciała nie wpuścił sędziego Macieja Berka do sędziowskich pokoi. Wtedy też Nawrocki nie poszedł na Szucha z gałązką oliwną, by szukać kompromisu.

Więc trochę rozumiem pani sceptycyzm co do tego, czy ludzie się zmieniają, czy potrafią spojrzeć na interes wspólny, na dobro ogólne. Też niepokoi mnie, że konflikt może wymknąć się spod kontroli, rozwinie się w zjawiska fizyczne trudne do opanowania, w uliczne burdy.

Lecz ja wierzę, że jednak w ludziach jest sporo rozsądku. Więc apeluję do tych dwóch liderów: Panowie, nie igrajcie z ogniem.

A Kaczyński nie igra? Stawił się pod Trybunałem, autoryzował nawoływanie do przemocy. A obok stanęli jak równi Morawiecki oraz Braun.
– Nie dziwi mnie, że to wykorzystują. Nic bardziej nie łączy niż wspólny wróg. A do października 2027 wspólny front leży w interesie każdego z nich, tylko że każdy chciałby odgrywać pierwsze skrzypce.

Już wcześniej mieli wspólne hasło: „Byle nie Tusk".
– Tu mają coś lepszego. W nim mieli tylko cel, a teraz znaleźli mit. Spór o Trybunał jest dla nich nadzieją, bo wyczerpała się religia smoleńska, która nie mobilizuje już nawet najtwardszego elektoratu prawicowego.

Niech pani spojrzy na tych ludzi protestujących pod TK, na ich twarze, na ich wypowiedzi. Oczywiście TV Republika, która robi na Szucha show o antynarodowym, niemieckim spisku, podbija bębenek, niemniej oni są autentycznie przejęci.

A to przejęcie, ta emocja uwiarygadnia prawicową opowieść o autorytaryzmie wśród niezdecydowanych, nie do końca przekonanych, niezupełnie zorientowanych. Pod Trybunałem nie chodzi o twardy elektorat, on zagłosuje jak należy, wszyscy tam obecni liderzy prawicy to wiedzą. Toczą grę o tych, którzy mają wątpliwości, którzy mają zastrzeżenia do wielu postulatów prawicy, ale równie wiele do obecnej władzy, bo np. nie podoba im się sama obecność policji pod Trybunałem.

A wspólne zdjęcie Kaczyńskiego z Braunem ma polityczne znaczenie?
– Prezesowi PiS to nie służy, dał się Braunowi zmanipulować.

To niedobrze, bo Braun jest groźny. Niby wszyscy to wiemy, Kaczyński też, ale nigdy dość powtarzać, że partia ewidentnie ksenofobiczna, rasistowska, antyukraińska, prorosyjska, antysemicka i negująca komory gazowe w Auschwitz jest niebezpieczna dla polskich interesów.

Ale jeżeli PiS będzie brakowało głosów do stworzenia większości po wyborach, i tak sięgną po Brauna. Nieraz Kaczyński mówił, że z ludźmi niegodziwymi nie powinno się robić nic, a robił. Z jego perspektywy pokonanie Tuska będzie tego warte.

Tylko pozwolę sobie zauważyć, że potępiamy Kaczyńskiego, jakby umykało nam, kto rządzi, czyli jest sprawczy. Jak to możliwe, że państwo, mając tak dużo dowodów niezgodnej z prawem działalności Brauna i jego politycznego chuligaństwa, pozwala mu się pojawiać na demonstracjach? Nadal spokojnie to chuligaństwo uprawiać?

Nie mogę pojąć słabości państwa, tego, że nie spotkała go żadna sankcja karna przez tyle lat.

Bo zawsze balansuje na krawędzi I wykorzystuje wszystkie prawne narzędzia do ucieczki przed zarzutami.
– Czyli robi sobie żarty z wymiaru sprawiedliwości. Gdyby tego wszystkiego nie zrobił Braun, tylko jakiś anonimowy chuligan, to by odpowiedzialność już poniósł.

Boby nie miał na drogiego prawnika. Tymczasem Kaczyński nie tylko zrobił sobie selfie z Braunem, ale jeszcze sam z siebie, nieprzymuszony okolicznościami, zapowiedział szantaż Unii Europejskiej polexitem.
– Akurat to może mu wyjść bokiem. W Polsce to zawsze był fałszywy trop, a co dopiero dzisiaj, w sytuacji wojny w Ukrainie, rosyjskiego zagrożenia i niepewnej Ameryki, która po zwycięstwie Demokratów może będzie życzliwsza, sympatyczniejsza, lecz niekoniecznie bardziej zainteresowana Europą.

Kaczyński stracił intuicję, nie wyczuwa nastrojów?
– Jeśli chodzi o polexit – stracił. Gdy pod koniec rządów Zjednoczonej Prawicy niektórzy pisowscy zagończycy albo konfederaci próbowali podbijać temat, Kaczyński ucinał takie próby, deklarował, że Unia jest naszą racją stanu.

Wiedział, co robi, w końcu w dużej mierze wskutek antyunijnej narracji przegrali wybory w 2023 roku. Gdyby dzisiaj wprost zapowiedział polexit, to dla sił proeuropejskich byłby podarunek.

Rozważał pan, czy demokraci za rok wygrają. Czyli kto? Bo są w rozsypce. Koalicji 15 Października praktycznie nie ma, a gdyby się jakoś zebrała, to według sondaży jest bez szans na sejmową większość.
– Tak, większość raczej ma chrześcijańsko-narodowo-antyeuropejska prawica. A po stronie demokratów raczej nic nowego nie powstanie. Najsilniejsza jest Koalicja Obywatelska.

Ale co z tego, że wygra, skoro szanse na wielką koalicję są znikome.
– Przede wszystkim martwmy się tym, by dzisiejsze prognozy, że KO za rok wygra, ich nie uspakajały. Bo partia Tuska, jak pokazała ostatnio w kampaniach prezydenckiej i w Krakowie, mistrzem w wygrywaniu wyborów nie jest. KO musi mocno pracować, żeby utrzymać tę przewagę do wyborów.

A co do koalicji, to pocieszające, że PSL nie ma innego wyjścia, jak tylko wejść na listy KO.

Kosiniak-Kamysz stawia na samodzielny start. Nie przypadkiem właśnie ogłosił swój pomysł na „reset" Trybunału.
– I co z tego? Teraz każdy, kto ma jakąś latarkę, próbuje oświetlać jakąś drogę. To nie zmienia faktu, że PSL manewru nie ma. Polska 2050 też wystartuje na liście KO, a ma parę nazwisk, które liczą się w okręgach. Ziarnko do ziarnka...

REKLAMA Kraj/34460567



1 RP

eprasa.pl e47b8e13bb

Pytanie zasadnicze, jak zostanie zagospodarowanych około 10 proc. głosów lewicowych. Wspólna lista to najmniej realny scenariusz. Raczej zobaczymy dwa oddzielnie startujące ugrupowania, które przeskakują próg wyborczy 5 proc. Tylko co, jeśli jedno przeskoczy, drugie nie? Albo oba nie? To by oznaczało otwartą drogę dla prawicy do przejęcia władzy.

Chyba żeby Nowa Lewica weszła na listę ocalenia narodowego, wspólną, demokratyczną, proeuropejską, z ludowcami, Hołownią i KO. Ale to ryzykowne, nie musi dać synergii, a zapewne pomoże partii Razem przekroczyć próg.

A czy to, co się działo w Trybunale 30 października, było powiązane ze spodziewaną porażką Trumpa i w efekcie osłabieniem Nawrockiego, który straci instancję odwoławczą za oceanem?
– Nie. To jest dosyć oczywiste, że ten dzień został wybrany, bo po nim był 1 listopada.

Ale rzecz jasna „niebieskie tsunami" jest miłym bonusem, bo osłabia Nawrockiego. Nie tylko dlatego, że jego mentor jest zajęty ważniejszymi problemami.

Również dlatego, że jeśli polityka deklarowania miłości do Trumpa, lukrowania go, powielania jego zachowań przestała działać w Ameryce, to i w Polsce przestanie działać.

Prezydent USA może zaklinać sam siebie, że gdyby on był na listach, toby Republikanie wygrali, ale wszyscy wiedzą, że prawda jest okrutna: to było referendum w sprawie Trumpa. Amerykanie pokazali, że jednak mają poczucie sensu i wstydu.

Czy przez wstyd Trump to referendum przegrał? Nie przez gospodarkę? Bo hasło Clintona z 1992 roku – „gospodarka, głupcze" – znów zdaje się działać.
– To zawsze działa, tylko nie zawsze z dostateczną mocą. Tu zadziałało bardzo silne połączenie gospodarki, czyli obiecanego sukcesu gospodarczego, poprawy losu zwykłych Amerykanów, w miejsce której nastąpiło pogorszenie, z zażenowaniem polityką Trumpa. Jeżeli już nawet jego wiceprezydent mówi wprost, że wojna w Iranie była błędem, to poczucie, że dużo było nie tak, jest bardzo silne.

J.D. Vance potrzebował przegranych wyborów, żeby to przyznać.
– Taka jest polityka.

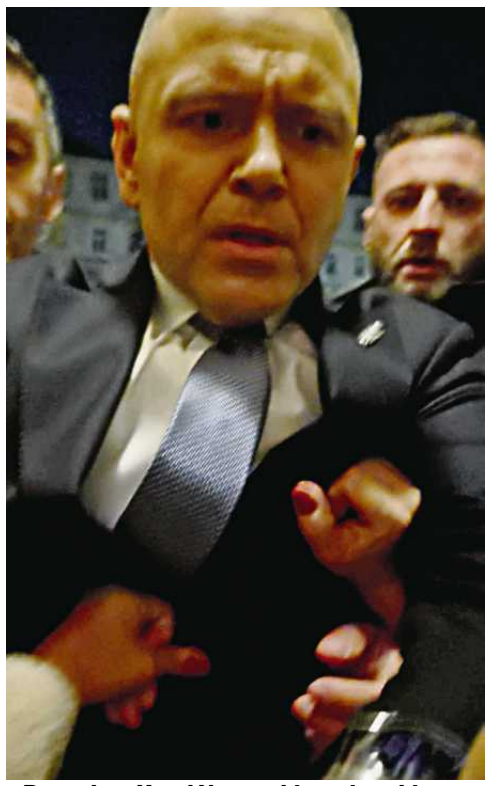
Obecnie kluczowe pytanie brzmi: Co będzie robił Trump przez najbliższe dwa lata? Jego polityka będzie miała dwa horyzonty.

Pierwszy – do 3 stycznia, kiedy nowy Kongres zacznie działać. Przez te dwa miesiące Trump może podejmować różne niebezpieczne decyzje, licząc na to, że stary Kongres nie będzie się go już czepiał.

Drugi – do końca kadencji. Bo Trump nie zmieni się po tych wyborach na jotę. Może być tylko coraz bardziej zły, w sensie nastroju i w sensie decyzji. Hamulec w postaci groźby impeachmentu nie zadziała, bo wiadomo, że impeachment nie uda się, więc tylko go wkurzy.

Swoją drogą, jak słyszę, że jedną z trosk świata jest nie to, jaki interes ma, czego chce Ameryka i jej prezydent, tylko to, czy prezydent Ameryki się wkurzy, czy się nie wkurzy, to mam wrażenie, jakbyśmy żyli w starożytnym Rzymie za cesarstwa.

Odpowiem – to słuszne wrażenie. Wiosną na łamach „British Medical Journal" trzydziestu psychiatrów, psychoanalityków i lekarzy specjalizujących się w zdrowiu psychicznym bezprecedensowo uznało, że Trump jest psychicznie niezdolny do pełnienia funkcji, że dostrzegają „obiektywnie obserwowalne oznaki poważnego zagrożenia zdrowotnego, takie jak pogarszające się funkcje poznawcze, upośledzona kontrola impulsów, epizody dezorientacji oraz myślenie wielkościowe graniczące z urojeniami".



• **Prezydent Karol Nawrocki toruje sobie drogę do siedziby Trybunału**
FOT. MACIEJ BEREK VIA X/HANDOUT VIA REUTERS

Tylko Anna Korwin-Piotrowska odegrała w sprawie Trybunału Konstytucyjnego rolę odważną i świeżą. Trzeba ogromnej osobistej odwagi i własnych, mocnych przekonań, by iść na front. Bo przecież pani sędzia nie musiała

– Po pierwsze, nie jestem prawnikiem, po drugie, nie jestem psychiatrą, więc odmawiam komentarza.

Liczmy na to, że skoro amerykański wyborca teraz, w listopadzie, zachował się jednak sensownie, to amerykański system *check and balance* będzie działał, czyli szalone pomysły prezydenta ograniczy.

Dla nas jest kluczowe, jak po wyborach połówkowych wygląda plan Trumpa w sprawie Ukrainy. Bo jeżeli jest w nim poświęcenie Ukrainy, to bardzo źle. Trump kocha transakcyjną politykę, więc co, jeśli rozważa w zamian za pokój, czyli możliwość zajęcia się pilniejszymi z jego perspektywy problemami w kraju, z Iranem, z Chinami, zgodę na to, żeby w Europie Środkowo-Wschodniej nie było amerykańskich baz?

Wszystkie moje dzwonki alarmowe uruchomiło spotkanie Trumpa z wysłannikiem Kremla Kiriłłem Dmitrijewem. Nie dlatego, że się spotkali, tylko dlatego, co potem Trumpowi się wymsknęło. Bo zapewnił, że „będzie wielkie porozumienie, które dotyczy czegoś więcej niż tylko Ukrainy, można powiedzieć, że może objąć całą Europę. Będzie wspaniałe, wielkie porozumienie i wszyscy będą zachwyceni". Czyli uznał, że urządzi z Putinem nie tylko jakąś tam – z jego perspektywy – Ukrainę, ale i Unię Europejską.

Zresztą w tej sprawie Rosjanie, co by nie mówić, są konsekwentni, bo otwarcie od wielu, wielu lat mówią, że kwestia ukraińska musi być rozpatrzona w kontekście szerokiej gwarancji bezpieczeństwa w wymiarze europejskim i globalnym dla Rosji.

Krótko mówiąc, najlepiej, żeby NATO się rozleciało, a jak nie, to żeby chociaż wycofało się na granice sprzed 1989 roku, czyli z Polski, ale też ze Szwecji czy Finlandii.

Tylko równocześnie Trump ma, jak miał, ambicje wspierania europejskich nacjonalistów. A im, nawet jeśli mają w poważaniu Ukrainę, urządzanie ich krajów przez jankesów niekoniecznie się spodoba.
– Z tego nie zrezygnuje. I on tu nie widzi sprzeczności, z drugim silnym liderem, czyli Putinem, urządza ogólny nowy ład na kontynencie, a jednocześnie urządza poszczególne kraje.

Natomiast owszem, ten jego plan raczej nie wypali. Weźmy Francję. To jest niezbyt proamerykańskie społeczeństwo nawet nie od de Gaulle'a, ale od połowy XIX wieku, drugiego Napoleona i krzyżowania szyków Francji w Meksyku przez USA z ich świeżo odkrytą siłą i wyższościowym poczuciem „objawionego przeznaczenia".

I kiedy martwimy się, że pani Le Pen coraz bardziej wygląda na przyszłą prezydentkę, to ja się martwię trochę mniej, bo wiele wskazuje na to, że będzie jednak liderką w stylu Giorgii Meloni. A Włoszka przecież nas bardzo mile rozczarowała, jeśli chodzi o jej stosunek do Rosji czy do Ukrainy. I liczę na to, że pierwszego dnia w Pałacu Elizejskim pani Le Pen zapomni o pożyczce, jakiej Frontowi Narodowemu udzieliła Rosja.

Więc ci przywódcy prawicy, którzy ulokowali w Trumpie na 100 procent swoje uczucia, oczekiwania i ambicje, będą mieli kłopot.

Na pewno „niebieskie tsunami" w USA nie zaszkodzi Tuskowi. Ale czy pomoże? U nas i za silnego, zaangażowanego nad Wisłą Trumpa groźniejszym, skuteczniejszym narzędziem prawicy była polaryzacja.

Jej sam Nawrocki trochę zaszkodził, wytaczając Onetowi proces za publikacje z czasu kampanii wyborczej, że jako ochroniarz w sopockim Grand Hotelu sprowadzał gościom do pokoju prostytutki. Twardy pisowski elektorat czy kibole pozostaną przy nim, ale wielu głosujących nań umiarkowanych prawicowców czy instynktownych konserwatystów nabiera wątpliwości.
– Stworzyliśmy Polskę, która składa się z dwóch baniek czy dwóch plemion, które argumentów drugiej strony nie przyjmują z zasady. Strona, która uważała, że młodzieńcza działalność Nawrockiego w Grand Hotelu nie jest powodem do chwały, utwierdzi się w swoich przekonaniach. A ci wszyscy, którzy uważają, że to wszystko kłamstwa, będą tak uważali dalej.

Tylko że w kampanii i w początkach kadencji to były opinie, a teraz są zeznania złożone w sądzie pod przysięgą i będzie wyrok. Ludzie mogą poczuć się okłamani. Nie tylko przez Nawrockiego, ale i PiS za nim stojący.
– Być może. Dowiemy się za cztery lata.

Może pana pesymizm jest uzasadniony. Trump dwa razy wygrał wybory prezydenckie, choć wyszły na jaw jego zdrady, obleśne zachowania, przekupstwa różnych kobiet. To i Nawrockiemu nie zaszkodzi, że zgrabnie łączył rodzinne wartości chrześcijańskie ze stręczeniem?
– Ja mam jedną żonę od 47 lat i jestem przedstawicielem progresywnej lewicy, więc mnie się to w głowie nie mieści.

Mam nadzieję, że w kolejnych wyborach w Polsce wróci wartość, jaką jest zgodność słów i czynów. Nasza prawica chce być drogowskazem, pokazuje nam drogę i siłą na nią kieruje, ale sama nie zamierza nią maszerować.

Na szczęście już potrafimy rozliczać się z różnymi hipokryzjami tkwiącymi w naszym systemie społecznym, w naszej kulturze. Skoro wreszcie odkrywamy hipokryzję w tak nietykalnym przez dekady Kościele, to może kiedyś dostrzeżemy ją w działalności świątobliwego prezydenta i świątobliwych parlamentarzystów prawicy?

Może ludzie dostrzegą, że to jest zwyczajnie nieznośne! ●

Poseł Michał Wójcik śpiewający w formie karaoke piosenkę Krzysztofa Krawczyka „Jak minął dzień" znalazł się poza listą



Michał Rusinek

Kiedy w 59 roku naszej ery cesarz Neron zainaugurował w Rzymie tradycję juwenaliów, czyli igrzysk z okazji pierwszego ogolenia brody i złożenia jej w ofierze Jowiszowi, nie spodziewał się zapewne, że już niecałe dwa tysiące lat później na barbarzyńskich ziemiach za wschodnią granicą Cesarstwa zainaugurowane zostaną trybunalia.

Z założenia miały być one formą obrony – lub nawet walki w obronie – Trybunału Konstytucyjnego oraz próbą udaremnienia zamachu stanu przez rządzący nami twardą ręką reżim. Duch patetycznego patriotyzmu przegrał jednak prędko z duchem zabawy i trybunalia przybrały formę ludycznego i ludowego festynu, z elementami kabaretu, karaoke, a nawet jarmarku, na którym kupić można pamiątkowe chińskie zegarki z japońskim mechanizmem opatrzone łacińską sentencją (co spodobałoby się Neronowi) oraz patriotycznym cytatem z listu króla Jana III Sobieskiego do królowej Marysieńki. I wesprzeć w ten sposób TV Republikę.

Wystarczyło wspomnieć o policjantach i lekarzach. Moja nadzieja na polsko-polską miłość po tragedii w Krakowie zgasła nie po tygodniu, ale po kilku minutach



Marcin Matczak

Trzy refleksje przychodzą mi do głowy po tragedii w Krakowie. Spróbuję je wyrazić bez polaryzujących oskarżeń i delikatnie: trzeba wielkiej ostrożności, żeby komentować tak świeże wydarzenie, nie dotykając jednocześnie boleśnie najgłębszych ludzkich emocji. Ale te emocje są ważne, także dlatego, że kiedy mocniej czujemy, pewne rzeczy docierają do nas bardziej.

Pierwsza refleksja jest nad tym, co musi się dziać w głowie młodego chłopaka, który planuje i dokonuje takiego zamachu. Nie mam zamiaru nikogo usprawiedliwiać tanią psychologią ani wyjaśniać konkretnych

eprasa.pl e47b8e13bb

Lista przebojów

Istotny jest wymiar wokalny trybunaliów. Na stronie internetowej wspomnianej TV Republiki powstała nawet Lista Przebojów Obrońców TK. „Już ponad 50 dni trwa protest w obronie Trybunału Konstytucyjnego i jego legalnych sędziów. W Miasteczku Wolności i Solidarności nie brakuje Polaków z całego kraju, wśród których najliczniejszą grupę stanowią członkowie Klubów »Gazety Polskiej«. Wytrwałość protestujących wspiera nie tylko solidarność, ale również muzyka. Właśnie powstała Lista Przebojów Obrońców Trybunału Konstytucyjnego". Nie jest to lista długa, bo liczy trzy pozycje oryginalne i jeden cover (coverów było jeszcze kilka, ale nie weszły na listę). Sytuacja jest jednak rozwojowa, a duch zabawy nie gaśnie, możemy się więc spodziewać stosownego jej rozrostu.

„Utwór oryginalny" jest w przypadku znajdujących się na niej utworów pojęciem względnym, bo są one w większości stworzone – zarówno w warstwie tekstowej, jak i muzycznej – przez sztuczną inteligencję. Cóż, takie czasy.

Wzorem Marka Niedźwieckiego zacznijmy od ostatniego miejsca na liście, czyli utworu „Idźmy ramię w ramię" (13 tys. wyświetleń). „Ekipo Tuska! Słyszysz nas? Na rozliczenie przyszedł czaaaaaas" – rozpoczyna go chrapliwy głos AI i to jest w zasadzie jedyny niegramatyczny rym w całym utworze. Później słyszymy: „Konstytucją mordy sobie wycieracie,/ a Polaków za nic macie", albo: „Za trybunał siłą wzięty/ staje naród nieugięty./ Za podstępy i kłamstwa i prawa łamanie/ przyjdzie kara, kiedy Polak z kolan wstanie".

Swoją drogą, wstawanie z kolan, motyw, a nawet leitmotiv „dobrej zmiany", zakorzenił się w prawicowej wyobraźni na dobre. Refren brzmi: „Ponad podziałami, ramię w ramię,/ w jedności siła, nikt nas nie złamie./ Niech cała Polska usłyszy nas:/ precz z dyktaturą! Nadszedł czas". Nie dowiadujemy się, czego lub na co nadszedł, ale ważne, że nadszedł. Należy zwrócić uwagę na piękne w swym ekumenizmie hasło „ponad podziałami", z treści utworu wynika jednak, że twórcy promptu do utworu nawołują nie tyle do jedności narodowej, ile do jedności partii i frakcji opozycyjnych, które łączy nienawiść do Koalicji Obywatelskiej.

„Za trybunał siłą wzięty staje naród nieugięty. Za podstępy i kłamstwa, i prawa łamanie przyjdzie kara, kiedy Polak z kolan wstanie"

Na trzecim miejscu listy przebojów plasuje się pieśń „Taki kraj" (10 tys. wyświetleń) w wykonaniu Oli Gołdy, piosenkarki, która porusza się – jak o sobie pisze – „w szeroko pojętej muzyce rozrywkowej" i jest dziennikarką TV Republika. „Prywatnie Aleksandra Gołda wyznaje tradycyjne wartości, stawiając na wierność i uczciwość w relacjach" – donosi Wirtualna Polska i cytuje artystkę: „Jestem trochę staroświecka i lubię być adorowana".

W rzeczywistości jest to piosenka pod tytułem „Tango na głos, orkiestrę i jeszcze jeden głos" autorstwa Grzegorza Tomczaka wykonana bez jego zgody („To pewien ewenement, że piosenkę autorstwa gorszego sortu wykonuje pierwszy sort" – napisał on na Facebooku).

Wynika z niej, że mamy szczęście, że w tym momencie przyszło nam żyć w kraju nad Wisłą: „Twój kraj szczęśliwy,/ piękny, prawdziwy,/ ludzie uczynni,/ w sercach niewinni;/ twój kraj szczęśliwy". Nie wiemy tylko, czy takie cechy jak uczynność i niewinność mieszczą się w wartościach wyznawanych przez artystkę i czy chciałaby być ona przez uczynnych i niewinnych mężczyzn adorowana.

Drugie miejsce zajmuje hymn Miasteczka Wolności i Solidarności, czyli „Polska idzie ze mną" (393 tys. wyświetleń). TV Republika reklamuje go jako „wzruszającą piosenkę, która niesie Patriotów (sic!) w oporze przeciw zamachowi stanu Tuska".

Nie wiemy, jak się kogoś niesie w oporze, więc posłuchajmy. Bohaterem utworu jest dziadek, który „patrzy i nie wierzy: »Synku, ja to znam./ Grudzień, mróz, milicja, ZOMO obok naszych bram./ Wtedy czołgi szły na »Wujek«, dziś niby tylko policja./ Ten sam zapach, tylko nowa, wygładzona dykcja". Czyli martyrologia, meteorologia i nieokreślona woń oraz obraz wielu policjantów w jednym miejscu uruchamiają wspomnienia, które pozwalają wnuczkowi (zwanemu z jakiegoś powodu synkiem) uruchomić prostą paralelę między PRL-em a współczesną demokracją.

„Mówią »Europa«, a mnie pachnie tamtym grudniem. Nigdy im nie uwierzę" – dodaje dziadek, który wierzy wyłącznie swojemu powonieniu. Potem następuje refren: „Nie oddamy, nie oddamy, to jest nasza ziemia./ Bóg nad nami, my pod niebem, serce się nie zmienia". Nie wiemy, czego nie oddadzą, ale wiemy, że „Polska nie jest na sprzedaż, Polska idzie ze mną". W drugiej zwrotce autor pyta: „Warszawa czy Berlin? Powiedz, kto to rządzi?" i poucza: „Ten Trybunał to nie łup na brukselskim stole", a więc posługuje się typowymi dla prawicy synekdochami zła.

Wreszcie czas – tu stosowny dżingiel – na miejsce pierwsze. A tam wygenerowany przez AI, drapieżny utwór „Byle nie Tusk!" (224 tys. wyświetleń). Pieśń ma część epicką opisującą wydarzenia pamiętnej nocy: „Nawrocki przerwał podróż, wrócił prosto do stolicy,/ stanął przy Trybunale pośród ludzi na ulicy./ Nie przeczekał tej nocy, nie ograniczył się do przemowy,/ wrócił bronić Konstytucji, pokazał, że jest gotowy".

Ważne miejsce zajmują w niej także eksklamacje: „Dość pogardy, zastraszania!/ Czas wspólnego działania!/ PiS, Konfederacja, Korona – razem, jednym głosem! Dość rządzenia strachem i chaosem!". Tutaj dokładnie widzimy, że chodzi o zasypywanie podziałów w postaci konsolidacji prawicy, także tej skrajnej: „Naród razem z nami, odłóżmy stare zwady [...]./ Nie trzeba jednej partii, żeby razem bronić państwa,/ trzeba skończyć bratnie wojny, nie powielać jego kłamstwa./ Donald, nie rozbijesz ludzi, którzy stają ramię w ramię./ Cała prawica razem. Tego już nie złamiesz".

Okazało się jednak, że Tusk niczego łamać nie musiał, bo wyręczył go poseł Michał Wójcik, za pomocą utworu, który znalazł się poza listą przebojów. Zaśpiewał on bowiem w formie karaoke piosenkę Krzysztofa Krawczyka „Jak minął dzień". Wynika z niej, że „i ptaki śpią, i samochody", a ludziom „gdzieś by się szło, coś by się chciało" i nosi ich po mieście. Na miejscu przejętych walką w słusznej sprawie obrońców Trybunału i autorów pieśni z właściwej listy przebojów poczulibyśmy się cokolwiek urażeni. I lepiej sobie nie wyobrażać, co by zrobił Neron, gdyby usłyszał śpiew posła Wójcika, a tym bardziej co by powiedział Krawczyk. ●

Darujmy sobie te małe nienawiści

motywów. Chcę szerzej taki proces zrozumieć, by – być może – móc mu zapobiegać w przyszłości.

Skąd bierze się ta wielka nienawiść do życia, która przebija często z listów sprawców masakr szkolnych w USA, a która i u nas tak brutalnie się ujawniła? Ci ludzie komunikują, że świat jest tak strasznym miejscem, że pozostaje go tylko zniszczyć, siebie razem z nim, często w ramach rozszerzonego samobójstwa.

W naszym życiu dopuszczamy się często małych nienawiści: złego słowa, hejtu, pogardy czy poniżenia drugiego. A te małe nienawiści łączą się ze sobą w jakąś taką kulę śnieżną, która zbiera inne małe zła i małe nienawiści i toczy się, coraz większa. A na końcu jest już nie do zatrzymania w czyjejś głowie i w ten świat okrutnie uderza.

To młode pokolenie żyje pod straszną presją oceny, potrzeby akceptacji, poczucia niesprawczości. I niestety, coraz częściej uznaje, że jedyna sensowną odpowiedzią jest przemoc – wobec innych albo wobec siebie. Nic nie zmieni tego, co się stało w Krakowie, ale być może da nam to do myślenia, żeby naszymi małymi nienawiściami nie czynić tego świata gorszym, niż w rzeczywistości jest.

Druga refleksja: czy fascynacja bronią, coraz powszechniejsza, nie jest jakimś sposobem wyrażania fascynacji przemocą? W Polsce od 2020 do 2024 roku liczba rocznie wydawanych pozwoleń na broń wzrosła od 15 do 45 tysięcy.

Pozwolenie na broń jest swego rodzaju gwarancją, że jego posiadacz nie zagrozi społeczeństwu. Jednocześnie Najwyższa Izba Kontroli wykazuje liczne luki w systemie wydawania pozwoleń i kontrolowania użycia tej broni. Nierzetelnie weryfikuje się spełnienie warunków wydania pozwolenia. W przypadkach wielu rodzajów broni badania użytkowników robi się tylko na początku, a nie co jakiś czas. Nie kładzie się wystarczającego nacisku na wykazanie, dlaczego broń jest wnioskodawcy potrzebna i nie monitoruje się poprawnie się, co się dzieje z bronią należącą do osób zmarłych.

W amerykańskich stanach z większym rozpowszechnieniem broni i mniej restrykcyjnym prawem częściej dochodziło do umyślnych strzelanin szkolnych. Jak podaje Secret Service, 19 z 25 sprawców badanych ataków szkolnych z użyciem broni palnej zdobyło ją w domu rodzica lub innego bliskiego krewnego. W Finlandii młodzi ludzie dokonujący zabójstw z reguły korzystają z broni skradzionej dorosłym, na przykład dziadkowi.

Czy naprawdę zysk „obronny" z powszechnego posiadania broni przeważa nad ryzykiem jej niewłaściwego wykorzystania? Czy ten „zysk" nie wiąże się z niewyobrażalnym kosztem, który ponoszą inni ludzie, jak ci, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na trasie krakowskiego zamachowca?

A nawet jeśli te argumenty nas nie przekonują, to pozostaje pytanie: czy naprawdę normalną rzeczą jest przechowywanie w cywilnym domu arsenału kilkunastu sztuk broni? Jeśli chce się zwiększać zdolność obywateli do obrony kraju i samoobrony, można to zrobić przez ćwiczenia strzeleckie na strzelnicy, przy wykorzystaniu broni wypożyczanej i zwracanej, a nie trzymanie jej w domu.

Badania prowadzone w USA sugerują ważną rzecz: broń może fascynować obietnicą, że człowiek, który czuje się zagrożony albo upokorzony, odzyska kontrolę i inni będą musieli się z nim liczyć. Jeżeli już wcześniej uważał, że na zniewagę odpowiada się siłą, dostęp do broni ułatwia mu odwet.

Przebadawszy 861 amerykańskich mężczyzn, Kristen Matson, Tiffany Russell i Alan King stwierdzili, że silny entuzjazm wobec broni wiązał się z przekonaniem o konieczności obrony męskiego honoru oraz z lekceważeniem emocji. Autorzy opisali u tych entuzjastów broni większą gotowość do agresywnej odpowiedzi zniewagi.

W innym badaniu młodych ludzi w Teksasie stwierdzono, że ci, którzy deklarowali wyższą wrogość i mieli dostęp do broni, częściej przyznawali się, że grozili komuś bronią.

Coś jest więc na rzeczy z tym kultem broni i kulturą strzelania, co nie pozwala spokojnie powiedzieć: zwiększajmy dostęp. Przeciwnicy tego myślenia powtarzają jak mantrę „to nie broń zabija, tylko człowiek". Ale broń czyni go bardziej zabójczym, jeśli zdecyduje się na przemoc.

I refleksja trzecia, bardziej pozytywna. Jeśli potrzebujemy jakichś symboli, które mogą nas zjednoczyć, to takim symbolem jest historia dwóch bohaterskich policjantów, którzy uratowali życie tak wielu osobom, w tym prawdopodobnie dwóm chirurgom, i ich rodzinom, i historia tych dwóch bohaterskich chirurgów, którzy uratowali następnie życie tym policjantom. Niech to będzie znak, że wszyscy potrzebujemy siebie nawzajem.

Nie mam oczywiście nadziei, że ten znak wszystko zmieni. Już w komentarzu pod podobnym wpisem, który umieściłem w sieci, ktoś napisał: „jeszcze z tydzień, dwa i znów policja będzie wyzywana, spokojnie". Na moją odpowiedź „niestety lekarze także...", ktoś inny napisał: „a co niesłusznie?", i tak skończyła się nadzieja na polsko-polską miłość. Nie po tygodniu, ale po kilku minutach.

Może jednak z tych trzech refleksji wyprowadzimy jedną: żeby darować sobie te małe nienawiści, bo mogą stać się większe, żeby zamiast kultu strzelania promować kult rozmowy i żeby nie zapominać, że to, co czyni nas naprawdę silnymi jako społeczeństwo, to nie zdolność do agresji, ale zdolność do współpracy.

I zamiast popadać w już pojawiające się polityczne oskarżenia, z dumą przeczytać jeden z zagranicznych komentarzy: „A więc Polska wykorzystała ostatnie 30 lat, aby stać się lepszym krajem. Lepsza policja, lepsi chirurdzy, lepsze społeczeństwo. Tego tragicznego dnia w Krakowie wszystko to zadziałało razem". ●

eprasa.pl e47b8e13bb

KRAJ



Więcej uważności, **nie podejrzliwości**

Proszę rodziców o prostą rzecz: **wymieńcie ulubione sociale swojego dziecko. Ulubioną grę. Imiona czterech jego kolegów**

Z **DR HAB. PAULINĄ POLKO,** POLITOLOŻKĄ, EKSPERTKĄ W DZIEDZINIE BEZPIECZEŃSTWA ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Po tragedii w Krakowie słychać, że Polska straciła niewinność. Masowe strzelaniny były w Ameryce, czasem w innych krajach europejskich, ale nie u nas. Rzeczywiście coś się teraz skończyło?
– To jest nasze pierwsze doświadczenie tego rodzaju na tak dużą skalę i – oczywiście – ono musi robić ogromne wrażenie. Natomiast z punktu widzenia specjalistów zajmujących się bezpieczeństwem, zagrożenie masową strzelaniną nie pojawiło się w ten konkretny listopadowy dzień.

Ono było identyfikowane od dawna, uwzględniano je w analizach i matrycach zagrożeń – zestawieniach pokazujących nie tylko, co może się wydarzyć, ale również jakie jest prawdopodobieństwo wystąpienia i skala skutków.

Wiedzieliśmy, że coś takiego może się wydarzyć. To, że tak długo udawało nam się unikać podobnych tragedii, było w pewnym stopniu kwestią szczęścia, ale również specyfiki Polski. Jesteśmy krajem, który wciąż jeszcze, chociaż mówię to z pewnym zawahaniem, jest stosunkowo spokojny. Nie mamy silnych, mocno zradykalizowanych środowisk, które byłyby skłonne do przeprowadzania takich ataków.

Natomiast dotykają nas te same procesy społeczne i polityczne, które obserwujemy w innych państwach europejskich. Dlatego nie powiedziałabym, że wydarzyło się coś, czego absolutnie nie mogliśmy przewidzieć.

Czyli nie tyle straciliśmy niewinność, ile skończyło nam się szczęście?
– Można tak powiedzieć. Ale nie chciałabym, żebyśmy teraz uznali, że oto nastąpiła jakaś fundamentalna zmiana i od tej pory Polska będzie krajem masowych strzelanin. Nie mamy podstaw do takich prognoz.

To jest ogromna tragedia, z której trzeba wyciągnąć daleko idące wnioski, ale nie oznacza ona automatycznie, że pojawi się fala naśladowców. Nie stawiałabym takiej tezy.

Musimy natomiast zrozumieć, że współczesne zagrożenia mają coraz bardziej złożony charakter. Kiedyś mówiliśmy o tak zwanych „samotnych wilkach", dzisiaj coraz częściej pojawia się pojęcie nihilistycznego ekstremizmu.

Mówimy o ludziach, których przemoc niekoniecznie jest skierowana przeciwko konkretnej grupie religijnej, etnicznej czy politycznej. Może być skierowana przeciwko społeczeństwu jako takiemu. A źródła takiej postawy bywają bardzo różne. Niezadowolenie z własnego życia, poczucie odrzucenia, nieumiejętność odnalezienia się w społeczeństwie, frustracja, do tego świat cyfrowy, który potrafi te emocje dodatkowo podkręcać.

Zatrzymajmy się przy tym nihilistycznym ekstremizmie. Trudniej ich rozpoznać?
– Oczywiście, przede wszystkim dlatego, że nie możemy już posługiwać się wyłącznie tymi kategoriami, do których przywykliśmy. Nie wystarczy szukać człowieka związanego z określoną organizacją czy środowiskiem

eprasa.pl e47b8e13bb



• Ślady po kulach po ataku 7 listopada, Krakowianie stawiają tu znicze. Rynek Główny w Krakowie, 10 listopada 2026 r.

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

politycznym. Współczesna radykalizacja może przebiegać zupełnie inaczej.

Człowiek przeżywa jakieś trudności, nie radzi sobie z własną sytuacją życiową, ma poczucie krzywdy, a następnie znajduje w internecie ludzi, którzy myślą podobnie. Wzajemnie utwierdzają się w przekonaniu, że świat jest przeciwko nim. To nie musi być klasyczna ideologia polityczna. To może być właśnie taka nienawiść skierowana przeciwko społeczeństwu.

Dlatego ustalenie motywacji sprawcy z Krakowa prawdopodobnie będzie bardzo trudne. Trzeba będzie odtworzyć jego aktywność internetową, przeanalizować kontakty, media społecznościowe, komunikatory, wszystkie ślady cyfrowe. Z tego, co słyszymy, miał pięć telefonów. Nie wiem, jaka osoba potrzebuje pięciu telefonów. Nawet prezesi największych firm mają zwykle jeden czy dwa. Oczywiście samo posiadanie kilku telefonów niczego nie dowodzi, ale w tym przypadku jest to kolejna okoliczność, którą trzeba wyjaśnić.

Norwegowie po zamachu Breivika powołali niezależną komisję, która miała sprawdzić, co zawiodło w państwie. Niemcy po masakrze w Hanau badali między innymi wydanie pozwolenia na broń i reakcję policji. Serbia po dwóch strzelaninach w 2023 roku rozpoczęła kontrole posiadaczy broni i akcję jej oddawania. Nowa Zelandia po Christchurch zmieniła prawo. A od czego powinna zacząć Polska? Jakie pytania powinniśmy teraz zadać, zamiast wyłącznie zastanawiać się nad psychiką sprawcy?

– Dla mnie pierwsze pytanie jest bardzo proste. Jakim cudem jedenaście sztuk broni znajdowało się w jednym mieszkaniu i nie wzbudziło to większego zainteresowania?

Z informacji przekazanych przez prokuraturę wynika, że broń była posiadana legalnie, na podstawie odpowiednich pozwoleń. Wiemy również, że uprawnienia samego sprawcy były stosunkowo świeże, uzyskane w tym roku. Pojawia się informacja, że jego ojciec także posiadał pozwolenie na broń.

Chciałabym wiedzieć, jak to wszystko było kontrolowane. Czy ktoś sprawdzał, w jaki sposób broń jest przechowywana? Czy weryfikowano, do czego jest wykorzystywana? Czy ktoś zainteresował się tym, że w mieszkaniu w bloku znajduje się taki arsenał? Bo jedenaście sztuk broni to naprawdę nie jest standardowa sytuacja.

Znam wielu byłych żołnierzy, którzy po zakończeniu służby nadal strzelają sportowo, chodzą na strzelnicę, utrzymują swoje umiejętności. Ale nie znam wielu takich, którzy mają jedenaście sztuk broni. Nie twierdzę, że sama liczba egzemplarzy oznacza, że ktoś jest niebezpieczny. Natomiast powinna być powodem do szczególnego zainteresowania systemu kontroli.

Kolekcjonerzy broni czy strzelcy sportowi powiedzą, że mają do tego prawo. Że przeszli wszystkie wymagane badania, uzyskali pozwolenia. Czy państwo powinno traktować człowieka jako potencjalnie niebezpiecznego tylko dlatego, że ma dużo legalnej broni?

– Nie chodzi o traktowanie go jak przestępcy. Chodzi o kontrolę. Jeżeli ktoś ma wiele egzemplarzy broni, można sprawdzić, czy są prawidłowo przechowywane, jak często korzysta ze strzelnicy, czy rzeczywiście uprawia sport strzelecki, czy podnosi swoje kompetencje. Z doniesień dotyczących sprawcy z Krakowa wynika, że w swoim klubie strzeleckim pojawiał się raczej sporadycznie. Nie był więc, przynajmniej według tych informacji, zapalonym sportowcem z wieloma osiągnięciami. A jednocześnie miał dostęp do wielu egzemplarzy broni. To powinno skłaniać do zadania pytania o motywację.

Jest jeszcze kwestia przechowywania broni. Przecież w tym bloku mieszkali inni ludzie. Niewłaściwe przechowywanie broni czy amunicji może stwarzać zagrożenie również dla nich. Dlatego uważam, że system kontroli broni sportowej, ale także myśliwskiej, powinien być dostosowany do współczesnych zagrożeń. Być może potrzebujemy częstszych kontroli, również wyrywkowych. Być może pewne informacje powinny powodować dodatkową weryfikację. Nie twierdzę, że pozwoliłoby to na pewno zapobiec tej tragedii. Ale być może udałoby się wcześniej zauważyć jakieś niepokojące sygnały.

Pierwsze pytanie jest bardzo proste. Jakim cudem jedenaście sztuk broni znajdowało się w jednym mieszkaniu i nie wzbudziło to większego zainteresowania?

W Nowej Zelandii po Christchurch zmiany dotyczące broni przeprowadzono właściwie natychmiast. W Polsce teraz pojawiają się głosy, że trzeba zaostrzyć przepisy. Z drugiej strony środowiska strzeleckie argumentują, że legalni posiadacze broni nie powinni ponosić konsekwencji zbrodni jednego człowieka.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

– Nie jestem zwolenniczką powszechnego uzbrajania społeczeństwa. Nie uważam, że zwiększenie dostępu do broni poprawi nasze bezpieczeństwo. Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której dochodzi do strzelaniny w miejscu publicznym i kilka osób wyciąga własną broń, bo chce bronić siebie albo innych. Przyjeżdża policja. Funkcjonariusze widzą uzbrojonych ludzi. Skąd mają wiedzieć, który z nich jest sprawcą, a który próbuje pomagać? Dla policjantów może być kolejnym zagrożeniem.

Natomiast jeśli chodzi o przepisy, najpierw trzeba bardzo dokładnie sprawdzić, jak działa obecny system. Czy kontrole są skuteczne, czy informacje są właściwie weryfikowane, czy nie ma luk, które pozwalają na gromadzenie dużej liczby egzemplarzy broni bez odpowiedniego nadzoru. Dopiero na tej podstawie można podejmować decyzje.

Po zamachu Breivika Norwegowie ustalili, że część ofiar można było uratować, gdyby policja zareagowała szybciej. W Krakowie mieliśmy odwrotną sytuację. Policjanci zareagowali błyskawicznie, dwóch zostało ciężko rannych.

– Z dostępnych informacji wynika, że policja zachowała się ponadstandardowo dobrze – trzeba to wyraźnie powiedzieć. Ale jest tu pewna okoliczność, nad którą powinniśmy się zastanowić. Jeden z policjantów miał doświadczenie wojskowe, służył w 6. Brygadzie Powietrznodesantowej. A więc w jednostce, w której przygotowanie do działania w sytuacjach ekstremalnych jest zupełnie inne niż standardowe szkolenie policyjne.

Pytanie brzmi, jak wyglądałaby ta interwencja, gdyby na miejscu znalazł się funkcjonariusz bez takiego doświadczenia. Jeżeli czytam w raporcie Najwyższej Izby Kontroli, że przeciętny polski policjant strzela do tarczy raz w roku, to mam poważne wątpliwości, czy takie przygotowanie odpowiada współczesnym zagrożeniom.

Strzelanie statyczne do tarczy to jedno, a dynamiczna sytuacja, w której sprawca przemieszcza się, strzela do ludzi, panuje chaos i trzeba podejmować decyzje w ułamkach sekund, to zupełnie co innego. Tu potrzebne są inne kompetencje i inne szkolenia. Nie możemy zakładać, że zawsze będziemy mieli szczęście i akurat na miejscu znajdzie się człowiek z wyjątkowym doświadczeniem.

Ale czy można przygotować każdego policjanta na sytuację, która być może nigdy mu się nie przydarzy?

– Nie każdy policjant ma być komandosem. Chodzi o odpowiedni poziom wyszkolenia. Jeżeli wiemy, że zagrożenie istnieje, to musimy przygotowywać funkcjonariuszy do reagowania. Nie wystarczy raz na jakiś czas odświeżyć umiejętności strzeleckie. Trzeba ćwiczyć działanie w sytuacji dynamicznej, podejmowanie decyzji pod presją, współpracę między funkcjonariuszami. Kraków pokazał, jak ogromne znaczenie mają kompetencje konkretnych ludzi. Ale bezpieczeństwo państwa nie może zależeć wyłącznie od indywidualnych umiejętności jednego policjanta. To powinno być przygotowanie systemowe.

Myślę, że przede wszystkim trzeba docenić te dobre reakcje, bo było ich naprawdę dużo. Ludzie uciekali, ukrywali się, pomagali innym znaleźć schronienie. Mamy lekarzy, pielęgniarki, które były na zakupach i włączyły się w pomoc. Mamy cywilów pomagających innym ludziom.

Ale oczywiście byli też tacy, którzy postanowili zaistnieć w internecie, nagrywając filmiki. To jest niepokojące, bo w takiej sytuacji człowiek powinien przede wszystkim zadbać o własne bezpieczeństwo. Do tego dochodzi jeszcze cała produkcja fałszywych informacji.

Kilkoro moich znajomych, po wydarzeniach w Krakowie, zapisało się na kurs pierwszej pomocy. Nagle zrozumieliśmy, że każdy z nas mógł być na tym rynku i to nie jest jakaś abstrakcyjna sytuacja z telewizji. Czy takie szkolenia rzeczywiście mają sens?

– Zdecydowanie tak. Mamy tutaj dużą lukę, zwłaszcza wśród dorosłych. Edukacja dla bezpieczeństwa w szkołach, przynajmniej jeśli chodzi o podstawowe zasady

***Dr hab. Paulina Polko**

• Politolożka, ekspertka w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego i międzynarodowego, kierowniczka Katedry Nauk o Bezpieczeństwie Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. Zajmuje się współczesnymi zagrożeniami, terroryzmem i polityką bezpieczeństwa. Wspólnie z mężem, gen. Romanem Polką, byłym dowódcą GROM, napisała książki: „RozGROMić konkurencję" (2012), „Szefologika, czyli logika szefowania" (2014), „Bezpiecznie już było" (2018) oraz „RozGROMić kryzys" (2023).

eprasa.pl e47b8e13bb

pierwszej pomocy, jest całkiem nieźle prowadzona. Wiem to od moich dzieci.

Natomiast mamy całe pokolenia trzydziesto-czterdziestolatków, którzy takich szkoleń nie przechodzili albo przechodzili je bardzo dawno temu. Naprawdę nie trzeba wymyślać niczego skomplikowanego.

Skoro firmy organizują wyjazdy integracyjne, to może zamiast kolejnego popołudnia spędzonego przy napojach wysokoprocentowych warto poświęcić kilka godzin na szkolenie z pierwszej pomocy? Nauczyć ludzi korzystania z defibrylatora, zakładania opatrunków, reagowania na masywny krwotok.

Bo z tego, co słyszę, ludziom często nie brakuje chęci do pomocy. Oni się po prostu boją, że zrobią coś niewłaściwego, że zaszkodzą poszkodowanemu. A po to jest trening, żeby ten lęk zmniejszyć. Człowiek musi wziąć do ręki urządzenie, zobaczyć, jak działa, przećwiczyć określone czynności. Bo kiedy znajdzie się w sytuacji realnego zagrożenia, będzie zestresowany. Takie szkolenia powinny być też regularnie powtarzane, bo umiejętności się zapomina, a procedury i sprzęt się zmieniają.

A co ze szkołami? W Stanach Zjednoczonych dzieci ćwiczą zachowanie na wypadek pojawienia się aktywnego strzelca. W Polsce mamy przede wszystkim alarmy przeciwpożarowe.

– Proszę zobaczyć, jak wygląda standardowy alarm ewakuacyjny w polskiej szkole. Jest sygnał, dzieci zostawiają rzeczy, ustawiają się w szeregu, nauczyciel sprawdza obecność i wszyscy opuszczają budynek. To jest właściwe postępowanie w przypadku pożaru.

Ale jeżeli w budynku znajduje się aktywny strzelec, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Wtedy wyjście na korytarz może oznaczać znalezienie się bezpośrednio na linii zagrożenia. Jeżeli droga ucieczki jest bezpieczna, należy uciekać. Jeżeli nie, trzeba znaleźć schronienie, zamknąć lub zabezpieczyć drzwi, odsunąć się od miejsc, w których można zostać zauważonym.

W Stanach Zjednoczonych stosuje się różne sygnały alarmowe w zależności od rodzaju zagrożenia. Dzieci wiedzą, że jeden sygnał oznacza ewakuację, a drugi konieczność pozostania w pomieszczeniu i ukrycia się. Nie trzeba siedmiolatkowi szczegółowo tłumaczyć, że do szkoły może wejść człowiek z bronią. On ma wiedzieć, co zrobić, kiedy usłyszy określony sygnał. Oczywiście wszystko musi być dostosowane do wieku dzieci. Inaczej pracujemy z siedmiolatkiem, inaczej z nastolatkiem.

Tylko czy nie zaczniemy w ten sposób wychowywać dzieci w ciągłym lęku? Przecież szkoła powinna być miejscem, w którym czują się bezpiecznie, a nie przygotowują do zamachu.

– Ale przecież uczymy dzieci, jak zachować się podczas pożaru i to nie znaczy, że przez cały dzień boją się, że szkoła się zapali. Chodzi o wypracowanie określonych zachowań. Nie o straszenie. Jeżeli dziecko wie, co ma zrobić, to w sytuacji zagrożenia jest mniej bezradne. Natomiast te ćwiczenia muszą być prowadzone rozsądnie, bez niepotrzebnego dramatyzowania. Przede wszystkim muszą być rzeczywiste, a nie tylko formalne. Bo my mamy w Polsce taki problem, że procedury często istnieją, ale ich praktyczne zastosowanie pozostawia wiele do życzenia.

W śląskich szkołach przeprowadzano ćwiczenia związane z koniecznością schronienia się w budynku. Niektóre z nich mieszczą się w solidnych domach, z piwnicami, które w określonych sytuacjach można wykorzystać jako miejsca schronienia.

Dzieci schodzą więc do piwnic, przechodzą korytarzami, docierają do wyjścia, którym mają opuścić budynek. I okazuje się, że drzwi są zamknięte. Kto ma klucz? Pan woźny, który akurat wyszedł na papierosa.

Oczywiście pojawia się argument, że gdyby naprawdę coś się wydarzyło, to pan woźny nie paliłby papierosa. Tylko że to jest absurd.

W sytuacji realnego zagrożenia nie możemy uzależniać bezpieczeństwa kilkuset dzieci od tego, czy jedna konkretna osoba będzie akurat dostępna z kluczem. Przecież istnieją rozwiązania techniczne umożliwiające otwarcie drzwi od wewnątrz przy jednoczesnym zabezpieczeniu ich przed wejściem osób z zewnątrz. Nie trzeba tu żadnej rewolucji technologicznej. Trzeba po prostu potraktować ćwiczenia poważnie i przeprowadzić je do końca.

Bo co z tego, że dzieci zejdą do piwnicy, jeśli potem nie mogą się z niej wydostać? Albo co z tego, że przećwiczymy opuszczenie budynku, jeżeli nikt nie wie, co należy zrobić później? Czy dzieci mają biec dalej? Czy powinny zgromadzić się w określonym miejscu? Kto sprawdza, czy wszyscy są bezpieczni? Jak wygląda kontakt z rodzicami? To wszystko powinno być elementem ćwiczeń. Nie możemy traktować bezpieczeństwa jako zestawu formalności, które trzeba raz w roku odhaczyć.

Zresztą szkoły muszą się dziś przygotowywać nie tylko na napastnika z bronią, ale również na inne zagrożenia, choćby związane z wojną w Ukrainie.

Potrzebujemy narzędzi pozwalających identyfikować rzeczywiste zagrożenia, a nie po prostu wyłapywać ludzi wypowiadających kontrowersyjne opinie

– Oczywiście. I nie musimy wszystkiego wymyślać od nowa. Inne państwa mają doświadczenia, istnieją gotowe rozwiązania, procedury, programy szkoleniowe. Trzeba je po prostu dostosować do naszych warunków i zacząć rzeczywiście stosować.

Wróćmy do radykalizacji. Po Krakowie pojawiły się propozycje stworzenia systemu wcześniejszego wykrywania młodych ludzi, którzy mogą stanowić zagrożenie. W Wielkiej Brytanii od lat funkcjonuje program Prevent, który ma identyfikować osoby podatne na radykalizację. Ale budzi też kontrowersje, bo pojawia się pytanie o granice kontroli państwa. Czy Polska potrzebuje podobnego rozwiązania?

– Powtórzę – przede wszystkim musimy przestać patrzeć na radykalizację młodych ludzi wyłącznie przez pryzmat tradycyjnych ideologii politycznych czy religijnych. Bo dzisiaj ona może przebiegać zupełnie inaczej. Młody człowiek może doświadczać odrzucenia, przemocy rówieśniczej, cyberbullyingu, stalkingu. Nie oznacza oczywiście, że każdy człowiek doświadczający odrzucenia czy problemów psychicznych staje się potencjalnym sprawcą przemocy. Absolutnie nie.

Czasem zaczyna się od osobistej frustracji, która dopiero później znajduje jakieś ideologiczne uzasadnienie. Ważne jest zrozumienie mechanizmów funkcjonowania współczesnego świata cyfrowego. Proszę zobaczyć, jak łatwo dzisiaj znaleźć ludzi, którzy wzajemnie utwierdzają się w najbardziej destrukcyjnych przekonaniach. Na Discordzie, czyli platformie wykorzystywanej również przez dzieci i młodzież, pojawiają się treści nawołujące do przynoszenia noży do szkół.

A jednocześnie Discord bywa wykorzystywany podczas zajęć edukacyjnych, na przykład informatycznych. To pokazuje, jak bardzo te światy się przenikają. Nie wystarczy obserwować tradycyjnych środowisk ekstremistycznych. Trzeba rozumieć, co dzieje się w internecie, jakie treści tam krążą, w jaki sposób ludzie wzajemnie się nakręcają.

Ale gdzie postawić granicę? Przecież nastolatki od zawsze mówiły rzeczy radykalne, prowokowały, fantazjowały. Nie możemy uznać każdego młodego człowieka, który napisze w internecie, że nienawidzi świata, za potencjalnego terrorystę.

– Oczywiście, że nie. Dlatego potrzebujemy narzędzi pozwalających identyfikować rzeczywiste zagrożenia, a nie po prostu wyłapywać ludzi wypowiadających kontrowersyjne opinie. Można sobie wyobrazić systemy monitorowania określonych wzorców zachowań, sformułowań czy komunikatów mogących świadczyć o przygotowywaniu przemocy.

Ale to nie może działać automatycznie w taki sposób, że ktoś napisze coś głupiego i natychmiast staje się podejrzanym. Potrzebna jest weryfikacja, normalna praca operacyjna. Sprawdzenie, czy człowiek rzeczywiście stanowi zagrożenie, czy po prostu zażartował, sprowokował, odreagował emocje.

Pojawia się poważny problem swobód obywatelskich. Bo zawsze znajdą się ludzie, którzy powiedzą, że państwo chce w ten sposób kontrolować poglądy, ograniczać działalność określonych środowisk politycznych czy blokować wydarzenia publiczne. Dlatego takie narzędzia muszą mieć jasno określone granice i mechanizmy kontroli. Ale sam fakt, że coś jest trudne, nie oznacza, że mamy zrezygnować z poszukiwania rozwiązań.

Jakie rady dla rodziców, którzy nie mają pojęcia, czym jest Discord, jakie są gry, o których dzieci rozmawiają, co się dzieje na różnych platformach.

– Ale przecież można zapytać. Sama mam dzieci i zdarza się, że opowiadają mi o grach komputerowych, które kompletnie mnie nie interesują. Nie zagrałabym w nie z własnej inicjatywy. Ale kiedy chcą mi coś pokazać, to oglądam. Pytam, jak to działa, co się tam robi. Nie dlatego, że chcę je kontrolować. Tylko dlatego, że chcę rozumieć ich świat.

Jeżeli dziecko nas do tego świata dopuszcza, to powinniśmy się z tego cieszyć. Nie mówić, że nie mamy czasu, że nas to nudzi, że i tak niczego nie zrozumiemy. Bo potem okazuje się, że rodzic właściwie nie wie, czym jego dziecko się zajmuje, z kim rozmawia, jakie ma problemy.

Nie twierdzę, że każdy młody człowiek spędzający dużo czasu przed komputerem ma jakiś problem. Ale warto zapytać, dlaczego on czy ona cały czas siedzi w tym pokoju? Dlaczego nie chce z nami rozmawiać? Dlaczego nie ma kontaktów z innymi ludźmi poza internetem? Co właściwie robi przez tyle godzin?

Podczas spotkań z rodzicami proszę ich o bardzo prostą rzecz: wymieńcie nazwę medium społecznościowego, z którego najczęściej korzysta wasze dziecko. Powiedzcie, w co gra. Wymieńcie imiona czterech jego/jej kolegów.

Czy znacie ich rodziców? Macie do nich kontakt?

Zdarza się, że rodzice uświadamiają sobie, że nie potrafią odpowiedzieć na żadne z tych pytań. I dla mnie to byłby sygnał, że coś w relacji z dzieckiem wymaga zmiany. Nie chodzi o inwigilację. Chodzi o podstawową wiedzę o człowieku, z którym żyjemy.

Sprawca z Krakowa miał 24 lata. W tym wieku ludzie kończą studia, zaczynają pracować, wyprowadzają się z domu. Czy można jeszcze mówić o odpowiedzialności rodziców za to, co robi dorosłe dziecko?

– Odpowiedzialność rodziców za dorosłe dziecko jest oczywiście czymś innym niż odpowiedzialność za dwunastolatka. Natomiast jeśli mieszka z nami 24-letni człowiek, który posiada wiele egzemplarzy broni, a jednocześnie nie jest szczególnie aktywnym sportowcem strzeleckim, to ja bym się zainteresowała, co on z tą bronią robi.

Nie wiemy też dostatecznie dużo o tym, jak wyglądało jego codzienne życie. Jakie miał relacje społeczne, jak funkcjonował poza domem. To wszystko są informacje, które mogą mieć znaczenie dla zrozumienia jego historii. I nie możemy na podstawie fragmentarycznej wiedzy formułować oskarżeń wobec rodziny.

Sprawca był w wieku wielu moich studentów. To każe mi również zastanowić się nad odpowiedzialnością uczelni. Jeżeli mamy w środowisku akademickim osobę wycofaną, która nie potrafi odnaleźć się w grupie, przejawia niepokojące zachowania, to może warto poświęcić jej więcej uwagi.

Uczelnie mają dzisiaj różne formy wsparcia psychologicznego. Są dyżury specjalistów, możliwość konsultacji, w różnych językach. Pytanie, czy potrafimy dostrzec człowieka, który takiej pomocy może potrzebować. Czy potrafimy do niego dotrzeć i zaproponować wsparcie.

Oczywiście nie chodzi o to, żeby każdego wycofanego studenta traktować jako potencjalne zagrożenie. Ludzie mają różne osobowości, różne sposoby funkcjonowania. Ale powinniśmy być bardziej uważni.

Po takich wydarzeniach trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, jak żyć po czymś takim? Czy zamykać się, traktować wszystkich podejrzliwie, czy przeciwnie, próbować zachować otwarte społeczeństwo. Po Krakowie słyszę od ludzi, że już nigdy nie będą czuli się tak samo bezpiecznie na ulicy, w galerii handlowej, na rynku. Co by pani im powiedziała?

– Że nie ma czegoś takiego jak pełne bezpieczeństwo. To jest mit. Oczywiście wszyscy chcielibyśmy żyć w świecie, w którym dzieci nie przynoszą noży do szkół, ludzie nie strzelają do siebie na ulicach. Ale rzeczywistość tak nie wygląda.

Możemy podnosić poziom bezpieczeństwa. Możemy lepiej szkolić policję, wyposażać służby, kontrolować dostęp do broni, przygotowywać obywateli na różne zagrożenia. Doskonalić procedury i uczyć się na błędach. Natomiast nigdy nie wyeliminujemy całkowicie ryzyka. Dlatego nie chciałabym, żeby tragedia w Krakowie doprowadziła do społecznego paraliżu.

Czyli zamiast opłakiwać utraconą niewinność, powinniśmy zacząć działać?

– Tak. Ja bym do tego podeszła zadaniowo. Oczywiście potrzebujemy czasu na żałobę, na refleksję, na poradzenie sobie z emocjami.To jest ogromne społeczne przeżycie.

Ale chciałabym, żeby później przyszedł moment przekucia tego doświadczenia w konkretne działania. Żebyśmy sprawdzili, jak działa system kontroli broni. Jak szkoleni są policjanci? Czy nasze szkoły są rzeczywiście przygotowane na różne zagrożenia? Czy obywatele potrafią udzielać pierwszej pomocy. Czy umiemy rozpoznawać niepokojące procesy zachodzące w świecie cyfrowym?

Potrzebujemy większej uważności, nie podejrzliwości. ●

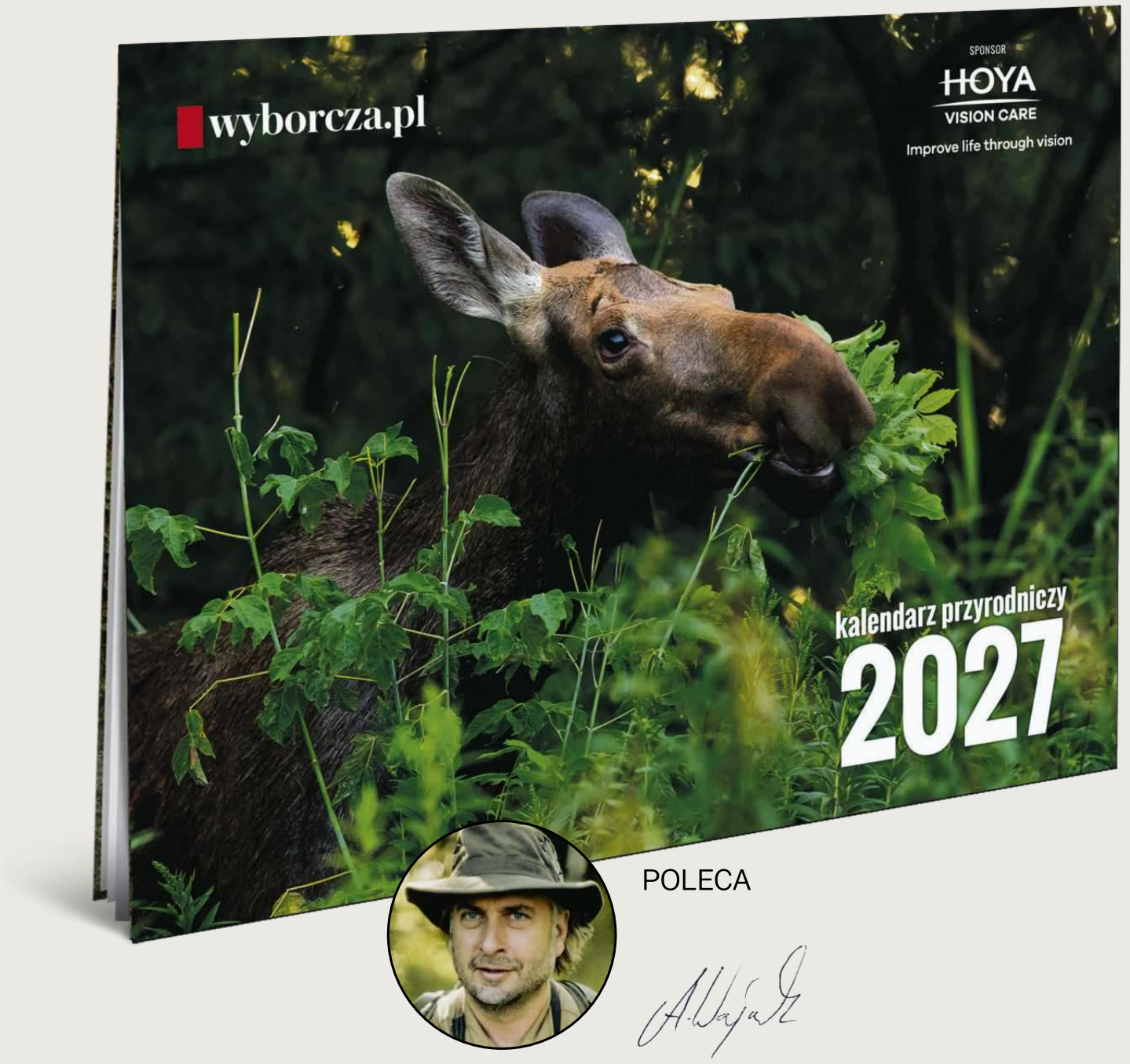
1 RP

eprasa.pl e47b8e13bb

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

We wtorek 17 listopada w „Wyborczej” kalendarz przyrodniczy

Łoś, żubry, wróble, dzik, sowa
i wiele innych zwierzaków
na zdjęciach **Adama Wajraka**



POLECA

A. Wajraka

GAZETA wyborcza

SPONSOR

HOYA
VISION CARE

eprasa.pl e47b8e13bb



Kaczyńskiemu pogorszył się humor.
Krążą plotki, że aby ocalić posadę, jego najstarszy druh dogadał się z największym wrogiem

I TY, ADAMIE, PRZECIWKO MNIE

Dominika Wielowieyska

Konflikt między prezesem NBP Adamem Glapińskim a premierem Donaldem Tuskiem przechodził różne fazy. Stawką była i jest stabilność banku centralnego i wizerunek Polski na świecie. Dziś możemy już ostrożnie przewidywać, co wydarzy się w przyszłym roku.

Jeden z najstarszych druhów Jarosława Kaczyńskiego od początku urzędowania przekształcił Narodowy Bank Polski w polityczną trybunę.

Podważył autorytet tej instytucji, urządzając tasiemcowe konferencje prasowe, na których snuł opowieści przypominające wolny strumień świadomości, a mediów, których nie lubił, nie dopuszczał do zadawania pytań.

Kilka lat temu „Wyborcza" opisała proceder polegający na pompowaniu pensji dwóch najbliższych współpracowniczek prezesa. Obie dyrektorki mimo braku doświadczenia w dziedzinie polityki monetarnej i bankowości zarabiały więcej – w okresie 2018-19 zsumowane zarobki jednej z nich wynosiły około 63 tys. zł miesięcznie – niż dyrektorzy departamentów merytorycznych, których pozyskanie z rynku finansowego zawsze jest kosztowne.

Po tej aferze Glapiński został zmuszony do ujawnienia siatki płac. Udało się, bo choć dbał o dobre relacje z partią – spadkobierczynią Porozumienia Centrum, które zakładał razem z Kaczyńskim, zatrudniał u siebie tabuny działaczy i ich rodzin oraz znajomych, to jego styl zarządzania bankiem centralnym niczym prywatnym folwarkiem budził niesmak także w obozie PiS.

Ale wiele więcej jego wrogowie i krytycy nie mogli osiągnąć, bo wówczas w PiS obowiązywała jeszcze bezwzględna lojalność wobec „Prezesa", który namaścił swojego starego partnera z czasów pierwszej partii na tak ważne stanowisko.

A powodów do krytyki nie brakowało.

Krytycy Glapińskiego zarzucali mu, że w 2021 r. utrzymywał stopy procentowe na niskim, niemal zerowym, poziomie mimo rosnącej inflacji, a gdy ceny się rozszalały, Rada Polityki Pieniężnej – złożona głównie z nominatów PiS wykonujących polecenia „Glapy" – gwałtownie podniosła stopy, uderzając w kredytobiorców.

W lipcu 2022 Donald Tusk, wówczas lider demokratycznej opozycji, ostro punktował Glapińskiego za nietrafione prognozy. Prezes NBP rok wcześniej mówił, że „wzrost cen w Polsce ma charakter przejściowy", a inflacja do końca roku „dobije do 6 proc.". W rzeczywistości wyniosła ponad 8. Później wzrost średnich cen sięgnął aż 18 proc., choć był to efekt nie tylko błędów Glapińskiego, lecz także wojny w Ukrainie.

Tusk ogłosił, że „Adam Glapiński jest nie tylko niekompetentny, nie tylko nieprzyzwoity w tym, co robi. Adam Glapiński jest też nielegalny" i dlatego po odsunięciu PiS od władzy „Nie będzie ani dnia dłużej prezesem NBP. Nie trzeba będzie ustawy".

Chodziło o wątpliwości prawne wokół ponownego wyboru Glapińskiego, ponieważ konstytucja przewiduje tylko dwie kadencje na tym stanowisku – a przed pierwszą prezesurą był członkiem zarządu NBP i zdaniem niektórych prawników ten okres należy liczyć jako pierwszą kadencję, więc nie powinien być wybrany drugi raz na prezesa. „Wystarczyłaby dużo mniejsza wątpliwość, aby wyprowadzić gościa z NBP. I ja to zrobię, ja wam to gwarantuję" – zapowiadał w związku z tym lider Koalicji Obywatelskiej.

Prezes banku centralnego nie pozostał dłużny, oskarżał Tuska plany wprowadzenia Polski do strefy euro i realizację „niemieckiego planu" zbudowania państwa europejskiego", za co Tusk rzekomo miał dostać stanowisko szefa Komisji Europejskiej. Siebie Glapiński prezentował siebie jako jedyną zaporę przed wejściem do strefy euro. W tych wizerunkowych zabiegach nie przeszkadzało mu, że podstawowym warunkiem zmiany waluty jest zmiana konstytucji. W Sejmie zaś nie było i nie ma większości kwalifikowanej.

Po wyborach wygranych jesienią 2023 roku sprawa kadencji rozeszła się po kościach. Mamy listopad 2026, a Glapiński nie został wyprowadzony. I nie będzie wyprowadzony. Co nie oznacza, że może spać spokojnie.

•

Gdy Kaczyński stracił władzę w 2023 r., „Glapa" doszedł do wniosku, że trzeba się jednak z Tuskiem dogadać. Wiedział, że wkrótce trzeba będzie uzupełniać zarząd NBP, a kompromis w tej sprawie muszą zawrzeć trzy osoby: prezes banku centralnego, który zgłasza kandydatury, prezydent, który wnioski podpisuje oraz premier, bo te decyzje wymagają kontrasygnaty szefa rządu.

Glapiński zaczął więc łagodzić przekaz, unikał atakowania rządu, co nie podobało się zresztą innym PiS-owskim członkom zarządu NBP. Wydawało się, że napięcie zmalało. We wspomnianym trójkącie został ustalony kompromis.

Wiosną tego roku pojawiły się informacje, że w zarządzie banku znajdą się: Ludwik Kotecki, dotychczasowy członek Rady Polityki Pieniężnej, przed laty wiceminister finansów w rządzie PO-PSL; Przemysław Litwiniuk, do tej pory członek RPP, kojarzony z PSL; Marta Kightley, która w imieniu Glapińskiego zarządza bankiem centralnym jako wiceprezeska; oraz Marcin Zarzecki, też członek RPP, człowiek prezydenta Nawrockiego.

Zarzecki o polityce monetarnej niewiele wie. Za to zasłynął tym, że gdy PiS stracił władzę w 2023 r., jako prezes Polskiej Fundacji Narodowej zgarnął 400 tys. zł odprawy za „zakaz konkurencji" na zmienionych w ostatniej chwili zasadach, dziś kwestionowanych przez obecne władze PFN.

Glapińskiemu zależało zwłaszcza na Kightley, bo przychodzić do pracy i przemęczać się nie lubi, więc zastępczyni pracowała za niego.

Wydawało się, że wrogie obozy poukładały się w tej sprawie. Nie przypadkiem prace sejmowej komisji odpowiedzialności konstytucyjnej, która zajmowała się wnioskiem o postawienie Glapińskiego przed Trybunałem Stanu, spowolniła.

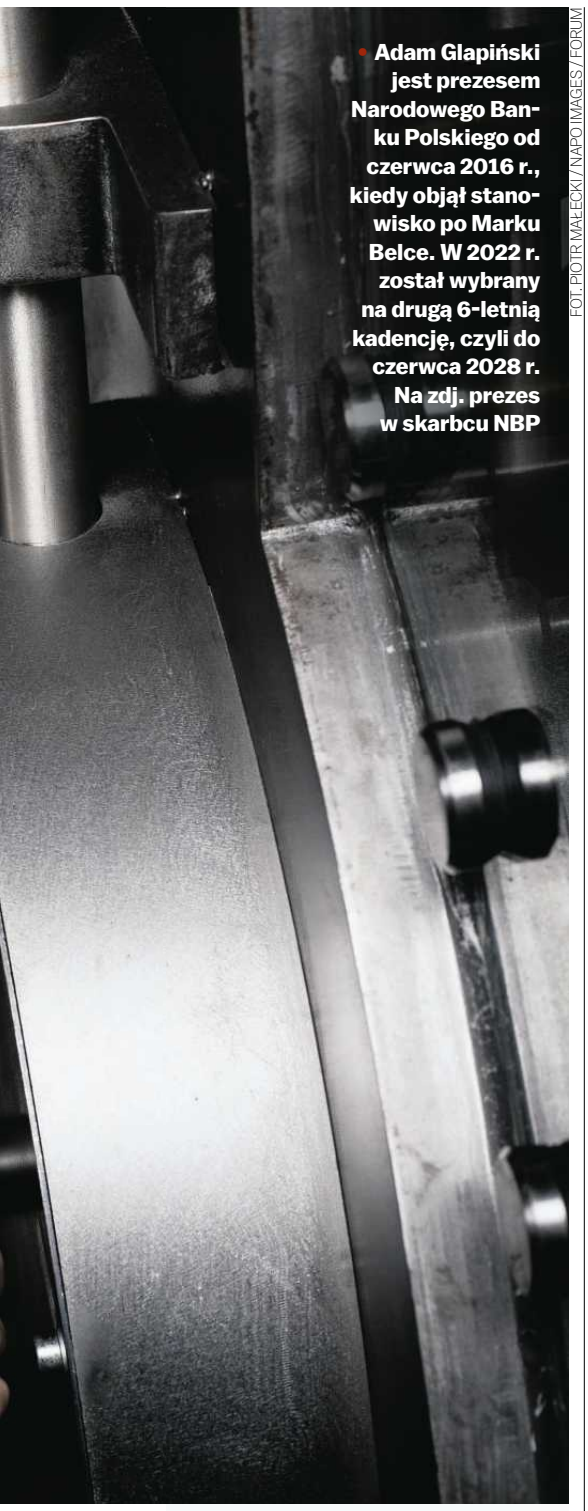
To akurat Kaczyńskiemu średnio się podobało, bo prezes PiS woli zaostrzać konflikt. Przytrafiła się jednak okazja, aby porozumienie zburzyć. PiS i otoczenie prezydenta Nawrockiego zażądały od Glapińskiego, aby firmował projekt „Polskie SAFE 0 procent".

Karol Nawrocki nie chciał, aby spadło na niego odium zawetowania taniej unijnej pożyczki na inwestycje w polski przemysł zbrojeniowy, a zawetować ją musiał, bo Kaczyński prezentował SAFE jako narzędzie podporządkowania Polski niemieckim interesom. Więc naprędce wymyślono alternatywne SAFE, które miał sfinansować NBP ze swojego zysku.

To oczywiście była bzdura, ale chodziło o potyczkę wizerunkową. Glapiński pomstował, bronił się, wolał swój rozejm niż kolejną awanturę, ale w końcu w marcu wyszedł z prezydentem na konferencję i mgliście opowiadał, że znajdzie pieniądze na inwestycje, obędziemy się bez nisko oprocentowanych kredytów z Unii Europejskiej.

Tusk, czego wszyscy się spodziewali, obszedł weto i SAFE działa, lecz uznał wystąpienie Glapińskiego u boku prezydenta za zerwanie rozejmu. W maju NBP poinformował, że premier odesłał bez podpisu wnioski w sprawie nominacji wspomnianych czterech osób. Wnioski, które prezydent wysłał do rządu jeszcze w lutym. I dialog zamarł.

eprasa.pl e47b8e13bb



FOT. PIOTR MAŁECKI / NAPO IMAGES / FORUM

• Adam Glapiński jest prezesem Narodowego Banku Polskiego od czerwca 2016 r., kiedy objął stanowisko po Marku Belce. W 2022 r. został wybrany na drugą 6-letnią kadencję, czyli do czerwca 2028 r. Na zdj. prezes w skarbcu NBP



• Warszawa, 4.06 1993. Manifestacja zorganizowana przez Porozumienie Centrum w rocznicę obalenia rządu J. Olszewskiego. Od lewej : Antoni Macierewicz, Adam Glapiński, Jarosław Kaczyński, Jan Parys, Zygmunt Wrzodak, Zbigniew Romaszewski i Kornel Morawiecki

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL.

Zbliżał się koniec kadencji kolejnych członków zarządu, a następców nie było. Tymczasem zgodnie z prawem, zarząd NBP może działać wtedy, gdy zasiada w nim co najmniej sześciu członków plus prezes. Zaczęły się spekulacje, że Tusk myśli o wprowadzaniu zarządu komisarycznego. Nie ma takiego rozwiązania w przepisach, ale nie ma też żadnego innego na wypadek paraliżu władz banku centralnego.

Jednocześnie sejmowa komisja ożyła i przesłuchaniu imponującej liczby świadków na niejawnych posiedzeniach sformułowała niedawno wniosek o postawienie Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Wyglądało na to, że sytuacja kolegi Kaczyńskiego pogarsza się z dnia na dzień.

Zarzut wagi najcięższej dotyczył skupu obligacji skarbowych i pośredniego finansowania deficytu w początkach pandemii wiosną 2020 r. Komisja twierdzi, że NBP działał niezgodnie z prawem. Glapiński zdawał sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie. Bronił się przed tą operacją, bo wiedział, że brakuje podstawy prawnej, ale zmusili go premier Mateusz Morawiecki oraz Kaczyński. Na jego obronę można powiedzieć, że sytuacja w pandemii była nadzwyczajna, firmy padały, rząd musiał przygotować tarczę antycovidową, by ratować miejsca pracy. Glapiński miał pomóc i ostatecznie to zrobił.

Bilans tej operacji był oceniany dobrze: nikt nie wymyślił lepszej opcji. Obawa dotyczy tego, czy nie otworzył furtki do podobnych operacji w normalnych warunkach, a to już oznaczałoby szkodliwe drukowanie pieniędzy.

Inny zarzut to upolitycznienie banku. Chodzi art. 227 konstytucji, wedle którego prezes NBP nie może należeć do partii politycznej, związku zawodowego ani prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z godnością jego urzędu.

Ale te wszystkie sprawy musieliby ocenić sędziowie Trybunału Stanu. A wcześniej wniosek komisji odpowiedzialności konstytucyjnej musiałby przegłosować Sejm. I tu znów pojawiają się kolejne problemy. Bo w polskiej polityce nic nie jest proste.

•

W styczniu 2024 roku – a więc chwilę po powołaniu rządu Donalda Tuska – Trybunał Konstytucyjny pod wodzą Julii Przyłębskiej wydał wyrok, że przepis, który mówi, że prezesa NBP stawia się przez Trybunałem Stanu większością bezwzględną, jest sprzeczny z konstytucją, potrzebna jest większość kwalifikowana.

Jednocześnie wyrok głosi, że niekonstytucyjny jest przepis, iż szef banku centralnego jest automatycznie zawieszany w obowiązkach, z chwilą decyzji Sejmu o postawieniu go przed TS. Co więcej, wyrok został opublikowany, dopiero dwa miesiące później rząd zaprzestał drukowania decyzji TK, idąc za przesłaniem uchwały Sejmu. I jeszcze jedna rzecz: w wydaniu wyroku nie brali udziału dublerzy.

Niezależnie od tego, co sądzimy o Przyłębskiej i jej kolegach, wyrok ma poważne uzasadnienie. Bank centralny powinien być niezależny od większości sejmowej i skoro na przykład ministrowie są stawiani przed Trybunałem kwalifikowaną większością głosów, powinno to dotyczyć także prezesa NBP. Jest czymś niedopuszczalnym, aby większość rządząca miała w ręku instrument nacisku na Narodowy Bank Polski.

Ale czym innym jest logika wyroku, a czym innym – obecny stan prawny. Jeżeli uznać, że Koalicja 15 Października honoruje ten wyrok, to trzeba sobie zadać pytanie, który przepis obowiązuje, a który nie. Otóż:

1. Przepis o zawieszeniu nie obowiązuje
2. Przepis o kwalifikowanej większości też nie obowiązuje, bo po wyroku nie było odpowiedniej zmiany ustawy o TS, wobec tego Glapińskiego można postawić przez Trybunałem Stanu zwykłą większością, skoro Przyłębska z kolegami zlikwidowała przepis o większości bezwzględnej. Bo wtedy stosuje się ogólną regułę z art. 120 Konstytucji.

Glapiński może więc liczyć na to, że być może nikt go nie zawiesi i „nie wyprowadzi" z banku, jak zapowiadał Tusk. Również dlatego, że, jak zauważa Kotecki, byłby problem ze zwołaniem posiedzenia. „Jeżeli prezesa nie ma, powstaje luka proceduralna, bo nie bardzo wiadomo, kto miałby podjąć decyzję o zwołaniu posiedzenia". Takie zamieszanie nie spodobałoby się rynkom.

Ale przed TS postawić Glapińskiego można.

Choć nie jest powiedziane, że z sukcesem. Przewodniczącym Trybunału jest pierwszy prezes Sądu Najwyższego Zbigniew Kapiński, neosędzia bliski Nawrockiemu. Z moich informacji wynika, że nie zadeklarował jasno, jak się wtedy zachowa. Możliwe, że nie nada sprawie biegu, ale wtedy narazi się na odpowiedzialność prawną.

Niemniej Tuskowi może opłacić się samo wysłanie Glapińskiego przed Trybunał. Twardy elektorat KO zyskałby poczucie, że rozliczenia przyspieszyły.

•

Kiedy Sejm się zajmie prezesem NBP? To też jest przedmiotem rozgrywki politycznej. Może w drugiej połowie listopada, a może dopiero w styczniu. A może w ogóle. Ten miecz Damoklesa ma wisieć nad Glapińskim, aby nie robił kłopotów.

Jednocześnie mieliśmy i wciąż mamy burzliwą sytuację wokół Trybunału Konstytucyjnego. Opozycja oraz prezydent uważają, że sędzia Anna Korwin-Piotrowska jest uzurpatorką. Demonstracje w alei Szucha trwają, hasła o „zamachu stanu" politycy opozycji rzucają codziennie, choć ich robotę podkopuje Republika, która protest zamieniła w telezakupy, co duża część prawicy, z początku wdzięcznej za zaangażowanie i energię stacji Sakiewicza, przyjęła z niesmakiem.

Tymczasem premier starannie zaplanował sekwencję: mając świadomość, że zmiana w Trybunale wywoła oburzenie, następny ruch miał prowadzić do deeskalacji. Ogłosił, że podpisał wszystkie wnioski prezydenta oraz szefa NBP o powołanie nowych członków zarządu banku centralnego. Pokazał tym samym, że współpraca z prezydentem na innych polach wygląda dobrze.

Zmiana układu sił w zarządzie NBP może wpłynąć na budżet reklamowy banku, którego spora część szła do stacji Tomasza Sakiewicza

Karol Nawrocki te decyzje klepnął. I oto zarządowi NBP nie grozi już zarząd komisaryczny ani paraliż. Glapiński jest zadowolony, Nowogrodzka wściekła. Bo jak to? Zamach stanu, dyktatura i te rzeczy, a tu prezydent z premierem ręka w rękę odbudowali zarząd NBP?

Na pewno deeskalacji wokół banku centralnego chciał minister finansów Andrzej Domański. Źle by się stało, gdyby rynki finansowe zareagowały niepokojem na operację wymierzoną w prezesa NBP. To jeden z najważniejszych ministrów Tuska był twórcą rozejmu z NBP.

Teraz Glapińskiemu na ręce będzie patrzeć nowy skład zarządu. Domański wie, że w związku z osłabieniem złotego w banku centralnym może się pojawić zysk za obecny rok. Zysk niemal w całości idzie do budżetu państwa. A minister finansów pożąda tego zysku bardzo, bo ma problemy z wielkim deficytem. Uzupełnienie zarządu NBP oznacza, że procedura przekazywania zysku odbędzie się bez zakłóceń. Może zresztą się okazać, że nie jest on zbyt wielki, ale dziś resort finansów weźmie nawet najmniejsze sumy z pocałowaniem ręki. A humor Kaczyńskiego jeszcze się pogorszył: krążą plotki, że „Glapa" dogadał się z jego największym wrogiem i obiecał Tuskowi zysk w zamian za zachowanie posady.

Jakby tych nieszczęść było mało, zmiana układu sił w zarządzie i postraszenie Glapińskiego może wpłynąć na budżet reklamowy banku, który w dużej mierze idzie do PiS-owskich mediów, Glapiński jest ostrożny i daje wielu redakcjom, ale poprzednie rozliczenia wskazują, że to stacja Tomasza Sakiewicza była największym beneficjentem.

•

Jarosław Kaczyński z niepokojem patrzy na rozwój sytuacji.

Sprawa Trybunału budzi coraz mniejsze zainteresowanie. Tusk zamyka kolejne fronty. Republika ośmieszyła protest, zamieniając go w kabaret. A dziś społeczne emocje są już zupełnie gdzie indziej.

Po tragedii w Krakowie atakowanie policji jest źle odbierane, a to robią protestujący pod siedzibą Trybunału i akolici PiS-u w Republice od dawna. Jej właściciel, relacjonując w sobotę dramatyczne wydarzenia w na krakowskim rynku, dopytywał, gdzie jest policja, choć funkcjonariusz stał za jego plecami. I pomstował, że nie ma komu chronić ludzi w Krakowie, bo policjanci pojechali pod Trybunał, gdy dwaj bohaterscy funkcjonariusze unieszkodliwili zamachowca, odnosząc ciężkie rany. Na Republikę, która jest głównym ośrodkiem podtrzymywania oporu wobec Trybunału Konstytucyjnego, spadła fala krytyki.

A w poniedziałek w marszu ku czci ofiar zamachu szli razem prezydent, premier i prezydent miasta Łukasz Gibała. Nie wygląda to na kraj, w którym wprowadzono dyktaturę zwalczaną przez bohaterskiego prezydenta. Nie jest to obraz, który podkręca polityczną polaryzację.

Ostry konflikt polityczny zaraz powróci, ale już ze słabszą siłą niż w pierwszych dniach po tym, jak sędziowie weszli do siedziby Trybunału Konstytucyjnego od strony kancelarii premiera.

Rozejm wokół NBP został odnowiony i choć nie można wykluczyć, że wniosek o postawienie Glapińskiego zostanie kiedyś przegłosowany, prezes NBP zwyczajnie dogadał się z wykonawcą zdradzieckiego „niemieckiego planu", z człowiekiem, który ciągle „łże", i który zaprzedał się obcym w zamian za przyszłą posadę szefa Komisji Europejskiej.

No i który przeprowadza w Polsce zdaniem PiS chyba już piąty zamach stanu. Można? Można. Słowa to jedno, a interesy i praktyka – drugie. ●

eprasa.pl e47b8e13bb

ŚWIAT

Prawdziwy PREZYDENT USA

Przez dwa lata polityką wewnętrzną Stanów Zjednoczonych **będzie kierował biały suprematysta, który uwielbia zapach wojny kulturowej o poranku**

Mateusz Mazzini

To jest ogromne wydarzenie. Całkowicie zmienia najbliższe dwa lata – pisze mi w wiadomości urzędnik wysokiego szczebla amerykańskiej administracji. Na rozmowę zgodził się pod warunkiem anonimowości, zezwolił jedynie na uwiarygodnienie go poprzez trajektorię kariery politycznej.

Zajmuje kierownicze stanowisko w jednej z instytucji federalnych związanych z imigracją i bezpieczeństwem wewnętrznym, w pierwszej administracji Trumpa pracował w DHS, Departamencie Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Co jest ważną informacją, bo oznacza, że ze Stephenem Millerem, nowo mianowanym szefem personelu Białego Domu, zna się od ponad dekady.

Awans Millera, najbardziej radykalnego polityka w tej administracji, jest pierwszą ważną decyzją personalną Białego Domu po klęsce Republikanów w wyborach połówkowych. I raczej nie ostatnią, bo ostatnie dwa lata prezydentury Trumpa oznaczają nie tylko początek brutalnej rywalizacji o schedę na prawicy, ale też wysiłki prezydenta, by zabezpieczyć własną przyszłość.

A dokładniej – przyszłość finansową, czyli udziału w jak największej liczbie projektów korupcyjnych oraz naznaczonych konfliktem interesów. A także przyszłość prawną, czyli po prostu uniknięcie komisji śledczych, a nawet więzienia.

Przez miniony tydzień rozmawiałem z przedstawicielami prawicy, pracownikami administracji, ale też działaczami Partii Demokratycznej i byłymi członkami administracji Joego Bidena. Każdy przedstawił inny wycinek rzeczywistości, rozmówcy różnili się też oceną przyczyn aż takiego zwycięstwa Demokratów. Jednak ogólną konkluzję mieli wspólną: końcówka Trumpa będzie zupełnie inna niż poprzednie lata. A jeśli chodzi o politykę krajową, decydujący wpływ na ruchy administracji będzie miał właśnie Miller.

Mój rozmówca z DHS wskazuje, że akcje policji imigracyjnej ICE przeciwko osobom nielegalnie przebywającym w USA wcale nie zadecydowały o klęsce Republikanów. Jego zdaniem problemem nie była ani brutalność agentów, ani to, że nosili kominiarki i zachowywali się jak gangsterzy, ani terroryzowanie społeczności latynoskich. Ani nawet wynikające z niekompetencji pospiesznie rekrutowanych szeryfów tragedie takie, jak w Minneapolis, gdzie zastrzelili dwoje spierających się z nimi cywilów.

Upiera się, że działania operacyjne departamentu, któremu sam podlega, były skazane na niepowodzenie z powodu braku współpracy z władzami lokalnymi.

– To, co wydarzyło się na początku roku w Minneapolis, wynikało wyłącznie z blokowania naszych działań przez władze miasta i gubernatora stanowego. Oni w ogóle nie współpracowali, zero, nic. A mają obowiązek, w końcu my jesteśmy rządem federalnym, to my przekazujemy instrukcje w zakresie bezpieczeństwa narodowego. Oni demonstracyjnie ignorowali wszystkie nasze prośby i wytyczne, kreując napięcia i eskalując przeciwko nam.

Teza, że przemoc wobec imigrantów nie zaszkodziła wcale Republikanom, jest nie do obrony. Widać to w danych statystycznych i w reporterskich opowieściach.

Wypuszczony pod koniec października obszerny sondaż New York Times/Siena pokazał, że w ciągu zaledwie dwóch lat, od powrotu Trumpa do władzy Republikanie stracili wśród wyborców identyfikujących się jako Latynosi aż 29 pkt. proc. poparcia.

Dziennikarka „New York Timesa" Michelle Goldberg, która od kilkunastu miesięcy opisywała kampanię wyborczą w Teksasie, jako jedna z pierwszych zajmując się Jamesem Talarico, nową gwiazdą Demokratów, przytoczyła niedawno historię aż trudną do uwierzenia. Opowiadała o dwóch 18-latkach pochodzenia latynoskiego, ale będących pełnoprawnymi obywatelami USA, których ICE zgarnęło z ulicy i zamknęło w obozie przejściowym w chwili, kiedy szli… zapisać się do służby w Marines.

Jesus Rodriguez, reporter „New Yorkera", pisał z kolei o buncie teksańskich konserwatystów, którzy poparli Talarico i Ginę Hinojosę, kandydatkę Demokratów na gubernatora, bo byli wściekli na agentów ICE wchodzących z długą bronią do sal lekcyjnych w szkołach ich dzieci.

Lecz podejście mojego rozmówcy wskazuje, że instytucje podległe Millerowi postanowiły wypierać rzeczywistość. W Białym Domu też nie nastąpiła autorefleksja. Waszyngton ignoruje dane na temat utraty poparcia właśnie w grupach wyborców najbardziej dotkniętych przez ICE.

Więc radykalna polityka wobec imigrantów zostanie utrzymana. Zwłaszcza że, jak trzeźwo zaraz po wyborach zauważył „The Atlantic", nawet zdominowanemu przez Demokratów Kongresowi ciężko będzie powstrzymać agentów. Głównie dlatego, że obie instytucje otrzymały na starcie tej kadencji olbrzymie finansowanie, przekraczające budżety całych sił zbrojnych wielu krajów europejskich.

W dodatku, co z kolei wiadomo dzięki licznym tekstom śledczym opublikowanym przez magazyn „Wired", spora część operacji związanych z identyfika-



Nikt na poważnie nie bierze impeachmentu Trumpa. Po biurach członków Kongresu krąży żart nakazujący Demokratom akceptowanie wszystkich szalonych wydatków prezydenta. „Mówię znajomym: zgadzajcie się na wszystko. Łuk Triumfalny, pomniki jego imienia, byleby tylko go zadowolić. W ten sposób może nie narobi poważniejszych szkód do końca kadencji"

eprasa.pl e47b8e13bb



• **Policja Los Angeles (LAPD) tłumi protesty mieszkańców wywołane brutalnymi akcjami przeciwko nielegalnym imigrantom, które przeprowadzała ICE (policja imigracyjna). Kalifornia, 8.06.2025 r.**
FOT. SPENCER PLATT/ GETTY IMAGES

cją, geolokalizacją, rozpoznawaniem twarzy, analizą danych, a nawet przetrzymywaniem imigrantów w tymczasowych centrach przypominających więzienia, została przekazana do sektora prywatnego. Firmy takie jak Palantir, Google, Microsoft czy znana z pionierskich rozwiązań w rozpoznawaniu twarzy firma Clearview AI otrzymały kontrakty od DHS rzędu kilkuset milionów dolarów. Te umowy trudno będzie anulować.

No i, jak 1 listopada poinformował Reuters, Trump planuje zwyczajnie ignorować fakt, że Demokraci przejęli kontrolę nad obiema izbami Kongresu. A pomoże mu w tym właśnie Miller.

Naciągając do maksimum popularną w ultraprawicowych kręgach teorię jednolitej władzy wykonawczej, nowy szef personelu Białego Domu zamierza skupić w rękach prezydenta jeszcze więcej kompetencji – nawet takich, których nie przyznaje mu konstytucja.

Przez kolejne dwa lata Biały Dom będzie wystrzeliwał kolejne prezydenckie dekrety. Co prawda Demokraci postarają się je unieważniać na drodze sądowej, ale zanim to się uda, Miller zdąży zrobić bardzo dużo.

•

A biorąc pod uwagę fakt, że Trump raczej wypisze się z bieżącej polityki na szczeblu krajowym, koncentrując się na szukaniu chwały za granicą i „symbolicznych zwycięstwach" w stylu obalenia reżimu na Kubie czy wielkiej umowy z Putinem, Millerowi nikt na ręce patrzeć nie będzie.

Nie ma więc wielkiej przesady w stwierdzeniu, o które pokusiła się w centroprawicowym serwisie „The Bulwark" Sarah Matthews, współpracowniczka Millera z pierwszej administracji: teraz on jest „de facto prezydentem USA".

Z kolei mój rozmówca z DHS stwierdza, że jest jeszcze jeden ważny powód awansu tego rasowego białego suprematysty: odwrócenie uwagi opinii publicznej od olbrzymiego fiaska, jakim jest wojna z Iranem.

Natomiast działacze i politycy związani z Partią Demokratyczną uważają nominację Millera za koło ratunkowe rzucone wiceprezydentowi.

J.D. Vance od początku roku próbuje, choć dość niezgrabnie, zdystansować się od polityki zagranicznej szefa. On i jego ludzie regularnie wypuszczają przecieki do liberalnych mediów, na czele z „New York Timesem" i „The Atlantic".

Maggie Haberman i Jonathan Swan, dysponującymi wieloma „głębokimi gardłami" wśród trumpistów autorzy bestsellerowej książki „Regime Change" o kulisach drugiej kadencji Trumpa, to od Vance'a otrzymali szczegóły spotkania 11 lutego w Białym Domu. Właśnie wtedy Benjamin Netanjahu i izraelscy eksperci do spraw bezpieczeństwa przekonali Trumpa do przeprowadzenia wspólnego ataku na Iran. Vance miał być jedynym, który wyraził wątpliwości – co nie oznacza, że się jej sprzeciwił, gdyż na dworze imperatora to bardzo ryzykowne.

Teraz jednak jest politycznie w bardzo trudnej sytuacji – z trzech powodów.

• **Po pierwsze**, obciążają go wszystkie porażki tej administracji, której przecież jest wiceszefem. Nawet gdyby poświęcił najbliższe dwa lata na dystansowanie się od Trumpa, może nie zdążyć – skala wpadek i pomyłek Białego Domu jest przecież ogromna.

• **Po drugie**, jak w rozmowie z Davidem Remnickiem z „New Yorkera" zauważył wpływowy polityk Demokratów Pete Buttigieg, Vance'owi trudno będzie wykonać kolejną woltę. Już raz przecież zmienił strony – w 2016 roku na łamach „Atlantica" opublikował esej, w którym określił Trumpa „opioidem dla mas", a w prywatnych wiadomościach z kolegami ze studiów zastanawiał się, czy obecny prezydent nie jest wręcz „amerykańskim Hitlerem". Po czym przeszedł na jego stronę, zostając wiceprezydentem. Kolejny ideologiczny zwrot sprawił, że nawet najbardziej zagorzali sympatycy ruchu MAGA poczują się pogubieni.

• **A po trzecie**, Vance'a obciążają związki z szalenie niepopularną dzisiaj Doliną Krzemową. Wszak jest wychowankiem Petera Thiela, współzałożyciela Palantira, miliardera-filozofa straszącego nadejściem antychrysta i wspierającego nieograniczony rozwój sztucznej inteligencji, aż do zastąpienia ludzi maszynami.

Biorąc pod uwagę olbrzymi, łączący wszystkie grupy wyborców sprzeciw wobec rozwoju AI, budowy kolejnych centrów danych i oddawania władzy milionerom, Vance nie może liczyć, że wizerunkowy, a nawet finansowy sponsoring dawnych kolegów zagwarantuje mu prezydenturę.

– Vance jest całkowicie ugotowany. Będzie próbował stworzyć jakąś iluzję dystansu pomiędzy nim a Trumpem, ale za daleko też nie może odejść. Pamiętaj, że tego prezydenta nie wolno krytykować. Jeśli Vance za bardzo się wychyli, zostanie ścięty równo z trawą – pi-

eprasa.pl e47b8e13bb

sze mi były dyplomata, za Bidena zasiadający w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego.

I wskazuje na drugą po migracji dziedzinę, w której Biały Dom nie odpuści, raczej dokręci śrubę. Wraz z próbami usamodzielnienia się Vance'a i awansem Millera na tapetę wrócą wojny kulturowe.

– Toalety dla osób transpłciowych, ideologia woke, jakieś legendy o chłopcach pływających w zawodach dla dziewczyn, walka z mniejszościami seksualnymi. Migracja też, bo to dla nich element wojen kulturowych – wylicza mój rozmówca. – Nie przypadkiem nazwali te zjawiska „wymazywaniem cywilizacyjnym" w swojej strategii bezpieczeństwa.

– Ale przecież z tego powodu przegrali wybory z kretesem. Teksas, republikański do kości, świeci się teraz na mapie politycznej USA cały na niebiesko – próbuję kontrować.

– To nie ma znaczenia – odpowiada. – Oni na jakimś poziomie naprawdę wierzą, że mają misję, która wykracza poza takie rzeczy jak kadencja, wybory, tradycyjna polityka.

Powrót do wojny kulturowej ma sprawić, że Amerykanie na nowo zaczną dyskutować o kolorze skóry i orientacji seksualnej, zapominając, ile kosztuje benzyna i jak wysokie są rachunki prąd.

A także odzyskać przychylność internetowej manosfery, która zaczęła się od Trumpa odwracać właśnie z powodu wojny z Iranem. I robiący milionowe zasięgi podkaster Joe Rogan, i celebryta, influencer, niegdyś gwiazdor Fox News Tucker Carlson to izolacjoniści, którzy woleliby, żeby prezydent USA skupiał się na sprawach wewnętrznych, niż na próbach obalania reżimów w krajach na drugim końcu świata. Zajęcie się ponownie kwestiami tożsamościowymi ma sprawić, że internetowe zasięgi znów będą działać na korzyść MAGA.

Co jednak nie znaczy, że za irańskie fiasko nikt nie zapłaci stanowiskiem. Faworytem do pierwszej głośnej dymisji jest oczywiście Pete Hegseth.

Już tydzień po wyborach połówkowych Thomas Massie, Republikanin, odchodzący z Kongresu członek Izby Reprezentantów z Kentucky, złożył wniosek o rozpoczęcie impeachmentu sekretarza wojny. Massie nie ukrywa, że nim gardzi. We wtorkowym wywiadzie dla CNN na pytanie o skuteczność szefa Pentagonu odpowiedział, że owszem, „w zabiciu 200 dzieci w wieku szkolnym", odnosząc się do zbombardowania przez Amerykanów irańskiej szkoły w pierwszych dniach wojny.

– Hegseth nie ma żadnych przyjaciół w Waszyngtonie – mówi mi Mark Bergman, prawnik związany od kilku dekad z Partią Demokratyczną, bliski obecnym liderom partyjnym w Kongresie.

Nawet jeśli Trump powiedział, że ułaskawi każdego, kto był w promieniu kilkuset metrów od Gabinetu Owalnego, nie spełni obietnicy. Dla niego ułaskawienie to produkt, który sprzedaje po wysokiej cenie. Ludzi pokroju Hegsetha, czy Pam Bondi nie stać na to

To pierwszy powód, dla którego nikt obecnego sekretarza wojny nie będzie bronić. Drugi jest taki, że koszty zrzucenia odpowiedzialności za wojnę na realnych winowajców byłyby zbyt duże.

– Trump jest prywatnie wściekły na Netanjahu, bo uważa, że to on wciągnął go w wojnę. Cały Waszyngton aż huczy od historii na temat wybuchów prezydenta – opowiada Bergman.

Lecz publiczne stwierdzenie, że Stany Zjednoczone, największa potęga militarna na świecie, hegemon porządku miedzynarodowego, prowadzą wojnę, której nie są w stanie wygrać i której wcale nie planowały, jest nie do przyjęcia dla kogoś takiego jak Trump.

Dlatego, jak twierdzi Bergman, nie będzie ceremonialnego ukarania Izraela ani nawet zrzucania winy na Tel Awiw, o zawieszeniu współpracy nie mówiąc. Karę poniesie ktoś z administracji, najpewniej Hegseth.

Przy czym nie jest powiedziane, że przez procedurę impeachmentu. Nie tylko dlatego, że – choć Massie chodzi po mediach i zapowiada, że sekretarz wojny straci stanowisko przed końcem roku – Republikanie ujęli się za niegdysiejszym ulubieńcem Trumpa i skierowali wniosek do komisji sądownictwa. Czyli metodą „od Annasza do Kajfasza" go zablokowali. Niezależnie od tego, czy temat zostanie odmrożony w tym lub nowym Kongresie, prawdopodobniejsza jest rezygnacja ze stanowiska. Tak twierdzi inny mój rozmówca z Partii Demokratycznej, blisko związany z liderem Demokratów w Izbie Reprezentantów, Hakeemem Jeffriesem i z jednym z kluczowych śledczych w partii, Jamiem Raskinem.

Wypowiada się anonimowo, argumentując, że chce rozmawiać o pomyśle Demokratów na rozliczenie przewinień ekipy Trumpa. Przewiduje, że Hegseth sam zrezygnuje, bo bardziej mu się to opłaca. Wybronienie się przed impeachmentem w Kongresie to długa walka prawnicza, a Hegsetha po prostu nie stać na bardzo drogich adwokatów. Ani – dosłownie – na łaskę Trumpa.

– Jeśli jego wierni współpracownicy liczą na ułaskawienie przez prezydenta, to go raczej nie dostaną. Nawet jeśli Trump powiedział, że ułaskawi każdego, kto był w promieniu kilkuset metrów od Gabinetu Owalnego, raczej nie spełni obietnicy – mówi informator z Partii Demokratycznej.

– Dla niego ułaskawienie to produkt, który sprzedaje, kolejny element jego oferty, z bardzo wysoką ceną. Ludzi pokroju Hegsetha, byłej prokurator generalnej Pam Bondi, jej następcy Todda Blanche'a czy innych członków administracji po prostu nie stać na ułaskawienie. Oni nie mają Trumpowi nic do zaoferowania, zawsze byli pionkami. Lepiej więc zrezygnować teraz, schować się gdzieś w Tennessee czy innym stanie, na który nikt nie patrzy, niż czekać na impeachment przed kamerami, na oczach milionów.

Zapewnia też, podobnie jak inni rozmówcy związani z Demokratami, że nikt na poważnie nie bierze impeachmentu samego Trumpa. Po biurach przyszłych i obecnych członków Kongresu krąży nawet żart nakazujący Demokratom akceptowanie wszystkich szalonych wydatków prezydenta.

– Mówię znajomym: zgadzajcie się na wszystko. Łuk Triumfalny, pole golfowe, pomniki jego imienia, byleby tylko go zadowolić. W ten sposób może już nie narobi poważniejszych szkód do końca kadencji – mówi pracownik Partii Demokratycznej w Kongresie.

Strategia Demokratów na rozliczenia jest prosta: ruszyć całą mocą, ale metodycznie, krok po kroku. Brać się za jedno śledztwo po drugim, absolutnie nie odpuszczać – ale nie próbować zrobić wszystko jednocześnie. Ważne jest zwłaszcza pokazanie wyborcom, że nowy Kongres zwalcza wszechobecną w tej administracji korupcję.

Jednocześnie tematu rozliczeń nie można przegrzać, bo Demokraci mają świadomość, że wygrali głównie dzięki niezadowoleniu Amerykanów z warunków bytowych. Korupcja, jak twierdzi Sarah Longwell z „The Bulwark", która uczestniczyła w setkach grup fokusowych z wyborcami Trumpa, przebiła się do masowej świadomości tylko z powodu kosztów życia. Amerykanom jest coraz trudniej, oczekują więc od swojego rządu, że zajmie się rozwiązywaniem ich problemów – a nie własnymi inwestycjami w kryptowaluty czy budową ociekających złotem budynków w stolicy.

Również dlatego impeachment Trumpa nikomu do niczego nie jest potrzebny. Lepiej wziąć na cel takich ludzi jak Hegseth, łatwiejszych do obalenia i będących wdzięcznym celem komisji śledczych. Na kimś tak szalenie niekompetentnym, wiązanym z niepopularną wojną, łatwo się wyżywać, udowadniać błędy i w ten sposób budować własną rozpoznawalność.

Niewykluczone też, że dymisja Hegsetha nie będzie jedynym odejściem ważnego członka rządu przed zaprzysiężeniem nowego Kongresu w styczniu 2027. Możliwe, że stanowisko odda sekretarz stanu Marco Rubio. Który ma tę przewagę nad Vance'em, że nie musi trzymać się administracji, może w ogóle zrezygnować, zwiększając szanse na niezależną kampanię prezydencką przed wyborami w 2028 roku.

O planach Rubio na prezydenturę słychać zresztą od dawna – już wiosną ubiegłego roku zasugerował taki scenariusz w rozmowie z szefami dyplomacji krajów bałtyckich.

Rubio jest w sytuacji win-win. Bo jednocześnie dobrze dogaduje się z Trumpem, nie pcha się na czołówki serwisów informacyjnych w kontekście wojny z Iranem, w dodatku jest w stanie dać prezydentowi, ale też sporej części amerykańskiego elektoratu prawicowego kolejny skalp, jakim byłoby obalenie komunistycznych władz na Kubie. Nie ma związków z technooligarchią Doliny Krzemowej i wypowiada się znacznie bardziej umiarkowanie niż Hegseth czy Vance.

Nie jest jednak jedynym, który w słabości innych rozpoznawalnych i ambitnych postaci tej administracji upatruje szansy na prezydenturę. Prekampania ruszyła już po obu stronach, a pierwszym Republikaninem, który jasno zasugerował, że będzie walczył o Biały Dom, jest Ron DeSantis.

Ustępujący gubernator Florydy już dwa lata temu miał być spadkobiercą tronu MAGA, ojcobójcą, który zatrzyma Trumpa, ale nie przebił się w prawyborach. Teraz buduje się jako niezależny od Big Techu, krytyczny wobec stołecznych skorumpowanych elit prawicowy populista. Dzień po wyborach połówkowych opublikował w sieci długi wpis, w którym za porażkę Republikanów obwinił „polityków w Waszyngtonie, odległych od spraw zwykłych ludzi". Trumpa z nazwiska nie wymienił, ale oczywiste jest, że jego właśnie miał na myśli.

W dodatku DeSantis od dłuższego czasu odpowiada na społeczny gniew i staje po stronie obywateli oraz aktywistów walczących z budową kolejnych centrów danych. Dzięki temu wychodzi na trybuna ludowego, człowieka, który naprawdę dba o swoich wyborców, zamiast oddawać władzę nad krajem wąskiej grupie miliarderów.

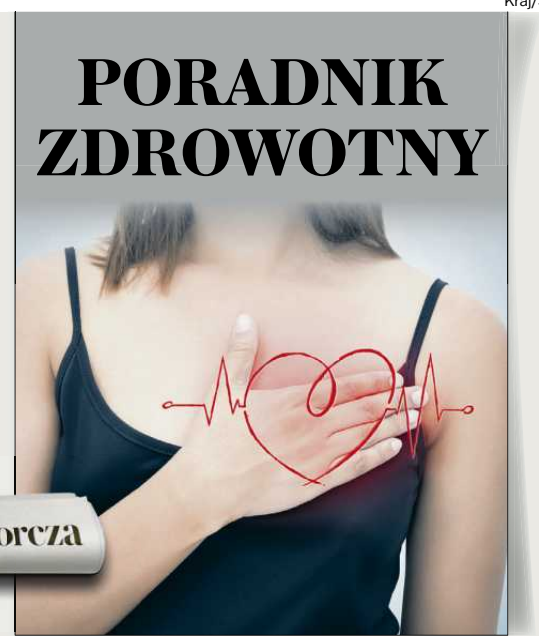
Tyle że dokładnie to obiecywał, i to dwukrotnie, sam Trump. Amerykanie pamiętają hasła o „osuszaniu bagna", pełnej przejrzystości, braku konfliktu interesów, końca bezsensownych wojen na Bliskim Wschodzie. I jak okazało się w noc wyborczą z 3 na 4 listopada, potrafią za niespełnione obietnice wymierzyć dotkliwą karę.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34460369

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

SERCE

• Czy naprawdę można mieć złamane serce?
• Jak dogodzić sercu. Co z nim robi bieganie, rower, tenis, pływanie i spacery?
• Dieta dobra dla serca. Co warto dodać do listy zakupów?
• Zespół świątecznego serca , czyli zaburzenia pracy serca po alkoholu



1 RP

eprasa.pl e47b8e13bb

POLACY, POMAGAJCIE, ALE WY TEŻ MUSICIE COŚ ZAROBIĆ



• **Plaża na obrzeżach Odessy, W tle dym z pożaru, który wybuchł po rosyjskim ataku rakietowym na ukraińską infrastrukturę paliwową, 29 lipca 2026 r.**
FOT. KOSTIANTYN LIBEROW/LIBKOS/GETTY IMAGES

Odessa wita kotami, żegna alarmem powietrznym i żarcikami w krzakach. Pomiędzy opijam się colą, odmawiam przyjęcia Lwowa i odświeżam mój rosyjski.

Andrzej Goworski

Pierwsze, co widzę po wejściu do hotelowego pokoju, to zachód słońca, kopuła meczetu, portowe dźwigi i morze. Potem coś błyska. Przez chwilę myślę: sztuczne ognie, tylko skąd to krótkie „puf", jakby podmuch uderzył w szybę?

Znad platanów podrywa się czarna chmura gawronów. W nocy co najmniej dwa razy budzi mnie alarm, ale za każdym razem szybko zasypiam. Rano schodzę na śniadanie, ludzie jedzą naleśniki i pieczone jabłka, telefony leżą przy filiżankach.

Przez kilka następnych dni Odessa będzie mnie zmuszała do tego samego: porzucania zbyt łatwych tez.

•

Do Odessy wjeżdżam przed ósmą rano. Chłodno, słońce oświetla fasadę dworca, z głośników orkiestralna muzyka wita przyjezdnych. Budynek rozpoznaję z poprzednich podróży, choć wydaje się pustszy, część okienek jest zamknięta, a ludzie szybko przechodzą przez hol z walizkami, wpatrzeni w telefony.

Tuż za drzwiami dworca – alarm. Z głośników kobiecy głos: „Uwaha! Ohołoszeno powitrianu trywohu!" – „Uwaga, alarm powietrzny!" – i zalecenie, żeby zejść do schronu. Nikt nie zawraca. Nikt nie przyspiesza kroku. Jakbym tylko ja słyszał komunikat i syreny.

Na dworcu autobusowym sprzątaczka wyprasza nas z budynku, bo w środku nie ma odpowiedniego schronienia. Ludzie wychodzą niechętnie: ktoś właśnie kupował bilet, ktoś upiera się, że musi do toalety. Nie widzę paniki.

„Trywoha" jest jednak słowem, które przez następne dni – poza terminologią związaną z handlem zbożem, bo to główny cel mojej wizyty – będzie zawsze padać w rozmowach.

Jadę na południe, do Izmaiłu i Reni, na sam koniec ukraińskiej Besarabii. Tam też regularnie rozbrzmiewają alarmy, a reakcje są podobnie oszczędne. Nie wygląda to ani na bohaterstwo, ani na lekkomyślność. Alarm po prostu staje się jednym z uwarunkowań dnia.

Do miasta wracam następnego dnia wieczorem. Pokój mam na ósmym, według naszej nomenklatury siódmym piętrze. Za szybą na całą ścianę widzę ciemnozielone jezioro koron platanów z wyspą w kolorze islamskiej zieleni – kopułą meczetu. Dalej portowe dźwigi, portowy hotel, na którym nawet stąd widać trafienia, oraz morze. W Odessie zmierzcha szybciej niż w Polsce. Na niebie błyska.

Już wiem, że to nie sztuczne ognie. Kolejne skojarzenie jest z dzieciństwa, gdy rzucało się na płytę kuchennego pieca główki zapałek. Błysk jak od siarki. „Pach", „pach", potem głośniejsze „bum", a po chwili przychodzi „pfff".

Gawrony, które poszły już spać w konarach, setkami wzlatują do góry, krążą i kraczą. Rano chodnik przy hotelu cały jest w ich odchodach, a sprzątaczki myją okalający murek z wypolerowanego kamienia.

•

Jednego ranka wychodzę z hotelu jeszcze przed końcem godziny policyjnej, która trwa do piątej. Samochodów prawie nie ma, miasto jakby przyciszało głos. Mijam kobietę i dwóch młodych mężczyzn, może dwudziestoparoletnich. Rozmawiają po rosyjsku i wyglądają, jakby wracali z imprezy. Nawet o tej porze Odessa nie zamiera całkowicie.

Po piątej ruch wraca. Pierwsze taksówki, pierwsi ludzie na przystankach, pierwsze światła w lokalach. Odessa przeciąga się leniwie, jakby nocny alarm należał już do poprzedniej zmiany. W południe zapełniają się restauracje, a kilka godzin później przed operą ustawia się kolejka, ktoś niesie bukiet, ktoś pije wino, ktoś prowadzi dziecko za rękę.

Gdybym przyjechał tylko na godzinę i wybrał odpowiednią ulicę, mógłbym zrobić serię zdjęć, na których wojny nie byłoby widać wcale. Właśnie z takich obrazków rodzi się łatwy tytuł: „Odessa się bawi". Przed wyjazdem sam miałem go w głowie, ale na miejscu zaczyna mnie drażnić. Bo ustawia kolację, randkę albo muzykę po przeciwnej stronie wojny, jakby jedno unieważniało drugie. Tymczasem ci sami ludzie mogą wieczorem rezerwować stolik, w nocy obudzić się po alarmie, a rano sprawdzić wiadomość od kogoś na froncie.

Im bliżej północy, tym wszystko staje się intensywniejsze. Wieczór ma w sobie coś z Kopciuszka: trzeba wycisnąć z niego jak najwięcej i zdążyć przed północą. Po godz. 23. część lokali nie przyjmuje już zamówień, obsługa sprząta, ludzie rozchodzą się do domów albo hoteli. Jeszcze chwilę wcześniej rozmowy były głośne, muzyka płynęła z lokali, pary stały przed wejściami, a potem ulica zaczyna pustoszeć, bo zbliża się godzina policyjna.

Ten rytm wraca rano, gdy po nocy z alarmami obsługa znowu podaje jedzenie. Ludzie rozmawiają, ktoś narzeka na kawę, ktoś chwali pieczone jabłka i naleśniki z karmelem.

Hotelowi goście nie schodzą do schronu, ale kiedy wyją syreny, trudno po prostu spać – mnie tej nocy budzą co najmniej dwa razy. Rano jednak trzeba zjeść, pójść do pracy, załatwić swoje sprawy.

Przyjechałem pytać o zboże, porty i pieniądze, a tymczasem Polska zaczyna wracać w rozmowach w sposób, którego się nie spo-

eprasa.pl e47b8e13bb

dziewam. Nie tylko ja pytam – okazuje się, że pytania są również do mnie. Jedno wydaje mi się tak niedorzeczne, że najpierw odpowiadam śmiechem. Później przestanę się śmiać.

•

Mój kalendarz jest wypełniony spotkaniami z dyrektorami, przedsiębiorcami i urzędnikami, a Odessa ma być miejscem zdobywania wiedzy o kondycji ukraińskiego eksportu rolnego, gromadzenia przydatnych kontaktów oraz bazą do wyjazdów nad ukraiński Dunaj.

Zbieram również zaskakujące impresje.

Siadam na murku pod hotelem, żeby sporządzić notatki przed jedną z rozmów. Po rosyjsku nie pisałem ręcznie od 30 lat, więc biedzę się nad wiotkim zeszytem. Podchodzi ochroniarz i po rosyjsku mówi, żebym tu nie siedział, więc poirytowany dopowiadam sobie: nie wolno, teren prywatny. Okazuje się, że kamień jest mokry, bo przed chwilą go myto po gawronach, a ochroniarz zatroszczył się, żebym nie zmoczył spodni. Wskazuje suche miejsce kawałek dalej. Cerber okazał się troskliwym opiekunem – wystarczyło, że pozwoliłem mu dokończyć zdanie.

Człowiek bardzo szybko wkłada cudzy gest do gotowej szuflady: zakaz, nieufność, kontrola. A przecież znaczenie potrafi, jak tutaj, przesunąć się o metr na murku i nagle wszystko znaczy coś innego. W Odessie zdarza mi się to coraz częściej.

Kobieta sprzedająca mi bilet na marszrutkę do Izmaiłu nie ogranicza się do wskazania numeru stanowiska, wychodzi ze mną, żeby pokazać, skąd mam odjechać. – Posadzimy pana – mówi. – Ale nie tam pana posadzimy.

Żart jest drobny, właściwie niepotrzebny, i dlatego go zapamiętuję. Wciąga mnie w rozmowę, a stąd można przejść dalej: do informacji, do relacji, czasem po prostu do pobycia chwilę z drugim człowiekiem.

Przy dworcu wchodzę do galerii Ostriw, kupuję czebureka, coś do picia i kawę. Na stoisku z arbuzami widzę plastikowego kota, przed wejściem pomnik dwóch kotów, a później przy jednej z bram trafiam na napis „foto za karmę". Niżej, w pudełku po butach wyłożonym kocykiem, śpi stare kocisko.

Propozycja wydaje mi się uczciwa. Myślę o tej „kociej Odessie", kiedy na pasach zagaduje mnie kobieta z pieskiem. – Ugryzie – ostrzega.

Spoglądam pod nogi: stary, maleńki ratlerek. – Bardziej bym się bał, że zrobi kupę – odpowiadam i oboje zaczynamy się śmiać.

Od tego momentu już sam zagaduję, poklepuję po ramieniu i jestem poklepywany.

•

Telefon pokazuje 19.40, a po chwili 11.11. Poprawiam godzinę, ale znowu jest źle. Innym razem Google Maps przekonuje mnie, że idę nie chodnikiem, a środkiem kamienic; moja pozycja przesuwa się w te i we wte o kilkanaście metrów. Rozmowy na WhatsAppie rwą się. Uprzedzano, że podczas zagrożenia z powietrza rozpoczyna się walka radioelektroniczna. Ale trudno stwierdzić, które wybryki telefonu mają z wojną związek, a które wynikają ze zwykłych problemów z siecią.

Po wymeldowaniu się z hotelu nie mam ochoty przez osiem godzin krążyć po mieście w oczekiwaniu na wi eczorny pociąg.

Przy Kanatnej 6 miał działać coworking CLUSTER. Planuję: usiądę, zgram nagrania i uporządkuję notatki. Coworkingu już jednak nie ma. Pod tym adresem działa atelier-kawiarnia: szyją na zamówienie, naprawiają ubrania, mają gotowe rzeczy, a do tego podają kawę. Doceniam biznesową kreatywność, ale nie wygląda to na wymarzone miejsce do spędzenia ośmiu godzin z laptopem, więc zagaduję barmankę, gdzie przeniósł się coworking.

Po rosyjsku, bo już pierwszego dnia zorientowałem się, że w tym języku prowadzi się w Odessie wszystkie rozmowy. Odpowiada po ukraińsku, a potem przechodzi na angielski: – w jakim języku chcesz rozmawiać?

– Po rosyjsku – odpowiadam po rosyjsku i powtarzam: szukam miejsca do pracy, dopiję kawę i idę gdzie indziej. Ona po angielsku przekonuje, żebym został. Wnoszę komputer na antresolę i się rozkładam.

Dla rozprostowania kości i przebudzenia co pół godziny schodzę po pepsi z lodem i cytryną. Sześć złotych w lokalu? Grzech nie korzystać.

Roboty mam dużo i na kilka godzin ginę w notatkach. Dla rozprostowania kości co pół godziny drepcę po pepsi z lodem i cytryną. Sześć złotych? Kto by nie zamówił.

Czasami przebija gwar z dołu. Barmanka rozmawia z klientami po rosyjsku, choć dociera do mnie i ukraiński – właśnie tutaj po raz pierwszy tak często. Po osiemnastej wchodzi większa grupa kobiet. Siadają na dole i gawędzą z barmanką. Po rosyjsku. Zaczynam mimowolnie słuchać.

– Upadł niedawno koło tego banku – mówi jedna.

– Ja to nie mam gdzie się schować – odpowiada barmanka. – Biegnę do parku Szewczenki, między drzewa.

– W ogóle jakieś pechowe miejsce – to już klientka. – Co zrobić, Banderole biją.

Rzeczywiście, w tych dniach w komunikatach z głośników i aplikacji często pojawiają się Banderole – amunicja krążąca o napędzie odrzutowym, którą Rosjanie od pewnego czasu uzupełniają niewyczerpane, niesławne Shahedy.

Potem rozmowa przechodzi na rytm alarmów.

– Rano otwieramy, jest dobrze, potem godzinami nic i nic. Łatwo się przyzwyczaić – mówi barmanka.

– Tak, przyzwyczajasz się. Nie tutaj, to tam – dopowiada inna klientka.

– No ale port – dodaje barmanka. – Widzisz, to samo w sobie przyciąga i nie daje spokoju.

Po dziewiętnastej składam komputer. Schodzę z antresoli, odnoszę butelkę i szklankę. Barmanka pyta – po angielsku – czy jutro przyjdę. – Jutro będę w Polsce – odpowiadam, ale nie wiem jeszcze, że mój pociąg będzie dwukrotnie ewakuowany.

•

Na Ryszelijewskiej kobiety niosą kwiaty, a mężczyźni wychodzą z kwiaciarni z bukietami. Widzę je znacznie częściej niż w Warszawie. Nie zamierzam tworzyć rankingu romantyczności miast, ale nic nie poradzę, że w notatkach mam kwiaty i kwiaty. Łatwo byłoby zrobić z nich symbol „życia, które zwycięża" albo uznać, że skoro ludzie kupują róże, to żadnego zagrożenia nie ma. Oba wnioski są za szybkie.

Skoro jesteśmy przy Warszawie... Podczas rozmów wypytuję każdego eksperta nie tylko o jego działkę, ale i o to, co Polska mogłaby zrobić dla Odessy. Ale tak, żeby pomóc naprawdę, a nie sprowadzić całą relację do schematu: Polacy coś tam dają, Ukraińcy biorą, uściski dłoni, pamiątkowe fotografie, deklaracje solidarności, a potem przyda się albo nie.

Ku mojemu zaskoczeniu kilku rozmówców znacznie chętniej mówi o interesie niż o moralnych powinnościach. Naszym, polskim interesie.

Zawstydzony codzienną polską ukrainofobią, o której oni musieli słyszeć, zawsze zaczynam od tego, że Polska wspierała Ukrainę, więc powinna wspierać ją dalej. Na co oni odpowiadają: pewnie, ale co możecie z tego mieć?

Przypomina mi się handel na suku. Jeśli turysta płaci pierwszą podaną cenę i nie próbuje się targować, traci szacunek kupca. Następnym razem usłyszy wyższą. Skoro sam nie pilnuje własnego interesu, daje drugiej stronie prawo sprawdzić, jak daleko można się posunąć.

Z tą myślą czuję się jak sympatyk Konfederacji, przecież wiem, że nie mogę przekładać doświadczeń z krajów arabskich na Ukraińców, ale trudno odeprzeć skojarzenie, gdy w kilku rozmowach powtarza się podobna logika: skoro Polska coś daje, powinna umieć powiedzieć, czego oczekuje w zamian.

Kolejne zaczynam więc właśnie w tym duchu. Pomoc może pozostać pomocą, a jednocześnie być dla nas kontraktem, zamówieniem, szkoleniem czy inwestycją.

Serhij Rozow, dyrektor Departamentu Rozwoju Gospodarczego Odeskiej Rady Miejskiej, zaczyna od autobusów. Wojna sprawiła, że miasto tramwajów i trolejbusów musi przeprosić się z pojazdami spalinowymi, bo podczas blackoutów elektryczny transport szwankuje. Słyszę, że Odessa chętnie przyjęłaby używane pojazdy wycofywane przez polskie miasta. – Im więcej, tym lepiej. Idealnie byłoby 60-70.

Druga rzecz to generatory, ale nie takie, którymi można zasilić lodówkę albo kilka lamp. Rozow mówi o urządzeniach o mocy 70-80 kilowatów i większej dla szkół, szpitali oraz miejskich instytucji, a przy węzłach ciepłowniczych nawet około 100 kilowatów. Ciepła woda płynie rurami przez miasto bez zakłóceń, ale bez prądu nie ruszy pompa, która ma ją wtłoczyć do domu. – Teraz miasta muszą przetrwać. I moje miasto musi – dodaje.

Ale nie zatrzymuje się przy darach. Proponuje wspólny program dla odeskich firm, w którym polska instytucja uczestniczyłaby w wyborze projektów i zapewniała finansowanie. Jeżeli firma potrzebowałaby maszyny, kupowałaby ją za polskie pożyczone pieniądze

Z głośników kobiecy głos: „Uwaha! Ohołoszeno powitrianu trywohu!" i zalecenie, żeby mieszkańcy zeszli do schronu. Nikt nie zawraca. Nikt nie przyspiesza kroku. Mam wrażenie, że tylko ja słyszę komunikat i syreny

– ale w Polsce. Jeżeli potrzebowałaby wyszkolić pracowników – szkolenie odbywałoby się w Polsce. Polska strona wykładałaby środki, ale spora część z nich wracałaby do polskiej gospodarki w postaci zamówień, miejsc pracy, podatków. Odeska firma dostawałaby zaś sprzęt albo wiedzę, na które nie może sobie pozwolić.

Wychodzę z urzędu. Odessa jest piękna, ale trudno zapomnieć o zaniedbaniu. Chodniki dziurawe, remontu potrzebują nie tylko fasady, ale całe budynki, od piwnic przez instalacje po dachy. W starych tramwajach i trolejbusach świecą stare drucikowe żarówki, takie, jakie pamiętamy sprzed dekad. Co nie jest takie złe. Dają ciepłe, miodowe światło, które niemal dotyka człowieka. Dla mnie to sensualny obraz, niemal jak z Rembrandta, no i naukowcy dawno stwierdzili, że nasz organizm woli takie światło niż zimny, bodźcujący układ nerwowy trupi blask. Dla kogoś stąd – po prostu kosztowny, niebezpieczny rupieć.

•

Po Rembrandcie przychodzi Machiavelli. Najpierw jednak potrzebna jest glosa.

W Odessie widzę mnóstwo niebiesko-żółtych flag: wiszą na domach, są namalowane na bramach. Co w tym niezwykłego? To, że nie widzę ani jednej czarno-czerwonej – z początku niewinnej, bo Strzelców Siczowych w Wielkiej Wojnie, po niej przejętej przez nacjonalistów. I w polskiej świadomości już na stałe sklejonej z UPA oraz Wołyniem. Nie trafiam też na hasła w rodzaju „Ojciec nasz Bandera, Ukraina matka", które rzucały mi się w oczy we Lwowie.

Ze Lwowa jadę płackartą, otwartym wagonem z miejscami do leżenia. Wokół mnie dwóch mężczyzn i kobieta, najwyżej trzydziestoletni. Dobrze ubrani, z szalikami Szachtara Donieck jako dodatkami do fajnych stylówek. Rozmawiają swobodnie, oczywiście po ukraińsku, czytają, zamawiają herbatę i kawę u prowadnika, konduktora i stewarda w jednym. Do mnie dzwoni córeczka, ale przed Tarnopolem połączenie się rwie. Oddzwonię na stacji, kiedy będzie zasięg.

Po tej krótkiej rozmowie mam wrażenie, że atmosfera się zmienia. Współpasażerowie milczą, patrzą na mnie. Czuję się, jakbym popsuł im zabawę. Tylko czym? Swoją polszczyzną?

Zawstydzam się własnego samozawstydzania, podszytego przecież jakąś zbiorową wyższością czy grupowym egoizmem. Dlaczego akurat ci pasażerowie klasy pierwszej w pociągu ze Lwowa – niechby najbardziej oczytani, zorientowani w sprawach międzynarodowych, bieżącej polityce historycznej, meandrach dawnych i obecnych relacjach polsko-ukraińskich, mieliby postrzegać tę przypadkową sytuację przez ten pryzmat? Może akurat odpłynęli myślami do zepsutego samochodu, jutrzejszego spotkania w interesach czy weekendu.

I rzeczywiście, mija kwadrans i zasypiają. Ja śpię krótko i od wczesnego ranka próbuję pracować.

Współpasażerowie budzą się przed siódmą i zaczynają prasówkę z telefonu. – Polaky – mówi jeden, jakby trochę głośniej. – Patrz, nasze groby niszczy, a nie podoba się, że wolno ekshumują na Wołyniu.

Zgaduję, że chodzi o Brauna, który zdewastował pomnik UPA pod Hrubieszowem. Ale nie zagaduję.

– Hipokryci – dodaje kobieta. Potem „patrz, i na to patrz" – domyślam się, że przeglądają zdjęcia uszkodzonej tablicy. – Lubią walkę na trupy.

Nie odzywam się, tylko notuję.

A później, już w marszrutce jadącej wzdłuż Dunaju, na południe od Odessy, siedzę ściśnięty na tylnym siedzeniu ramię w ramię z młodym ukraińskim żołnierzem, który ma na przedramieniu wytatuowane swastyki i inne faszystowskie symbole. Od niego nie czuję ani cienia wrogości, choć także odbieram telefon z domu i rozmawiam po polsku.

Wśród całego tego galimatiasu pojawia się X. Ma około czterdziestu lat, wysoki, szczupły, urodził się w Odessie jeszcze w Związku Radzieckim, rodzice przyjechali z Noworosyjska. Interesuje się historią, w pewnym momencie przywołuje Machiavellego. Rozmawiamy, oczywiście, po rosyjsku. I nagle pyta:

– Czy Polacy chcą odebrać Ukrainie Lwów?

Jestem zmęczony, więc mimowolnie prycham ze śmiechu. Pytanie wydaje mi się tak odległe od polskiej rzeczywistości – tej mainstreamowej, wielkolechickie zakamarki internetu zostawmy na boku – że biorę je za dowcip.

X jednak klaruje, że granice w historii zmieniają się często, tylko pojedynczemu człowiekowi kilkadziesiąt lat wydaje się wiecznością. Po czym wyjaśnia, że nie lubi nacjonalistów ze Lwowa i nie miałby nic przeciwko, gdyby miasto znalazło się w Polsce.

Trochę się odprężam, a wtedy słyszę, że mieszkańcy Krymu w większości chcieli należeć do Rosji, podobnie jak Donieccyzny i Ługańszczyzny. A gdy pytam o Odessę, odpowiada, że gdyby kiedyś stała się rosyjska w wyniku jakiegoś referendum, on by nie protestował.

Więc odpowiadam, że Lwowa nie chcę i nie znam w Polsce powszechnego pragnienia przesuwania granicy na wschód. Zdążyłem już jednak w kilku rozmowach zauważyć, jak bardzo obraz Polski może być budowany z tego, co pokazują platformy społecznościowe, więc dodaję, że mechanizmy profilowania potrafią wyciągnąć najbardziej skrajny głos z marginesu, zmultiplikować i pokazać sąsiadom jako opinię całego kraju. Wspominam rosyjską propagandę, boty i algorytmy pomagające takim treściom krążyć.

X przerywa mi: – Nie wszystko Putin, Putin.

Później rozmawiamy o mediach klasycznych. X nie wierzy, że niezależna prasa istnieje. Ktoś przecież zawsze płaci, ktoś ma interes, ktoś chce wpływać na to, co ludzie myślą. Według niego to rzecz równie oczywista, jak to, że państwa pilnują swoich interesów i korzystają z okazji, kiedy mogą przesunąć granicę.

Machiavelli wraca do rozmowy – myślę sobie – i próbuję tłumaczyć najprościej, jak potrafię.

Opowiadam o „Solidarności" za późnego komunizmu i o tym, że wtedy, pod sowieckim bu-

eprasa.pl e47b8e13bb

tem, w Polsce niezależność mediów stała się częścią wyobrażenia o demokracji. Nie twierdzę, że nasze media są święte, wolne od nacisków właścicieli, pieniędzy, ideologii czy polityków. Mówię tylko, jak wygląda nasza praca: naczelny nie daje nam instrukcji, co mamy napisać. Możemy wysłać tekst, on może go odrzucić, a wtedy próbujemy sprzedać materiał gdzie indziej. X nie wygląda na przekonanego.

Dojeżdżamy do miejscowości, do której ma mnie odstawić. Chcę zakończyć rozmowę czymś lżejszym i przypomina mi się Woland z „Mistrza i Małgorzaty" oraz jego: „Miejcie na uwadze, że Jezus istniał". Uprzedzam X, że będzie to moja parafraza. – Miejcie na uwadze, że wolne media istnieją.

Uśmiecha się. Ściskamy dłonie na pożegnanie. Zanim wysiądę, słyszę:

– A ja mówię, że granice jeszcze się zmienią. Lwów będzie polski.

●

K. ma dziewiętnaście lat, pochodzi z Odessy i od 2021 roku mieszka w Polsce. Teraz wraca tu po około trzech miesiącach spędzonych u ojca. Jej polskiego życia nie da się więc opowiedzieć prostym skrótem: wybuchła wojna, uciekła, pojechała na wakacje i wraca.

Ojciec ma czterdzieści cztery lata. K. opowiada, że kiedyś służył w policji, później pracował w dużym gospodarstwie rolnym, przez pewien czas zarabiał w Polsce, a po pełnoskalowej rosyjskiej inwazji zgłosił się na ochotnika. Najpierw kontrolował samochody na blokpostach, później był również w okopach na pierwszej linii. Niedawno przeszedł kolejne szkolenia i zajmuje się obsługą dronów. Nie pytam o jednostkę, miejsce służby ani szczegóły.

Właśnie podczas tego szkolenia K. przyjechała do niego na trzy miesiące. Pokazuje nagrania z poligonu, na który zabrał ją ojciec. Na jednym leży na ziemi i strzela z kałasznikowa, na innym ostrzeliwuje niewidoczny cel raz w przyklęku, raz na stojąco. W tle słychać męski głos podpowiadający, kiedy oddać strzał, kiedy odetchnąć.

Na kolejnym filmie widać szerszy plener i tarcze ustawione – jak mówi K. – około pięćdziesięciu metrów dalej. Pokazuje miejsca, w które trafiła.

Ojciec niedługo znów jedzie na front. K. mówi, że wojna zrobiła go bardziej nerwowym. W jej opowieści ma wymiar bardzo materialny: mundur, wyposażenie, paliwo, telefon, szkolenia, kolejny wyjazd. Według córki ojciec dostaje około stu tysięcy hrywien miesięcznie. 8,5 tysiąca złotych – na ukraińskie warunki to więcej niż godna pensja, ale sporo rzeczy potrzebnych do służby musi kupować za własne pieniądze.

K. nie skończyła liceum; brakuje jej dwóch lat nauki i matury. Chciałaby studiować architekturę, ale nie widzi prostej drogi, żeby ten plan zrealizować. W Polsce pracowała u znajomej Ukrainki i robiła klientkom paznokcie.

Śmieje się, kiedy zauważam, że sama paznokci zrobionych nie ma. Przez ostatnie trzy miesiące zamiast przy stoliku kosmetycznym pracowała z ojcem przy domu i samochodzie. Do nowej ojczyzny wraca w koszuli w pikselowy kamuflaż, który z bliska wygląda, jakby ktoś zaprojektował go w Robloxie.

W jej świecie te rzeczy nie układają się w osobne szuflady. Poligon i gry komputerowe, ojciec jadący na front i marzenie o studiowaniu architektury, wojskowa koszula i salon paznokci, nowe życie w bezpiecznym kraju i cienie należą do tej samej dziewiętnastoletniej dziewczyny.

Niewesoło to wybrzmiewa, kiedy opowiada o Valorancie. W popularną strzelankę grała z Ukrainy przez internet z kolegami i koleżankami z Polski, kiedy ogłoszono alarm. Powiedziała, że musi odejść od komputera i schować się w przedpokoju. Jedna z dziewczyn nie mogła zrozumieć, dlaczego K. nagle przerywa grę. A jeden z graczy nazwał ją „ukraińską dziwką".

K. nieraz zdarzało się słyszeć klasyczną poradę, żeby „wypierdalała na Ukrainę". A jednocześnie w Polsce ma przyjaciół, pracowała i spędziła ważne lata dorastania.

Także życie uczuciowe K. nie trzyma się granic. Teraz jest z dwudziestoczteroletnim Ukraińcem, który mieszka w Polsce, ale w innym niż ona mieście. Wcześniej spotykała się ze starszym od siebie Polakiem, o którym dopiero po rozstaniu dowiedziała się, że ma żonę i dziecko.

O tym wszystkim K. zaczyna mi opowiadać w pociągu, jeszcze zanim po raz pierwszy każą nam z niego wysiąść.

●

Z Kanatnej 6 idę na odesski dworzec około czterdziestu minut, przez rejony, które przypominają Brooklyn. Pochłonięty tym obrazkiem prawie ignoruję alarm.

Główna poczekalnia jest już zamknięta. Z megafonów proszą o zachowanie ostrożności i zejście do schronu, ale większość pasażerów czeka przed budynkiem. Patrzę na tablicę odjazdów i zaczynam podejrzewać, że mój pociąg będzie opóźniony: składy, które powinny już dawno ruszyć, nadal stoją.

Dwa razy ta sama sekwencja. Alarm odwołany, głos z megafonu nakazuje pasażerom pociągu Odessa-Kowel wrócić do wagonów. Po pięciu minutach syreny wyją i ludzie znowu muszą wysiadać. Dla dorosłych to niewygoda, złość, zmęczenie podróżą i nerwy. Z dziećmi wygląda to inaczej. Niektóre traktują sekwencje wsiąść-wysiąść-wsiąść jak zabawę, inne są niewzruszone, jak dziewczynka w różowym dresie, która ogląda na telefonie rodzica SpongeBoba. I rzecz jasna są takie, które płaczą.

Ale to jeszcze nie mój pociąg. Dopiero około dwudziestej pierwszej podstawiają skład Odessa-Przemyśl i piętnaście minut później udaje nam się ruszyć zgodnie z rozkładem. Mija może pół godziny, kiedy prowadnica przechodzi przez przedziały i informuje, że za chwilę się zatrzymamy. – Ewakuacja!

Stajemy na małej stacji. Każą nam przejść przez tory na dalszy peron, żeby nie stać przy składzie. Jest noc, Część pasażerów podnosi głowy i patrzy w rozgwieżdżone niebo, inni gapią się w telefony. Twarze wynurzają się z ciemności, oświetlone zimnym światłem ekranów.

Po dziesięciu minutach alarm odwołany, wracamy do wagonów. Nie mija kwadrans, kiedy pociąg zatrzymuje się ponownie. Tym razem nie ma nawet peronu. Schodzimy z nasypu w zarośla i stoimy w ciemności. Ludzie żartują, ale czuć napięcie.

W moim wagonie jadą dwie kobiety z dwoma psami – mopsem i buldogiem francuskim. Teraz z ciemności dochodzą ich charakterystyczne pomrukiwania, ciamkanie i sapanie. Nie wiedzieć czemu, przypomina mi się „Saturn pożerający własne dzieci" Goi. Odessa zdążyła chyba udzielić mi trochę swojej gadatliwości, bo mówię głośno, że za chwilę wyjdzie z krzaków potwór i nas wszystkich zje.

Śmiejemy się i ten śmiech naprawdę pomaga. Jesteśmy przede wszystkim ludźmi z jednego pociągu, a dopiero potem Ukraińcami i Polakiem.

●

W przedziale K. opowiada dalej. Zakładamy się, ile razy pociąg zostanie jeszcze zatrzymany: ja obstawiam raz, ona, że ani razu. Wygrywa.

W Przemyślu wysiadamy i przechodzimy kontrolę. K. rozgląda się i dostrzega zielony szyld sklepu, którego w Polsce nikomu nie trzeba przedstawiać.

– Boże, Żabka, jak ja tęskniłam.

Półtorej godziny później jadę już do Warszawy i porządkuję notatki. W nowym wagonie toaleta oznajmia: „drzwi otwierają się", „drzwi zamykają się". Za każdym razem, gdy słyszę głos z nagrania, przez ułamek sekundy spodziewam się komunikatu: „powietrzna trwoga".

Następnego dnia zaczynam pisać ten tekst. Na pobliskiej alei Stanów Zjednoczonych jakiś samochód rusza spod świateł z pełną mocą. Silnik wchodzi na obroty i przez sekundę jego dźwięk układa mi się w modulację syreny alarmowej.

Nie boję się – rozum natychmiast podsuwa właściwe wyjaśnienie. Ciało potrzebuje jednak chwili dłużej. ●

REKLAMA
Kraj/34458729



eprasa.pl e47b8e13bb

OBAWIAM SIĘ EUROPEJCZYKÓW, GDY PRZYNOSZĄ DARY

Najlepszej porady o pokusach, popularności i populizmie udzielił mi Nigel Farage.

Z **SIR JACOBEM REESEM-MOGGIEM*** ROZMAWIA **BARTOSZ KIELAK**

Jak się pan czuje, gdy nazywa się pana „wielce szanownym posłem na XIX wiek”?
– Och, uwielbiam to. Jeśli najgorsze, co można o mnie powiedzieć, to że jestem trochę staroświecki, nie ma w tym nic strasznego. A w polityce jest tak, że jeśli nikt nie robi z pana karykatury, to znaczy, że nikogo pan nie interesuje.

Komediant ma znacznie łatwiejszą pracę niż polityk. Przekonał się o tym Boris Johnson, pana dawny zwierzchnik, który chyba lepiej się czuł jako showman i prowokator na pograniczu dziennikarstwa i rozrywki. Bo kiedy po przejściu do wielkiej polityki postanowił pozostać trochę enfant terrible, a trochę ekscentrykiem o niewyparzonym języku, zaczął zaliczać wpadkę za wpadką.
Z kolei z panem 25 lat temu wywiad przeprowadził z panem autentyczny komik, Sacha Baron Cohen, czyli sławny Borat. Teraz wraca do roli Alego G.
Myśli pan, że będzie okazja znów z nim porozmawiać?
– Nie sądzę. I nie sądzę, żeby dziś to równie się udało.

Kiedy przeprowadzał ze mną wywiad, w ogóle nie pojawiał się jeszcze w telewizji. Byłem więc przekonany, że to poważna rozmowa, choć pytania były dziwaczne. Zabawne, że coś podobnego przeżyłem później, rozmawiając z Tuckerem Carlsonem. On też zadawał mi takie pytania, że nie mogłem uwierzyć, iż ktokolwiek naprawdę może tak myśleć. I właśnie dlatego tamta sytuacja z Alim G była śmieszna: kompletnie nie rozumiałem, co się dzieje. Byłem zupełnie zagubiony podczas wywiadu z tym człowiekiem, wydawał mi się tak osobliwy. Było mi go nawet trochę żal. Dostałem list z informacją, że nazywa się Ali Gupta i że przeprowadzi ze mną wywiad do swojego nowego programu. Pomyślałem sobie: „Biedny człowiek, długo tej pracy nie utrzyma. Tak kiepsko mu idzie”.

A nie mogłem bardziej się mylić. Dlatego nie sądzę, by drugi raz to zadziałało, bo wiedziałbym już, kim on jest. Próbowałbym więc być zabawny, a dla polityka to zabójcze. Politycy z natury nie są zabawni.

A czy to prawda, że jako dwunastolatek napisał pan do redakcji flagowego programu radiowego BBC, domagając się zapłaty za swój występ?
– Cóż, obiecali mi zapłacić, ale pieniądze nie przyszły, więc wysłałem im przypomnienie. Tak.

W serwisach społecznościowych hulał ostatnio żart komika Jamesa Acastera: pozostanie w Unii Europejskiej jest jak pozostawienie torebki herbaty w filiżance. Torebka robi się coraz słabsza, ale herbata mocniejsza. A kiedy wyjmie się torebkę, ląduje prosto w koszu. Czy uważa pan brexit za sukces?
– Och, tak. Ogromny. Brexit przyniósł Wielkiej Brytanii bardzo wiele dobrego. Był wyraźnym przywróceniem zasady demokracji: znów sami o sobie decydujemy.

Nie musimy podporządkowywać się przepisom narzucanym nam przez obce państwa, a to niezwykle ważne. Brexit miał też ogromne znaczenie gospodarcze.

Interesujące. Ekonomiści mówią o spadku PKB, w zależności od analizy, od 2 do 8 proc., eksportu o plus minus 15 proc. Co prawda straty okazały się mniejsze, niż prognozowano, niemniej w pierwsze najtrudniejsze dwa lata po Brexicie przepadło przeszło 20 mld funtów z wyhamowanego eksportu. Wiele danych wskazuje, że najmocniej ucierpieli ci, którzy mieli zyskać na odzyskanej rzekomo suwerenności, czyli niewielkie firmy.
– Jeśli spojrzy pan na brytyjską gospodarkę, najszybciej rozwijają się sektory technologiczne. A to dlatego, że nie krępuje nas unijna dyrektywa dotycząca sztucznej inteligencji. Przygotowujemy się więc do kolejnej fali wzrostu, podczas gdy Europa sama sobie rzuca kłody pod nogi.

Nasza gospodarka radzi sobie lepiej niż niemiecka i francuska. Jest jeszcze, oczywiście, Polska, która radzi sobie nadzwyczaj dobrze, ale jest w innej sytuacji, nadrabia zaległości po dziesięcioleciach, w których hamowano jej rozwój.

Natomiast twierdzenie, że członkostwo w Unii pomogłoby naszej gospodarce, można włożyć między bajki.

Zastanawiam się nad zdolnością polityków do zmiany poglądów. Polski wicepremier i minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, z którym niechybnie obraca się pan w podobnych kręgach towarzyskich i wywodzi się z podobnego środowiska ideowego, przeszedł drogę od eurosceptycyzmu do stanowiska bardzo przychylnego Unii Europejskiej. Więc kto wie, czy kiedyś pan nie będzie przekonywał do zacieśnienia relacji z Unią. O czym już obecnie debatuje się w Wielkiej Brytanii.
– Absolutnie nie. Nie jestem nawet pewien, czy Unia Europejska przetrwa. Proszę spojrzeć na Francję, która ma bardzo poważne problemy finansowe. Może potrzebować gigantycznego pakietu ratunkowego.

Europa będzie musiała zdecydować, czy może sobie na to pozwolić. A jeśli nie, to wspólna waluta znajdzie się w tarapatach, bo jeśli Francja wypadnie ze strefy euro, prawdopodobnie nie będzie już czegoś takiego jak euro. Nie uważam więc, by Unia Europejska była trwałą, raz na zawsze ukształtowaną strukturą.

Uważam, że powinniśmy utrzymywać przyjazne stosunki z sąsiadami. To pożyteczne. Ale z całą pewnością nie chcę, byśmy przejmowali jakiekolwiek przepisy unijne. Nie chcę też zbliżenia z Unią, o którym mówi obecny premier. Nie sądzę, żeby wyszło nam to na dobre.

Naszą drugą zachodnią wspólnotą jest NATO. Ale i ono przestaje być pewnikiem. Odkąd Donald Trump powrócił do polityki, wiedzieliśmy, że stosunek Stanów Zjednoczonych do Sojuszu się zmieni. Kilka państw europejskich zaczęło podkreślać potrzebę ściślejszej współpracy obronnej, ale te wysiłki postępują, delikatnie mówiąc, opieszale.
Stanowisko Polski i Wielkiej Brytanii zawsze było takie samo: wszystko w ramach NATO, nic poza NATO. Teraz jednak widzimy, że Europa zaczyna jednoczyć się wokół kwestii obronności. Zastanawiam się więc, czy właśnie w tej płaszczyźnie Wielka Brytania nie powinna zbliżyć się z Europą, by chronić swoje interesy.
– Obawiam się, że nie ufam Europejczykom, jeśli chodzi o właściwe prowadzenie polityki obronnej. Proszę spojrzeć na porozumienia mińskie wynegocjowane przez Francję i Niemcy. Miały zakończyć wojnę w Donbasie, a jedyne, co zrobiły, to pozwoliły Rosji zająć Krym bez żadnych konsekwencji.

Kiedy zbliżała się rosyjska inwazja na Ukrainę, Brytyjczycy wysłali Ukraińcom pociski rakietowe, żeby mogli się bronić. Nawet nie zapytaliśmy Niemców o zgodę na przelot nad ich terytorium, bo wiedzieliśmy, że odpowiedzą „nie”, a nie chcieliśmy się o to z nimi kłócić. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ta postawa, ten sposób myślenia, obecnie nagle się zmieniły.

Powinno nam zależeć na dalszym zaangażowaniu Ameryki. Donald Trump osiągnął jedną niezwykłą rzecz: wzrosły wydatki państw NATO na obronność. Wzrosły, ponie-

Kiedy zbliżała się rosyjska inwazja na Ukrainę, wysłaliśmy Ukraińcom pociski rakietowe. Nawet nie zapytaliśmy Niemców o zgodę na przelot nad ich terytorium, bo wiedzieliśmy, że odpowiedzą „nie”



• **Na zdjęciu: Sir Jacob Rees-Mogg**

FOT. JONATHAN BRADY/PA IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl e47b8e13bb

waż Trump powiedział: „No dalej, bądźcie poważni".

Nie możecie zakładać, że Ameryka zrobi wszystko za was. Polska była w tym usamodzielnianiu się pionierem, pański kraj jest wzorem tego, co powinniśmy robić u siebie. Żałuję, że nie radzimy sobie lepiej. Musimy radzić sobie lepiej. Ale ten proces nie powinien odbywać się w każdym kraju na własną rękę, lecz przede wszystkim w ramach NATO.

Odwracanie się od Ameryki tylko dlatego, że ludzie nie lubią Donalda Trumpa – bo w gruncie rzeczy o to chodzi – byłoby bardzo krótkowzroczne. Za dwa lata będzie inny amerykański prezydent, a naszym zadaniem będzie ułożenie sobie relacji z nim i przekonanie go, kimkolwiek będzie, że bezpieczeństwo Europy leży również w narodowym interesie Stanów Zjednoczonych.

W programie BBC „Today" i w wywiadzie, którego udzielił mi we wrześniu, minister Sikorski w niezawoalowany sposób skrytykował brytyjskie priorytety budżetowe: wysokie nakłady na świadczenia socjalne przy niedofinansowanej obronności. Czy Wielka Brytania wywiązuje się dziś ze swoich zobowiązań sojuszniczych?

– Myślę, że przez długi czas robiliśmy więcej niż inni, a teraz inni nas dogonili i wyprzedzili. Jeśli więc spojrzeć na ostatnie 25 lat, wywiązywaliśmy się ze swoich zobowiązań.

Ale dziś wydajemy na obronność za mało i musimy ograniczyć zbyt kosztowne świadczenia socjalne. Przestajemy być w stanie je finansować. Torysi mają propozycje cięć i przeznaczenia zaoszczędzonych pieniędzy na obronność. Musimy bowiem znów brać pod uwagę możliwość wojny, zamiast zakładać, że żyjemy w czasach pokoju.

A najlepszym sposobem na zachowanie pokoju jest gotowość do wojny. Nie sądzę, by Putin napadł na Krym, a tym bardziej na pozostałą część Ukrainy, gdyby uważał, że napotka rzeczywiście sprawny system obrony.

To prowadzi nas do wspomnianego niedawnego wywiadu z Tuckerem Carlsonem, podczas którego zdecydowanie odrzucił pan jego próby usprawiedliwiania motywów Hitlera, kiedy ten napadł na Polskę. Zyskał pan dzięki temu sporą sympatię polskich odbiorców. Ale w podobny sposób uzasadnia się agresję Rosji. Dlaczego skrajna lewica i skrajna prawica tak łatwo przyjmują argument, że wojna w Ukrainie jest jedynie odpowiedzią na imperialistyczną politykę Zachodu, a zatem była uzasadniona?

– Uważam, że ich argumenty są bardzo słabe i pomijają rzecz fundamentalną. Wielka Brytania, Ameryka i Europa nieuchronnie będą popełniać błędy w polityce zagranicznej. Ale musi istnieć jedna podstawowa zasada tej polityki: nienaruszalność suwerennych państw. Można krytykować rozszerzanie NATO i tak dalej – ja akurat bym tego nie robił – i można twierdzić, że było to działanie prowokujące Putina. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo czuł się sprowokowany, nie usprawiedliwia to inwazji na Ukrainę.

Myślę więc, że skrajna lewica i radykalna prawica po prostu nie rozumieją znaczenia integralności terytorialnej suwerennych państw narodowych. Nie przypadkiem Rosja, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zagwarantowały jej integralność terytorialną, kiedy zrezygnowała z broni jądrowej.

Co pana zdaniem popycha Carlsona ku obarczaniu ofiary winą za napaść?

– Kiedy zaczynałem pracę w GB News – a prowadzę program bezpośrednio po Nigelu Farage'u – Nigel udzielił mi rady. Powiedział: „Pewnego dnia powiesz coś kontrowersyjnego, w co naprawdę wierzysz, i odkryjesz, że przynosi ci to znakomitą oglądalność i ogromny odzew w serwisach społecznościowych".

Lecz na tym nie skończył. Ciągnął: „Pojawi się pokusa, żeby następnego dnia powiedzieć coś jeszcze bardziej kontrowersyjnego. A kolejnego dnia jeszcze bardziej. Aż w końcu wpadniesz w spiralę kontrowersji i zaczniesz wygłaszać coraz bardziej niedorzeczne rzeczy. Możesz w ten sposób przyciągnąć publiczność, ale stracisz wiarygodność".

Zawsze mam tę przestrogę z tyłu głowy, zarówno w GB News, jak i publikując w sieci. Zdobywanie kliknięć jest dość łatwe, jeśli mówi się rzeczy szokujące. Obawiam się, że właśnie dlatego Tucker Carlson to robi.

Jest bez wątpienia inteligentny, potrafi się zastanowić nad różnymi sprawami i całkiem przyjemnie się z nim rozmawia. Nie jest żadnym ukrytym sympatykiem nazizmu. Ale proszę spojrzeć na jego model biznesowy. Zarabia ogromne pieniądze na rozpowszechnianiu teorii spiskowych i wszelkich odmianach clickbaitu. Zakładam, że właśnie dlatego mówi takie rzeczy. Nie sądzę, żeby był aż tak głupi, by wierzyć, że dobrze byłoby, gdyby Hitler wygrał drugą wojnę światową.

Zanim skrytykujecie Trumpa za zniesienie embarga na rosyjską ropę, przyjrzyjcie się, dokąd płynie jego gaz. A dokąd trafiają nasze odpady jądrowe do ponownego przetworzenia?

Pan jest ostrożny z krytyką Trumpa. Ale ostatnie doniesienia z Waszyngtonu, w tym wiadomość, że Amerykanie zaczęli kupować olej napędowy z Rosji, wywołały pewne zaniepokojenie w Wielkiej Brytanii i w Europie. Zełenski powiedział, że poczuł się zdradzony. Czy pana zdaniem Donald Trump zdradził również Wielką Brytanię?

– Nie sądzę, żeby zdradził Wielką Brytanię, ale uważam, że popełnił błąd w swojej polityce. Sama Rosja ma niedobór oleju napędowego, więc nie ma go zbyt wiele na eksport.

Z drugiej strony, nie powinno się rzucać kamieniami, mieszkając w szklanym domu. Wie pan równie dobrze jak ja, że z Rosji nadal płyną do Europy ogromne ilości gazu i że mnóstwo oleju napędowego produkuje się w Indiach z rosyjskiej ropy. A dokąd trafiają nasze odpady jądrowe do ponownego przetworzenia? Wszystkie trafiają do Rosji. Brytyjczycy nie wysyłają ich bezpośrednio do Rosji, ale to niewiele zmienia. Najpierw wszystko wysyłamy do Francji, a Francja wysyła to dalej do Rosji, bo nikt inny nie potrafi właściwie się nimi zająć.

Uważam, że złagodzenie sankcji przez USA to błąd polityczny, ale nikt z nas nie ma w tej sprawie tak czystych rąk, jak by sobie życzył.

Pamiętam, jak w czasie kadencji rządu, w którym był pan ministrem, przygotowywałem programy polityczne Sky News i BBC. Wśród moich współpracowników panowało to samo przekonanie, co w brytyjskim społeczeństwie – że plaga bezczelnego zaprzeczania udokumentowanym doniesieniom o Partygate podczas najostrzejszych lockdownów i innym skandalach, które w końcowym okresie nękały rządy torysów, mocno przyczyniła się do znużenia całym establishmentem politycznym.

Część winy można i należy przypisać kulturze spinu, podrzucania mediom odpowiednio spreparowanych informacji, którą wprowadził Alastair Campbell, makiaweliczny strateg polityczny rządu Borisa Johnsona. Niemniej wydaje się, że to przesycenie spinem podważyło zaufanie do establishmentu i w rezultacie pomogło Farage'owi i jego partii Reform UK.

– Właściwie widzę to trochę inaczej. Rozmawiałem z niektórymi osobami uczestniczącymi w wydarzeniach, które dopiero później zaczęto nazywać imprezami. One naprawdę, ale to naprawdę nie uważały wtedy, że są na jakimś przyjęciu. To tak, jakbyśmy siedzieli tutaj, a ktoś wniósł kawałek tortu i powiedział: „Wszystkiego najlepszego". Sądzę więc, że oni naprawdę byli przekonani, iż nie złamali zasad.

Moim zdaniem błędem był sam lockdown. Ludzie mieli dość zamknięcia. Uważali, że trwało to zbyt długo. Mieli poczucie, że ograniczenia dotykają ich bardziej niż innych. Niemal każdy rząd, który wprowadził lockdown, przegrał późniejsze wybory parlamentarne.

A doniesienia o przyjęciach były tylko – wybaczy mi pan ten żart, ale nie mogę się powstrzymać – wisienką na torcie.

Próbuję ustalić, co doprowadziło do załamania poparcia Partii Konserwatywnej w wyborach parlamentarnych i do wzrostu popularności partii UK Reform, która przedstawia się jako antyestablishmentowa.

– Myślę, że lockdown był jednym z powodów. Bardzo ważna była też bezczynność w sprawie imigracji – i to również, tak się składa, było następstwem covidu. Uznaliśmy bowiem, że skoro część ludzi była na postojowym, a część przeszła na emeryturę, to po prostu potrzebujemy pracowników. Dlatego w pierwszym roku po zniesieniu lockdownów liczby wymknęły się spod kontroli. Ludzie mieli poczucie, że sami ciężko pracują, płacą podatki, ich poziom życia się nie poprawia, a ktoś, kto nielegalnie przypłynie łodzią, dostaje pokój w hotelu i przyjemnie spędza czas. Narastało poczucie niesprawiedliwości oraz przekonanie, że konserwatyści stracili panowanie nad sytuacją. W ciągu zaledwie kilku lat mieliśmy trzech premierów. A właściwie trzech premierów w ciągu jednego roku. Wyglądaliśmy przez to śmiesznie.

Lecz owszem, myślę, że ma pan rację, wskazując na Alastaira Campbella. Powszechne przekonanie, że rządy nie mówią prawdy, również istnieje. Kiedy zaczęto stosować polityczny spin, był to bardzo sprytny zabieg, bo ludzie na ogół wierzyli, że rządy mówią prawdę. Można więc było wykorzystać to zaufanie, by odpowiednio przedstawić fakty. Ale teraz wszystko obróciło się przeciwko politykom. Ludzie uważają spin za zwykłe oszustwo, nawet jeśli przekazywana informacja jest prawdziwa.

Sądzę, że doprowadziło to do całkowitego załamania zaufania do tego, co mówią rządy. Nie tylko nasz rząd, dotyczy to właściwie każdego rządu.

Kiedy przychodziłem do BBC, współpracownicy nigdy otwarcie nie ujawniali swoich poglądów politycznych. Nie miałem pojęcia, co myślą ani jakie mają przekonania. W Polsce sytuacja na rynku mediów wygląda zgoła odmiennie. TVP, czyli nadawca publiczny, po każdych wyborach dostaje się pod wpływ zwycięskiej opcji politycznej. Jednocześnie niedawno na polskim rynku medialnym pojawił się „Fox News turbo", czyli Newsmax i mówi się, że za jego ściągnięciem stoją szare eminencje polskiej prawicy.

Inne stacje telewizyjne zatrudniają polityków PiS – dawniej sojusznika pana partii – i związanych z PiS dziennikarzy. Można to opisać jako swoistą „GB News-izację" mediów. Pan, polityk, były parlamentarzysta, prowadzi dziś w tej właśnie stacji własny program. Czy politycy powinni być autorami i gospodarzami w telewizji, nawet prywatnej?

– Tak uważam. Bo środowisko medialne zmieniło się fundamentalnie. W latach 50. istniało tylko BBC, stąd było niezwykle ważne, żeby stacja finansowana ze środków publicznych zachowywała niezależność i bezstronność.

BBC rzeczywiście mogło wpływać na wyniki wyborów, ponieważ było jedynym takim kanałem przekazu. Potem pojawiły się ITV, Channel 4, Channel 5, wreszcie Sky – i tak docieramy do 1990 roku. Lecz nadal mieliśmy dość ograniczony wybór mediów, więc można było uzasadniać wymóg bezstronności.

Ale w 2020 roku są już tysiące kanałów. Jest YouTube i mnóstwo innych platform społecznościowych. Model, który wymagał tamtego rodzaju regulacji – zresztą obowiązujących do dziś – całkowicie się rozpadł. Przy czym GB News również podlega nadzorowi Ofcomu [brytyjski regulator mediów]. Obowiązuje nas zasada należytej bezstronności.

Jeśli więc prezentuję stanowisko konserwatywne, muszę zaprosić kogoś z innej partii, żeby przedstawił swoje argumenty i odniósł się do moich. A jeśli rozmawiam tylko z konserwatystą, sam muszę przedstawić alternatywny punkt widzenia. To zresztą całkiem ciekawe wyzwanie intelektualne: występować w roli adwokata drugiej strony.

Moim zdaniem powinniśmy pójść dalej. Zniósłbym ograniczenia wobec Sky. Zniósłbym je wobec wszystkich nadawców z wyjątkiem BBC. W przypadku BBC utrzymałbym je tylko tak długo, jak długo wszyscy składają się na jego finansowanie. BBC powinno być niezależne. Ale próba regulowania dzisiejszych mediów tak, jakbyśmy nadal żyli w latach 50., jest skazana na porażkę, bo istnieje po prostu zbyt wiele innych kanałów przekazu. Tego dżina nie da się już z powrotem zamknąć w butelce.

Pański ojciec był w drugiej połowie XX wieku wybitnym brytyjskim dziennikarzem i redaktorem naczelnym gazety, dla której sam często piszę. W pewnym momencie walczył nawet z magnatem prasowym Rupertem Murdochem, próbując nie dopuścić do przejęcia „The Times". Co sądziłby o tym, że dziś łączy pan karierę dziennikarską z polityczną?

– Myślę, że byłby zaintrygowany. Żył jeszcze, kiedy zostałem wybrany do parlamentu, i ogromnie się z tego cieszył. Sądzę, że moja obecna praca też by go interesowała, bo był pierwszym prezesem Newsmaxu i zawsze śledził rozwój mediów. Fascynowałoby go więc to, co robię na YouTube, w GB News i w różnych innych kanałach, które nie istniały, kiedy zaczynał karierę.

Byłby też bardzo ciekaw obecnej sytuacji politycznej i tego, dokąd zmierza nasz kraj: czy odejście od systemu dwupartyjnego okaże się trwałe, czy tylko chwilowe. I wiem, że podzielałby moje stanowisko – albo raczej ja podzielałbym jego – co do słuszności polityki wobec Ukrainy i znaczenia wspólnego demonstrowania siły.

Byłem bardzo blisko związany z ojcem. Ogromnie go podziwiałem. Był wspaniałym człowiekiem. ●

*Sir Jacob Rees-Mogg

• Urodzony w 1969 roku, zawód: konserwatysta. Nim w 2024 r. fala popularności Partii Pracy pozbawiła go mandatu, przewodził „matce wszystkich parlamentów", brytyjskiej Izbie Gmin. Dziś torys i były minister ds. Brexitu w rządzie Borisa Johnsona agituje wyborców z anteny prawicowej telewizji GB News.
W ostatnich tygodniach dotarł także do odbiorców w Polsce – za sprawą wywiadu z Tuckerem Carlsonem, jednym z najbardziej wpływowych amerykańskich prawicowych influencerów, w którym sprzeciwił się usprawiedliwianiu hitlerowskiej agresji na Polskę.

Bartosz Kielak

• korespondent „The Times", laureat grantu Centrum Pulitzera. Wcześniej pracował dla Sky News i BBC, gdzie zajmował się tematyką Ukrainy i NATO.

eprasa.pl e47b8e13bb

KULTURA OBYCZAJE



Gdy sen staje się jawą

Chętnie wkładamy tych, którzy doświadczają psychoz, do szufladki z napisem „inni”. Bo przecież nie „my” – my, racjonalnie myślący i umiejący odróżnić rzeczywistość od wyobraźni.

Monika Redzisz

Jak opowiedzieć o codzienności przebywania w dwóch rzeczywistościach? Gdzie wszystko jest na granicy (NIE)istnienia. Snu i Jawy. Prawdy. Mojej. Jak stanąć w Prawdzie, gdy nie wiem, czy bardziej jestem sobą na lekach, czy bez nich? Moje życie ma dwie Pory Roku – Światło i Ciemność. Ze Światłem idą Dobre Duchy, które są oparciem, towarzyszeniem, współprzeżywaniem; delikatną, życzliwą obecnością. I korzeniami z drzewa rzeczywistości. Ciemność przychodzi razem z Cieniami czarniejszymi od nocy”.

Tak zaczyna swój tekst jedna z laureatek konkursu literackiego skierowanego do osób z doświadczeniem psychozy, który ukazał się w „Dictum” – nadzwyczajnym dodatku literackim kwartalnika „Psychiatra”. Konkurs ogłoszony został w październiku 2024 roku przez Polskie Towarzystwo na rzecz Psychologicznego i Społecznego Podejścia do Psychoz, a jego celem było zachęcenie osób, które miały psychotyczne doświadczenia, do opisania swoich przeżyć i emocji.

„Mieliśmy poczucie, że mało jest takich relacji pochodzących od osób bezpośrednio zaangażowanych z Polski” – piszą we wstępie prof. Katarzyna Prot-Klinger i dr. n. med. Radosław Tomalski z PTPSPP.

Katarzynę Prot-Klinger, psychiatrkę i psychoterapeutkę, profesorkę Akademii Pedagogiki Specjalnej, która szkoli i superwizuje terapeutów pracujących z osobami z psychozą, spotykam na konferencji psychologicznej w Warszawie zorganizowanej przez Laboratorium Psychoedukacji. Kiedy proponuję jej rozmowę na temat psychozy, nie odmawia, ale od razu zastrzega, że nie zamierza mówić w imieniu osób, które same doświadczyły kryzysu psychotycznego.

– Nie chciałabym mówić z pozycji ekspertki, która lepiej od nich wie, co przeżywają, im samym odmawiając prawa głosu – mówi. – Dlaczego nie porozmawia pani z osobami, które doświadczyły psychozy? Ich nikt nie pyta, im nikt nie wierzy. Choć psychoza psychozie nierówna, to doświadczenie jej sprawia, że stają się niewiarygodni. Dotyka ich to, co można by określić jako epistemiczne wykluczenie, epistemiczną niesprawiedliwość.

Małgorzata: Dla niektórych już zawsze będę psychotyczką

Małgorzata ma za sobą tylko jedno doświadczenie psychozy.

Ma 40 lat, z wykształcenia jest filolożką. Pracowała jako tłumaczka, ale zapotrzebowanie na tłumaczenia było coraz mniejsze. Pięć lat temu straciła pracę, więcej – zdała sobie sprawę z tego, że jej zawód stracił sens. Na to nałożyły się problemy osobiste.

– Pierwsze słowo, które przychodzi mi na myśl, kiedy myślę o moim doświadczeniu, to „zaskoczenie”. To było całkowicie zaskakujące – opowiada. – Wiedziałam, że ludzie miewają psychozy, że istnieje taka choroba jak schizofrenia, ale miałam takie samo przekonanie jak większość społeczeństwa: że mnie to nie dotyczy.

Nigdy nie interesowałam się psychologią; wydawało mi się, że taka tematyka pociąga osoby, które miały trudne dzieciństwo, traumatyczne przeżycia, a moje dzieciństwo było szczęśliwe. Miałam dobre życie. Na pewno utrata pracy była trudnym doświadczeniem, ale kto w dzisiejszych czasach jest wolny od takiego ryzyka?

– Jak to wyglądało od środka? – dopytuję.

– Porównałabym to do snu. Sen staje się jawą, granice się zacierają – opowiada. – Czułam zagrożenie, bezsilność i przytłaczającą samotność, ale jednocześnie chciałam być sama. Nie byłam hospitalizowana; opiekowali się mną w domu rodzice. A potem leki za-

eprasa.pl e47b8e13bb



FOT. GETTY IMAGES

częły działać, psychoza minęła i wróciłam do normalnego życia.

Od trzech lat pracuję w IT i ku mojemu zaskoczeniu bardzo tę pracę lubię. Przez nowe technologie straciłam pracę i przez nowe technologie zyskałam nową...

Psychoza była dla mnie bardzo trudnym doświadczeniem, ale umożliwiła mi przewartościowanie swojego życia. Była początkiem zmian. Było trudno, ale dawałam radę, a potem był efekt kuli – im lepiej mi szło, tym bardziej się starałam i widziałam, że to daje efekty. To paradoksalnie dało mi większe poczucie własnej skuteczności. Czułam, że skoro z tym sobie poradziłam, to poradzę sobie też w innych trudnych sytuacjach. Mam dziś więcej odwagi, żeby być sobą – uśmiecha się.

Mimo że tylko raz w życiu doświadczyła psychozy, bardzo odczuwa tę utratę wiarygodności, o której wspomniała prof. Prot-Klinger.

– Dla niektórych już zawsze będę psychotyczką – mówi. – Kiedy poprosiłam psychiatrę o dokumentację medyczną, nigdzie nie było ujęte, że jestem aktywna zawodowo, mimo że to, że się pozbierałam po psychozie i mam nowy zawód, to moim zdaniem dowód na to, że jestem silna.

Przeglądałam tę dokumentację i miałam wrażenie, że wszystko potwierdzało założenie, że coś jest ze mną głęboko nie tak. To była teza niefalsyfikowalna. Jestem z natury dociekliwa. W pracy bardzo mi się to przydaje, ale u psychiatry moja dociekliwość była interpretowana jako nadmierna podejrzliwość. Kiedy o coś dopytywałam, wychodziło na to, że jestem paranoiczna. Kiedy byłam entuzjastyczna, byłam opisywana jako impulsywna. Kiedy starałam się być spokojna – byłam wycofana. Normalne cechy postrzegane były przez lekarzy poprzez pryzmat psychozy. Straciłam w ich oczach wiarygodność i tego nie da się już cofnąć.

Psychoza to nie schizofrenia

Czym jest właściwie psychoza? To stan umysłu, w którym mamy trudności z odróżnieniem tego, co jest rzeczywiste, a co nie. Do jej głównych objawów zalicza się halucynacje, czyli fałszywe doznania zmysłowe – najczęściej słuchowe, czasem wzrokowe czy pochodzące z innych narządów zmysłów, i urojenia, czyli fałszywe przekonania – prześladowcze, wielkościowe czy hipochondryczne.

Utożsamiana jest często ze schizofrenią – chorobą przewlekłą – i faktycznie często się z nią wiąże, ale nie musi tak być – stany psychotyczne występują także w innych zaburzeniach psychicznych, a także mogą występować u osób zdrowych.

Mimo to chętnie wkładamy tych, którzy doświadczają psychoz, do szufladki z napisem „inni". Bo przecież nie „my" – my, racjonalnie myślący i umiejący odróżnić rzeczywistość od wyobraźni...

Psychoza jest więc nie tylko wewnętrznym przeżyciem, lecz także złożoną sytuacją psychospołeczną, ponieważ pociąga za sobą określone konsekwencje.

Coraz częściej mówimy dziś otwarcie o różnych zaburzeniach psychicznych, depresji, stanach lękowych, chorobie afektywnej dwubiegunowej i wielu innych, które do niedawna były tematem tabu, ale nikt publicznie nie przyznaje się do psychozy.

Bo co by się stało, gdyby architekt ogłosił, że miał halucynacje? Czy pozwolono by mu zaprojektować kolejny most? Co, gdyby polityk przyznał, że słyszał głosy? Gdyby policjantka powiedziała, że miała urojenia prześladowcze?

Takie wyznanie oznaczałoby dla nich społeczne, polityczne, zawodowe samobójstwo. Choćby doświadczyli psychozy raz przed piętnastu laty i mimo że psychoza psychozie nierówna. Ta łatka przylgnęłaby do nich na zawsze.

Kamil: Ten głos na początku był przyjazny

Kamil ma 35 lat i właśnie kończy doktorat na Uniwersytecie Warszawskim. Diagnozę schizofrenii paranoidalnej postawiono mu pomiędzy szesnastym a siedemnastym rokiem życia.

– Jako dziecko bardzo lubiłem fantastykę i fantasy; lubiłem wyobrażać sobie siebie w innych światach – opowiada. – Trudno mi wskazać moment, kiedy wyobrażenia z dzieciństwa przeistoczyły się w świat psychotyczny.

Moje urojenia i halucynacje przez długi czas nie manifestowały się na zewnątrz, tylko rozgrywały w moim wewnętrznym świecie. A ja nie wiedziałem przecież, że może być inaczej. Przez lata towarzyszył mi pewien głos.

Można go porównać do wyobrażonego przyjaciela, jakiego ma wiele dzieci. Tyle tylko, że zamiast powoli zanikać, stawał się coraz bardziej realny. Był to jakby osobny byt w moim ciele, który mi pomagał, towarzyszył, tłumaczył rzeczywistość.

Psychoza jest jakąś formą adaptacji do świata; dlatego ten głos na początku był przyjazny. Ale w pewnym momencie się zmienił. Stał się moim przeciwnikiem, a jego siła była destrukcyjna.

Pojawiły się urojenia wielkościowe: że dominuję nad większością moich rówieśników intelektem i zdolnościami, że mogę na nich wpływać i nimi kierować. Miałem silne objawy prześladowcze, ciągle czułem na sobie czyjś wzrok. Doświadczałem też stanów katatonicznych, moje ciało nagle zastygało.

Pewnego dnia napisałem na ścianie swojego pokoju wielkimi literami: „Teraz ja przejmuję zasady gry!". To był krzyk rozpaczy, protestu wobec tego, co się we mnie dzieje.

To wtedy moi rodzice zorientowali się, w jakim jestem stanie. Na schizofrenię chorowała moja kuzynka, w starszych pokoleniach też występowały zaburzenia psychotyczne.

Pomiędzy szesnastym a dwudziestym piątym rokiem życia mam jedno wielkie doświadczenie: chorowanie, szpitale psychiatryczne, farmakologia. Niestety, leki na mnie nie działały, nie tłumiły głosów ani halucynacji.

Przyjmowałem czasem po siedem-osiem leków jednocześnie, a wciąż miałem doświadczenie depersonalizacji, wizje, że amputuję sobie rękę, nogę, podrzynam gardło...

Nigdy nie zrobiłem sobie krzywdy, bo zawsze w takich chwilach stawał mi przed oczami obraz mojej matki płaczącej nad moim ciałem.

W międzyczasie zdałem maturę i dostałem się na fizykę teoretyczną. Na studiach poznałem żonę. Od razu powiedziałem jej o mojej diagnozie. Zrozumiałbym, gdyby nie chciała utrzymywać ze mną relacji, ale ona powiedziała: „Opowiedz mi o tym. Chcę Cię lepiej poznać". Wydawać by się mogło, że te kilka słów to nic takiego, ale dla mnie to było metafizyczne wręcz doznanie. Szybko pojawiło się między nami wielkie uczucie i bardzo silna więź. To była moja pierwsza tak głęboka relacja z drugą osobą.

I wtedy zacząłem mieć makabryczne wizje. Dlaczego? Bo ją kochałem, a psychoza zawsze uderza w to, co jest dla nas najważniejsze.

Nigdy nie zachowałem się w stosunku do niej agresywnie, ona nigdy nie czuła się zagrożona. A jednak tak bardzo się przestraszyłem, że mógłbym zrobić jej krzywdę, że rozstałem się z nią i wróciłem do rodziców. Życie straciło wszelkie kolory. Świat był jak narysowany ołówkiem na szarej kartce.

Ale rodzice się nie poddali. Natrafili na informację o oddziale w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, który skoncentrowany jest na psychoedukacji, terapii i terapii rodzin. Bo skoro leki na mnie nie działały, musiałem nauczyć się z tym żyć. To był początek mojego zdrowienia.

Mam szczęście, że urodziłem się w rodzinie z wysokim kapitałem kulturowym, która mnie wspierała. Gdybym był pozostawiony sam sobie, nie osiągnąłbym tego, co osiągnąłem. Bo w momencie, kiedy objawy dominują, nie potrafię o siebie zadbać. Musi być ktoś, kto zaprowadzi mnie do lekarza, kto sprawdzi, czy biorę leki, czy chodzę na terapię.

To, co ja mówiłem lekarzowi na wizycie, mogło być zupełnie różne od tego, co mu mówiła moja mama, która mnie widziała na co dzień. Bywało, że odstawiałem leki. Bywało, że kiedy brat wiózł mnie do szpitala taksówką, próbowałem wyskoczyć z jadącego samochodu.

To nie oznacza, że wszystkie ich działania były dobre, ale kto wie, jak się zachowywać w takich sytuacjach? Po to, żeby się dowiedzieć, moi rodzice i rodzeństwo co tydzień dojeżdżali 300 km do Warszawy na terapię rodzin.

Lekarze przeanalizowali tam to, jak się ubieram i jakiej słucham muzyki, jakie książki czytam i jak napisałem maturę. Wszystko po to, żeby pokazać mi, jaki jestem naprawdę.

Co jest wytwórcze, a co moje, rzeczywiste. Bo odkąd dostałem diagnozę, wszystko, co robiłem, co mówiłem, czym się interesowałem, było interpretowane poprzez pryzmat psychozy. A przecież to tylko część mojego życia.

Wydaje mi się, że jednym z największych wyzwań w procesie zdrowienia jest zrozumienie, że nie wszystko we mnie jest chore, że ja cały czas pozostaję sobą i mam prawo do swoich ocen, opinii i decyzji.

Dziś nie patrzę na siebie przez pryzmat choroby. Pracuję i uczę się, mam ukochaną żonę i prawdziwych przyjaciół, którzy wiedzą, co mi dolega. Cały czas przyjmuję leki.

Wciąż mam pewne objawy – depersonalizacje i lęki. Trudno mi się ogolić, bo nie rozpoznaję się w lustrze. Kiedy obudzę się w nocy, boję się, że z ciemności wynurzy się potwór. Kiedy wchodzę do lasu, boję się demonów.

To są te same lęki, które miałem jako dziecko, one po prostu ze mną zostały. Ale to nie oznacza, że nie wchodzę do lasu. Niemal codziennie przeżywam jakąś trudną konfrontację z życiem, ale wiem, że gdybym się poddał, przestałbym funkcjonować. To by była śmierć społeczna i kolejne stracone lata. Dla mnie wyjście ze schizofrenii to powrót do funkcjonowania społecznego.

Granica między normą a patologią

Przez wieki osoby, które wykazywały zaburzenia psychiczne, separowane były od reszty „zdrowego" społeczeństwa. Jak pisze Michel Foucault w „Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu", dopiero w XIX wieku chorych psychicznie przestano traktować jak przestępców i wtrącać ich do więzień.

To wtedy zaczęły powstawać szpitale psychiatryczne. Podobnie jednak jak więzienia były miejscami odosob-

eprasa.pl e47b8e13bb

nienia – tworzone były najczęściej za miastem, tak jak podwarszawskie Tworki czy Drewnica. Pacjenci byli uważani za społecznie bezużytecznych, nienadających się do funkcjonowania w społeczeństwie.

– Istnieją dwie główne koncepcje dotyczące schizofrenii – opowiada prof. Katarzyna Prot-Klinger.

– Pierwsza to koncepcja kreplinowska. Emil Kraepelin, niemiecki psychiatra, stworzył w XIX wieku nazwę: dementia praecox, czyli otępienie wczesne. Według jego koncepcji nie wiadomo, jakie są przyczyny choroby, może też mieć różny przebieg, ale na pewno dojdzie do otępienia, czyli znacznego pogorszenia funkcji poznawczych.

Wciąż żyjemy w tym paradygmacie – w przekonaniu, że schizofrenia jest ciężką chorobą degeneracyjną. Diagnoza schizofrenii wciąż jest jak wyrok.

Na początku XX wieku szwajcarski psychiatra Eugen Bleuler stworzył inną koncepcję schizofrenii: uważał, że w tym zaburzeniu funkcje psychiczne pozostają w rozdzieleniu, nie są zgodne ze sobą – na przykład przykrej myśli może towarzyszyć przyjemny nastrój.

To on wymyślił nazwę „schizofrenia" – od greckiego słowa schizis: rozdzielenie, rozdarcie. Dziś podstawą do rozpoznania schizofrenii są trwające ponad miesiąc objawy psychotyczne, a także utrata motywacji czy stłumiona ekspresja emocjonalna. Jednak wiele z tych objawów występuje także w innych zaburzeniach psychicznych.

– Schizofrenia co prawda jest obecna jako jednostka chorobowa w obowiązujących klasyfikacjach, ale wielu cenionych psychiatrów i poważnych instytucji wyraża wątpliwość, czy takie zaburzenie psychicznie faktycznie istnieje i czy warto w związku używać tego pojęcia – mówi profesor Prot. – W psychiatrii diagnozujemy przecież objawowo.

Nie ma badań obrazowych, które pozwalają stwierdzić bądź wykluczyć daną chorobę, tak jak jest to w przypadku – powiedzmy – guza mózgu. Zaburzenia psychiatryczne nie są więc chorobami w sensie medycznym; to konstrukcje, za pomocą których konceptualizujemy ten rodzaj doświadczeń.

W związku z tym diagnoza zmienia się, kiedy zmienia się konceptualizacja. Dlatego ja wolę używać kategorii psychoza. To pojęcie bardziej ogólne i nie tak stygmatyzujące jak schizofrenia.

Zmianę kryteriów diagnostycznych w zależności od sytuacji społecznej dobrze pokazują zmiany w klasyfikacji amerykańskiej DSM – opowiada profesor.

– W latach pięćdziesiątych według DSM I schizofrenia była chorobą osób wycofujących się z życia, rezygnujących z aktywności. Zdarzało się, że mąż przywoził do szpitala psychiatrycznego żonę, argumentując, że przestała gotować mu obiady.

W latach sześćdziesiatych, w okresie protestów czarnych, w diagnostyce zaczęły przeważać kryteria związane z agresją, wrogością.

Schizofrenia przestała być chorobą leniwych kobiet, a zaczęła być chorobą agresywnych, czarnych mężczyzn.

Do dziś osoby czarne w Stanach Zjednoczonych częściej otrzymują taką diagnozę.

Rzeczywiście schizofrenia do dziś kojarzy się z zachowaniem niebezpiecznym, społecznie nieakceptowalnym.

– Kiedy dochodzi do morderstwa, a policja sprawdza, czy sprawca leczył się psychiatrycznie, w mediach od razu pada pytanie: bad or mad? I w świadomości odbiorców utrwala się pokutujące od dawna przekonanie, że osoby chorujące psychicznie popełniają brutalne przestępstwa.

To się oczywiście zdarza, ale w opowieści o psychozie agresja zajmuje znacznie więcej miejsca niż w rzeczywistości. Nawet jeśli u pacjentów pojawiają się myśli, żeby kogoś skrzywdzić, to odległość pomiędzy myślą a czynem jest ogromna. Wszyscy miewamy różne myśli agresywne, ale większość z nas jest bardzo daleka od tego, żeby przejść do ich realizacji.

– To prawda, wszyscy miewamy różne myśli i różne emocje. Gdzie w takim razie zaczyna się psychoza? – pytam.

– Pytanie o granicę jest trudne. W tej chwili, zarówno w klasyfikacji amerykańskiej DSM, jak i najnowszej klasyfikacji europejskiej ICD-11 przechodzimy z myślenia kategorialnego na znacznie mniej stygmatyzujące myślenie dymensjonalne.

Myślenie dymensjonalne polega na założeniu, że nie sam stan psychiczny czy objaw jest patologiczny, ale jego nasilenie, a granica między normą a patologią jest płynna. Podobnie może być trudno określić, czy dane myślenie odpowiada jeszcze poziomowi nerwicowemu, czy już osiąga poziom psychotyczny.

Oczywiście gdzieś stawiamy tę granicę, poza którą człowiek cierpi już tak bardzo, że potrzebuje pomocy, bo normalizowanie pewnych stanów nie oznacza normalizacji cierpienia. Wiele stanów jest też na granicy i wtedy trudno jednoznacznie określić, czy to już psychoza, czy jeszcze nie.

Co więcej, stosunek tej samej osoby do swoich doznań może się wahać nawet w ciągu jednego spotkania – raz może zdecydowanie twierdzić, że jest prześladowana, żeby za chwilę zgodzić się, że może być to tylko jej wrażenie – mówi profesor.

– Czy przyczyn należy upatrywać w genach, czy w czynnikach środowiskowych?

– Nie ma genu schizofrenii i wiemy już, że raczej go nie znajdziemy. Ale podobnie jak w przypadku innych zaburzeń psychicznych, można mówić o pewnego rodzaju podatności, na przykład dużej lękliwości. Sporo mówi się dziś o zaburzeniach przywiązania jako czynniku sprzyjającemu psychozie.

Natomiast wyzwalaczem zachorowania jest zazwyczaj jakaś trudna sytuacja życiowa. Warto spróbować zrozumieć, w jaki sposób ten konkretny kryzys odnosi się do podstawowego problemu osoby chorującej. Ktoś ma na przykład wczesne i traumatyczne doświadczenia separacyjne, a psychoza wybucha z powodu rozstania. Współczesna sytuacja wywołuje nieadekwatnie nasiloną reakcję.



Kamil: Napisałem na ścianie swojego pokoju wielkimi literami: „Teraz ja przejmuję zasady gry!". To był krzyk rozpaczy

Robert: Moje dolegliwości się zaostrzają, gdy pojawia się miłość

Robert ma 59 lat, jest lekarzem radiologiem. Choruje psychiatrycznie od ponad 30 lat, od kilkunastu ma diagnozę schizofrenii.

– Pochodzę z rodziny inteligenckiej. Rodzice najpierw byli nauczycielami, a potem, po zrobieniu doktoratów, pracowali na uczelni. Atmosfera w naszym domu była raczej chłodna i nieprzyjemna. Kiedy miałem 15 lat, rodzice się rozwiedli, ale jeszcze przez 10 lat mieszkaliśmy wszyscy razem. Nie rozmawiali ze sobą; odgrywaliśmy z siostrą role pośredników.

Byłem zawsze raczej zamknięty w sobie, małomówny, nieśmiały, ale mniej więcej do końca studiów radziłem sobie całkiem nieźle. Po studiach zacząłem pracę w Zakładzie Radiologii na Akademii Medycznej i przeżyłem pierwsze starcie z dorosłym życiem.

Koledzy zaczęli zakładać rodziny, a ja nie mogłem sobie nikogo znaleźć. Na weselu jednego z nich poznałem dziewczynę, z którą zacząłem się spotykać. To była moja pierwsza erotyczna relacja. Po dwóch czy trzech miesiącach pojawiła się pierwsza psychoza.

Wszystko odnosiłem do siebie. Wydawało mi się, że koledzy w pracy zbierają się w pokoju obok i spiskują przeciwko mnie. Nie byłem w stanie wyjść z domu i kupić papierosów w kiosku pod blokiem, bo byłem pewien, że kioskarz wie o mnie wszystko.

Mam głównie zaburzenia paranoiczne. Jest to zwarty system urojeń, który budzi reakcję otoczenia, dochodzi więc do samospełniającej się przepowiedni. Kiedy mi się roi, że wszyscy mnie obgadują, to po pewnym czasie rzeczywiście się tak dzieje. Nie mam natomiast zaburzeń paranoidalnych, które polegają na rojeniu czegoś, co w ogóle w rzeczywistości nie istnieje.

Psychiatra nie rozpoznał u mnie schizofrenii, tylko nerwicę, ale przepisał mi neuroleptyki. Psychoza się cofnęła, wróciłem do równowagi. Kiedy moja dziewczyna wyjechała na pół roku do Stanów, odstawiłem leki i funkcjonowałem normalnie, ale jak tylko wróciła, powróciła także psychoza.

Stan zakochania wszystkim kojarzy się z euforią, mnie wręcz odwrotnie – mam wrażenie, że zapadam się w głęboką dziurę. Po dwóch latach związku musiałem zerwać z dziewczyną. Pamiętam, jak stałem w oknie, widziałem pary trzymające się za ręce i myślałem, że być może nigdy nie będzie mi to dane.

Od tego czasu jest to w moim życiu stały schemat: moje dolegliwości psychotyczne zaostrzają się, jak tylko pojawia się miłość. Od 30 lat nie jestem w stanie wejść w relację erotyczną. Przez ten czas byłem zakochany ponad 20 razy – w terapeutkach, w lekarkach, zdarzyło mi się nawet zakochanie w prezenterce telewizyjnej.

Wylądowałem wtedy po raz pierwszy w szpitalu psychiatrycznym. Nie byłem już w stanie wyjść z domu, zrobić zakupów ani chodzić do pracy.

Od 30 lat cały czas jestem w terapii indywidualnej, kilka razy uczestniczyłem w terapiach grupowych, należę też do grup samopomocowych. Jestem skazany na kontakty towarzyskie z osobami chorymi. Bo jeśli mam się spotkać z kolegą z pracy i rozmawiać o jego dzieciach, samochodach i rozgrywkach ligi futbolowej, to mnie to kompletnie nie interesuje.

Przez te lata bardzo się zmieniłem, stałem się o wiele bardziej otwarty.

Niestety, nie jest tak jak w hollywoodzkich filmach, że pacjent idzie na psychoanalizę, osiąga wgląd, że ktoś go skrzywdził w dzieciństwie, i następuje cudowne uzdrowienie.

Kilka lat temu zdecydowałem się na zrobienie czteroletniego studium psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji i zacząłem pracę jako psychoterapeuta. Niestety, nie byłem w stanie dokończyć studium, ponieważ odstawiłem leki i znowu rozwinęła mi się psychoza.

Co jakiś czas je odstawiam, bo leki tłumią objawy, ale powodują u mnie depresję. Po pewnym czasie nie chce mi się wstawać z łóżka, chodzić do pracy. Pojawia się myśl: gdy odstawię leki, będę bardziej żywy. W psychozie jestem zawsze jakby w takiej lekkiej manii.

Straciłem wtedy wszystkie cztery miejsca, w których byłem zatrudniony – dwa jako radiolog i dwa jako psychoterapeuta. Zostałem bez pracy i bez pieniędzy. Któregoś dnia nie mogłem wytrzymać już w domu i postanowiłem pójść za miasto, na biwak. Szedłem wzdłuż pobocza autostrady, skąd zgarnęła mnie policja i odstawiła do szpitala psychiatrycznego. Spędziłem tam półtora miesiąca.

Dzisiaj znowu funkcjonuję normalnie.

Leki i alternatywy

Polskie Towarzystwo na rzecz Psychologicznego i Społecznego Podejścia do Psychoz należy do istniejącego od 1956 roku International Society for Psychological and Social Approaches to Psychoses (ISPS). Jego celem jest propagowanie stosowania psychoterapii, a także innych psychologicznych oraz społecznych interwencji skierowanych do osób z doświadczeniem psychozy.

Bo w Polsce zaledwie kilka procent pacjentów z doświadczeniem psychozy otrzymuje pomoc psychoterapeutyczną. Wszyscy natomiast otrzymują leki.

– Nawet nie bierze się u nas pod uwagę tego, że można nie podać leku – mówi prof. Katarzyna Prot-Klinger. – Jeżeli pacjent ma lęki, to nie uważamy, że od razu trzeba mu podać lek przeciwlękowy, prawda? Oczywiste jest, że najpierw trzeba spróbować innych metod – rozmowy, ćwiczeń relaksacyjnych, terapii. Kiedy natomiast mamy do czynienia z psychozą, nasze podejście kompletnie się zmienia.

Potrzebna jest nam zasadnicza zmiana myślenia o psychozie jako o chorobie, w której, podobnie jak w innych zaburzeniach psychicznych, podstawową formą pomocy powinny być oddziaływania psychologiczne. Ale żeby było jasne – nie mówię, żeby nie stosować leków. Dobrze, że je mamy, są bardzo pomocne, ale przede wszystkim w ostrych stanach.

To trochę tak jak z antybiotykami, których też się w Polsce nadużywa. Jeżeli mogę zobaczyć chorego dziś, jutro i pojutrze, to mogę się wstrzymać z antybiotykiem. A jeżeli nie, to muszę mu podać antybiotyk, bo jest ryzyko, że rozwinie się infekcja bakteryjna. Jeśli nie możemy zaoferować wsparcia psychoterapeutycznego, czasem nie mamy po prostu innej opcji, tylko leki – mówi.

Alternatywne metody podejścia do osób z doświadczeniem psychoz istnieją od lat 70. W 1971 roku Loren Mosher, amerykański psychiatra, szef Centrum Badań nad Schizofrenią w Narodowym Instytucie Zdrowia Psychicznego, stworzył w Santa Clara w Kalifornii pierwszą Soterię – ośrodek dla osób, które przechodziły pierwszy lub drugi epizod psychozy.

Nastawiony był głównie na oddziaływania terapeutyczne i społeczne. Personel towarzyszył pacjentom w kryzysie, wspierał ich, do minimum ograniczając podawanie neuroleptyków lub podając bardzo małe ich dawki.

Okazało się, że pacjenci szybciej dochodzili do siebie niż w szpitalu i rzadziej mieli nawroty choroby. W 1984 roku Luc Ciom-

FOT. GETTY IMAGES (2)

1 RP

eprasa.pl e47b8e13bb

pi, szwajcarski psychiatra, dyrektor Uniwersyteckiej Kliniki Psychiatrii Społecznej i zastępca dyrektora Wydziału Psychiatrii Uniwersytetu w Bernie, stworzył podobny ośrodek w Bernie, który stał się wzorem dla innych Soterii powstających między innymi w Niemczech.

– Nie był to eksperyment naukowy, więc trudno jednoznacznie ocenić wyniki i do dziś są one dyskutowane, ale niewątpliwie dla części pacjentów byłaby to dobra propozycja. Wydaje się, że takich alternatywnych wobec szpitala rozwiązań powinno być jak najwięcej – uważa profesor.

W Polsce w latach 80. i 90. funkcjonowały zespoły leczenia domowego. Katarzyna Prot-Klinger przepracowała w nich większość swojego życia zawodowego – około 30 lat.

– Dostawaliśmy zgłoszenie i jeszcze tego samego dnia jechaliśmy do osoby z objawami psychotycznymi do domu. Oczywiście zdarzały się sytuacje, że pacjent musiał trafić do szpitala, ale w dużej mierze udawało nam się pomóc na miejscu i pacjent zostawał we własnym domu, pod opieką rodziny. To była alternatywa wobec szpitala. Niestety, dziś mało Zespołów Leczenia Domowego pracuje w taki sposób, sprawując opiekę nad pacjentami w ostrej psychozie.

W Finlandii powstał i funkcjonuje w wielu krajach ciekawy system określany jako Otwarty Dialog. Jego ideą jest interwencja na bardzo wczesnym etapie, kiedy jakieś zachowanie danej osoby wyda się jej bliskim dziwne i niepokojące.

Mogą wtedy zadzwonić i poprosić o pomoc zespół specjalistów, który przyjeżdża do nich do domu. Spotkanie odbywa się zazwyczaj w gronie rodziny czy przyjaciół, tak by osoba, która przeżywa ten dziwny stan, czuła się bezpiecznie. Tam starają się wspólnie zrozumieć, co się wydarzyło. W tym dialogu nikt nie jest wykluczony.

Badania pokazują, że w przypadku doświadczeń o charakterze psychotycznym tylko w jednej trzeciej potrzebna jest farmakoterapia. W pozostałych wystarczają rozmowa i wsparcie terapeutyczne. W Polsce rozwija się podejście oparte na Otwartym Dialogu, ale interwencja odbywa się często zbyt późno – już po diagnozie i po hospitalizacji.

– Jak jednak rozróżnić, czy to, co mówi osoba w psychozie, jest racjonalnym opisem rzeczywistości czy nie? – pytam.

– Ważne jest rozumienie, że nawet podczas aktualnie trwającej psychozy często człowiek nie jest w całości ogarnięty przez ten stan. Często potrafi rozpoznać u siebie moment, kiedy wchodzi w myślenie psychotyczne i jest w stanie podejmować racjonalne decyzje.

Oczywiście czasem trudno rozwikłać, czy dane zachowanie było jeszcze racjonalne, czy stanowiło początek psychozy. Na przykład osoby z doświadczeniem psychozy często uczą się, żeby nie wyrażać gniewu czy złości. Kiedy na skutek na przykład terapii zaczynają te uczucia wyrażać, słyszą, że to przesadzone i chorobliwe. Wtedy zdarza się, że nie wytrzymują konfliktu, i naprawdę zaczyna się psychoza. A ich bliscy mają potwierdzenie swojej tezy. „Od razu mówiłam, jak tylko zaczął się na mnie złościć!". A tymczasem tamten gniew nie musiał być chorobowy; stał się takim, bo nie napotkał odpowiedniego przyjęcia.

Maria: gdyby każdy psychoterapeuta tego doświadczył...

– Psychoza jest doświadczeniem z niczym innym nieporównywalnym. Próbowałam to kiedyś opisywać, ale trudno oddać specyfikę tego stanu, bo opowieść jest zawsze albo za bardzo z wewnątrz, albo za bardzo z zewnątrz – mówi Maria.

Jest psychoterapeutką, pracuje z ludźmi od 28 lat. W ciągu ostatnich 11 lat miała pięć doświadczeń psychotycznych.

– Czego jak czego, ale tego się nie spodziewałam mimo całego mojego doświadczenia życiowego i profesjonalnego – opowiada. – Wiedziałam, że podobnych stanów – poczucia zlania ze światem, wychodzenia poza swoje ciało, zmian percepcji, halucynacji – doświadczają osoby, które biorą psychodeliki. Zdarzają się one także tym, którzy praktykują medytację, jak również przy bardzo wysokim poziomie lęku.

Ale kiedy doświadcza się tego po raz pierwszy, trudno zaniepokoić się swoim stanem, bo to, co się dzieje, jest interesujące i zaskakujące; na początku wcale nie przeraża. Trzeba też pamiętać, że psychoza psychozie nierówna, a każde doświadczenie może się różnić – objawy nie muszą zawsze występować w tej samej kolejności i nie zawsze są takie same. To jest taki stan świadomości, że wyobrazić się go sobie nie da, ale gdy już go masz, to zmienia wszystko.

W moim przypadku była to początkowo subtelna zmiana. Kiedy dzisiaj o tym myślę, to od co najmniej półtora tygodnia musiały narastać objawy zwiastujące: podwyższony próg lęku, zaburzenia snu, nadwrażliwość zmysłowa, myśli odnoszące.

Przez cały ten czas pracowałam z pacjentami, rozmawiałam z koleżankami i kolegami terapeutami, brałam udział w superwizji. Nikt się nie zorientował. A potem gwałtownie się zaostrzyło. Nagle zaczęły się urojenia, omamy, splątanie.

Mieszkałam wtedy sama. Splątana zadzwoniłam z awanturą do superwizorki, że nie zauważyła mojego stanu podczas superwizji, która miała miejsce trzy dni wcześniej. Mam szczęście, że zareagowała życzliwie i przytomnie – to dzięki niej to moje pierwsze doświadczenie psychozy skończyło się dobrze. Jestem jej za to bardzo wdzięczna.

Rozmawiała ze mną przez telefon aż do momentu, w którym bezpiecznie znalazłam się w domu rodziców, jadłam krupnik i w towarzystwie babci oglądałam rodzinny album. Trafiłam do znajomego psychiatry i dostałam leki. Brałam je przez trzy dni. Objawy ustąpiły natychmiast. Po trzech tygodniach wróciłam do pracy.

Drugi epizod wydarzył się trzy lata później podczas medytacji i zaskoczył mnie równie mocno, jak ten pierwszy. Medytowałam od lat; zawsze obniżało to mój poziom lęku, gruntowało. Nie wiedziałam, że w medytacji mogą zdarzać się także niepożądane efekty.

Splątana, z halucynacjami i przymusem poruszania się trafiłam do psychiatrki. Chciała skierować mnie do szpitala, ale mój mąż namówił ją, żebyśmy spróbowali zostać w domu. Opiekował się mną na przemian z moją przyjaciółką. Całymi dniami podsypiałam. Psychoza jest doświadczeniem wykańczającym także fizycznie.

Pamiętam, że nawet trochę bawiła mnie ta sytuacja. „Gdyby każdy psychoterapeuta tego doświadczył, to może byśmy wiedzieli, co robimy" – rozmyślałam. Nie zdawałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa wynikającego na przykład z faktu, że prowadziłam samochód w odmiennym stanie świadomości. Ale tym razem również potrzebowałam tylko niewielkiej dawki leków, żeby wszystkie objawy ustąpiły. Znowu po trzech tygodniach mogłam wrócić do pracy.

Rok później epizod już mnie nie zaskoczył; szybko wzięłam leki i udało mi się go zatrzymać na etapie objawów prodromalnych.

Jestem z pewnością osobą uprzywilejowaną w tym świecie. Nie tylko sama jestem psychoterapeutką, ale obracam się w takim środowisku. Zarówno wśród moich przyjaciół, jak i w rodzinie wielu jest lekarzy psychiatrów i psychoterapeutów. To skutkuje tym, że nie muszę być hospitalizowana, podczas doświadczenia psychozy mogę zostać w swoim domu, przyjmuję krótko bardzo małe dawki leków i po miesiącu mogę wrócić do pracy.

Raz jednak doświadczyłam psychozy, kiedy na wakacjach byłam z dala od wspierającego środowiska. Objawy narastały bardzo szybko. Potrzebowałam leków, a moja lekarka – na zasłużonym urlopie – nie odbierała telefonu. Trafiłam do najbliższego szpitala psychiatrycznego.

Przy przyjęciu powiedziałam, że jestem psychoterapeutką. „Jaką psychoterapeutką?!" – usłyszałam. Powiedziałam, że rozwija mi się psychoza, ale dotąd zawsze leczona byłam w domu i brałam bardzo niskie dawki leków. Nie wzięto tego pod uwagę.

W szpitalną piżamę przebierałam się w obecności pielęgniarza mężczyzny. Kiedy wstałam z łóżka w nocy, pielęgniarka powiedziała: „Zaraz cię zapnę w pasy, jak się nie położysz!". Zaordynowano mi standardowe dawki leków. Obudziłam się po dwóch dniach. „Ale nas pani wystraszyła" – powiedziała rozbawiona lekarka.

W karcie przeczytałam potem, że doprowadziła mnie rodzina, chociaż nikt mnie nie „doprowadzał"; przyjechałam z siostrą, ale byłam świadoma, gdzie jadę i dlaczego. Przeczytałam też, że medytowałam, a na oddziale byłam „absorbująca". Natomiast nie znalazła się tam istotna klinicznie informacja, że byłam do tej pory leczona w domu i przyjmowałam niskie dawki leków.

Proszę zwrócić uwagę na ten język i na to podejście. Wszystko, co powie i zrobi pacjent, może być zinterpretowane jako objaw. To się nazywa niesprawiedliwość epistemiczna.

Dziś na pewno lepiej rozpoznaję pierwsze objawy; biorę wtedy doraźnie małą dawkę leku, żeby nie pozwolić im się rozwijać. Psychoza niewątpliwie wynika z jakiejś kruchości czy nadwrażliwości, ale w moim przypadku muszą się zbiec różnego rodzaju triggery: parę trudnych spraw, dużo stresującej pracy, mało snu, nieregularne jedzenie, życiowy kryzys. Możliwe też, że to się nigdy nie powtórzy. Nie ma pewności ani w jedną, ani w drugą stronę.

Tego typu doświadczenie ma też to do siebie, że jest mechanizmem samonapędzającym się. Stres może wywołać psychozę, ale psychoza sama jest doświadczeniem traumatyzującym. Kiedy więc jakieś okoliczności przypominają tamto doświadczenie, kiedy ten wewnętrzny krajobraz zaczyna być podobny, może to znowu wyciągnąć zawleczkę i wywołać nowy epizod.

Bardzo bym chciała mieć gwarancję, że to się nie powtórzy. Chciałabym umieć temu zapobiec. To jest jednak niemożliwe.

Osoby z doświadczeniem psychozy dostają instrukcję, że mają „żyć bez zbędnych wzruszeń". Ale proszę mi powiedzieć, jak żyć bez zbędnych wzruszeń? To znaczy właściwie – trochę nie żyć.

Bo nie chodzi tylko o unikanie stresu, ale także o radości, zakochania czy momenty ekscytacji.

Oczywiście staram się. Zdecydowanie lepiej reguluję lęk. Unikam przeciążania pracą. Kiedy czuję, że jestem na granicy dużego zmęczenia, zdarza mi się po prostu wylogowywać z życia. Bez skrupułów odwołuję sesje, biorę urlop na żądanie. To nie tylko w moim interesie, ale przede wszystkim w interesie moich pacjentów.

Coraz więcej osób wie. To podstawowe BHP osób z doświadczeniem psychozy: im więcej osób wie, tym bezpieczniej. Bo stres związany z utrzymaniem tego w tajemnicy może się przyczynić do kolejnego epizodu. My, psychoterapeuci, bardzo rzadko mówimy: my też się boimy, my też mamy depresję, my też doświadczamy psychozy. Taka informacja znacząco wpłynęłaby na terapię, ale z zasady udzielamy na swój temat minimum informacji, całą naszą uwagę kierując na pacjenta.

Maria: Podczas doświadczenia psychozy mogę zostać w swoim domu, przyjmuję małe dawki leków i po miesiącu mogę wrócić do pracy



Mój największy lęk: że to się wydarzy podczas sesji. Przez długi czas miałam ogromne wątpliwości, czy mogę dalej pracować jako psychoterapeutka. A następnie – czy chcę. Czy to etyczne? – pytałam siebie i innych.

Jeden z moich superwizorów powiedział: „Może wystarczy, że dobrze pani pracuje pomiędzy epizodami? To pani osobiste doświadczenie może być pomocne". Bo faktycznie doświadczenie psychozy, mimo że wiele zabiera, to także coś daje: jakiś rodzaj wrażliwości – między innymi na płynność przejść z jednego stanu psychicznego w drugi.

Każdy z nas ma w sobie taką kruchą część

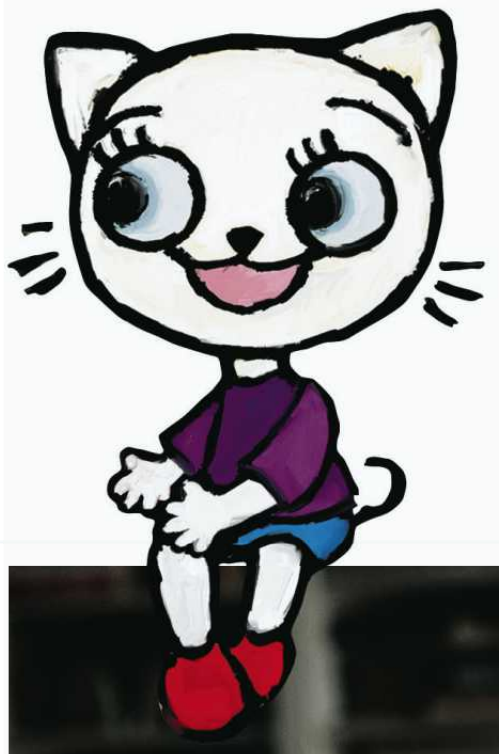
Kamil: Kiedy teraz myślę o mojej chorobie, widzę rozpad tożsamości – jakbym był rozbity na tysiąc kawałków. Moje doświadczenie zdrowienia to składanie siebie na powrót w całość. Mam wrażenie, że ta choroba, choć wiele mi zabrała, także mi coś dała: umiejętność metaspojrzenia na rzeczywistość i większą wrażliwość na cierpienie i wykluczenie drugiego człowieka.

Maria: Każdy z nas ma w sobie taką kruchą część, która w odpowiednich warunkach przy złych wiatrach może się ujawnić.

Małgorzata: Psychoza była dla mnie końcem pewnej narracji o sobie. Ludzie przeważnie myślą, że są inteligentni, racjonalni, że nie daliby się zwieść, że mają kontrolę nad swoim życiem. Psychoza mi pokazała, że to nieprawda.

Mam dziś dużo więcej zrozumienia dla innych. Bo nie wszystko od nas w życiu zależy, nie wszystko można przewidzieć, nie jest tak, że każdy jest kowalem swojego losu. Czasami naprawdę bardzo niewiele dzieli nas od końca życia, jakie znamy. ●

eprasa.pl e47b8e13bb



KOTKA STAWIA GRANICĘ



FOT. ALINA ŻEMOJDZIN

Napisałam odcinek „Kicia Kocia. Nie muszę się przytulać” – bo dlaczego dziecko ma spełniać oczekiwania dorosłych tylko dlatego, że tak nakazuje obyczaj?

Z PISARKĄ I ILUSTRATORKĄ **ANITĄ GŁOWIŃSKĄ***
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Estetyka „Kici Koci” zupełnie do mnie nie przemawia. Jednocześnie widzę, jak niesamowicie te książki działają na dzieci. Wszystkie maluchy, którymi się opiekuję, uwielbiają „Kicię Kocię”.

– Nie ty pierwszy tak mówisz. Ile razy już słyszałam: „Mnie się Kicia Kocia nie podoba, wolę pięknie ilustrowane książki, ale moje dziecko ją kocha”. Może po prostu nie musimy lubić tego samego co nasze dzieci? Gdyby wszystkim podobała się kreska „Kici Koci”, oznaczałoby to, że coś jest z nami nie tak!

Mam za sobą ponad dziesięć lat edukacji artystycznej. Skończyłam liceum plastyczne, później studiowałam konserwację zabytków. Z mężem prowadziliśmy firmę graficzną. Wiem, co robię.

Mogłabym próbować stworzyć ilustracje, kierując się przede wszystkim gustem dorosłych. Tylko że nie taki był mój cel.

Pracując nad „Kicią Kocią”, obserwowałam własne dzieci, dzieci znajomych. Widziałam, na co reagują, co przyciąga ich uwagę. I to właśnie było dla mnie najważniejsze. Co jednak nie znaczy, że moje ilustracje nie podobają się rodzicom. Często słyszę, że kotka jest urocza. Nie wspomnę o Packu, który robi prawdziwą furorę.

Jest jeszcze jedna rzecz. My, dorośli, często myślimy, że nasze wybory estetyczne są całkowicie autonomiczne. A przecież nasze gusta kształtują się pod wpływem obowiązujących mód. W ilustracji dziecięcej, tak samo jak w sztuce, przez dekady obowiązywały pewne konwencje. Jednak o ile sztuce „dorosłej” niejako pozwoliliśmy na zmiany i przełamywanie schematów, o tyle w przypadku ilustracji dziecięcej wciąż jesteśmy mocno przywiązani do dawnych wzorców.

Dzieci działają instynktownie, reagują bardziej bezpośrednio. Nie zastanawiają się, czy dana ilustracja jest modna albo czy odpowiada aktualnym trendom. Patrząc na to, jak dzieci przyjęły „Kicię Kocię”, myślę sobie, że chyba dobrze wyczułam, co do nich trafia.

Trudno wychowywać w Polsce małe dziecko i nie zetknąć się z twoimi książkami. Jak się żyje ze świadomością tego faktu?

– Przechodzą mnie dreszcze, kiedy to słyszę. Cały czas oswajam się z tym, że rzeczywiście tak jest. Właściwie nie wiem, jak na to reagować, bo nigdy mi się coś takiego nie śniło.

Kiedy byłam mała, miałam marzenia o sławie. Pamiętam, jak słuchałam ABB-y na magnetofonie szpulowym. Marzyłam, żeby występować na scenie. Jednak kiedy podrosłam, zaczęłam myśleć o zupełnie innych rzeczach.

Stworzyłaś bohaterkę, którą znają miliony dzieci, ale sama nie stałaś się powszechnie rozpoznawalna. To świadoma decyzja?

– Tak. I bardzo mi z tym dobrze. Rozpoznawalna jest Kicia Kocia, nie ja. To miłe i wygodne. Chroni moją rodzinę, chroni mnie w codziennych sytuacjach. Prywatność jest dla mnie bardzo ważna.

Za każdym razem, kiedy pojawia się propozycja występu w telewizji czy udziału w reportażu, zastanawiam się, czy rzeczywiście chcę się pokazać. Nie chodzi o to, czy warto, ale czy powinnam i czy tego potrzebuję. Staram się dawkować swoją obecność w mediach.

Za to każdy ma jakieś zdanie o Kici Koci. Szczególnie dorośli. Jak sobie radzisz z krytyką?

– Szczęśliwie większość opinii jest bardzo przychylna. To oczywiście dodaje skrzydeł. Ale wiem, że są również głosy krytyczne.

Jakie ilustracje ukształtowały ciebie? Co pamiętasz z dzieciństwa?

– Co ciekawe, najmocniej pamiętam te, które wywoływały we mnie niekoniecznie pozytywne emocje. Na przykład ilustracje do „Alicji w Krainie Czarów” tak mnie przerażały, że jako dziecko nie przeczytałam tej książki.

Mnie przerażały, a jednocześnie fascynowały ilustracje Iwana Bilibina do „Baśni rosyjskich”, które namiętnie czytałem, chyba niezbyt rozumiejąc jeszcze ich treść.

– A, no właśnie! Dzieci jednak lubią się bać! Kiedy zaczęłam tworzyć Kicię Kocię, założyłam, że będę pokazywać dzieciom świat pozytywny. Uczyć je nie wprost, ale przez dobre przykłady. Dlatego unikałam pisania o problemach, kłopotach, strachach. Myślałam: „Przecież piszę dla maluchów”. Jednak z czasem uznałam, że muszę też poruszać trudniejsze tematy, bo dzieci potrzebują również bezpiecznego strachu – możliwości oswajania się z tym, że świat nie zawsze jest dobry.

Kiedyś temu właśnie służyły baśnie czy opowiadanie strasznych historii pod kocem. Chciałabym, żeby w przyszłych przygodach Kici Koci pojawiły się też takie „straszne historie”. Tylko jeszcze nie znalazłam na to sposobu.

Lubię odcinek „Kicia Kocia. Nie chcę się tak bawić!”, To świetna lekcja stawiania granic. W październiku 2026 roku ukazała się „Kicia Kocia. Nie muszę się przytulać”.

– To są tematy, o których dużo rozmawiamy w świecie dorosłych. Mówimy o granicach, asertywności czy zgodzie. Ale kiedy przychodzi do rozmowy z małymi dziećmi, podchodzimy do sprawy jak pies do jeża. Jakbyśmy bali się, że samo powiedzenie o czymś trudnym sprawi, że to się wydarzy.

Mamy przecież mnóstwo takich powiedzeń jak „nie wywołuj wilka z lasu” czy „odpukać w niemalowane”. To rodzaj magicznego myślenia, który bardzo skutecznie powstrzymuje nas przed rozmowami z dziećmi. Moim zdaniem to poważny błąd.

Oczywiście nie chodzi o to, żeby wzbudzać w dzieciach lęk. Ale jeśli będziemy im mówić wyłącznie, że świat jest piękny, mogą się boleśnie rozczarować. Przecież nawet maluchom mogą się przydarzyć trudne doświadczenia. Ktoś może przekroczyć ich granice, zrobić coś wbrew ich woli, skrzywdzić. A czasem po prostu dzieje się coś złego, na co nikt nie ma wpływu. Na przykład wypadek lub choroba.

Przez nadmierną ufność dzieci mogą znaleźć się w sytuacji, której nie rozumieją. Wtedy dorośli mogą stracić ich zaufanie, bo przecież zapewniali, że takie rzeczy się nie zdarzają. Dlatego trzeba o tym z dziećmi rozmawiać. Wiedza buduje odporność. Dzieci dowiadują się, że nie muszą być bezradne. Że mogą powiedzieć „nie”, poprosić o pomoc, zwrócić się do kogoś, komu ufają. I że nie muszą sobie ze wszystkim radzić same.

Oczywiście inaczej rozmawiamy z dwulatkiem, inaczej z pięciolatkiem czy starszym dzieckiem.

W książce o odmawianiu zabawy chciałam pokazać, że należy szanować uczucia innych.

eprasa.pl e47b8e13bb

Przecież nie wszystko, co podoba się nam, musi podobać się drugiej osobie. Dlatego zanim zaprosimy kogoś do zabawy, dobrze jest zapytać, czy ma na nią ochotę. A jeśli nie ma, to trudno, trzeba ten fakt uszanować. W tej historii pokazuję również, że powiedzenie „nie" wcale nie musi prowadzić do kłótni. Przeciwnie, może zainicjować zabawę, która wszystkim sprawi radość.

A książka o przytulaniu?
– Do tego tematu przymierzałam się od lat. Pamiętam z własnego dzieciństwa, ale też z opowieści mojego męża wszystkie te sytuacje, w których dziecko musiało się do kogoś przytulić, usiąść na kolanach, pocałować na powitanie. „Bo tak wypada". Przecież to bez sensu. Można kogoś bardzo lubić i wcale nie chcieć się do niego przytulać. Nie chcieć siadać mu na kolanach. Nie mieć ochoty na fizyczny kontakt.

Dlaczego dziecko ma spełniać oczekiwania dorosłych tylko dlatego, że tak nakazuje obyczaj?

Doskonale to pamiętam. Jako dziecko nienawidziłem, kiedy ktoś mnie podnosił, łapał, dotykał bez pytania. Do dzisiaj nie lubię, kiedy ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. To jest dla mnie bardzo intymny gest.
– Właśnie o to chodzi. Mamy skłonność do traktowania dzieci tak, jakby były maskotkami. Nawet jeśli umiemy już zrozumieć, że dziecko ma prawo do podejmowania decyzji, słuchamy go i z nim rozmawiamy, to jego ciało nadal potrafimy traktować przedmiotowo.

Oczywiście są sytuacje, w których trzeba natychmiast zareagować. Jeśli dziecko wbiega na ulicę, nie będziemy pytać, czy możemy je złapać za rękę. Ale to są sytuacje skrajne, związane z bezpieczeństwem. W codziennych relacjach powinniśmy szanować granice dziecka.

Zresztą bardzo ważnym słowem w moim życiu jest „balans". Ciągle trzeba zastanawiać się, co można, czego nie można, kiedy trzeba interweniować, a kiedy zostawić drugiemu człowiekowi przestrzeń.

Rodzice J., którego jestem „wujodziadkiem", mają do ciebie pytanie. Dlaczego w „Kici Koci" jest tylu policjantów?
– O, to ciekawe. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Najśmieszniejsze jest to, że chyba mają rację!

Może ma to jakiś związek z moimi dziećmi? Kiedy były małe, uwielbiały mundury. Syn szalał na punkcie strażaków. Do dzisiaj mamy mnóstwo wozów strażackich. Mundur policyjny też robił na nich wrażenie.

Może być w tym coś jeszcze. Dorastałam w czasach, kiedy ludzi po ulicach ganiało ZOMO. Sama uciekałam przed pałkami i gazem. Mundur kojarzy mi się raczej z czymś groźnym niż przyjaznym. Może podświadomie chciałam sobie ten mundur odczarować?

Zastanawiam się też, czy policjant nie pełni w książkach dla małych dzieci funkcji dawnego rycerza. Nie piszę przecież baśni o rycerzach, wilkach i królewnach. Może więc potrzebowałam postaci, która symbolizuje porządek?

Bo nawet jeśli bardzo kochamy wolność, to przecież potrzebujemy również pewnych zasad. Bez nich nie dałoby się żyć razem we wspólnocie... Dziękuję za to pytanie, mam się nad czym teraz zastanawiać.

Stworzyłaś ogromnie popularną serię, ale nie wykorzystałaś jej sukcesu, żeby równolegle budować kolejne literackie światy. Nie miałaś takiej potrzeby?
– Miałam. „Kicia Kocia" nie była moją pierwszą książką. W 2005 roku zadebiutowałam książką „Mela, czyli Fascynujące historie o Meli, Franiu i kocie Wąchaczu". Miała to być seria, ale skończyło się na dwóch książkach, do których wciąż mam wielki sentyment. Trochę żałuję, że nie udało mi się tego pomysłu rozwinąć.

Później ilustrowałam między innymi książki z serii „Cała Polska czyta dzieciom"; pisałam też dla gdańskiego wydawnictwa książki dla nieco starszych dzieci, między innymi „Do czego służy kotlet?" i „Dziura w gazecie". Po kilku zeszytach o Kici Koci napisałam też kilka odcinków serii „Maks, Zizi i Kapsel".

Lubiłam pracować nad książkami dla starszych dzieci, bo mogłam sobie w nich pozwolić na więcej swobody językowej – popłynąć, rozwinąć zdanie, pobawić się słowem. W „Kici Koci" nie mam takiego luksusu.

Dlaczego?
– To bardzo krótkie książeczki i choćby dlatego każde zdanie, a wręcz każde słowo jest przeze mnie dokładnie przemyślane. Wszystko musi mieć sens. Czasami chodzi o budowanie nastroju, czasami o przekazanie konkretnej informacji, ale nigdy to nie może być przypadkowe.

Jak właściwie powstaje „Kicia Kocia"?
– Bardzo często zaczynam od znacznie dłuższej historii. Piszę ją, rozwijam, a później skracam. I skracam. I jeszcze raz skracam. To ogromna gimnastyka.

Jestem wychowana na Marcelu Prouście. Możesz sobie wyobrazić, jak trudne było dla mnie na początku takie skracanie.

Podczas pracy nad pierwszymi książkami potrafiłam tygodniami zastanawiać się nad jednym fragmentem. Czy nie skróciłam za bardzo? Czy nie jest zbyt skomplikowany? A potem dochodziłam do wniosku, że właśnie powtórzenie jest potrzebne, bo pomaga dziecku utrwalić to, czego się nauczyło.

Pojawiają się zarzuty, że język „Kici Koci" jest zbyt prosty.
– Rozumiem argument, że literatura dziecięca powinna być pisana pięknym, bogatym językiem. I absolutnie się z nim zgadzam. Tylko że istnieją różne rodzaje literatury i różne cele.

Są baśnie, które czytamy maluchom, chociaż nie rozumieją jeszcze wielu słów. I to jest wspaniałe. Dziecko słucha, jest blisko rodzica, zanurza się w melodii języka. Ten język je otula, a jego bogactwo może zaprocentować później. Ale moje książki mają inne zadanie.

Chcę pomagać dzieciom i rodzicom w konkretnych codziennych sytuacjach. Dlatego potrzebuję języka bliskiego temu, którym dzieci się posługują.

Zależy mi na krótkich zdaniach. Na powtórzeniach, bo dzięki nim dzieci lepiej zapamiętują historię. Czasami też na zabawie językowej. Ale to nie jest przypadkowa prostota. Słowa dobieram naprawdę starannie.

Powiedziałaś, że „Kicia Kocia" jest dla ciebie bardzo wymagająca. Co właściwie najbardziej cię w niej obciąża?
– To, że cały czas muszę się uczyć. Mam swoje doświadczenia, intuicje, własną wizję świata. Ale wiem też, ile mam lat. Nie jestem już młodą mamą. Świat się zmienia, rodzice się zmieniają, dzieci się zmieniają. Nie mogę zakładać, że to, co było oczywiste, kiedy moje dzieci były małe, jest oczywiste również dzisiaj. Dlatego cały czas obserwuję, czytam, staram się dowiedzieć, jakie problemy mają współczesne dzieci.

Zawsze miałam w sobie coś ze społecznika. Może to za duże słowo, bo nie działałam systematycznie w organizacjach, ale angażowałam się w różne inicjatywy, chodziłam na protesty, wspierałam ludzi, którzy próbowali coś zmienić. Mam silną potrzebę bycia częścią wspólnoty.

Kiedy zaczynałam tworzyć „Kicię Kocię", myślałam przede wszystkim o swoich dzieciach. Ale kiedy zobaczyłam, że te książki trafiają również do innych, zrozumiałam, że mam na nie jakiś wpływ. A to jest ogromna odpowiedzialność.

Jest coś jeszcze. Pisanie „Kici Koci" wymaga ode mnie naprawdę uważnego obserwowania świata. A ja bardzo mocno przeżywam to, co się wokół mnie dzieje. Kłótnie między ludźmi, konflikty, wypadki, cierpienie. Nie potrafię przejść obok tego obojętnie.

Dlatego Kicia Kocia jest dla mnie wymagająca nie tylko intelektualnie, ale też emocjonalnie.

Co cię interesuje poza literaturą dla dzieci?
– Moje dzieci zapytały mnie kiedyś, dlaczego nie opowiadam w wywiadach o swoich innych pasjach. A trochę ich mam!

Fascynuje mnie film. Kiedyś byłam prawdziwą maniaczką filmową, uwielbiałam chodzić do kina. Ale przede wszystkim interesuje mnie szeroko rozumiana humanistyka. Polityka, zależności kulturowe, problemy globalne.

Śledzę bieżące wydarzenia, ale nie wystarcza mi przeczytanie wiadomości. Kiedy coś mnie zainteresuje, zaczynam szukać, sprawdzać, czytać kolejne teksty.

Rzeźbię w glinie, pracuję z drewnem, robię filigrany ze srebra, śpiewam ludowe piosenki. Po pięćdziesiątce zaczęłam uczyć się gry na pianinie, odkryłam też fascynację baletem współczesnym, do którego przez lata miałam ogromną niechęć. Teraz ciągam rodzinę na spektakle po całej Europie. Właściwie jestem takim jednoosobowym kołem gospodyń wiejskich: śpiewam, tańczę, rysuję, szyję, haftuję, gotuję... I ciągle odkrywam coś nowego.

Nie lubię tylko o tym za dużo mówić.

A poza tym uwielbiam las.

Kim byłabyś, gdyby nie „Kicia Kocia"? Gdybyś nie pisała dla dzieci?
– Może komponowałabym muzykę? Albo pracowałabym na uniwersytecie, zgłębiając jakiś globalny problem?

Nie kusi cię, żeby jeszcze spróbować?
– Na muzykę za późno... Ale kolejne studia? Czasami kusi. Mam jednak już bardzo dużo odpowiedzialności związanej z „Kicią Kocią". Chyba mi jej wystarczy. ●

***Anita Głowińska**

• Pisarka i ilustratorka książek dla dzieci, twórczyni niezwykle popularnej serii o Kici Koci. Pierwsze książeczki ukazały się w 2010 roku. Są też animowane filmy, zabawki, ubrania, a nawet Kiciokociolandia, muzeum Kici Koci w Poznaniu.

REKLAMA
Kraj/34423354



W LITERACKĄ PODRÓŻ ZAPRASZA MICHAŁ NOGAŚ

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl

PATRONI: Trójka Polskie Radio | wyborcza.pl | Wydawnictwo Agora

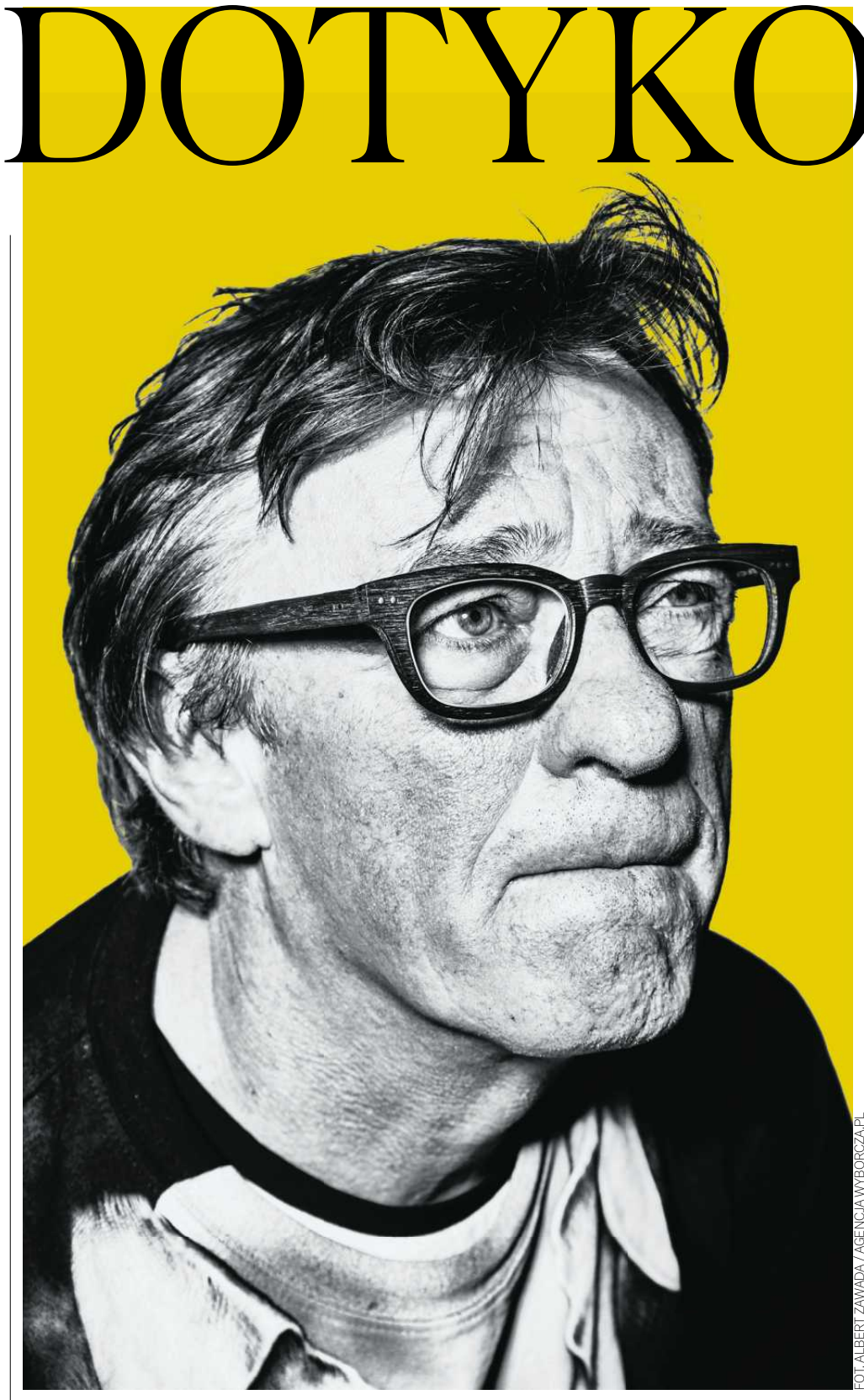
1 RP

eprasa.pl e47b8e13bb

BEZDOTYKOWY

Fanka nagiej prawdy, co? Ona jest w gruncie rzeczy banalna. Dzieciństwo, młodość, wiek męski, starość, śmierć. Miłość po drodze, czyli ból. Rozstania, zdrady, czasami powroty.

Z PISARZEM **JANUSZEM RUDNICKIM**
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Janusz? Czy lubisz w wołaczu?
– Nie cierpię tego „Januszu”. Takie teatralne otwarcie, uroczyste, szacunkiem posmarowane. Krępuje mnie to, zamyka, zamiast otwierać. Ja ma w ogóle kłopot z odmienianiem nazwisk, polskich nie, no wiadomo – obcych.

Ostatnio coś tam pisałem o Rousseau, aż się prosiło o użycie w dopełniaczu, ale tak manewrowałem, żeby zostawić go w mianowniku, żeby nie było „Rousseau'ego” – co to jest?! To jakiś stwór przecież! I jeszcze to szukanie znaku apostrofu na klawiaturze, koszmar.

Ja też nie cierpię. Więc w mianowniku. Musimy ustalić warunki brzegowe. Żadnych ucieczek w anegdoty.
– Fanka nagiej prawdy, co? Ona jest w gruncie rzeczy banalna. Dzieciństwo, młodość, wiek męski, starość, śmierć. Miłość po drodze, czyli ból. Rozstania, zdrady, czasami powroty.

Więc widzisz, życie everymana. Gotowe danie pospolite bez przypraw, którymi mogą być anegdoty na przykład właśnie.

Jestem fanką słuchania historii. Opowieści. Mam to chyba z dzieciństwa, zasypiałam przy bajkach odtwarzanych na gramofonie Bambino. Ty nie?
– Nie, nie było go jeszcze lub nie było nas stać. Teraz się zastanawiam, czy mama czytała mi bajki, chyba nie. Lub nie pamiętam. Chyba dziadek, ale też nie dałbym głowy. Pamiętam, kiedy czytałem już sobie sam, pod kołdrą, z latarką, myślałem kiedyś, że ja tylko, że to takie oryginalne, ale okazało się, że tak wspomina czytanie prawie każdy, więc muszę coś wymyślić; nie wiem, może ognisko? Że rozpalałem pod kołdrą ognisko?

Jaki był ten chłopak z latarką pod kołdrą?
– Najstarszy na podwórku i najchudszy. Najszybszy w biegach dookoła bloku i na boisku szkolnym. Najwięcej czytający. Władczy, jakbym miał nad głową jakiś nimb. Ustalałem, czy gramy w dwa ognie, czy w siatkówkę przez szkolny płot, ale to nic.

Jeśli z okna któreś z rodziców – matka czy ojciec – wołało dziecko do domu, bo późno, ja decydowałem, czy może ono iść, czy nie. Ja, Janusz Pierwszy, herszt, a nie jacyś tam beztwarzowi rodzice.

No i to: byłem nietykalny, „bezdotykowy”. Mama mówiła w rodzinie, jeśli ktoś tam chciał mnie wziąć na kolana lub pogłaskać: „Januszek tego nie lubi”. Krępowałem się podawać rękę nawet kolegom.

Mam to zresztą do dziś, przy czym to już nie skrępowanie, ale raczej po prostu niechęć, odraza to za dużo, ale no, nie wiem – to dziwne, że nie chcę dotykać czyjejś skóry, najczęściej przecież spoconej? A jeśli już rękę podać muszę, to podaję jakoś tak wiotko, bez tego kordialnego, męskiego jej uścisku.

Bliskość mnie krępuje, uwiera. Dalekość to relaks. Więc: „Nie dotykać. Niebezpieczne dla życia”.

Kiedyś mi mówiłeś, że z bratem podawaliście sobie rękę na powitanie. Żadnego przytulania. Bohater twojego opowiadania nie potrafi przytulić brata, nawet kiedy jest w stanie terminalnym.
– Przytulania? No co ty, objęcia. Ale nie, nie. I mówiłem, że nie podawaliśmy sobie nawet ręki. Tylko ruch głową do góry, uśmiech i pytanie: „No i...?”.

Objęliśmy się tylko jeden raz. Kiedy pod koniec prowadziłem go do łazienki, nie umiał już iść, nawet z chodzikiem.

Więc to była konieczność, pomoc fizyczna. To prawda, co stoi w „Dworcach”.

To przez mamę czy nieobecnego ojca jesteś nieprzytulalny?
– No mamę, myślę, gdzie tam przez ojca, on tylko mamę mną zapłodnił. Wieśka była czuła, jasne, ale po swojemu, w środku, do użytku wewnętrznego. Mój dziadek, jej ojciec, był taki sam. Wspaniały, mądry, inteligentny, ale nie przypominam sobie, żeby czuły na zewnątrz.

Przy czym, Dorota, to ważne, mi za tą skórną czułością nigdy nie było tęskno, nie brakowało mi jej. Byłem mały, całowałem się sam, to pamiętam, po kolanach i ramionach, łaski bez.

Przecież to smutne. Wynika, że ci brakowało.
– Jeśliby tak było, że mi brakowało, to przecież jakoś bym ją egzekwował, rzucałbym lassem na mamę, kleił się, łasił.

Chcesz mi powiedzieć, że to całowanie to autoerotyzm był? Masz żal do ojca, że was zostawił? I co byś mu chciał powiedzieć?
– „Spierdalaj, stary!”. Ach, nawet nie to. Ja zapomniałem o nim chyba jeszcze szybciej niż on o nas. Widziałem go w sumie z dwa razy, ledwo pamiętam. Z tego, co mówili, to chyba jakiś podrzędny pijaczyna, przystojny – to wszystko.

Nie mieliście ojczyma?
– Nie, nie. Raz kiedyś ktoś się pojawił, ale na krótko. Pan Helmut. Wziął mnie kiedyś do delikatesów, nigdy nie byłem w środku, zawsze za szybą z cieknącą śliną.

Kupił czekoladki, chyba Wawel, w złotku – i wiesz co? Zamiast mi je dać, poczęstować, schował je do kieszeni płaszcza i powiedział: będziesz chciał, to sobie wyjmuj. Okropne to było.

Przemogłem się, wyjąłem jedną, potem drugą, to było takie...

Jakie?
–...takie poniżające, jakby mnie nimi karmił jak jakąś wiewiórkę. Dobroczyńca jeden. Ach, nie cierpiałem wszystkich dorosłych mężczyzn, każdy mój dzień był dniem kobiet.

Swoją drogą, czy potrafiłeś okazać im czułość? Mamie? Albo książkowej Cześce, do której jeździsz na Morawy już kilkanaście lat?
– Tak, ale nie tak, jak myślisz. Czułość na inaczej. Na przykład słowo „durny” jako pieszczota właśnie. Lub „Pokaż palcem, kto jest dla ciebie najważniejszy na świecie”. Czułość bezdotykowa jako dotyk słowa. Tak ciało w ciało nigdy, przedstaw sobie, że mama wymyśliła, że nie będzie się ze mną żegnać, bo to przynosi pecha. To jej się chyba z podaniem ręki przez próg pomyliło. Lub z czarnym kotem na drodze.

Sądzisz, że miłość może się obejść bez czułości?
– Ja lubię pozorowaną szorstkość, a nie tak ostentacyjne. Wolę zza winkla, z rykoszetu, a nie tak na zderzenie czołowe.

A słowa są ważne w miłości? Dla ciebie rzecz jasna.
– Miłość bez słów? E? To jak zdanie bez wyrazów. To przecież moja ostatnia, jedyna już chyba broń, słowa się nie starzeją. Jak zbudować bez nich dwuosobowy słownik językowy na użytek własny? Czyli ten elektryzujący spisek obojga, którego celem jest bycie ze sobą.

Dzisiaj rano widziałem, jak dron ratuje żołnierza ukraińskiego z pola walki, nie można było do niego dojść, miny, więc po raz pierwszy użyli drona transportowego do ratowania człowieka – i udało się! Słowa też są jak dron, zabijają i ratują życie, ranią i są jak szwy na te rany.

Rozpoznajesz siebie w lustrze? Twoja mama na przykład mówiła, że to nie ona jest po drugiej stronie, bo przecież ona wie, jak wygląda.
– Pamiętasz to zdanie Kołaczkowskiej? Kiedy widzi się i nie może uwierzyć, że to ona? I mówi prawie wściekła: „To na pewno jakieś stare lusterko!”.

Mam to samo z wagą łazienkową. Ciągle się psuje.
– To też masz pecha. Więc tak, tak, ten w lustrze to, niestety, ja. Nie przyszłyby mi do głowy jakieś ucieczki wycieczki w młodszego siebie samego, jakiś bal maskowy przed sobą odstawiać. Lustro to twardy fakt. Ale tak, bawię się czasami, wyobrażam sobie, że to nie ja, ale maska moja, że tak wyglądać będę na starość.

W listopadzie skończysz 70 lat. To już starość czy jeszcze nie?
– To tylko cyfry. Powiem ci tak, przez telefon piszę szybko, jak młodzi, dwoma kciukami, on po to tak został skonstruowany. A nie jak starzy, dziobiąc litery jednym palcem jak kura ziarna.

O starości za młodu się nie myśli, ona po prostu nie istnieje. Raz kiedyś mój nauczyciel z podstawówki miał siedemdziesiąt lat, chodził o dwóch laskach, a my dziwiliśmy się, że jeszcze w ogóle chodzi. W latach 70. mieć tyle lat to dzisiaj jakby mieć pięćdziesiąt.

Kiedy poczułeś, że czas się kurczy? Bo przecież kiedyś był nieskończonością.
– Czekałem kiedyś na kogoś, spóźniała się. Siedziałem i myślałem sobie tak: załóżmy, że pożyję jeszcze 20 lat, a ta, która się spóźnia, 40, bo młodsza, wtedy dla niej każda godzi-

eprasa.pl e47b8e13bb

na będzie jedną godziną po prostu, a dla mnie będą to dwie, bo przecież tego życia mam dwa razy mniej.

Ona spóźniła się o godzinę, ale mi uciekły w tym czasie dwie. Jeśli idziemy do zoo na trzy godziny, to ja tracę sześć. Przerażająca jest ta świadomość. Matematyka, okrutna królowa czasu.

Mnie się zdaje, że w tej młodości mogło się mnóstwo nam wydarzyć, tymczasem teraz niewiele nas może zaskoczyć. Więcej mieliśmy do przodu niż za sobą, więc nie wydawało nam się, że czas płynie szybciej.
– Ze mną odwrotnie. Moje dzieciństwo i młodość było nudne i prawie bez zaskoczeń. Co mnie w nim miało zaskoczyć, dwie kukiełki na palcach w postaci Jacka i Agatki? Ta sama huśtawka, te same wyjazdy na koszmarne kolonie? A w młodości tortury w szkole średniej i raz na tydzień okropna jakaś dyskoteka?

A życie teraz przeciwnie. Bo trzy życia w nim. Warszawa jako stolica mojego serca, Hamburg jako rodzina pierwsza, bo tam synowie i było nie było żona, Morawy – bo tam czeka na włościach pani ze świtą w postaci pięciu kotów i oczekuje mojego wsparcia.

W „Dworcach" brakuje rozdziału „Hamburg Hauptbahnhoff".
– Ja od lat przylatuję tam samolotem, ale to mnie nie tłumaczy, znam przecież ten dworzec na pamięć. Tłumaczy mnie fakt, że dużo o nim wcześniej pisałem, o Ewie i synach tez, o Michasiu i Janiku. W zeszłym roku umarł teść, dzień przed śmiercią byliśmy u niego w szpitalu, miał wózek inwalidzki, jeździł nim po korytarzach szerokich i długich jak ulice i miał frajdę jak dziecko, twarz jednym okiem w grobie, a uśmiechnięta od ucha do ucha. Kiedyś był taksówkarzem, może dlatego.

I wiesz co, krzyknął do nas, mknąc obok? „Szkoda, że nie mam miejsca dla pasażerów, wziąłbym was za darmo!".

Wprawdzie twierdzisz, że siebie rozpoznajesz w lustrze, jednak twój narrator vel ty, wyjmując z fotobudki kilka fotografii, odkrywa, że nie on jest na nich, tylko jego matka.
– On jest przecież, on, czyli ja. Chodzi o uderzające podobieństwo. Mały byłem, to już mówili: ale ten starszy syn podobny do Wieśki! A widząc to zdjęcie, dziś powiedzieliby: „Cała Wieśka!". Więc ona nie żyjąc, to jakby trochę żyje. Nosiła mnie w brzuchu i na rękach, to teraz ja noszę ją na twarzy.

Umarł twój brat i twoja mama – nie czujesz się jakoś umarły? Bo zabrali ze sobą opowieści o tobie, których ty na przykład nie pamiętasz.
– Brat pamiętał dużo, wszystko prawie, mama chyba mniej, ale to lepiej, bywałem nie do zniesienia.

Coś sobie wyrzucasz?
– Wieśka nie mogła w pewnym okresie sobie ze mną poradzić. Tłukła mnie, czym popadło, nic nie dawało. Był taki moment, pamiętam, że oddać mnie chciała do domu dziecka, do Koźla. To, że byłem krnąbrny, to nic, biłem często brata, nie mam pojęcia dlaczego, mogłem go zapytać. Z tym domem dziecka, po latach, kiedy dzwoniła do Hamburga, zaczynała zawsze tak: „Czy to dom dziecka?". I po pauzie: „Mojego?".

Bereza napisał kiedyś: Moi zmarli mają we mnie lepiej niż za życia.

Mama, brat, wcześniej najbliższy przyjaciel i inni, i powiem ci, nosząc ich w sobie, że czuję się już jak żywa kostnica.

Ale przychodzi czasem do głowy, że byłeś „za mało" albo robiłeś „za mało"?
– Tak, tak. Zawsze tak jest, ze wszystkimi. Mama nie mogła pogodzić się z tym, że traci pamięć, zapominała na przykład, jak nazywa się jej ulubione drzewo: implant? Palant? Wiedziała też, że się ciągle powtarza.

Kiedy zaczynała coś mówić, zakłopotana pytała mnie i brata, czy już to mówiła, a my za każdym razem mówiliśmy: „tak". A przecież mogliśmy przynajmniej chociaż czasami powiedzieć „nie".

Ona rozwinęła sobie taki zwyczaj, nie dopuszczała do siebie żadnych złych wiadomości, postawiła sobie taki znak drogowy „Zakaz wjazdu dla problemów". Jeśli ktokolwiek z tym zaczynał, wychodziła, chciała słyszeć tylko o tym co dobre. I wiesz co, ja mam powoli to samo.

Dlaczego tak robisz, czy to nie jest jakaś forma abdykacji od prawdy?
– A niech se będzie. Ja ją rozumiem. Na tej ostatniej prostej chciała mieć po prostu komfort. A wolność od problemów, których i tak nie rozwiąże, to właśnie komfort. Całe jej życie było ich pasmem, więc sobie na tę wolność zasłużyła.

Ty naprawdę uważasz, że możesz sobie na ten rodzaj wolności pozwolić?
– Zaczynam tak myśleć. Nie chcę na przykład słyszeć o kolejnym napadzie na Ukraińców, co da to moje bolesne się tym przejmowanie. Nie chcę też czytać tego antysemickiego szamba w komentarzach na FB. To taka moja rekonwalescencja na domowy użytek.

Ktoś jeszcze się ostał z Rudnickich?
– Nikt, z mojej linii nikt. Ze strony ojca ktoś tam chyba jeszcze jest, na wsi pod Kłodzkiem. Więc sierota obrzygana jestem. Odeszła też ciocia Hela, często z mamą do siebie dzwoniły. Ciocia pytała ją często, jak tam skóra na łokciu, czy wraca na miejsce.

Chodziło jej o ten test, który podaje Czesia w „Dworcach" – powiedziałem im o tym, za młodu po naciągnięciu wraca tam, gdzie była, szybko, potem coraz wolniej, aż w końcu nieruchomieje. A teraz obie w ogóle nie mają skóry.

Trudny jest związek na odległość?
– Minusem jest, że to na odległość, a plusem to samo. Każda ze stron ma wtedy dwa życia w jednym – przyznasz, że to nie mało.

Czy starasz się przed „panią ze świtą pięciu kotów" maskować te 20 lat więcej?
– Ja jestem chyba mentalnie młody stosunkowo. W obyciu facet około lat czterdziestu. Znam wielu młodych, którzy są o wiele starsi ode mnie. Pryncypialni, poukładani i jeśli w ogóle z humorem, to lepiej, gdyby go nie mieli. Kawały jakieś dziwne, wiesz, człowiek się żenuje.

A mi kiedyś mama powiedziała, że humorem udaje mi się nadrabiać stratę wiekową. Szczególnie w związku. Rozśmieszać do łez to ważne, być może najważniejsze. Humor jest jak fuga między cegłami, tu między spoinami związku. To moja biała broń. Jeśli miałem jako takie powodzenie u kobiet...

Co to znaczy „powodzenie u kobiet"?
– Jezu, jak to dzisiaj brzmi, jak o kogucie wśród kur, myszką trąci, więc jeśli miałem, to dzięki niemu. No i te moje ciuchy, dżinsy całe oblane farbą, koszula w gazetę, w sensie jakieś artykuły na mnie, no tak trochę crazy, przy czym to nie poza, to ja. Choć przyznam, że mniej wtedy widać, że pod tymi ciuchami tkwi strach na wróble.

Wciąż na scenie?
– Na scenie w sensie bycia w towarzystwie? Ależ ja na niej jestem sobą, to nie poza, to mój żywioł. Pozowałbym, gdybym siedział jak mruk. Jeśli mam szwung, to stać mnie na stand-up. Nie zapominaj, że ja zaczynałem od kabaretu, potem ten przerodził się w teatr, a potem dopiero zacząłem pisać, stosunkowo późno.

O, powiem ci coś, o czym mało kto wie, no nikt prawie. W tym roku minęło czterdzieści lat od mego debiutu, miał on miejsce w paryskiej „Kulturze".

I co poczułeś, kiedy ci Giedroyc opublikował? Wtedy zostałeś namaszczony na pisarza?
– Radość i gorycz. To pierwsze, wiadomo, paryska „Kultura" była dla nas jak świątynia, a gorycz dlatego, że „Można żyć" wyszło pod pseudonimem Marek Szczukocki, bałem się, że mi to Grudziński odrzuci, a on wtedy w „Poczcie Literackiej" na końcu każdego numeru pisał, komu tekst został odrzucony. Widzisz więc, jakie zezowate to moje szczęście.

Czy twoje pisanie, czasami siermiężny dowcip i anegdota nie są drugą stroną tego samego medalu przyznanego za zasługi w pielęgnowaniu niedotykalności?
– Bym już nie ciągnął tego „czułego" wątku...

Kiedy mama zaczynała coś mówić, zakłopotana pytała mnie i brata, czy już to mówiła, a my za każdym razem mówiliśmy: „tak"

Niech ci będzie. Bohaterowie „Dworców" budzą współczucie. Pan spod trzynastki, który zamieszkał z robotem sprzątającym i aby mu ulżyć, wprowadza dyżury w sprzątaniu, albo pan, który poczuł się wreszcie widzialny, kiedy włożył szykowny płaszcz.
– Ten z „Płaszcza" jest niewidzialny na Nowym Świecie i okolicach, kupuje ekscentryczny płaszcz, przechadza się i po raz pierwszy wzbudza jako takie zainteresowanie, idzie do mojej Amatorskiej, wychodzą z niej jakieś dziewczyny i jedna z nich pyta, gdzie kupił ten płaszcz. On, zadowolony i podłechtany, aż się pręży, mówi gdzie, a ona, że tam jeszcze otwarte, że zdąży go oddać. Smutne.

W sumie to byłem świadkiem takiej scenki w tejże Amatorskiej, przy czym ona to powiedziała do kolegi w jej wieku. Jedno z pierwszych zdań jest z Gogola, z jego „Płaszcza". To ciekawostka, nie takie ważne.

Anonsujesz z zakłopotaniem, że „Dworce" są twoją najbardziej intymną książką. Jesteś tym panem w płaszczu?
– Ja jako ten pan w płaszczu? Nie, nie, ja w takim wydaniu to akurat jego przeciwieństwo, ja jestem chyba aż za wyraźny. To moja figura. Podobnie jak wszystkie postacie w pierwszym rozdziale „Warszawa Śródmieście".

Człowiek siedzący na walizce z książkami, pijak, sprzedawcy – to wszystko moi figuranci. Pani Bovary to nie ja. To taki one-man-show. Intymne są strony o bracie, mamie, Cześki, one najważniejsze, i je miałem na myśli.

Czy te obserwacje życia cię rozwalają? Przeczuwam, że to jest pytanie retoryczne, bo skoro masz w sobie mnóstwo empatii, to rozwalają i pisanie daje ulgę, jakbyś uwiecznił te cudze nieszczęścia i samotność, przez co oni mniej samotni się stają.
– Chyba tak, to jest jakaś ulga, kiedy się nimi dzielę. Pisząc. To taki upust wody z tamy. A samotni czytający, tak to czasami widzę, jakby grzali się przy wspólnym ognisku. Dobra, mamy wodę, mamy ogień, jeszcze tylko powietrza brakuje, zrobimy małą przerwę?

Samotni są też Ukraińcy, prawda? Niektórzy boją się odezwać w miejscach publicznych.
– Opowiem ci coś. Wchodzę do windy, w środku kurier, dostawca jedzenia. Mówię „dzień dobry", bez słowa kiwa głową. Wysiadamy, mówię „do widzenia", bez słowa kiwa głową.

Jestem w sklepie, szukam czegoś, pytam kogoś z obsługi – bez słowa pokazuje ręką kierunek. To nie-Polacy, dlatego milczą. Bo Polska jest zagrodą Polaków, a Polacy, czyli lud polski – nie bójmy się słów – ostatnio na nich zły. Oj, bardzo zły. Warczy, szczeka, gryzie, brunatne ma podniebienie. Więc boją się swego akcentu, własnego języka się boją. Milczenie jest złotem, ale nie zawsze, bywa, że strachem jest.

A ty się w ogóle interesujesz polityką?
– „Interesujesz"? Polityka to nie sport czy filatelistyka. Ona jest wszędzie, to tak, jakby zapytać, czy interesujesz się powietrzem.

Ale przyznam, fakt, od czasu naszej wygranej nie aż tak namiętnie, gorączkowo, że TVN 24 na okrągło. Dzisiaj mniej, a więcej TVP Kultura. Wcześniej to był nasz wielki, zbiorowy obowiązek, żeby odsunąć od władzy tego pisowskiego gada, została jego odnoga, tkwi w Pałacu Prezydenckim. Ja mam jakąś na niego alergię, widzę go – odwracam wzrok, słyszę – wyłączam dźwięk.

Przeglądając twój profil na Facebooku, wnioskuję, że jesteś dumny z dzisiejszej Polski. I zastanawiam się, czy ta duma to nie jest jakaś choroba. Bo jaka jest twoja zasługa z rosnącego PKB?
– Wiesz co, może cię zaskoczę, ale tak, nasz sukces gospodarczy jest jak najbardziej powodem do dumy. W „Spieglu" był ostatnio tekst o tytule „Polska ratuje niemiecką gospodarkę. Znaczny wzrost eksportu". Dożyłem więc tego, że mój pierwszy kraj ratuje mój drugi. I tak, to ja się do tego przyczyniam. Nie mówiąc już o podatkach, a byłaś na wyborach?

No, jak nie?
– Więc witaj w klubie! Tych, którzy się przyczynili.

Jedni są zadowoleni z PKB, inni z martyrologii. Czy nie fajniej byłoby po prostu być zadowolonym?
– Może cię znowu zaskoczę, ale tak, ja jestem dumny, tak. Szczególnie wtedy, kiedy widzę i słyszę reakcję turystów na Warszawę. Ich „wielkie oczy". Szczególnie Niemców. Zaczepiam ich wtedy, pytam o wrażenia, ochy same i achy, pytają, co powinni zobaczyć jeszcze, najczęściej polecam Muzeum Polin i kładkę nad Wisłą. I mówię im na koniec, że Warszawa jeszcze nie tak dawno była brzydkim kaczątkiem, a dziś piękny z niej łabędź.

„Tak wiele z wczoraj, tak mało z jutra" – nostalgiczna to myśl. Często cię dopada?
– Dopadła mnie, kiedy poszedłem nad Wisłę. Huśtawkę nową na plaży postawili. Huśtawka, obojętnie, jaka by była, jest zawsze taka sama: huśtasz się do tyłu, widzisz ziemię, czyli coś do przodu, widzisz niebo, czyli nic. To tak jak z przeszłością i przyszłością w moim wypadku. I wtedy wpadło mi to zdanie właśnie do głowy. To śmieszne, że mówimy „do głowy", znasz inne miejsce, do którego mogłoby ono wpaść?

No właśnie.
– I wtedy też zobaczyłem psa w Wiśle, płynął środkiem rzeki. Pomachałem mu z tej huśtawki, chyba zobaczył, bo skręcił szybko do brzegu. Wyszedł, otrzepał się z wody, podbiegł do mnie i usiadł obok. I tak już zostało, nazwałem go Topielec, w skrócie Topi, no i sobie mieszkamy pod jednym dachem. ●

Janusz Rudnicki

• Ur. 1956 r., pisarz, felietonista. Emigrant polityczny, od 1983 r. mieszkał w Hamburgu, gdzie studiował slawistykę i germanistykę. Od ponad 10 lat jest warszawianinem. W październiku ukazała się jego najnowsza książka „Dworce"(Biuro Literackie).



eprasa.pl e47b8e13bb

GORYCJE PATRZĄ SOBIE W OCZY



• Most w Solkanie nad Soczą/Isonzo, tuż obok Novej Goricy. Zbudowany w 1905 r. na linii Kolei Transalpejskiej

FOT. GETTY IMAGES

Wizyta w Gorycjach, słoweńskiej Novej i włoskiej „starej", pozwala dotrzeć do małego wszechświata, rzadko odwiedzanego przez turystów.

Nikodem Szczygłowski

Lubię stare dworce kolejowe, zwłaszcza te, które pozostawiła po sobie monarchia austro-węgierska. Lubię ich architekturę, atmosferę, lubię obserwować, jak i co w nich zmieniła rzeczywistość, która nastała w państwach powstałych po upadku CK. Lubię odkrywać kolejne warstwy i nawarstwienia tej inności.

I zgadzam się z tymi, którzy powtarzają za Hrabalem, że właśnie te dworce, jako namacalne pozostałości świata, którego już dawno nie ma – wciąż wyznaczają granice tego osobliwego obszaru minionej cywilizacji. Na przykład w Novej Goricy.

Nowe miasto na granicy

Położona na zachodzie Słowenii Nova Gorica powstała właściwie tylko dlatego, że w tym miejscu po II wojnie światowej z politycznych ustaleń wyłoniła się nieistniejąca nigdy wcześniej granica. Jedynym starym elementem w nowym, nie tylko z nazwy, mieście jest właśnie dworzec kolejowy. Otwarty w 1906 r. jako Görz Staatsbahnhof, stał się wówczas istotnym elementem nowej linii łączącej Triest z Villach, zwanej po włosku Ferrovia Transalpina, a po niemiecku Neue Alpenbahnen. Linia ta dziś w większości przebiega na terytorium Słowenii i – po słoweńsku zwana Bohinjska proga – oferuje podróżującym jedne z najpiękniejszych widoków kolejowych w Europie.

W 1919 r., w ramach zmian granic po I wojnie światowej tereny te znalazły się w Królestwie Włoch, a dworzec przemianowano na Stazione di Gorizia Nord (w odróżnieniu od starszego dworca na południu miasta, który obsługiwał ruch na linii z Triestu do Wenecji). W 1923 r. stacja kolejowa ponownie zmieniła nazwę, tym razem na Stazione di Gorizia Montesanto, odwołując się do pobliskiej góry, po słoweńsku zwanej Sveta Gora, aby w 1947 r. stać się symbolem nowego miasta Nova Gorica.

– W Europie można znaleźć niejedno miasto podzielone granicą. Nie ma jednak innego, które w całości powstałoby w wyniku wytyczenia granicy. I właśnie dlatego Nova Gorica jest interesująca – mówi mi Eva Sušnik, architektka, która sama funkcjonuje pomiędzy dwoma miastami i państwami, a granicę przekracza codziennie.

Granica jest esencją istnienia Novej Goricy. Na placu zwanym po słoweńsku trg Evrope (plac Europy), a po włosku piazza della Transalpina, granica przebiega dosłownie jego środkiem, oddzielając widowiskowy budynek wspomnianego wyżej dworca po słoweńskiej stronie od kamienic zabytkowej Gorycji po drugiej, już włoskiej stronie placu.

Wystarczy parę kroków od dworca i jesteśmy we Włoszech: błąkając się uliczkami starego miasta, można tu podziwiać architekturę starej Gorycji, miasta, które do końca II wojny światowej pełniło funkcję najważniejszego ośrodka miejskiego w północnej części Krasu. Było też jednym z najbardziej liczących się centrów kultury słoweńskiej.



• Tablica pamiątkowa wyznaczająca granicę między Słowenią i Włochami na Placu Europy/Transalpina w Novej Goricy

FOT. NIKODEM SZCZYGŁOWSKI

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Austryacka Nicea pięknej epoki

Kazimierz Ostaszewski-Barański, galicyjski publicysta ze Lwowa, pisarz z przełomu wieków XIX i XX, założyciel Towarzystwa Dziennikarzy Polskich, powołanego do życia we Lwowie w 1893 r., wiceprezes Związku Dziennikarzy Austrii, w wydanej w 1903 r. książce pt. „Z nad Drawy, Sawy i Soczy", pisał o Gorycji tak:

„Ścierają się tu ludy, rasy, religie, wpływy polityczne, krzyżują najrozmaitsze interesy. Następstwem tego są też stosunki narodowościowe: Słowieńcy w Gorycyi liczą się na 150 tys. (w ogóle liczy Gorycya 233 tys.)."

Czytałem tę książkę, kiedy przyjechałem do obydwu Gorycji – nowej i starej – na otwarcie Europejskiej Stolicy Kultury, projektu wspólnie realizowanego przez obydwa graniczne miasta, próbując wyobrazić sobie, jak Gorycję widział ponad 120 lat temu jej autor:

„Kras się kończy – a Gorycja, to prawie jeden wielki ogród, obramiony górami. Kraj przecina w całej długości z północy na południe rzeka Socza (Isonzo), której kolebka stoi u stóp Triglavu, w malowniczej okolicy, przypominającej tyrolskie dolomity. Tu czuć już południe w powietrzu, przyrodzie, mieszkaniach; chłodne hale, wysokie izby wstępują w miejsce przygarbionych chat góralskich".

„Stolica kraju, słowiańska Nicea, jak z pewną przesadą nazywają Gorycyę, jest miastem miłem, pięknie położonym, pełnem zieleni, blasku, woni i życia. Miasto ma dużo włoskiego charakteru, ale i Słowieńcy występują tu już pokaźnie. W Gorycji, w której Słowieńcy 2/3 ludności stanowią, mają tylko dwóch posłów do parlamentu, podczas gdy Włosi mają trzech; rząd jest w ręku Włochów".

Resztki ducha tego miasta belle epoque, o którym pisał galicyjski publicysta, w Gorycji wciąż można odczuć, chodząc jego ulicami, oglądając nieliczne zachowane stare szyl-

eprasa.pl e47b8e13bb

dy w języku niemieckim i słoweńskim, siedząc w parku miejskim ze staroświeckim barometrem na jednej z alejek. Niedaleko znajduje się okazały słoweński Trgovski dom (Dom Handlowy), dzieło słynnego architekta Maxa Fabianiego z 1904 r., którego skromny pomnik stoi tuż obok.

Architektura niektórych budynków – chociażby monumentalny gmach poczty z początku lat 30. XX w., nawiązujący do pałacu Dożów w Wenecji – przypomina też o późniejszych latach faszyzmu, które na tych terenach oznaczały przede wszystkim próby wynarodowienia oraz represje wobec miejscowych Słoweńców. Do dziś kładą się one cieniem na wzajemnych relacjach. Podobnie jak honorowe obywatelstwo tego miasta nadane wówczas Mussoliniemu, nieudana próba odebrania odznaczenia pod koniec 2023 wywołała kolejną falę wielkich emocji po obydwu stronach granicy.

Biała linia

Po II wojnie światowej Gorycja stała się pierwszy raz w swojej historii miastem granicznym.

Jej wschodnie przedmieścia przecięła Linea Bianca – „biała linia", po słoweńsku bela črta, czyli granica państwowa między Włochami i Jugosławią. Nazwa nie mogła być inna: granica została wytyczona w terenie białą farbą przez żołnierzy amerykańskich na podstawie linii naniesionej na mapę przez generała Pattona. 10 lutego 1947 traktat pokojowy pomiędzy Włochami a Jugosławią określił na nowo losy tej przestrzeni. Miasto Gorycja pozostało po stronie włoskiej, natomiast znaczna część okolicznych wsi i osad została nagle odcięta od swojego centrum administracyjnego i gospodarczego. Zasieki podzieliły wspólną niegdyś krainę na pół, przecinając także życiorysy, winnice, pola uprawne, a nawet cmentarz w miejscowości Miren, gdzie „biała linia" przeszła w sposób dosłowny przez groby.

Po wschodniej stronie nowej granicy pozostał budynek dworca kolei Transalpina. Pozostały też miejscowości Solkan i Kostanjevica, wieś Rožna Dolina oraz dawny miejski cmentarz komunalny, przez który podczas I wojny światowej przebiegała linia frontu, i który stał się areną ostrych walk. Właśnie tam, między starym dworcem kolejowym, z którego odjeżdżały pociągi w Alpy oraz zniszczonym w czasie walk cmentarzem powstała Nova Gorica.

„Zbudujemy nowe miasto" – padło hasło w Lublanie i Belgradzie – i na środku pustej przestrzeni, gdzie znajdowały się pojedyncze gospodarstwa i pola uprawne, władze wyznaczyły miejsce pod budowę.

– Nova Gorica, jakby na przekór tej Goricy starej, miała pokazać twarz nowego i lepszego świata socjalizmu. Nowe miasto na granicy miało stać się jugosłowiańską wizytówką dla Zachodu. Miało być postępowe, młode, pełne nowych pomysłów, sprawiedliwe, z mieszkaniami dla wszystkich, zielenią i doskonałą urbanistyką. Taka była idea. Potem, jak każda idea w historii, ulegała licznym zmianom. Ale sam pomysł był kwintesencją Jugosławii – opowiada Eva Sušnik.

Obecnie z historią powstania granicy oraz dalszymi historiami z tego wynikłymi (np. szmugiel) można zapoznać się w Muzeum Granicy, mieszczącym się w obydwu – słoweńskim i włoskim – dawnych posterunkach granicznych przy Kostanjevicy.

Wizytówka socjalizmu

Pierwszą koncepcję urbanistyczną nowego miasta opracował architekt Edvard Ravnikar, uczeń wybitnego Jože Plečnika. Mimo że prezentował wizję socjalistyczną, Ravnikar wzorował się przeważnie na urbanistyce francuskiej, czyli zachodniej.

Za wzorzec wziął projekt Aix-en-Provence Le Corbusiera – miasta, którego oś stanowi główna szeroka ulica – i to właśnie ją, ze sklepami, drzewami, tworzywem miejskiego zgiełku chciał przenieść na arterię główną Novej Goricy. Ravnikar zdecydował też o podziale przestrzeni urbanistycznej na strefy – mieszkaniową, przemysłową, odpoczynku etc.



FOT. GETTY IMAGES

• **Travnik, czyli Piazza della Vittoria, serce starego miasta w Gorycji. Widok na barokowy kościół św. Ignacego Loyoli zbudowany przez jezuitów w latach 1654-1747**



FOT. NIKODEM SZCZYGŁOWSKI

• **Fasada dworca kolejowego w Novej Goricy podczas ceremonii zakończenia projektu Europejska Stolica Kultury 2025. Dworzec otwarty w 1906 roku, stoi przy Placu Europy. Dziś jeden z symboli pogranicza słoweńsko-włoskiego**

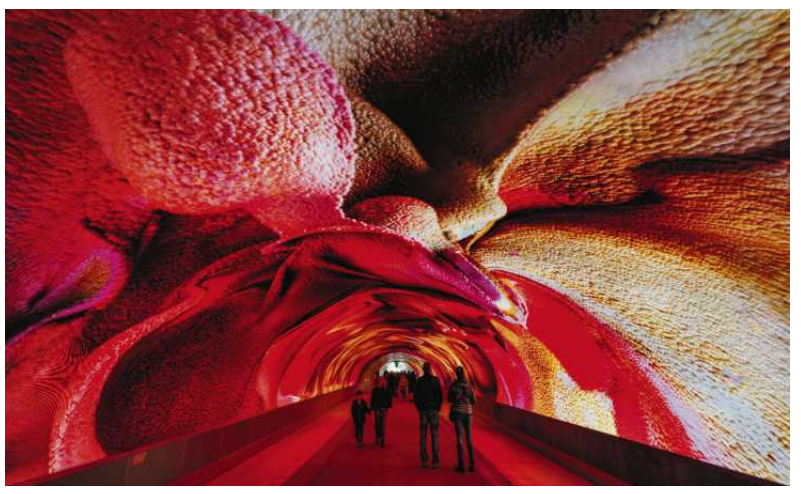
Jako punkt wyjścia przyjął nową granicę, która biegła równolegle do linii kolejowej, pozostawionej po stronie jugosłowiańskiej. Główna ulica Erjavčeva, która biegnie od granicy do centrum powstałego z niczego miasta, to dawna droga, prowadząca kiedyś z Gorycji do cmentarza miejskiego, leżącego wówczas poza miastem. U jej końca, w centrum nowego miasta wytyczono trg Edvarda Kardelja, nazwany na cześć słoweńskiego komunisty, jednego z najbliższych współpracowników Josipa Broza Tity. Przy nim powstały najważniejsze obiekty użyteczności publicznej w mieście – siedziba władz miejskich, biblioteka miejska oraz teatr narodowy.

Projekt Ravnikara nigdy nie został wprowadzony w życie do końca. Pierwotny pomysł na wizytówkę socjalizmu po konflikcie Tity ze Stalinem stał się nieaktualny. Jugosławia, choć pozostała socjalistyczna, to budowała swoją własną jego wersję, nazwaną „socjalizmem samorządowym", opartym o gospodarkę o elementach wolnorynkowych i koncepcję „nie zaangażowania". Granice kraju – zwłaszcza w porównaniu do krajów „demokracji ludowej" pod kontrolą ZSRR – pozostawały otwarte. Projekt budowy Novej Goricy, najpierw nadzorowany z Belgradu, został przekazany na szczebel republikański do Lublany, a następnie na poziom lokalny.

Zderzenie lokalności i globalności

Luka Lisjak Gabrijelčič, historyk i redaktor magazynu „Razpotja", opowiada przy kawie, na czym jego zdaniem polega fenomen tego miasta, czy raczej miast:

– Nova Gorica rozwinęła się na granicy i wiele tej granicy zawdzięcza. W momencie, kiedy Słowenia przystąpiła do Unii Europejskiej, zobaczyliśmy, że na obrazie obu miast nie brakuje rys i pęknięć. Po włoskiej stronie mamy ogromne wyludnienie, Gorycja ma dziś mniej mieszkańców niż 100 lat temu, kiedy przeżywała swój rozkwit. W Novej Goricy mamy do czynienia z drenażem mózgów, kryzysem modelu turystycznego, oba miasta w pewnym sensie położone są na dalekich obrzeżach swoich państw narodowych. Na szczęścia ta granica nie tylko jest traumatyczna, ale też buduje nadzieje.



• **Dawny tunel kolejowy pod wzgórzem Kostanjevicą podczas ceremonii otwarcia projektu Europejska Stolica Kultury 2025** FOT. SHUTTERSTOCK

W świetnie zaopatrzonej we wszystkie słoweńskie i nie tylko wydawnicze nowości księgarnio-kawiarni Maks przy ulicy Delpinova, która podczas corocznego festiwalu Mesto Knjige (Miasto książki) staje się epicentrum tej imprezy, rozmawiam z Mihą Kosovelem, działaczem Društva Goriških Humanistov (Stowarzyszenia Gorycyjskich Humanistów). Kosovel to jeden z organizatorów Europejskiej Stolicy Kultury 2025, pierwszego w historii, który realizowany był przez miasta położone po dwóch stronach granicy. Naprzeciwko widzimy wielki kompleks hotelowy Park Hotel, w którym znajduje się kasyno, a na parkingu stoją auta przeważnie z włoskimi rejestracjami.

Nova Gorica była (obok Portorožu na wybrzeżu), jednym z bardzo nielicznych miejsc w Jugosławii, gdzie był dozwolony legalny hazard, oczywiście z myślą przede wszystkim o gościach z Włoch i przywożonych przez nich w ten sposób dewizach. Te złote czasy już dawno minęły, ale kasyno w Park Hotel działa, i większą część klienteli tu wciąż stanowią goście zza zachodniej granicy.

– Intrygujące w historii naszego miasta jest to, że wymyślając życie lokalne, wymyślamy też aspekt, który wykracza poza narodowe aspiracje. Gorycja i Nova Gorica to miejsce, w którym spotykają się ze sobą rzeczy bardzo lokalne i bardzo globalne – mówi Miha.

„Białe szkoły" i transgraniczność

Z balkonu mieszkania Mihy oglądałem też w 2025 roku paradę otwarcia Europejskiej Stolicy Kultury, która przemierzała obydwa miasta i zbliżała się właśnie do granicy. Jeden z ośrodków ESK, gdzie miała miejsce część wydarzeń, organizowanych m.in. przez ekipę Mihy, mieści się dokładnie na granicy, w tzw. Carinarnicy, czyli dawnym jugosłowiańskim posterunku celnym. To było ważne wydarzenie, bo prawicowe władze Gorycji i lewicowe władze Novej Goricy musiały w ramach realizacji ESK działać wspólnie, pomimo zaszłości historycznych, nieufności, traum i podziałów.

Stefano Lusa, dziennikarz włoskiej redakcji Radio Koper / Radio Capodistria, który również był świadkiem realizacji całego projektu, od uroczystego otwarcia do niemniej uroczystego zamknięcia mówił mi później:

– Była to nasza wspólna, transgraniczna i wymarzona stolica kultury. Dwa niepozorne, nieznaczące miasteczka na granicy Słowenii i Włoch wspólnie zastanawiały się nad swoją przyszłością. To, że zrozumiały w końcu, że we współpracy będą mogły odnaleźć swoje znaczenie i sens już można uznać za cud.

Miha mieszka po włoskiej stronie, około 200 m od granicy, choć jego interesy życiowe w większości są po słoweńskiej stronie. Dlaczego?

Mieszkania w wyludniającej się Gorycji są znacznie tańsze niż w Novej Goricy, w związku

10 miejsc, które trzeba zobaczyć w słoweńskiej Novej Goricy i włoskiej Gorycji (Gorizia)



1. Plac Europy
2. Zamek w Gorycji
3. Klasztor Kostanjevica
4. Santuario di Castelmonte /Svetišče Stara Gora
5. Muzeum na granicy
6. Most Solkański
7. Rzeka Soča/Isonzo
8. Bazylika na Świętej Górze
9. Pałac Coronini Cronberg
10. Wzgórze Sabotin

© GAZETA WYBORCZA

eprasa.pl e47b8e13bb

z czym są chętnie kupowane przez Słoweńców z tamtej strony granicy. Nie oznacza to jednak, że traktują przeprowadzkę z „nowej" Gorycji do „starej" jako zmianę państwa zamieszkania: szkoła, przedszkole, praca itp. mogą w dalszym ciągu pozostawać po drugiej stronie granicy.

Choć bywa też odwrotnie, gdyż w Gorycji włoskiej ze względu na istnienie autochtonicznej mniejszości słoweńskiej funkcjonują mniejszościowe szkoły słoweńskie. Do których czasami oddają dzieci rodzice ze słoweńskiej strony granicy, ale też co raz chętniej również Włosi. Powód? Oficjalnie mówi się o tym, że słoweńskie szkoły mniejszościowe prezentują wyższy poziom nauczania, jest tam mniej dzieci w klasach, oferują lepszą znajomość języków (co wszystko jest prawdą), nieoficjalnie natomiast mówi się o „białych szkołach", nie ma w nich bowiem dzieci migrantów.

Zrozumieć granicę

Moja była lektorka słoweńskiego Lara Pižent pracuje dziś jako kuratorka oświaty słoweńskiej we Włoszech. Mieszka w „starej" Gorycji, a dorastała przy granicy – po słoweńskiej, wówczas jugosłowiańskiej stronie – w latach 80. i na początku 90. XX w. Miała rodzinę po włoskiej stronie granicy, którą wówczas, jako dziecko, często odwiedzała. W świecie ówczesnych podziałów granica była dla niej czymś normalnym, dziś myśli, że dzisiejszą graniczność tego miejsca definiuje przede wszystkim niezwykłe z ówczesnej perspektywy uczucie otwartości, którego wtedy nie przedstawiciele jej pokolenia doświadczyli.

– Mimo tego wydaje mi się, że dzisiejsi młodzi ludzie nie rozumieją tej granicy – tłumaczy Lara. – Mają wszystko, aby mogli dokonywać takich wyborów, jakich chcą, nie rozumieją jednak, jak ważne, że granica już nie istnieje, że można ją przekroczyć bez problemu w dowolnym miejscu. Nie są tak obciążeni granicą jak my, chociaż jestem pewna, że nawet w ich umysłach ona wciąż istnieje.

Z Larą rozmawiamy przy kawie w pobliskiej Rožnej Dolinie z widokiem na dawne przejście graniczne, gdzie na przełomie czerwca i lipca 1991 roku toczyły się ciężkie walki między Jugosłowiańską Armią Ludową oraz słoweńską Obroną Terytorialną. Larę i jej siostrę rodzice szybko ewakuowali do ciotki na włoską stronę granicy. Dziś, podobnie jak inni aktywni zawodowo mieszkańcy pogranicza, Lara granicę przekracza codziennie. Granica oczywiście niby nie istnieje, choć w wielu miejscach istnieje, choćby w miejscu, gdzie słoweńska ulica Erjavčeva przechodzi we włoską via San Gabriele i gdzie znajduje się stare przejście graniczne przy Carinarnicy. Ciągle obecni są tam włoscy karabinierzy, którzy wybiórczo zatrzymują i legitymują auta i przechodniów.

„Ciekawa sprawa z tym Schengen: jeśli lecę samolotem z lotniska w Trieście do Brukseli, to nikt mnie nie kontroluje, ale kiedy przechodzę pieszo z Novej Goricy do Gorycji, zatrzyma mnie policjant i sprawdzi dokumenty. Schengen nie istnieje, jeśli podróżuję między dwoma większymi miastami, ale pojawia się natychmiast na peryferiach. Potwierdza to moją dawną tezę: jeśli mieszkasz w jednym z większych europejskich



• Castello di Gorizia / Goriški grad – czyli zamek w Gorycji

FOT. AHUTTERSTOCK

miast i współpracujesz z organizacjami lub firmami z innych większych europejskich miast, mieszkasz w Europie. Jeśli jednak mieszkasz gdzie indziej, to po prostu jesteś na obrzeżach państwa narodowego" – pisze Miha Kosovel w jednym ze swoich tekstów. Tłumaczy w nim, dlaczego właśnie takie miejsca jak Nova Gorica stanowią papierek lakmusowy, który pokazuje, jak wspólna Europa działa w praktyce.

– Bogactwo tej przestrzeni nie leży we wspólnym mieście, ale w dwoistości. Tu mamy dziedzictwo modernizmu, a oni tam mają stare miasto z barokowymi kościołami – tłumaczy Eva Sušnik. Granica oddziela dzisiaj stare kamienice, wille i palazzi po jednej stronie od śmiałych wizji idealnego miasta powstałego niemal od zera po drugiej.

Bez granic

W grudniu 2025 roku, kiedy rok Europejskiej Stolicy Kultury dobiegał końca, siedziałem w nowo otwartej i zrewitalizowanej zajezdni kolejowej, przekształconej w nowoczesne centrum kultury, położonej około 20 m od granicy. Byłem słuchaczem i widzem słuchowiska radiowego opartego na nowej sztuce Gorana Vojnovicia, wystawionego na novogorickiej scenie dramatycznej w postaci dramatu i odtworzonego przez jego aktorów w postaci słuchowiska.

Goran opisuje historię dwóch braci, którzy dorastają w późnym okresie międzywojennym w małej słoweńskiej wiosce niedaleko obecnej granicy z Włochami, w czasie, kiedy granicy jeszcze nie ma. Cały słoweński Kras należy wówczas do Królestwa Włoch, a podczas rządów faszystów w wioskach i miastach toczy się niewidoczna, ale zacięta walka o język i kulturę.

Starszy brat, nie mogąc znieść przemocy ze strony pijącego ojca, ucieka do miasta – i tam staje się Włochem, przyjmuje język, kulturę, nową tożsamość, nowe włoskie imię i nazwisko, wstępuje do partii faszystowskiej. Po wojnie jest znanym prawicowym politykiem z Triestu, który pewnego dnia trafia do szpitala z powodu udaru mózgu. W ciągu jednego dnia traci pamięć i zdolność mówienia po włosku. Jego jedynym pragnieniem jest powrót do domu, do rodzinnej wsi, która obecnie jest oddzielona granicą państwową. Powtarza to pragnienie po słoweńsku i nikt – łącznie z synem – go nie rozumie, z wyjątkiem słoweńskiej pielęgniarki, która również ukrywa swoją prawdziwą tożsamość.

Jego młodszy brat podczas wojny ucieka do partyzantów Tity, przez cztery lata żyje w wojennych umowach w lesie, a po wojnie zostaje wysokim sekretarzem partii komunistycznej, mieszka w Lublanie i nie wie nic o swoim zaginionym przed wojną bracie.

Spotkanie obu braci w rodzinnej wsi otwiera puszkę Pandory i rodzi mnóstwo pytań, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Sztuka Vojnovicia nosi nazwę „W poszukiwaniu zagubionego języka", jest fikcją, lecz opartą na wielu autentycznych historiach, które wciąż zadają pytanie o tożsamość po obydwu stronach granicy.

Między światami

Błąkałem się potem po nocnym mieście, księżyc przebijał się przez chmury nad obydwoma Goricami tudzież Gorycjami.

Na fasadzie budynku dworca przeplatały się rzeźbione światłem kwiaty i egzotyczne rośliny, a palmy cicho szumiały liśćmi obok willi i starych kamienic po włoskiej stronie, tuż za granicą w postaci krawężnika i linii wyłożonej metalowymi krążkami na posadzce przecinającej plac.

W barze dworcowym było gwarno: Marko, pochodzący z Macedonii witalny barman, miał pełne ręce roboty. Na peronie dworcowym zaś było pusto – podobnie jak w inne wieczory, które tam spędziłem, uprawiając osobliwy novogorycki train-spotting i wyobrażając sobie pociągi, które odjeżdżały stąd dawno temu – w różne zakątki nieistniejącej już dawno monarchii, np. do Krakowa, gdzie pasażerowie wysiadali na prawie identycznym jak tu starym peronie.

Miasto (jak bardzo tu akurat pasuje precyzyjna słoweńska liczba podwójna – mesti) powoli pogrążało się w sen, jakby zawieszone w próżni, leżało na dnie ciemniej krasowej jaskini, pomiędzy lśniącymi gdzieś wysoko w niebie klasztorami – Svetą Gorą na północy i franciszkańskim na Kostanjevicy na południu.

W krypcie tego drugiego w grobowcach Burbonów pochowani są członkowie francuskiej rodziny królewskiej, w tym Karol X, ostatni król Francji z tej dynastii, jego syn Ludwik XIX, jego żona Maria Teresa Charlotta oraz ich syn Henryk V (Karol Ferdynand) z żoną.

Ja natomiast myślałem o pochówkach setek tysięcy żołnierzy, którzy zginęli w krwawej jatce pierwszej wojny światowej podczas kilku bitw nad Soczą w okolicach i na terenie dzisiejszego miasta.

Na wzgórzu Škabrijel na północ nad miastem znajduje się pomnik 4. Pułku Honwedów, a w lesie Panovec na południe – monument 20. Pułku Strzelców Austriackich, który kompletowany był głównie w Galicji Zachodniej i w latach wojny jego skład narodowościowy obejmował głównie Polaków (86 proc.), którzy rekrutowali się z okolic Nowego Sącza, Limanowej i Gorlic. Tysiące z nich na zawsze pozostało tu – polegli w imię cesarza.

Czym jest (Nova) Gorica?

Idąc przez nocne miasto, myślałem o tym, czym właściwie jest? Co mi przypomina? To miasto mogłoby być Cieszynem, podobne są historie podziału na starą i nową część, która wyrosła obok dworca kolejowego, podobne historie antagonizmów dwóch narodów i nieistniejącego już dziś pierwiastka niemieckiego, choć brak akurat tu rzeki granicznej w postaci wyraźnego limes.

Niespokojna Soča-Isonzo płynie na zachód od włoskiego miasta, na jego obrzeżach, i dopiero na północ od Solkanu staje się rzeką graniczną. Jego wschodnia część mogłaby być Nową Hutą, ostatecznie pochłoniętą przez rozrastającą się aglomerację, w alternatywnej rzeczywistości mogłoby być zakarpackim Użhorodem, zakładając, że granicę w mieście poprowadzono nieco dalej na wschód niż obecnie.

Mogłoby. Czym natomiast jest?

Po trochu tym wszystkim. Trochę starą, cesarską Austrią, jej zagubionymi na Krasie egzotycznymi obrzeżami z południową nutą; trochę międzywojennymi Włochami; trochę idealistyczną „niezrzeszoną" Jugosławią, odtwarzającą wzorce Nowego Belgradu w miniaturze i wersji premium na swojej najbardziej zachodniej (co w przypadku SFRJ oznaczało też północną) granicy.

Jest małym wszechświatem w rzadko odwiedzanym przez turystów (na szczęście) zakątku Europy.

I oczywiście Słowenią, lecz nie tylko tą dzisiejszą i oczywistą, lecz także alternatywną, obecnie „zamejską" (czyli zagraniczną), która daje możliwość wyobrażenia sobie, jak słoweńskość wyglądała tu wcześniej, do rozpadu monarchii austro-węgierskiej i jak mogłaby wyglądać, gdyby Jugosławia nigdy nie powstała.

Jest miejscem pogrążonym w historii, w tym alternatywnej, która zmaterializowała się i sprawiła, że jego rzeczywistość już od prawie 80 lata definiuje granica. Miejscem zawieszonym między przeszłością i przyszłością, między upiorami faszyzmu i komunizmu, między obydwoma wojnami światowymi, między dwoma dworcami kolejowymi, między rzeką i górami, między Krasem i wybrzeżem.

Stary dworzec kolei Transalpina tkwi pomiędzy tymi światami, zawieszony w czasie i przestrzeni, łącząc je i spinając w jedną całość. ●



FOT. NIKODEM SZCZYGŁOWSKI

• **Linia dawnej granicy włosko-słoweńskiej na cmentarzu w Miren, dziś ma wyłącznie charakter symboliczny i dekoracyjny. Granica przecinała cmentarz od 1947 do 1977, kiedy w ramach porozumienia zawartego w 1975 w Ossimo między SFRJ i Włochami, dokonano pewnych korekcji granicznych, w ramach których cmentarz w całości został po jugosłowiańskiej stronie**

Podcast „Poznajmy naszą Europę"

• **KRAS, KURENTOWANIE I KRAINKA. ZIELONA SŁOWENIA STAWIA NA LOKALNOŚĆ**

• **Alicja Dąbrowska z „Gazety Wyborczej"** rozmawia z **dr Jasminą Šuler-Galos,** Słowenką mieszkającą w Polsce, autorką prac naukowych i tłumaczką literatury polskiej na język słoweński, związaną z Uniwersytetem w Lublanie i z Uniwersytetem Warszawskim, oraz z **dr Martą Cmiel**, wykładowczynią w Instytucie Slawistyki Zachodniej i Południowej UW, naukowczynią i tłumaczką.

eprasa.pl e47b8e13bb

POLECA

ADAMICHNIK

Czy rozum jest nieskończony

Musimy stale pytać o ludzki rozum, jego pochodzenie.
O racjonalność świata i jej granice: czy jest coś poza, ponad rozumem? I co by to mogło być?



FOT. DOMENA PUBLICZNA

• „Wyklęty Spinoza", obraz Samuela Hirszenberga (1907). Spinoza został wyklęty przez gminę żydowską w Amsterdamie w 1656 r. za głoszenie „heretyckich poglądów". Miał wtedy 23 lata.

Tadeusz Bartoś*

Wpadła mi w ręce książka „Oblicza racjonalności", leciwa już trochę, z 2011 r. Autorzy zebrali się, by oddać jubileuszowy hołd Michałowi Hellerowi, uznanemu znawcy zawiłości współczesnej fizyki, a także, co nie bez znaczenia, katolickiemu duchownemu.

Jan Woleński pisze o pętlach semantycznych, Bartosz Brożek o logice zapętleń, Wojciech Grygiel o metodologicznych aspektach uprawiania filozofii umysłu w kontekście nauk kognitywnych, Łukasz Kurek o neurofilozofii, Wojciech Załuski o pojęciu osoby w świetle osiągnięć nauk biologicznych; jest jeszcze matematyczność ucieleśniona, świat lokalnie racjonalny, teologia nauki, wszechświat jako ślad Boga.

Wszystkie teksty ku czci Jubilata. Konia z rzędem temu, kto przebrnie bez szwanku przez te wysokospecjalistyczne dysertacje.

Książka ożywia stare pytanie o ludzki rozum, jego pochodzenie, o racjonalność świata, granice racjonalności – czy jest coś poza, ponad rozumem, i co by to mogło być. Pytania pełne niedocieczonych wątków.

„Poza logiką jest tylko absurd" – tym słowami popularyzował swoją pozycję filozoficzną historyk logiki, dominikanin Innocenty Bocheński. Formuła ta jest skrótem myślowym z pewną dozą prowokacyjności. Ściśle rzecz biorąc, logika, jak mawiał inny uznany polski ekspert Klemens Szaniawski, jest z konieczności prawdziwa za cenę tego, że nic nie mówi o rzeczywistości. Jest badaniem form językowych, układów znaków, z których jedne następują bezwzględnie (nie mogą nie nastąpić) po drugich. Zwie się to wynikaniem logicznym.

Hasło Bocheńskiego wyraża myśl, że ludzki rozum jest początkiem i końcem wszystkiego, że nie mamy innego dostępu do świata niż jego racjonalna analiza.

Religia – skoro był duchownym – nie była dla niego przeszkodą na racjonalnej ścieżce, przeciwnie, jak twierdził, pojęcie boskiego objawienia, a więc zbioru danych nieoczywistych dla ludzkiego rozumu, pozwoliło już w XIII wieku wprowadzić do systemu aksjomatycznego owe przesłanki nieoczywiste, co wyprzedzało o kilka wieków późniejsze odkrycia matematyków i logików. Do pewnego momentu uważano bowiem, że aksjomaty, żeby były aksjomatami, muszą być oczywiste same z siebie, jak dajmy na to zasada niesprzeczności.

Oddzielamy, przeklinamy

Nowożytna racjonalność, styk religii i nauki to najpierw konfrontacja dwóch odmiennych obrazów kosmosu. Ten stary, religijny, o świecie podksiężycowym, nadksiężycowym, oraz podziemnym (hades, szeol, piekło), stopniowo, nie bez oporu, pod wpływem m.in. pewnego kanonika katedry we Fromborku z XV-XVI wieku, przeszedł do historii. Biblia mówi, że świat został stworzony 6 tys. lat temu – takie było przekonanie chrześcijan do początków XIX wieku – aż tu nagle, ni stąd ni z owąd, geologowie zaczęli datować jakieś kamyki na miliony lat. I się posypało.

Bolesne wyrywanie dotychczasowego stanu posiadania religii trwało kilka wieków. Nie pomogły przykładne kary (Giordano Bruno na stosie), wykluczenie Spinozy z synagogi, soczysta klątwa jego żydowskich pobratymców z Amsterdamu:

„Z wyrokiem Aniołów, ze słowem Świętych, za zgodą Boga Błogosławionego (...) wykluczamy, oddzielamy, przeklinamy i obkładamy klątwą Barucha de Espinozę (...). Niech będzie przeklęty za dnia i (...) w nocy (...), przy kładzeniu się i (...) przy wstawaniu, przeklęty przy

eprasa.pl e47b8e13bb

swoim wychodzeniu i przeklęty przy swoim powracaniu (...). Nikt nie może mówić do niego (...) ani przebywać z nim pod tym samym dachem, ani znajdować się z nim w odległości mniejszej niż cztery łokcie, ani czytać żadnego pisma sporządzonego lub napisanego przez niego".

Nawet tak gromowładne słowotoki nie uciszyły Spinozy, który pisał, działał, choć dyskretnie, ostrożnie (caute).

Nauka pojednana z wiarą

Nauka wygrywała na wszystkich polach. Nowe odkrycia i na nich oparte urządzenia – działają! Co można powiedzieć przeciwko maszynie parowej – że jest błędem? A elektryczność, że jest sztuczką diabelską? Prawda naukowa przybrała oblicze skuteczności, a jak wiadomo, „contra efficacitatem non valet argumentum" [„wobec skuteczności argument musi ustąpić"].

W takim świecie żyje i tworzy Michał Heller. Jego praca to dwie równoległe ścieżki: katolickiego duchownego diecezji krakowskiej i pasja fizyka. Zgodnie z duchem epoki łączy w sobie rzeczy, które u zarania nowożytności były nie do pogodzenia: religijny i naukowy obraz świata.

Dziś chrześcijaństwo, w swych głównych nurtach, przyznaje, że jest o Bogu, a nie o atomach, kwarkach czy innych cudach-niewidach. Żyjemy w epoce pojednania nauki z wiarą, gdzie teorie fizyczne mogą wręcz współbrzmieć dyskretnie z religijnymi koncepcjami. Dajmy na to: teoria wielkiego wybuchu to mniej więcej to samo, co teologia mówi o stworzeniu świata ex nihilo. Przed wielkim wybuchem nie było niczego (wedle niektórych uczonych), a później już jest wszystko.

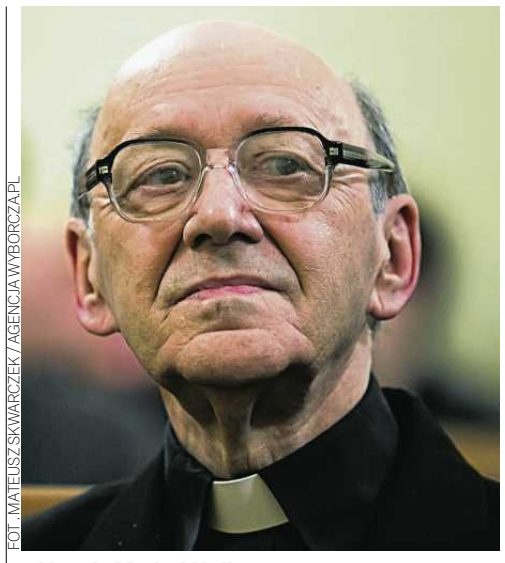
Pytanie o racjonalność świata brzmi w tym kontekście następująco: dlaczego da się go opisywać równaniami matematycznymi, dlaczego to działa? „Jedną z najbardziej doniosłych filozoficznych hipotez Michała Hellera – pisze w książce Marcin Gorazda – jest hipoteza o racjonalności i matematyczności świata". Być może więc matematyczność przyrody jest odblaskiem czegoś większego, myśli boskiego umysłu. Wtedy badając świat fizyczny, matematykę kosmosu, poznajesz myśli Boga.

Czy ks. Heller dziś tak uważa, tego nie wiem, tyle się zmienia w badaniach przyrodniczych, że trudno niekiedy nadążyć. Jedno jest pewne, żyje on od swej młodości pośród żywiołu tych pytań.

W swoim czasie był inicjatorem dialogu religii z nauką. Pamiętam, jaką estymą cieszyli się w Krakowie w latach 80. i później, gdy wraz z ks. Józefem Życińskim organizowali konferencje i debaty na temat nauk przyrodniczych. „Cały świat" się tam zjeżdżał i dyskutował. A do tego jeszcze, w kontrapunkcie, działał ks. Józef Tischner, specjalista od spraw ludzkich, człowieczego dramatu, egzystencjalnego doświadczenia. Jak w Atenach w V wieku p.n.e. mieliśmy wtedy pod Wawelem rozmaitych znamienitych przyrodników i humanistów, Anaksagorasów, Protagorasów i Sokratesów.

Czy kosmos może być zepsuty?

Ducha tamtych czasów odczuć można w pracach autorów książki poświęconej Michałowi Hellerowi. Już sam tytuł „Oblicza racjonalności" odsłania myśl przewodnią – obecność rozumu. Zapytajmy więc odważnie: cóż to takiego ten rozum i gdzie on się gnieździ?



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Ksiądz Michał Heller**

Przyroda jest rozumna, działa zgodnie ze swoimi rozumnymi prawami. Dla niej nic nie jest źle. Także nasze nieszczęścia, cierpienie i kres życia są zwyczajną samoregulacją: musi umrzeć ktoś, by narodzić mógł się ktoś

Tu zaczynają się schody. Racjonalne schody. Ks. Heller i my wszyscy możemy postawić hipotezę rozumności świata jedynie przy użyciu naszego rozumu. Nasz rozum widzi rozumność. A co ma widzieć, za przeproszeniem?

W świetle własnej rozumności widzi ewentualną nierozumność, która zawsze jest uszczerbkiem, jak pisał kiedyś św. Augustyn o złu, że jest brakiem, uszkodzeniem dobra (privatio boni): było dobre, działało i się zepsuło, przyszedł ktoś i to zdemolował. Stoi za tym religijna doktryna grzechu pierworodnego.

Pytanie, gdzie jest ten brak. Czy kosmos widziany oczyma współczesnego kosmologa może być zepsuty, uszkodzony? Trudno byłoby w to uwierzyć. Nawet zmiany klimatyczne, dla nas – uszczerbek na doczasowej harmonii, psujące nam życie, idące w poprzek naszych potrzeb, kosztowne, są przecież zgodne z prawami fizyki, są ich ekspresją.

Zniszczenie, uszkodzenie, brak – stoją zawsze po naszej stronie, to nasza ocena, kiedy coś jest nie po naszej myśli, i wolelibyśmy, żeby było inaczej: czy to choroba, czy śmierć, czy zanieczyszczenie powietrza, upały, pożary, powodzie. Dla nas – źle, a przyroda, rozumna przyroda, działa zgodnie ze swoimi rozumnymi prawami. Dla niej nic nie jest źle. Także nasze nieszczęścia, cierpienie i kres życia są zwyczajną samoregulacją natury: musi umrzeć ktoś, by narodzić mógł się ktoś.

Jest jeszcze niezrozumiałość jakichś elementów kosmosu czy ludzkiego świata. Tutaj piłeczka znów po naszej stronie: to my nie rozumiemy, źle rozumiemy, nie wiemy wszystkiego, albo jeszcze za mało wiemy, za wcześnie, mamy pomroczność niejasną własnych pojęć. Albo idziemy w złym kierunku i kiedyś ktoś to może skoryguje. A czemu by nie przypuścić, że błądziliśmy, błądzimy i błądzić będziemy w pewnych sprawach na wieki wieków amen?

Bóg, czyli przyroda

Ks. Heller jest zapewne kreacjonistą, noblesse oblige. Myśl religijna łączy się wtedy z danymi teorii fizycznych. Można jednak nie być kreacjonistą i widzieć rozumność przyrody, albo ją zakładać, jak czyni to choćby wielki XVII-wieczny filozof-racjonalista Benedykt Spinoza, dla którego natura, czyli istniejący świat, była wszystkim: nie ma niczego poza tym, co jest, a jest tego nieskończenie wiele. W tym sensie zamiast mówić „Bóg" możemy powiedzieć „przyroda", zgodnie ze słynną Spinozjańską formułą „Deus sive natura".

Czytamy w jego „Etyce" (I, XVI): „z konieczności boskiej natury wynikać musi nieskończenie wiele (...) na nieskończenie wiele sposobów" (przeł. Ignacy Myślicki, na nowo opracował Leszek Kołakowski). Co do nas z tego dociera? Mało, prawie nic. Widzimy, wedle Spinozy, jedynie rozciągłość i myślenie, dwa atrybuty przyrody, a tych jest z konieczności nieskończenie wiele, bo muszą być wszystkie, a nie mamy tytułu do tego, by a priori postawić gdzieś granice: tu koniec, dalej nie idziemy.

I o tej całej niezmierzonej nieskończoności wszystkiego wynikającego z boskiej przyrody na nieskończenie wiele sposobów nie mamy zielonego pojęcia. Albowiem „wszystko" ex definitione jest dla nas nieogarnialne. Rzeczywistość nie ma granic, nasze główki, które mają problemy z trawieniem takich konceptów, nie zatrzymają rzeczywistości. Niewydolność nie jest kryterium rozstrzygającym. Jest wszystko, ani mniej, ani więcej.

Tylko to jedno słowo „wszystko" nas ratuje, otwiera i niepokoi zarazem.

Bez granic

Jak bumerang wraca pytanie o rozumność naszej rozumności. I znów robi się kłopotliwie, bo to jakby zbyt duże zbliżenie kadru. Nie da się gałką oczną obejrzeć własną gałkę oczną. Nie da się rozumem zobaczyć własnego rozumu. Trzeba by jakiegoś lustra. Co może być lustrem dla rozumu? Jakiś kontrast, właśnie nie-rozum? Ale jak rozum może odkrywać nie-rozum, skoro on rozumny rozumnego szuka w świecie?

Oko nie może mieć w sobie kolorów, żeby móc wychwytywać kolory – w wielowiekowej tradycji filozoficznej znajdziemy takie spekulacje. Rozum nie może mieć w sobie rozumu, żeby widzieć rozumność świata zewnętrznego. To jednak przecież niemożliwe. Więc może odwrotnie: rozum widzi rozumność świata, bo tylko to może zobaczyć. Gdzie tkwi błąd w tym rozumowaniu?

Oko, gdyby miało w sobie biel, widziałoby wszystko na biało. Ciśnieniomierz bada ciśnienie, na temperaturę otoczenia ślepy. Rozum widzi rozumność, na nierozumność ślepy? Nawet jakby gdzieś nierozumność go napadła, dopadła i zdusiła, będzie starał się sobie to jakoś rozumnie wyjaśnić. Totalność – oto pierwsze imię rozumu.

A my pytamy o jego granice.

Odpowiedź jest jasna: żadnych granic. Bez-granic to właściwe imię rozumności: przenosi się łatwo, bez ograniczeń, jest agibilis (ruchliwa, chyża), jak powiedzieliby filozoficzni łacinnicy, czy to ci ze średniowiecza, czy ci z nowożytności. Rozum = brak granic. Pomyśleć można wszystko: nieskończoność abstrakcyjną albo świat nieskończony, albo nieskończoną ilość wszechświatów (jak „knują" współcześni spekulanci fizyczni).

Spinoza jest patronem tych nastawień, on, który myśl o nieskończoności na nieskończenie wiele sposobów stawia jako punkt wyjścia, pierwszą naturalną, spontaniczną konstatację rozumu. Powtórzmy raz jeszcze: rozum = idea wszystkiego. Wszystko, co jest, nie ma granic, nieskończona jest więc nieskończoność wszystkiego.

Równocześnie nie zapominamy, że praktycznie nikt nie jest w stanie ogarnąć, dotrzeć do choćby minimalnej części owego „wszystkiego". Fragmentaryczność naszego faktycznego poznania to eufemizm. Rozum ma swoje granice, ale by zobaczyć, stworzyć sobie ideę ograniczenia, w tle musimy mieć obraz całości, a więc ideę wszystkiego bez granic.

Takie to dylematy roztrząsają – nierzadko za publiczne pieniądze – filozoficzne nieużytki: „do roboty by się wzięli i przestali wymyślać problemy" – powiedziałby zdroworozsądkowy praktykant życia.

Co widzi rozum?

Ciąg dalszy aporii [trudności] rozumności świata. Powróćmy do metafory koloru. Rozświetlanie rozumności przy pomocy rozumu to jak identyfikowanie białego przy pomocy białego. Jeśli nie ma innego koloru, tylko biały, skąd w ogóle wiemy, że to jest białe, skąd w ogóle mamy w głowie ideę koloru? Jest więc nierozróżnialność, nieidentyfikowalność rozumności w oceanie rozumności.

Nawet jeśli rozum widzi nierozumność, to widzi ją – przypomnijmy – oczyma własnego rozumu. Ma w sobie ideę rozumności albo wręcz sam jest rozumnością, co pozwala mu dostrzegać jej niedobory. Ale jak ma niedobory, to traci perspektywę, jasność pewności własnej rozumności. Kolejna aporia.

Czy nie jest jedynym rozwiązaniem jakiś wzorzec racjonalności absolutnej, poza naszym zasięgiem? Czy to chrześcijański czy Spinozjański Bóg, jakaś całość wszystkiego, czymkolwiek by była, być musi. Skąd jednak u nas idea takiego wzorca, owego „wszystkiego", pojęcia jasnego, samo-się-narzucającego, które samo z siebie jest potwierdzeniem swej konieczności?

Pytanie bez odpowiedzi.

Majestatyczna budowla moralna

Co jest pierwsze, kura czy jajo? Oto centralne pytanie o racjonalność. Czy to człowiek ma skłonność racjonalną, która sprawia, że szuka jej w świecie, a jak wiadomo, kto szuka znajduje? Czy może odwrotnie, racjonalność jest w świecie zewnętrznym, a człowiek nie umie się jej oprzeć, jest do niej przyuczany, ćwiczony, musztrowany? Bez wyjścia. Bardziej odkrywamy czy bardziej wmawiamy światu naszą racjonalność?

Kolejne pytanie bez odpowiedzi.

Problem nie pojawił się wczoraj, widział go Nietzsche, komentując w prologu do „Jutrzenki" krytykę rozumu dostarczoną przez Immanuela Kanta: „Czy to nie było nieco naiwnym żądać od narzędzia, by krytykowało własną swą zdatność i doskonałość? by intelekt sam »poznawał« własną swą wartość, swe granice i swe moce? Nie byłoż to nawet nieco niedorzecznym? – Właściwa odpowiedź brzmiałaby (...), iż wszyscy filozofowie, nie wyłączając Kanta, budowali pod urokiem morału – iż, zmierzając rzekomo ku pewności, ku »prawdzie«, »majestatyczną budowę moralną« mieli właściwie na celu: jeżeli się posłużymy jeszcze raz niewinnym powiedzeniem Kanta, który za swe (...) zadanie i pracę uważa to, »iż wyrównał grunt i położył podwaliny pod owe majestatyczne moralne budowle«" (przeł. Stanisław Wyrzykowski).

Ten trop wymagałby rozwinięcia, choć nie ma już miejsca na kolejny wątek. Całe to poszukiwanie pewności naukowej ma podłoże moralne, sugeruje Nietzsche. Zbudować majestatyczną budowlę moralną jest potrzebą pewności nie rozumu, ale posiadania niezbitych argumentów dyscyplinujących ludzkie zachowania.

Kłopoty fizyków, kłopoty logików

Wróćmy jeszcze na chwilę do motywu uszczerbku na rozumności (resp. [odpowiednio] pobrudzenia białego) – może to rozjaśni nam ideę rozumności. Rozumność to porządek, ład, najlepiej matematyczny, Spinoza powiedziałby: geometryczny. A więc kolejność, następstwo: najpierw „to", potem „tam-

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński, Paula Skalnicka
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef), Marek Markowski (zastępca), Mirosław Maciorowski, Jan Cywiński, Ewa Wieczorek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl e47b8e13bb

to": jedno z drugiego wynika z siłą wodospadu. Taki model nieskończonej sieci przyczyn i skutków ładnie wygląda i podnosi na duchu. Jest rodzajem umysłowego komfortu.

Obraz ten zepsuli nam jednak XX-wieczni przyrodnicy. Nie ma tego w fizyce kwantowej: „coś z czegoś", „coś czegoś jest przyczyną" – dziś mogłoby rozśmieszyć specjalistów. Choć zrazu im doskwierało. Ale się przyzwyczaili.

Barwnie opisał to Erwin Schrödinger, guru XX-wiecznej fizyki, w książeczce „Przyroda i Grecy":

„Gdy nasze myślowe oko wkracza w coraz mniejsze rozmiary i coraz krótsze czasy, stwierdzamy, iż przyroda zachowuje się tak całkowicie inaczej niż to, co obserwujemy w przypadku ciał widocznych i dotykalnych, z naszego otoczenia, że ŻADEN model kształtowany według naszych wielkoskalowych doświadczeń nie może być »prawdziwy« (...).

Zakładamy – idąc za nawykiem myślowym stosowalnym do przedmiotów dotykalnych – że moglibyśmy prowadzić CIĄGŁĄ OBSERWACJĘ naszej cząstki i przez to stwierdzać jej identyczność. Tego nawyku myślowego musimy się pozbyć. NIE MOŻNA DOPUSZCZAĆ MOŻLIWOŚCI CIĄGŁEJ OBSERWACJI" (przeł. Kazimierz Napiórkowski).

Być może tutaj natrafiamy na granice racjonalności: ani tożsamości obiektu, ani że najpierw był jeden, a potem drugi. Dziw nad dziwy.

W kłopoty popadli nie tylko fizycy. Moi nauczyciele logiki stawiali podobny problem, gdy przyszło rozważać logiki wielowartościowe. Prawda i fałsz – dwie nienaruszalne wartości logiczne zostały naruszone, zamiast dwóch, okazało się, że są trzy. Prawda według ks. Tischnera, choć też trójczłonowa, tu się nie stosuje.

Jan Łukasiewicz (1878-1956) ze słynnej szkoły lwowsko-warszawskiej stworzył logikę trójwartościową. Jest więc nie tylko prawda i fałsz, ale i coś pomiędzy, trzecia wartość logiczna. Ani prawda, ani nieprawda. Dziwne. Trudno to zrozumieć.

Próbowano jakichś przystępnych eksplikacji: wydarzenie przyszłe możliwe, np. „jutro będzie padał deszcz w Warszawie" – jeszcze nie prawda, ale też nie fałsz. Gdy jednak pojawiły się rachunki logiczne o nieskończonej ilości wartości logicznych (też Łukasiewicz), nasza zdroworozsądkowa intuicja padła trupem. A rachunki poprawnie zbudowane, wszystko działa jak trzeba.

Czy więc znaleźliśmy się poza granicami rozumu?

Nie do końca. Logiki wielowartościowe w metajęzyku respektują reguły logiki dwuwartościowej. My sobie w języku prawdy i fałszu możemy wyłożyć układy przekraczające dwuwartościowość. I to się udało, rachunki są poprawne, spełniają wszystkie wymagania systemu aksjomatycznego. Taka operacyjna sprawność.

Może więc i w fizyce jest tak, że sobie logicznie i matematycznie, identyfikując obiekty, respektując zasadę poprzednika i następnika, co z czego wynika, co czego jest przyczyną, dla naszego ograniczonego użytku wyjaśniamy układy, w których takich tożsamości i następstw nie ma?

Nasze mózgi ewolucyjnie powstały nie jako narzędzia myślenia, ale przetrwania – powiadają neurobiolodzy. Ta wieść jak dobra nowina przynosi ulgę. Nasz małpi obraz świata to operowanie obiektami makro, wziąć, przesunąć, wrzucić, wyrzucić, a to – okazuje się – nie jest logika kosmosu, ale nasza adaptacja do otoczenia. Fotony takich problemów nie mają.

Gdzie są więc granice rozumu?

Czy świat jest wielką kiszką?

Raz jeszcze powróćmy do pytania o racjonalność fizyki. Nauki szczegółowe są, jak sama nazwa wskazuje, szczegółowe. O tym jednak zapominają niekiedy ich reprezentanci. Najgorzej mają fizycy, bo opisując kosmos, łatwo mogą ulec złudzeniu, że mówią o wszystkim, o całości tego, co jest. Klasyczne pars pro toto. Jak wiadomo, nie od dziś, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Rosanna Warren*

Łyski

Czy to były łyski, te ciemne ptaki z jaskrawo
białymi dziobami, pływające razem w kołach
na zimowych falach? Poszarpana powierzchnia
miejskiego rezerwuaru. Zaraz miało śnieżyć,
szliśmy szybko, noc rozciągała swoje okrycie,
na zachodzie niebo błyszczało jak kawałki szkła,
a ptaki w swych smokingach ścieśniały koła
tak, że wokół nich woda marszczyła się lśniąco
łapiąc odblaski. I nie zamarzała. To cud jak
rodzina przeżywa: co wiosna, łyski składają
za dużo jaj, zbyt liczne pisklęta tłoczą się
w gnieździe, błagając o robaki i trawy przynoszone
przez rodziców. Zirytowani rodzice: po trzech dniach
tarmoszą pisklęta, te słabsze głodują. Co to za matka,
pytam, wiedząc bardzo dobrze.
Łyski kląskają, piszczą, gdakają, skrzeczą. Na razie
ciągle jeszcze pływają w kołach. To jeden ze sposobów
na pokazanie, że przynależysz. Twarda, bezpióra
tarcza okrywa im czoła, łączy ich oczy szkarłatną
kropką. Jeśli masz jedną myśl,
trwaj przy niej. Przeżywają tylko
bezlitośni.

przeł. Irena Grudzińska-Gross



***Rosanna Warren.** Ur. w 1953 r., znana amerykańska poetka, tłumaczka i literaturoznawczyni. Córka pisarzy Roberta Penna Warrena i Eleanor Clark. Laureatka licznych nagród literackich. Ostatnio wydała biografię francuskiego pisarza Maxa Jacoba. Przyjaźniła się z Adamem Zagajewskim, w 2002 r. brała udział w polsko-amerykańskim festiwalu poezji zorganizowanym w Krakowie z jego inicjatywy.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-SA 4.0

Widzisz to, w co się wpatrujesz, a nie widzisz tego, na co nie patrzysz. Takie banały niekiedy wymagają zastosowania w rozważaniach metodologicznych. Fizycy aspektowo badają pewne części świata, i nie jest to obraz wszystkiego, a jedynie aspektowe ujęcie fragmentu świata dostępnego empirycznie. Nie należy tego uogólniać, a robimy to bezwiednie. Myślimy obrazami, bo abstrakcje są nazbyt energochłonne. Tak jakby chirurg od kiszki myślał, że cały świat jest wielką kiszką. Ładnie pisze o tym Kołakowski w książce o Spinozie: nauki szczegółowe to abstrakcje, wycięcia z całości. Skuteczne dlatego, że abstrakcyjne.

Myślenie o myśleniu

I jeszcze mój osobisty, niekoniecznie oryginalny, pogląd w kwestii racjonalności przyrody i granic ludzkiego rozumu. Rozwinę wcześniej sygnalizowane wątki. Rozumność – inteligencja są wszechobecne. To przyroda. Spryt bakterii, ośmiornicy nie jest mniejszy niż człowieka. Cuda złożoności, geniusz adaptacji! A świat nieożywiony – czy nie jest samą czystą rozumnością? Być może dla nas niezrozumiałą, ale od kiedy to ludzki mózg, wytwór rozumności przyrody, ma być kryterium rozumności!

Aż się prosi o przywołanie starych egalitarystycznych formuł: „znaj swe miejsce mocium panie", „wyżej głowy nie podskoczysz" itd.

Artykułowana mowa to sprawiła, że inteligencja przyrody (natura=rozumność) mogła się sobie w nas przyjrzeć, wyrazić w znakach. Potrzeba było dłuższych wypowiedzi. U zarania języka pewnie tego rodzaju, że „ten najpierw poszedł, wrócił, długo go nie było, ciekawe dlaczego, no i dobrze chociaż, że przyniósł jarzębinę". Tak opowiadać można o bracie, synu, małżonku, praprzodkach, których już nikt nie pamięta, z czasem ubóstwianych.

W pewnym momencie prehistorii rozbudowane opowieści, zwane później przez starożytnych Greków „mythoi", zaczęły zaprzątać głowę coraz liczniejszych ludzkich plemion. Ludzie zamieszkali w słowie, opowieści stały się dla nich nieodpartą realnością.

A potem już poszło szybko: „nieprawda, nie przyniósł jarzębiny" – mamy tu wypowiedź o wypowiedzi, zwaną uczenie metajęzykiem. Pojawia się myślenie o własnym myśleniu, zwane refleksją. „Intelligit intelligere" – „myśli, że myśli", „wie, że wie", pisał Tomasz z Akwinu. Jest prawda, jest fałsz, są historie opowiadane o świecie, czy to przez mitotwórców, czy przyrodników: treść różna, ale językowa forma ta sama.

Z biegiem czasu zaczęło dominować nowe, obliczeniowe podejście do świata: „więcej", „mniej", „jak to działa?". Nie minęło ileś tam tysięcy lat i powstały nowożytne nauki przyrodnicze.

Rozumność jest wszechobecnym oceanem tego, co jest. A nasza ułomna zdolność opisu świata, by w nim sprawniej funkcjonować, jest tylko ograniczonym odblaskiem jego nieskończonej rozumności.

Pytanie tylko: skąd my to wszystko wiemy?

Na pierwszej linii frontu

Na koniec spojrzenie krytyczne na ewolucję ludzkiego myślenia o świecie. Rozumność stała się skutecznością działania. Możliwy inny stosunek człowieka do świata uległ atrofii. Biblia mówi: po owocach ich poznacie (Mt 7,20). A jakie są owoce ludzkiej aktywności?

To wszelkie warianty przechodzenia od „było mniej" do „jest więcej". A więc wzmocnienie, odciążenie, ułatwienie, przyspieszenie. Czy to w podróżach, czy w obserwacji przyrody, czy w logistyce towarów.

Wspólna dla owoców aktywności ludzkiego rozumu jest rosnąca ergonomia, coraz korzystniejszy bilans między nakładem sił i osiąganym rezultatem. Więcej mniejszym kosztem to prawdziwy Zeus Pantokrator naszej cywilizacji. Dziś mamy AI, a to zwieńczenie długiej drogi do więcej, prościej, szybciej, a właściwie natychmiast. Kolejno mieliśmy: pismo, druk, prasa, radio, telewizja, internet, AI. A mówimy tylko o sferze przepływu informacji.

Rozum naszej cywilizacji jest najpierw rozumem praktycznym, mierzonym efektywnością działania. Gdzie są jego granice? Sky is the limit. Tyle jeszcze rzeczy mamy do przyspieszenia i ułatwienia.

Fizyka, także ta, o której pisze ks. Heller, jest na pierwszej linii frontu przyspieszaczy tego, co najważniejsze: działania na duże odległości. To nam się marzy, bo oznacza m.in. podróże kosmiczne, a niektórzy fizyczni fantaści snują fantastyczne recepty o podróżach w czasie, albo może nawet przebiciu się do innego, równoległego wszechświata. Stare obrazy archaicznych mitów kosmologicznych mają dziś nowe wcielenia, już nie tylko na fantazji, ale na obliczeniowych spekulacjach oparte.

Jest jednak, opisywany przez Arystotelesa, pod przemożnym wpływem Platona, tzw. rozum teoretyczny, ten, który spekuluje, bada, pyta nie tyle dla usprawnienia, zwiększenia ergonomii, ale dla samego badania. Jakby to był jakiś sposób życia człowieka.

Pytanie o istnienie, o sens istnienia, pytanie o to, kim jesteśmy, że stawiamy takie pytania. Nie ma tu żadnego kontekstu usprawnienia, zwiększenia wydajności. Jest za to pewien rodzaj nastawienia, które otwiera człowieka na ciągle dopytywanie się, zdziwienie, może zachwyt.

Znajdujemy się pośród filozofów-humanistów. Martin Heidegger pisał o otwartości, jaką daje trwanie w zapytywaniu, o nieuciekaniu w pochopne odpowiedzi. Pytać, niekiedy całe życie, w zasłuchaniu, to rodzaj nastroju intelektualnego, otwartości umysłu, gotowości na coś nie do przewidzenia, czego w nas nie ma, co, jeśli już, przybyć musiałoby spoza, nie jest spełnieniem jakieś naszej potrzeby, przetworzeniem tego, co już wiemy. Stąd owo zasłuchane i cierpliwe wyczekiwanie.

A nawet jeśli nie chciałaby nas dotknąć i odmienić tajemnica istnienia, dzięki tym filozoficznym ćwiczeniom mamy szansę na spojrzenie poza horyzont, wyjrzenie poza zamknięcie holistycznej klatki, w której żadna nowość pojawić się nie może, a każde nowe jest jedynie przeróbką tego, co już wiemy. W ten sposób filozofia staje się ćwiczeniem duchowym.

Tylko cienie

W jaskini jest ciemno, a jeśli w ogóle coś widać, to tylko cienie tego innego, całkiem odmiennego, czego nijak nie potrafimy sobie przypomnieć.

Tutaj z całą pewnością sięgamy granic rozumu. ●

Tytuł i śródtytuły tekstu – „Wyborcza".



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

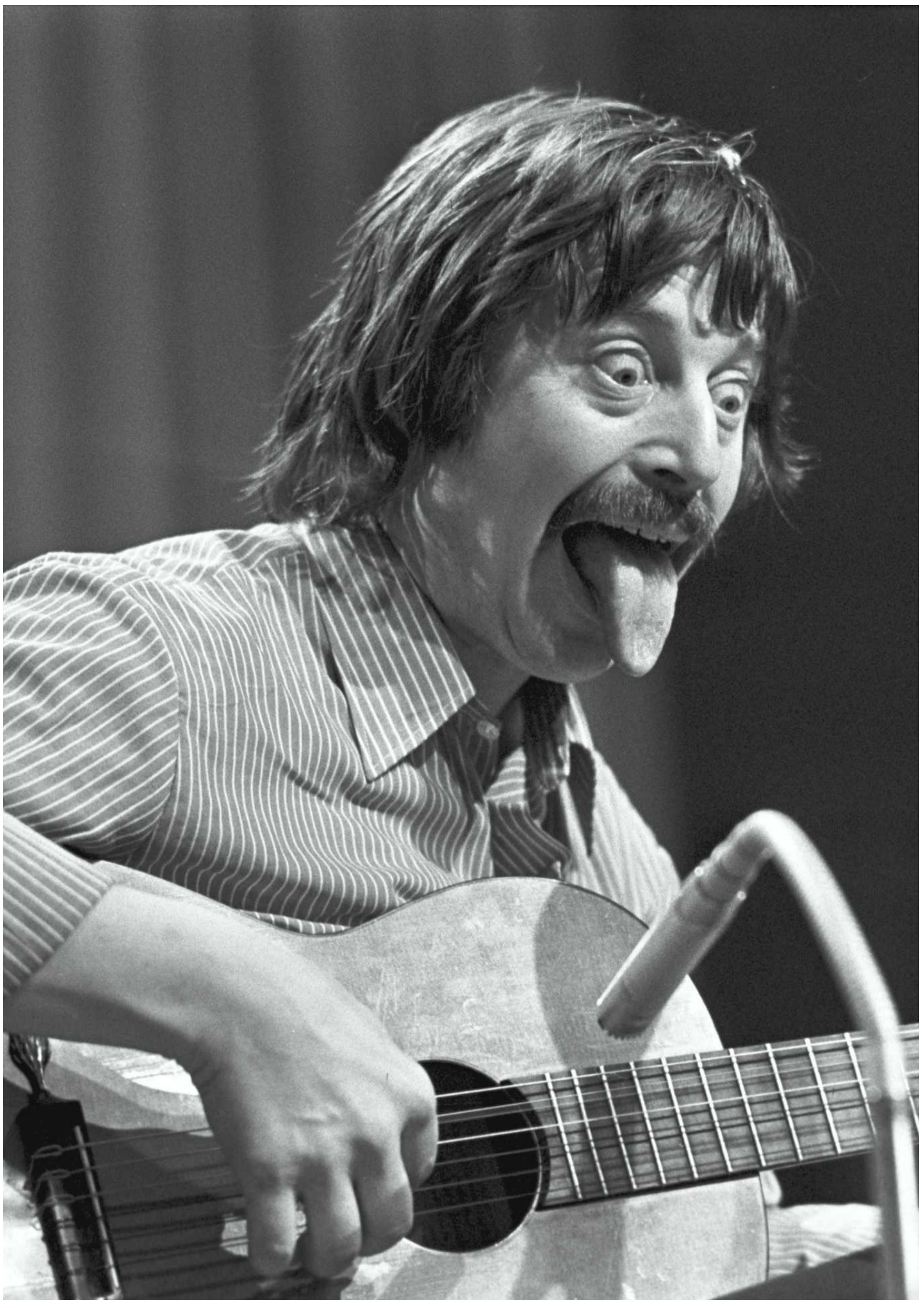
***Tadeusz Bartoś**

• Filozof, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Zajmuje się problemami filozofii kultury i ewolucji metafizyki, historii oddziaływania tekstów filozoficznych, historii myśli filozoficznej i religijnej średniowiecza. Ostatnio wydał książki „Klątwa Parmenidesa" (2020) i „Upadek, niemożliwy" (2021).

eprasa.pl e47b8e13bb

ALE HISTORIA

Bard WYKLĘTY Z NRD



Pieśni Wolfa Biermanna zyskały w obu państwach niemieckich status hymnów. Śpiewano je w kościołach, tak jak w Polsce stanu wyjątkowego songi Jacka Kaczmarskiego.

Adam Krzemiński

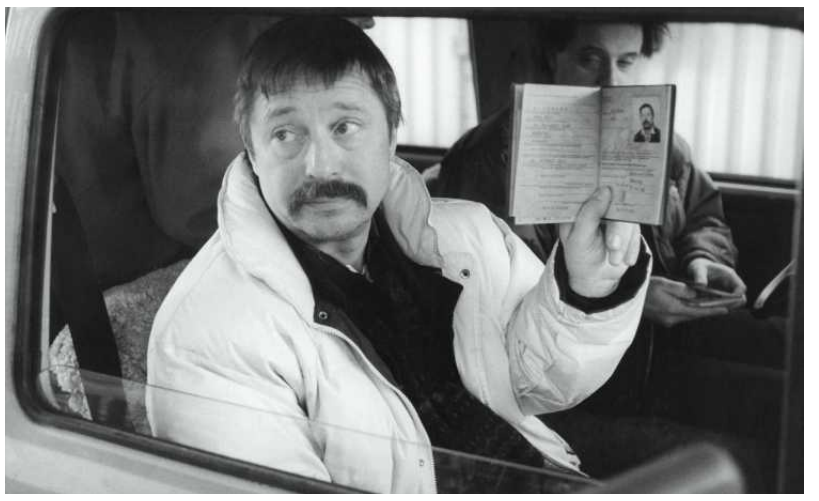
• **Wolf Biermann podczas występu w hali sportowej w Kolonii 13 listopada 1976 roku. Koncert był transmitowany na żywo przez Westdeutscher Rundfunk. Pieśniarz, który miał w NRD zakaz występów, został zaproszony przez młodzieżową organizację związku zawodowego IG Metall oraz grupę studentów**

FOT. PAP/DPA/WILHELM BERTRAM

eprasa.pl e47b8e13bb







Przed koncertem w Kolonii 13 listopada 1976 roku Wolf Biermann wiedział, że balansuje na linie. Od 11 lat miał w NRD zakaz publicznego występowania. Z powodu swych brechtowskich ballad i politycznych kupletów był czarnym charakterem enerdowskiej propagandy – wywrotowcem, oszczercą, wrogiem państwa i fałszywym rewolucjonistą. Dzień i noc pod obserwacją Stasi. Jego nagrywane w mieszkaniu i szmuglowane na Zachód songi były w NRD kopiowane na kasetach i przepisywane. Jego piękna „Otucha” z 1966 roku stała się w obu państwach niemieckich hymnem oporu i nadziei śpiewanym w kościołach, tak jak w PRL stanu wojennego „Mury” Jacka Kaczmarskiego.

Wolf Biermann był w NRD czołowym dysydentem – obok Roberta Havemanna, fizyka, który wyrok śmierci w Trzeciej Rzeszy przetrzymał tylko dlatego, że pracował w więzieniu dla Wehrmachtu, a w 1964 naraził się partii wykładami o „dialektyce bez dogmatu”. Mieszkanie Biermanna w centrum Berlina przypominało gołębnik, do którego z zachodniego Berlina zlatywała się lewicowa śmietanka: przywódca zrewoltowanych studentów Rudi Dutschke, radykalna publicystka Ulrike Meinhoff, a także Günter Grass czy Heinrich Böll. Wpadały też amerykańskie sławy jak Joan Baez czy Allen Ginsberg.

W KRĘGU BERLINER ENSEMBLE

Wolf Biermann urodził się w listopadzie 1936 roku w Hamburgu w rodzinie komunistycznej. Ojciec był ślusarzem w stoczni. Po przejęciu władzy przez Hitlera przez dwa lata był więziony za konspirację. W 1937 oskarżony ponownie wykrzyczał na sali sądowej, że jest Żydem. Jego syn nie nosił żółtej gwiazdy, bo matka nie była Żydówką. Ojca spotkał tylko raz – w 1941 roku na widzeniu w kacecie. Poproszony o zaśpiewanie jakiejś piosenki pięciolatek wyrąbał więźniowi propagandowy szlagier o „bombach przeciwko Anglii”.

Po odsiedzeniu wyroku w lutym 1943 ojciec został zesłany do Auschwitz i po dwóch tygodniach nie żył. Matka – aktywna w podziemnej komunistycznej siatce – wychowywała syna samotnie. Po wojnie w tym środowisku NRD uchodziła za „lepsze Niemcy”.

Miał 14 lat, gdy trafił na okładkę enerdowskiej gazety, bo na zlocie młodzieży we wschodnim Berlinie odczytał przed kierownictwem Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (SED, Sozialistische Einheitspartei Deutschlands) wiernopoddańczy apel. I gdy w Hamburgu, gdzie mieszkał z matką, stracił ochotę do nauki, dzięki partyjnym koneksjom wysłała go ona w 1953 roku do prowincjonalnego internatu w NRD. Początkowo było świetnie: dobrze się uczył i zakochał, rozwijał zainteresowania muzyczne i teatralne, biorąc udział w inscenizacji „Zbójców” Schillera i „Prafausta” Goethego.

Rewolta w całym kraju 17 czerwca 1953 do siedemnastolatka nie dotarła. Ale poznał też drugą stronę ustroju – publiczne upokarzanie koleżanki niechcącej się wyrzec protestanckiej organizacji młodzieżowej, a także brutalną próbę pozyskania go na donosiciela Stasi. Wykręcił się. Ale – jak potem mówił – nie wie, co by było, gdyby go zręczniej podeszli!

Na studiach ekonomicznych w Berlinie wsiąkł w teatr i poezję Bertolta Brechta. A legendarna Helene Weigel – wdowa twórcy Berliner Ensemble – doceniając jego świeżość i rodzinne tło, przyjęła go na staż. Odpłacił się naiwną nadgorliwością, czym drażnił jednych, a pociągał innych. Żona francuskiego mima wprowadziła go w świat francuskiej chanson, nauczyła pisania własnych tekstów pod gitarę, a przy okazji urodziła mu pierwsze dziecko. Miał ich jeszcze ósemkę z trzema kolejnymi żonami.

MŁODZIK PISZE DO TOWARZYSZY

Latem 1961 roku z niechęcią patrzył na enerdowców w zimowych płaszczach jadących do zachodniego Berlina. 13 sierpnia, w dniu budowy muru, brał udział w akcji propagandowej, mówiąc mieszkańcom, że zamykanie granicy jest konieczne i tymczasowe. Wierzył, że mur uratuje NRD przed rozpadem i umożliwi reformy socjalizmu. Takie też sygnały dochodziły z Moskwy, gdzie w październiku 1961 usunięto z mauzoleum mumię Stalina, a Jewgienij Jewtuszenko i Andriej Wozniesienski wygłaszali do tłumu na Placu Majakowskiego swe buńczuczne wiersze.

Enerdowcy jednak się nie spieszyli. Dopiero w grudniu 1962 Stephan Hermlin – „dzielny i tchórzliwy, buntowniczy i uległy” poeta i działacz – odważył się wyłuskać i zaprezentować w Akademii Sztuk młode talenty. Także Biermann odczytał wiersz „Do starych towarzyszy” – doceniamy was, ale nie każcie nam, młodym, czekać – dopuście zmiany i nowy początek... A gdy zaśpiewał przy gitarze kilka swoich ballad, zrobiło się gorąco. Pojawiły się wołania o większą swobodę w kulturze przerwane wrzaskiem kogoś z KC, że tu powstaje „Klub Petofiego” – powtórka „kontrrewolucji” jak w 1956 na Węgrzech. I wystarczyło. Wystraszony mentor młodych złożył w „Neues Deutschland” samokrytykę.

Ale Biermann odmówił publikacji swoich wierszy, jeśli nie będzie wśród nich filipiki „Do starych towarzyszy”. I w opuszczonym kinie stworzył „teatr robotniczo-studencki”, chcąc wystawić własną sztukę o miłości rozdartej przez mur berliński, który powstał nie tyle z powodu zachodniej dywersji, ile przez błędy partii. Teatr został rozpędzony, a Biermann skreślony z listy kandydatów SED i mimo pomyślnego zdania egzaminu nie dostał dyplomu. Na osłodę pozwolono mu zarabiać mało szkodliwą satyrą w berlińskim kabarecie „Diestel” (pol. oset).

Będą też pokusy. Margot Honecker znała rodzinę Biermanna z czasów wojny, a teraz – po podstawówce! – była w NRD ministrem edukacji. Przekonywała go, że gdy wejdzie na właściwą drogę, to będzie wielkim cenionym poetą. Był kłopotliwy, ale i atrakcyjny, więc cenzurując go u siebie, zezwolono mu na koncerty w lewicowych środowiskach na Zachodzie, gdzie też w kwietniu 1965 roku razem z zachodnim satyrykiem nagrał kultową niebawem płytę.

NIEMCY, TŁUSTY TYŁEK ŚWIATA

Zdawał sobie sprawę z uprzywilejowanej pozycji „ulicznego lirnika” i przelał to na papier, dosadnie nawiązując do „Baśni zimowej” Heinego. Metafora była mocna: Niemcy to tłusty i ciężki tyłek świata z włosami kolczastego drutu w rowku. Każda część podzielonego świata ma swoją połówkę tego niemieckiego zadka. Tej zachodniej udało się zamienić niemieckie gówno w twarde złoto, natomiast enerdowski tyłek tak został wypolerowany twardą miotłą Stalina, że teraz czerwone od szram jest to, co było brunatne...

Ten kuplet opublikowany w zachodnioberlińskim piśmie satyrycznym został natychmiast zaatakowany przez ministra kultury w „Neues Deutschland” – stając się pretekstem do neostalinowskiego zwrotu w polityce kulturalnej partii. Jedenaste plenum KC SED miało w grudniu 1965 roku dotyczyć gospodarki. Ale tuż przed nim z powodu nowych dyrektyw Kremla zastrzelił się w swoim gabinecie inżynier Erich Apel, skądinąd ciekawa postać – w NRD członek Biura Politycznego SED odpowiedzialny za gospodarkę, a w czasie wojny pomocnik Wernera Brauna przy budowie rakiet V2. Po samobójstwie Apela gospodarkę na gwałt przesłonięto ideologicznym atakiem na krytycznie myślących intelektualistów na nowe filmy, powieści i awangardową muzykę.

Przede wszystkim Biermann znalazł się w centrum orwellowskich „minut nienawiści”. Prasa była pełna jadowitych komentarzy i oburzonych zbiorowych listów z zakładów pracy. Naciskano także w Hamburgu na matkę, by jako komunistka potępiła syna. Odpowiedziała, że Wolf jest rewolucjonistą, a ci, którzy go atakują, to świnie. Jawnie inwigilowany przesłaniał swój strach prześmiewczymi tekstami o bezpiece jako swoim wiernym sekretarzu. Wsparciem była dla niego przyjaźń Petera Huchela, któremu odebrano renomowany dwumiesięcznik. I to dla niego wiosną 1966 roku napisał „Otuchę” – nie ulegaj goryczy, lękowi, presji, nie bądź taki ostry i zahartowany, zachowaj pogodę ducha.

Ten nieformalny hymn „pokolenia 68” trafił w Szwecji do protestanckich śpiewników. W PRL spolszczył ją w bitewnie biblijnym tonie Leszek Berger. Dwadzieścia lat po zjednoczeniu Niemiec Biermann zaśpiewał ją w Bundestagu...

• Od prawej: Wolf Biermann podczas przekraczania granicy z NRD, w czasie koncertu w Kolonii fetowany przez publiczność oraz na okładce płyty, na której również wykorzystano zdjęcie z tego występu

FOT. CBS RECORDS, UNITED ARCHIVES GMBH/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, DN-BILDARCHIV/ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

POETA NA INDEKSIE

Rok 1968 to fala protestów studenckich od Warszawy poprzez Berlin Zachodni po Paryż, a także Praska Wiosna, a w zachodnich Niemczech początek lewicowego terroru RAF. Biermann zaprzyjaźni się z Robertem Havemannem, jest i jego zięciem. Ten tandem prominentnych dysydentów przyciągnął wizytę Herberta Marcuse'a – kultowego filozofa studenckiej rewolty na Zachodzie. Ale grono ich enerdowskich młodych sympatyków zostało przetrzebione aresztowaniami za solidarność z rozjechaną czołgami Czechosłowacją. Niemniej obaj nadal nie porzucili wiary w reformy ustroju – jeśli zacznie się od ZSRR.

Biermann Polski zbytnio nie śledził. Nie dostał też paszportu na wyjazd do Oświęcimia. Natomiast w 1971 roku udała mu się wycieczka do Moskwy – z akt Stasi dowiedział się, że wypuszczono go w nadziei na skandal jako pretekst do aresztowania. Spotkał się z Bułatem Okudżawą. Miał mały koncert w prywatnym mieszkaniu z Lwem Kopielewem jako tłumaczem i Bellą Achmaduliną obrażoną, że to nie ona jest w centrum.

Po jedenastu latach zakazu koncertowania jesienią 1976 roku otrzymał zgodę na trasę koncertową na Zachodzie. To był w demoludach moment przełomowy. Wprawdzie rok wcześniej w Helsinkach przyklepano status quo podzielonej Europy, wpisując w ramy odprężenia Wschód-Zachód także zasadę swobodnego przepływu ludzi i informacji. Jednak kolejna fala strajków w Polsce i powstanie we wrześniu Komitetu Obrony Robotników pokazała, jak chwiejna jest sytuacja bloku.

Biermann po deportowaniu w 1974 roku Sołżenicyna z ZSRR otrzymywał sygnały, że partia Ericha Honeckera chętnie by się go pozbyła. Ale gdy otrzymał zgodę na trasę koncertową w zachodnich Niemczech, postanowił zaryzykować.

PRUSKI IKAR

Koncert w Kolonii był zaplanowany na dwie godziny, a trwał cztery i pół – przerywany ciętą konferansjerką, slalomem między akceptacją a krytyką „mojego państwa” i końcową nową balladą o sobie jako pruskim Ikarze z ciężkimi żeliwnymi skrzydłami powiązanymi drutem kolczastym...

eprasa.pl e47b8e13bb



• Wolf Biermann (ur. 15 listopada 1936) w swoim domu w Hamburgu, 29 stycznia 2024 roku. Za nim wiszą na ścianie obrazy autorstwa jego żony Pameli Ruesche

FOT. BETTINA THEUERKAUF/LAIF/FORUM

Otucha

Ty nie daj się skamienić,
choć to kamienny czas.
kto jest zbyt miękki – klęka,
kto jest zbyt twardy – pęka
i tylko słychać trzask.

Ty nie daj się goryczy,
chociaż to gorzki czas.
My na więziennej pryczy,
lecz to ten we śnie krzyczy,
kto tutaj trzyma nas.

Ty nie daj się załamać,
chociaż to straszny czas.
To właśnie jest ich zamysł,
że się poddamy sami
i żeby duch w nas zgasł.

Ty nie daj im się użyć,
sam użyj własny czas.
Nie zmykaj, aż się kurzy,
masz nam swą wiarą służyć
i z nas brać swoją masz.

Nie dajmy się kneblować,
choć to milczenia czas.
Zieleń wyrośnie nowa,
jak kiedyś świat ze Słowa,
tylko wyrwijmy chwast.

Spolszczył Leszek Berger

I śpiewał jak na skrzydłach. Śpiewał w dniu urodzin ojca, tuż przed swoimi czterdziestymi urodzinami, które wypadają 15 listopada. Ikoną tego koncertu było zdjęcie od tyłu na tle widowni, z podniesionymi rękoma – w triumfie, ale bliski ukrzyżowania. W drodze na następny występ usłyszał z radia, że za oszczerstwo rzucane na NRD został pozbawiony obywatelstwa NRD. Nie potrzebowano pretekstu – zgoda na wyjazd była pułapką. Władze liczyły się z protestami, ale nie z ich lawiną.

List otwarty do partii z postulatem zmiany decyzji podpisało dwunastu znanych pisarzy i artystów NRD, wśród nich Christa Wolf, Stefan Heym, Jurek Becker i Stephan Hermlin, ale w ciągu kilku dni było już 150 podpisów. A na Zachodzie za wygnańcem ujęli się Heinrich Böll, Günter Grass i Willy Brandt. We Francji – Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir i ponad pięćdziesięciu pisarzy. Podobnie w Danii, Szwajcarii, Szwecji, we Włoszech czy w Hiszpanii. Władze NRD odpowiedziały naciskami i represjami. Niektórzy wycofywali swe podpisy i znów przywracali. Młodych z otoczenia Biermanna aresztowano. A w grudniu powstał w Berlinie Zachodnim Komitet Obrony Wolności i Socjalizmu domagający się uwolnienia więźniów politycznych.

Wydalenie Biermanna bywa nazywane początkiem końca NRD. To przesada. Niemniej wywołało falę emigracji pisarzy, artystów i intelektualistów oraz napięcia – zwłaszcza w młodym pokoleniu – narastającego także pod wpływem pojawienia się w Polsce „Solidarności", by w końcu wybuchnąć oddolnym ruchem obywatelskim w czasach gorbaczowowskiej pierestrojki.

NIE WIERZYŁ W UPADEK NRD

Biermann wyrzucony na Zachód długo czuł się jak ryba na piasku. Prawica atakowała go za komunizm. Prokomunistyczna lewica – za zdradę i oczernianie NRD. A on utracił oparcie – krytykę NRD od wewnątrz. Toteż długo nie oddawał enerdowskiego paszportu. Pisał nowe teksty, ale nie czując zachodniej atmosfery, popełniał w nich kiksy. Schronił się we Francji – ale i tam nie zawsze czuł bluesa. Będąc na herbatce u Sartre'a, nie zauważył, że pokojówka wnosząca biszkopty to Simone de Beauvoir i wytknął na półślepemu guru egzystencjalistów, że się powtarza, na co usłyszał: „Monsieur, pan także śpiewa to samo, bo nie ma nic nowego…". Zaproszony przez greckiego kompozytora Mikisa Theodorakisa do wsparcia kampanii François Mitterranda dał plamę, śpiewając o Komunie Paryskiej, podczas gdy przywódcy francuskich socjalistów było bliżej do marszałka Pétaina…

Werwy Biermannowi dodał stan wojenny w Polsce – tu fronty były znane. Publikował obok Adama Zagajewskiego wiersze na rzecz „Solidarności", godząc się – jak mówił – z Czarną Madonną robotników. W czasie mityngów zarzucał socjaldemokratom współpracę z polskimi generałami, a zachodnioniemieckiej lewicy i ruchowi pokojowemu – „brutalny brak zainteresowania" Polską. Ale to był raczej epizod. Osiadł w końcu w Hamburgu z matką i kolejną żoną. Pisał – coraz bardziej w tle – nowe, nastrojowe wiersze, nagrywał płyty, tłumaczył Szekspira i pod wpływem Arno Lustigera – oświęcimiaka z Będzina – przetłumaczył z jidysz na niemiecki „Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie" Icchaka Kacenelsona.

Nie wierzył, że doczeka rozpadu NRD. Polska wpisywała mu się wraz ze stanem wojennym w długi łańcuch przegranych zrywów w demoludach: 1953 – NRD, 1956 – Węgry, 1968 – Czechosłowacja. Także Gorbaczowowi nie ufał. Nie śpiewał „Michaił, Michaił" jak u nas w 1987 roku Andrzej Rosiewicz. I nie bardzo ruszyła go fala strajków w Polsce latem 1988 roku ani nawet nasz Okrągły Stół. Dopiero masowe ucieczki enerdowców latem 1989 roku przez Budapeszt, Pragę i Warszawę otworzyły mu oczy.

KAZANIE WILKA

Po upadku muru berlińskiego triumfalnie wrócił. Nie dolewał oliwy do ognia, ale porachował się z wierchuszką SED. 1 grudnia 1989 roku pięć tysięcy ludzi w grubych, zimowych kurtkach stało w lodówce lipskiej hali targowej, podczas gdy Biermann z zawadiacko rozpiętą koszulą transmitowany w obu państwach niemieckich zaczął koncert od następcy Honeckera: „Hej, Krenz, ty radosny bojowniku zimnej wojny, nic ci nie wierzę, ani jednemu twojemu słowu!". I gdy tłum wybuchł oklaskami, Biermann przerwał: dajcie spokój, przecież towarzysz Krenz siedzi teraz przed telewizorem i musi ten tekst zrozumieć. Po czym dośpiewał: „Przecież wiwatowałeś na cześć czołgów w Pekinie, w czasie tej masakry widziałem twoje wyszczerzone zęby. Jesteś na chorym ciele partii nowotworowym przerzutem Stasi". Znów owacje.

Kolejnymi w tym kuplecie byli: główny ideolog SED, szef Stasi, czołowy propagandzista i na koniec Honecker. I każdy z nich w refrenie usłyszał ten sam wyrok: Nie zemsta, lecz emerytura! Pięć dni później Krenz przestał być sekretarzem generalnym i po zjednoczeniu Niemiec odsiedział cztery lata jako współodpowiedzialny za strzelanie na granicy do uciekinierów.

W styczniu 1990 roku Biermann w Erfurcie przed swoim koncertem rozładował pogromowe nastroje wobec Stasi. Ze schodów kabaretu zagrał do zebranego na placu tłumu kilka akordów, po czym ku przerażeniu pastora zaczął bluzgać na Stasi i jej donosicieli. Potem nagle znów uderzył w gitarę i wrzasnął: „To wam się podoba! Krzyczycie, chcecie zemsty! Ale wy jesteście tchórzami! Gdy Ulbricht, Honecker i Mielke byli u władzy, to we wszystkim uczestniczyliście i na wszystko się godziliście! Kładliście uszy po sobie i milczeliście! A teraz, gdy to nic nie kosztuje, chcecie być mordercami morderców? Nie!".

Po czym zaśpiewał im swą „Otuchę". Bał się, że nie zadziała. Odetchnął, bo „kazanie Wilka uspokoiło rozjuszone owce".

Ale też nie odpuszczał. Brał udział w okupacji berlińskiej centrali Stasi, by zapobiec niszczeniu akt. Włączał się w spory wokół tajnych donosicieli. Ale po wglądzie w swoje teczki opowiadał o bardzo różnych przypadkach, o rozczarowaniach, gdy bliscy przyjaciele okazywali się zdrajcami, ale też o wzruszających przypadkach, gdy nasłana na niego dziewczyna zerwała ze Stasi, wystawiając się na represje, a inny tajny agent ukrył przed przełożonymi dzienniki śledzonego.

Dziewięćdziesięcioletni dziś Wolf Biermann miał w Polsce w latach 90. dwa koncerty – w Krakowie i Warszawie – z obszernym wywiadem dla „Polityki". Ale nie był zbyt znany. Tłumaczenia jego ballad się nie przebiły. Nic nie wyszło też ze szkicowanej w kolońskim mieszkaniu Weintraubów rozmowy Biermanna z chorym już Jackiem Kaczmarskim. Nie wydaje się zresztą, by do siebie pasowali. Niby obaj dobrze czuli pieśni Andrieja Wysockiego, ale Kaczmarski byłby dość bezradny wobec komunistycznej biografii Biermanna, a Biermann – wobec „Snu Katarzyny" i rozbiorowego requiem Kaczmarskiego.

Ciekawa natomiast mogłaby być rozmowa Adama Michnika z „Pruskim Ikarem" o ich podobnych, ale i jednak bardzo różnych biografiach. Mieliby wiele wspólnego, ale też bardzo odmienną rzeczywistość PRL i NRD za sobą…

eprasa.pl e47b8e13bb

Wczoraj, czyli dziś

Bogaty pacjent to bogaty lekarz

Angielski medyk, który zaszczepił Katarzynę Wielką na ospę, dzięki honorarium od cesarzowej został potem bankierem.

Maciejewska



Problem wysokości lekarskiego honorarium zawsze należał do delikatnych. Słynny chirurg Pierre Bretonneau mawiał: „U mnie jak w kościele: bogaty składa w ofierze, co chce, biedny – ile może”. Trzeba było więc szukać chorych bogaczy.

Historię mrożącą medykom krew w żyłach opisał w 1908 roku „Przegląd Lekarski”. Rumuński doktor oświadczył pacjentce, że nie wykona zabiegu chirurgicznego, dopóki nie dostanie honorarium. Mąż chorej obiecał, że pożyczy od sąsiada, i wybiegł z domu. Wrócił po chwili z pieniędzmi, lekarz zabieg przeprowadził, ale kiedy chciał wyjść, okazało się, że zniknęło jego futro. Odnalazło się... w lombardzie. „Dodać należy, że lekarz przy wykupie futra musiał jeszcze ze swej kieszeni dołożyć”- straszył „Przegląd Lekarski”.

Choć profesja lekarska zawsze pozwalała żyć godnie, a nawet wygodnie, jeden bogaty pacjent mógł być źródłem fortuny. I odwrotnie – biedacy potrafili lekarza zrujnować, szczególnie jeśli był empatyczny. Jak Sigismund Asch, ukochany lekarz XIX-wiecznego Wrocławia, który walczył nie tylko z chorobami, ale i z niesprawiedliwością społeczną. Codziennie od 5 do 7 rano leczył biednych za darmo i jeszcze podrzucał im ukradkiem pieniądze na lekarstwa. Taksa za wizytę u lekarza, ustalona urzędowo, była wysoka, równa połowie tygodniówki robotnika manufaktury albo czeladnika.

Angielski medyk, Thomas Dimsdale został dotknięty empatią w sposób umiarkowany, a na dodatek trafił na żyłę złota, czyli carycę Katarzynę Wielką. Władczyni bała się ospy, na którą zmarła m.in. królowa Anglii i Szkocji Maria Stuart, cesarz Józef Habsburg i król Ludwik XV.

Gdy Katarzyna dowiedziała się, że ochronę daje tzw. wariolizacja, czyli wprowadzenie do organizmu zdrowego człowieka materiału zakaźnego, kazała w 1768 roku ściągnąć do Peterburga doktora Dimsdale’a, który napisał książkę o tej metodzie. Lekarz się opierał, bo miał już 56 lat, dużo pieniędzy i chciał świętego spokoju, a metoda nie była bezpieczna. Pacjent z kręgów władzy i dzisiaj jest dużym ryzykiem. Ale Katarzyna zaproponowała ogromne honorarium i dała gwarancję bezpieczeństwa – w razie poważnej choroby lub śmierci carycy na Dimsdale’a miały czekać gotowe do drogi konie, więc lincz poddanych mu nie groził.

Medyk po fortunę wyruszył z 18-letnim synem Nathanielem, który studiował medycynę w Edynburgu. Dostali luksusową rezydencję, 2000 funtów na wydatki i zabrali się do pracy. Szczepienie Katarzyny, następcy trony, a potem prawie 150 osób z elity władzy przebiegło pomyślnie i Dimsdale otrzymał 10 tysięcy funtów, dożywotnią rentę w wysokości 500 funtów, płatną w Anglii oraz tytuł barona dla siebie i syna. Nic dziwnego, że po powrocie do kraju został bankierem, choć z praktyki lekarskiej nie zrezygnował. Robotnik niewykwalifikowany zarabiał wówczas około 5 do 10 funtów rocznie, a wykwalifikowany od 15 do 30. Posiadanie 100 funtów rocznego dochodu pozwalało na wygodne życie.

Podobne ryzyko podjął w 1922 roku wrocławski profesor, Otfrid Foerster, jeden z pionierów neurochirurgii, który został zaproszony do chorego Lenina. Przez dwa lata mieszkał w Moskwie lub w Gorkach, próbując utrzymać przy życiu Włodzimierza Iljicza, który przeszedł trzy udary i był częściowo sparaliżowany. Leczenie „ojców rewolucji” było zajęciem wysokiego ryzyka, ale Foersterowi udało się uniknąć przykrych konsekwencji. Był przy śmierci Lenina, trzymał straż honorową przy trumnie, zainkasował 30 tys. marek w złocie i wrócił do Wrocławia.

Gwoli sprawiedliwości, trzeba przyznać, że nie wszyscy bogaci i utytułowani pacjenci byli hojni na miarę oczekiwań swoich lekarzy. Ale i na nich znalazły się sposoby, co zademonstrował lekarz króla Ludwika XVIII Guillaume Dupuytren. Mówiono o nim, że jest pierwszym wśród chirurgów i ostatnim wśród ludzi, ale o interesy umiał dbać jak nikt.

Gdy znany bankier przysłał mu po skończonej kuracji znaczną kwotę pieniędzy, lekarz zatrzymał je, ale nie pokwitował odbioru. Zaniepokojony bankier zapytał, czy medyk zadowolony jest z honorarium. Dupuytren oświadczył, że tak, i prędko dodał: „Zdziwiłem się tylko, że tak bogaty człowiek płaci w ratach”. ●

Beata Maciejewska – historyczka, dziennikarka i publicystka „Gazety Wyborczej”

Jasne strony dziejów

Lekcja sprzed siedmiu dekad

Bieda, podziały, wzajemne pretensje i wciąż niewyrównane krzywdy były wtedy o niebo większe niż cokolwiek, czego dzisiaj doświadczamy. A jednak potrafiliśmy grać do jednej bramki

Brzezicki



Czyżby było nam za dobrze? Blisko cztery dziesięciolecia nieprzerwanego rozwoju w pokoju to najpiękniejszy okres w – być może całych tysiącletnich – dziejach Polski. Wolność i względny dobrobyt stały się udziałem całego społeczeństwa. Pewnie, że można łatwo wskazać obszary biedy, niedoskonałości dzisiejszej Rzeczypospolitej – ale po pierwsze, czy wcześniej było lepiej, a po drugie nawet w krajach dobrobytu i ogólnego poszanowania prawa znajdziemy jakieś zło i nieszczęścia. Średnia długość życia wydłuża się, śmiertelność noworodków jest u nas mniejsza niż w wielu krajach Zachodu na czele z USA. To o czymś świadczy.

Jest nam więc dobrze, jak nigdy, a jednak bierzemy się za łby jak niemal zawsze. Niemal – bo przecież były okresy większej przytomności i roztropności. Końcówka roku 1956 jest tego najlepszym przykładem. To było niewiele ponad dekadę po wojnie, kilka lat po okresie stalinizmu, kilka tygodni po największym politycznym przesileniu ówczesnej Polski – podziały, wzajemne pretensje i wciąż niewyrównane krzywdy były o niebo większe niż cokolwiek, czego teraz doświadczamy. Było się za co nienawidzić.

A jednak ludzie PZPR, Kościoła, bezpartyjni, przedwojenni demokraci i nawet emigracja – wszyscy oni w dużej mierze potrafili zagrać do jednej bramki. Co musiał czuć taki prymas Stefan Wyszyński, którego komuniści aresztowali, a koledzy z Episkopatu się tchórzliwe wyrzekli? A przecież poparł nowego I sekretarza KC PZPR i wybory do sejmu w styczniu 1957 roku, zaś z kolegami biskupami musiał dalej jakoś współpracować. Dawni AK-owcy, którzy wychodzili z więzień i byli rehabilitowani, włączali się w życie. A przecież nie było tak, że Polska stała się diametralnie innym i lepszym krajem. Dalej była biedna i należała do Bloku Wschodniego, dalej obowiązywał ustrój komunistyczny, bezpieka – choć zreformowana i pod nową nazwą – po staremu zbierała kwity na ludzi.

Nadal stacjonowali tu żołnierzy radzieccy. Polska stała się jedynie krajem nietotalitarnym i bardziej znośnym do życia. Więcej można było powiedzieć i napisać – ale też daleko nie wszystko.

To jednak wystarczyło, aby na przykład środowisko „Tygodnika Powszechnego” włączyło się w oficjalne życie Polski. Ludzie związani z pismem musieli mieć w sobie poczucie krzywdy – za odebrany im przez władzę w 1953 roku tytuł, ponieważ nie zgodzili się na publikację nekrologu Józefa Stalina, za zmarnowane kilka lat życia, kiedy klepali biedę i mieli zamknięte usta. Rozumieli jednak, że tego im nikt już w żaden sposób nie wynagrodzi, ale że stoją też przed szansą. Szansa ta też nie była jakaś oszałamiająca – ot, kilka miejsc w sejmie, powrót do wydawanych pism o niskim nakładzie i kilka Klubów Inteligencji Katolickiej w największych miastach, gdzie ludzie mogli się spotykać i dyskutować.

Mimo to Jerzy Turowicz i jego współpracownicy, jak Stefan Kisielewski, rozmawiali z komunistami, szukali pól porozumienia, nie obrażali się na trudną rzeczywistość. Komuniści też mieli swoje racje, ale po obu stronach znajdywali się ludzie, którzy wierzyli w dobrą wolę rozmówców. Nie wszyscy byli tacy wspaniali i dialogiczni – nie ma co idealizować tamtej epoki. Zawistników i cyników nigdy nie brakowało.

Niemniej górę brały postawy pozytywne, a ci, którzy mącili wodę, musieli na chwilę usunąć się w cień.

Mądrość Polaków sprzed 70 lat wciąż zadziwia. Ujrzeli to, co naprawdę jest ważne, a spory o rzeczy istotne, ale nie egzystencjalne odłożyli na potem. I one wróciły, ale już w innym, mniej groźnym kontekście.

Ciekawe, co będą o nas pisać pod sam koniec XXI wieku? Dostrzegą w nas krótkowzrocznych i do tego kłótliwych idiotów, czy może jednak nie?

Jasne – ówcześni Polacy mieli przed oczami ostrzegawczy i mrożący krew w żyłach przykład Budapesztu, gdzie wjechały czołgi wysłane z Moskwy i zrealizował się scenariusz, jakiego w Polsce właśnie zdołano uniknąć.

Ale i nam dziś nie brak sygnałów ostrzegawczych – prawda? ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

eprasa.pl e47b8e13bb

MOCZARSKI W BERLINIE

Odnalezione w IPN-ie dokumenty dotyczące Kazimierza Moczarskiego pokazują, że Służba Bezpieczeństwa chciała go wykorzystać. Jednak wszystko wskazuje, że to on wykorzystał ją.

Anna Machcewicz

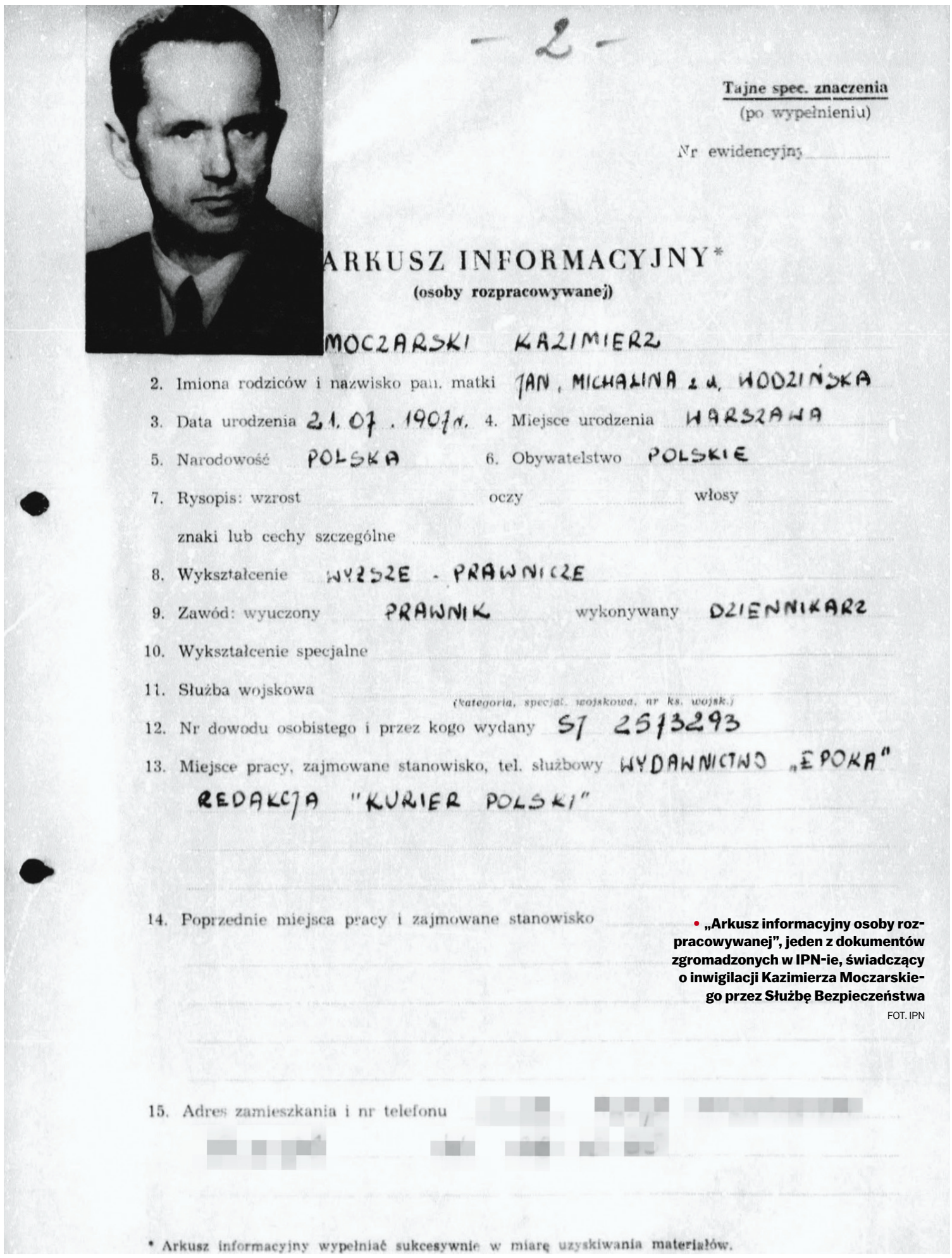
Do napisania tego tekstu zainspirowały mnie dwa artykuły poświęcone Kazimierzowi Moczarskiemu, które ukazały się w „Rzeczpospolitej” („Rzecz o historii” z 14 maja i 8 października 2026 roku). Ich autor Krzysztof Żarnotal podzielił się w nich swą wiedzą na temat związków Moczarskiego z Wojskową Służbą Wewnętrzną (WSW) opartą na dokumentach znajdujących się w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej. Gdy przed laty pisałam biografię autora „Rozmów z katem”, nie znałam tych materiałów, z tym większą ciekawością sięgnęłam do nich teraz. Od razu uprzedzam, że moje konkluzje są diametralnie odmienne od sformułowanych przez autora tekstu w „Rzeczpospolitej”, o których piszę pod koniec.

KO „KAZIMIERSKI”

Zacznijmy od końca tej historii. W centralnej kartotece WSW, jednej ze służb specjalnych PRL, jak w skarbcu, znajdowały się wpisy dotyczące ludzi pozostających w orbicie jej zainteresowania. Oprócz osób rozpracowywanych byli to tajni współpracownicy i osoby zakwalifikowane jako tzw. kontakty operacyjne – a różnica między tymi ostatnimi dwiema kategoriami polegała na woli i skali współpracy. Tajny współpracownik podpisywał zobowiązanie, wybierał pseudonim, często był wynagradzany. Kontakt operacyjny oznaczał luźniejszą współpracę – bez pisemnego zobowiązania i przyjmowania pseudonimu, który nadawali mu funkcjonariusze i używali wyłącznie w wewnętrznej dokumentacji.

W kartotece odnotowywano również fakt zniszczenia teczki osobowej, co do 1989 roku zwykle wynikało z potrzeby redukcji pęczniejących zbiorów. W archiwum były przecież teczki dotyczące spraw zamkniętych, przedawnionych, pozbawionych wartości z punktu widzenia służb. W 1986 roku podjęto decyzję o zniszczeniu takiej najwyraźniej bezużytecznej teczki osobowej kontaktu operacyjnego o pseudonimie „Kazimierski”. Z krótkiej informacji towarzyszącej adnotacji o zniszczeniu wynika niezbicie, że tym niewyszukanym pseudonimem funkcjonariusz WSW w 1963 roku obdarzył Kazimierza Moczarskiego – prawnika i dziennikarza, oficera Armii Krajowej, wieloletniego więźnia stalinowskiego, ale jeszcze nie twórcy bestsellerowych „Rozmów z katem”, które ukazały się dopiero w odcinkach w miesięczniku „Odra” na początku lat 70., a drukiem w 1978 roku, po śmierci autora.

Nie oznacza to jednak zatarcia śladów jej zawartości. Pełny opis gry operacyjnej, w którą WSW postanowiła wciągnąć Moczarskiego, odnajdujemy bowiem w teczce założonej Irenie Chmielewicz. Z informacji zawartych w zgromadzonych tu dokumentach nie można wyczytać ani motywacji towarzyszących decyzji Moczarskiego o podjęciu gry z WSW,



- 2 -

Tajne spec. znaczenia
(po wypełnieniu)

Nr ewidencyjny .....

ARKUSZ INFORMACYJNY*
(osoby rozpracowywanej)

MOCZARSKI KAZIMIERZ

2. Imiona rodziców i nazwisko pan. matki JAN, MICHALINA z d. HODZIŃSKA
3. Data urodzenia 21.07.1901 r. 4. Miejsce urodzenia WARSZAWA
5. Narodowość POLSKA 6. Obywatelstwo POLSKIE
7. Rysopis: wzrost oczy włosy
znaki lub cechy szczególne
8. Wykształcenie WYŻSZE - PRAWNICZE
9. Zawód: wyuczony PRAWNIK wykonywany DZIENNIKARZ
10. Wykształcenie specjalne
11. Służba wojskowa (kategoria, specjal. wojskowa, nr ks. wojsk.)
12. Nr dowodu osobistego i przez kogo wydany SŁ 2513293
13. Miejsce pracy, zajmowane stanowisko, tel. służbowy WYDAWNICTWO „EPOKA” REDAKCJA "KURIER POLSKI"
14. Poprzednie miejsca pracy i zajmowane stanowisko
15. Adres zamieszkania i nr telefonu

* Arkusz informacyjny wypełniać sukcesywnie w miarę uzyskiwania materiałów.

• „Arkusz informacyjny osoby rozpracowywanej”, jeden z dokumentów zgromadzonych w IPN-ie, świadczący o inwigilacji Kazimierza Moczarskiego przez Służbę Bezpieczeństwa

FOT. IPN

eprasa.pl e47b8e13bb

ani pełnego obrazu wydarzeń, ponieważ WSW w kluczowym momencie nie miała wpływu na ich przebieg. Ale o tym potem.

WTYKA AK W GESTAPO

WSW, a ściśle rzecz biorąc Oddział II Zarządu I Szefostwa WSW zajmujący się pracą kontrwywiadowczą za granicą, zainteresował się Ireną Chmielewicz z racji tego, że mieszkała w Berlinie Zachodnim. Miała barwną przeszłość wojenną i dramatyczną powojenną. W czasie okupacji niemieckiej podpisała volkslistę i pracowała w warszawskiej siedzibie gestapo jako maszynistka. W 1945 roku została oskarżona na podstawie zeznań kilku świadków o to, że jako pracownica gestapo brała udział w przesłuchaniach świadków i wysługiwała się Niemcom. Pozostali świadkowie, którzy wystąpili w jej obronie, zeznali, że według ich wiedzy Chmielewiczowa wielokrotnie przekazywała łącznikom AK informacje o mających nastąpić aresztowaniach i pomagała w zwolnieniach Polaków. Wśród zeznających na jej korzyść był też Moczarski przebywający już w więzieniu. Ani ona, ani on nie zetknęli się w konspiracji osobiście, ale ona znała konspiracyjny pseudonim Moczarskiego, a on miał informacje o jej pracy dla polskiego podziemia.

Mimo korzystnych zeznań oskarżona została skazana na karę śmierci, którą zamieniono na dożywocie. W 1956 roku w wyniku amnestii oboje odzyskali wolność. Po słynnym procesie rehabilitacyjnym Moczarskiego Irena Chmielewicz wysłała mu list z gratulacjami, na który nie odpowiedział. Być może przez przeoczenie, a równie prawdopodobne jest wyjaśnienie, że nie dotarł do adresata, gdyż maszynowa kopia listu znajduje się nadal w teczce Chmielewicz, podobnie jak kopia kolejnego.

W 1957 roku Chmielewicz napisała do Moczarskiego ponownie, tym razem prosząc o pomoc w wyjaśnieniu jej roli podczas aresztowania komendanta głównego AK gen. Stefana Grota-Roweckiego, fałszywie jej zdaniem opisanej w polskiej prasie.

Wkrótce po tym wyjechała z Polski i osiadła u córki w Australii, lecz po niedługim czasie wróciła do Europy i zamieszkała w Niemczech zachodnich. Podjęła pracę urzędniczki w wydziale opieki społecznej, zarabiała na poziomie odpowiadającym średniemu stanowisku w niemieckiej administracji państwowej i mieszkała samotnie w kawalerce w Berlinie. Korespondowała z rodziną pozostałą w Polsce, jednak na kopertach nie podawała adresu. Wyraźnie chciała zatrzeć za sobą ślady.

ŚMIAŁY POMYSŁ MAJORA GELCZAKA

I słusznie, ponieważ w 1963 roku jej historią na podstawie akt procesowych i więziennych zainteresowali się funkcjonariusze wspomnianego Oddziału II i wytypowali ją jako kandydatkę na tajnego współpracownika polskich służb. Nie znali jej berlińskiego adresu ani miejsca pracy, ale czytając przejętą korespondencję, wywnioskowali, że pracuje w instytucji, „która prowadzi działalność przeciwko Polsce”, być może o charakterze wywiadowczym. W związku z tym przygotowano plan pozyskania jej do współpracy z użyciem szantażu. Argumentem miało być nagłośnienie w prasie niemieckiej jej procesu w Polsce, oskarżeń o współdziałanie z nazistami, co miałoby skompromitować ją w środowisku, w którym żyła.

Początkowo „z braku bezpośredniego dotarcia” płk mgr S. Stek w Warszawie zaproponował płk. Żelazce na placówce w Berlinie wysłanie na jej adres „fotokopii dokumentów kompromitujących” wraz z „listem werbunkowym”. Adres Chmielewicz pomogli ustalić „towarzysze z kontrwywiadu ZSRR”. Wkrótce jednak mjr Z. Galczak wpadł w Warszawie na nowy pomysł. Z kopii korespondencji i akt procesowych Moczarskiego i Chmielewicz wynikało, że choć nie łączy ich bezpośrednia znajomość, mieli wspólne sprawy i mogli sobie ufać. Galczak postanowił to wykorzystać, zaproponował Moczarskiemu spotkanie i przedstawił swój plan. Polegał on na tym, by to on udał się do Berlina, spotkał się z Chmielewicz i dokonał werbunku. W razie oporu Moczarski miał użyć zaplanowanej wcześniej formy szantażu.

PODJĘTA GRA

Mogę sobie wyobrazić zaskoczenie Moczarskiego tą ofertą. Nie odmówił, choć wszystko wskazywałoby na to, że powinien. Godził się przecież na obciążającą go grę z tajnymi służbami państwa, które go osobiście prześladowały. Choć po dojściu do władzy Władysława Gomułki nastąpiła polityczna odwilż, a dawni żołnierze AK coraz silniej byli kokietowani przez aparat bezpieczeństwa pod kierownictwem Mieczysława Moczara, Moczarski władzy nie ufał i bywał otwarcie krytyczny w towarzyskich rozmowach. Na tyle, że SB uznała za konieczne poddanie go w 1959 roku okresowej inwigilacji.

Nie był też człowiekiem o słabym charakterze czy niedoświadczonym w kontaktach z tajnymi służbami, o czym świadczyła jego dotychczasowa droga życiowa. Skoro nie przekonanie ideowe, strach ani brak doświadczenia, musiał być inny ważny powód, dla którego spotkanie z Ireną Chmielewicz mogło być dla Moczarskiego cenne. Być może oczekiwał, że otrzyma od niej nieznane dotąd informacje na temat działań gestapo, choćby w celu konfrontacji z opowieściami Jürgena Stroopa w celi. Mógł się też spodziewać, że ma ona wiedzę na temat rozkazu rozstrzelania grupy więźniów Pawiaka, w której był także jego młodszy brat Michał. Nie przypuszczam, by na poważnie zamierzał dokonać werbunku. Być może uznał, że lepiej, by on się tym zajął, a nie ktoś inny na zlecenie WSW. Za taką cenę Moczarski został „kontaktem operacyjnym”.

Perspektywa wyrwania się do Berlina na parę dni też była zapewne kusząca. Możliwość przejrzenia zachodnioniemieckiej prasy, spojrzenia przez chwilę bezpośrednio na zachód Europy, na demokratyczny świat, który tak dobrze znał z przedwojnia, a teraz był trwale przed nim zamknięty, była nie do przecenienia. W tym momencie miał ukończoną pierwszą wersję książki o Stroopie, która pierwotnie miała być opublikowana w wydawnictwie Iskry z okazji 20. rocznicy powstania w getcie warszawskim, co ostatecznie zostało zablokowane przez władze. Praca nad książką oraz zapowiedź zebrania materiału do artykułu dla „Kuriera Polskiego”, w którym pracował, były wystarczającym pretekstem, by wysłać pracownika. Redakcja wyraziła zgodę na wyjazd na swój koszt, a służby go nie blokowały.

NIEUDANY WERBUNEK

Moczarski ustalił wspólnie z funkcjonariuszem WSW przebieg całej operacji. Zgodnie z tym planem napisał do Ireny Chmielewicz list, w którym zapowiedział chęć spotkania z nią i porozmawiania o sprawach historycznych z okresu okupacji, a następnie zapowiedział przyjazd do Berlina wschodniego. Adresatkę ucieszyła ta wieść, zaproponowała spotkanie w Berlinie Zachodnim, a nawet zaoferowała nocleg we własnym mieszkaniu. Sama miała w tym czasie przenieść się do siostry. WSW zgodziła się na ten plan, ale nie zamierzała tracić Moczarskiego z oczu, dodano mu więc jako towarzysza agenta o pseudonimie „Basia”. Według akt WSW rola Moczarskiego miała się skończyć na złożeniu propozycji werbunku, a po pozytywnej odpowiedzi kolejne spotkanie z Chmielewicz miał już odbywać wyznaczony funkcjonariusz.

Po dwudniowym pobycie w Berlinie wschodnim Moczarski dzięki przepustce dostarczonej przez WSW przedostał się do zachodniej części miasta. Spędził z Ireną Chmielewicz niemal trzy dni, rozmawiali głównie w jej mieszkaniu, dzięki czemu pozbył się ogona w osobie „Basi”. Stamtąd wychodzili na zwiedzanie miasta oraz złożyli wizytę u jej siostry.

Po powrocie Moczarski poinformował funkcjonariusza WSW, że próba werbunku się nie powiodła, przekazał też w trakcie rozmowy informacje o tym, gdzie dokładnie Chmielewicz pracuje, ile zarabia, jak mieszka oraz z kim kontaktuje się w Polsce, co dla funkcjonariuszy WSW było bezużyteczne. Scharakteryzował ją jako kobietę kulturalną i zadbaną, interesującą się sprawami polskimi, ale także osobę ciężko doświadczoną życiem, która nie miała ochoty na żadne ryzykowne gry, a na próbę szantażu zareagowała z całkowitą obojętnością.

PRZEKAZANY DO ARCHIWUM

O czym naprawdę rozmawiali przez te długie godziny, wiedzieli tylko oni sami. Rozstali się w przyjaźni. Chmielewiczowa zorganizowała Moczarskiemu pożyczkę w markach niemieckich, którą miał potem zwrócić komuś w złotówkach w kraju (polski obywatel nie mógł wywozić za granicę dewiz), pomogła zrobić drobne zakupy dla żony i córki oraz przekazała mu podarki dla swoich znajomych w Polsce. Po miesiącu od wizyty, co wiemy też z akt WSW, wysłała do Moczarskiego serdeczny liścik. W kolejnym namawiała go jeszcze, by złożył w prokuraturze w Hamburgu prywatne oskarżenie przeciwko Ludwikowi Hahnowi, zbrodniarzowi niemieckiemu, byłemu szefowi gestapo w Warszawie, który nadzorował funkcjonariuszy odpowiedzialnych za wydanie rozkazu zastrzelenia jego brata, a także by zainicjował kampanię prasową w sprawie popełnionych przez niego zbrodni wojennych. Hahn mieszkał sobie spokojnie w Hamburgu pod własnym nazwiskiem i mimo kilku aresztowań za każdym razem odzyskiwał wolność.

Opisane kontakty Moczarskiego z tajnymi służbami PRL są traktowane jednowymiarowo, tak jak zostały zapisane w teczkach, językiem funkcjonariuszy, jako prawda ostateczna. To pułapka

Prywatne oskarżenie w innym kraju w warunkach zimnej wojny było mrzonką, ale Moczarski przekazał tę informację WSW, zapewne jako wyraz swej dobrej woli, z prośbą o radę. Major Galczak obiecał zadzwonić w tej sprawie, ale brak śladu, by to zrobił. Był chyba zresztą słabo zorientowany, ponieważ w raporcie ze stycznia 1964 roku, ostatnim, jaki napisał o kontaktach z Moczarskim, nazwisko Hahna zostało przekręcone. Mimo ponagleń WSW z przygotowania pisemnego sprawozdania z przebiegu spotkania z Chmielewiczową Moczarski się nie wywiązał, wykręcając się nawałem pracy i chorobą żony.

Kontakt Moczarskiego z WSW trwał niespełna cztery miesiące. Na tym sprawa Ireny Chmielewicz oraz udziału w niej Moczarskiego się kończy. Wobec fiaska operacji, w maju 1965 roku przekazano ją do archiwum.

STARY WYGA

W raportach z rozmów z Moczarskim pojawiają się jeszcze passusy na temat jego stanu psychicznego: widocznego zdenerwowania i przejęcia podejmowaną misją. Moczarski podejmuje się też interpretacji zachowań Chmielewicz, pisze o jej nieufności, obawach o własne bezpieczeństwo. Widać, że rolę „kontaktu operacyjnego”, marionetki w rękach służb, odegrał mistrzowsko. W rzeczywistości funkcjonariusze WSW mieli do czynienia ze starym wygą, który spędził w konspiracji w wojennych warunkach pięć lat, a potem przesiedział 10 lat w stalinowskim więzieniu, gdzie, by przetrwać, musiał podejmować różne, czasem niebezpieczne gry.

W 1967 roku dawny kontakt operacyjny „Kazimierski” WSW został figurantem sprawy „Rafał”, co w języku tajnych służb oznaczało osobę inwigilowaną; notabene SB wykorzystała tu jeden z okupacyjnych pseudonimów Moczarskiego. W mieszkaniu założono mu podsłuch i śledzono jego kontakty, poczynania oraz rozmowy aż do śmierci. Za nieprawomyślne wypowiedzi w okresie polowania na czarownice w marcu 1968 roku stracił stanowisko redaktora w „Kurierze Polskim”, a publikacja „Rozmów z katem” w formie książki za jego życia nie doszła do skutku.

Po śmierci Moczarskiego w 1975 roku SB próbowała zmusić jego żonę Zofię do przekazania archiwum męża, szantażując ją ujawnieniem jego kontaktów ze służbami. Gdy opisałam tę historię przed 20 laty w „Rzeczpospolitej” (dodatek „Plus Minus”, 15 kwietnia 2006), sądziłam, że był to jedynie blef oparty na przypadkowej rozmowie z generałem Adamem Krzysztoporskim, ówczesnym szefem Departamentu III MSW. Nowe materiały rzucają inne światło na tę historię i wskazują, że mogło chodzić o sprawę udziału Moczarskiego w próbie werbunku Ireny Chmielewicz. Zofia Moczarska archiwum męża ukryła i zdecydowanie odmówiła współpracy, a SB nie podjęła zapowiadanych kroków dyskredytujących.

TEJ LEGENDY NIKT NIE ZNISZCZY

I po latach, w demokratycznej Polsce, za którą Moczarski walczył i siedział w więzieniu, lecz jej nie dożył, pojawiają się w „Rzeczpospolitej” teksty, które mają skutkować tym, co zapowiadała przed laty SB. Autor tych artykułów chciałby zniszczyć legendę Moczarskiego, próbuje zdyskredytować jego dzieło, twierdząc, że zbieranie materiałów do „Rozmów z katem” było wspierane przez wojskowy kontrwywiad. Trudno o większą bzdurę, bo ileż materiałów można zebrać, przebywając w Berlinie przez parę dni. „Rozmowy z katem” Moczarski pisał latami, kosztowały go ogrom pracy dokumentacyjnej, długo szukał właściwego kształtu dla swego dzieła, które ostatecznie ma formę literatury faktu.

Po drugie autor artykułów – odnoszę wrażenie – zupełnie świadomie chce zdezawuować samego Moczarskiego. Pisze, że jego biografia nie potrzebuje ochronnych uproszczeń, i zastrzega, że nie chce zamienić legendy bohatera na legendę agenta. W gruncie rzeczy dokładnie to właśnie próbuje zrobić. Nie podejmuje próby interpretacji działań i decyzji Moczarskiego o podjęciu gry, w ogóle nie pada takie pytanie. Opisane kontakty z tajnymi służbami PRL są traktowane jednowymiarowo, tak jak zostały zapisane w teczkach, językiem funkcjonariuszy, jako prawda ostateczna. To pułapka, w którą wpada wielu zafascynowanych czytelników tajnych akt służb specjalnych. Nawet ramy czasowe tej współpracy są absurdalnie rozciągnięte w czasie, od dnia pojawienia się pomysłu werbunku Ireny Chmielewicz w głowie jednego z oficerów, do dnia podjęcia decyzji o odesłaniu jej teczki do archiwum.

Podniesione w artykułach zarzuty, że biografia Moczarskiego ulegała dotąd zabiegom ochronnym, są całkiem nietrafione. Wszystkie znane dokumenty zostały bowiem upublicznione. Odnalezienie nowych nie powinno iść w parze z uproszczeniami i insynuacjami. Moczarski to zbyt wielka postać, by stać się ofiarą taniej sensacji. ●

Anna Machcewicz

• jest historyczką, pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Jest autorką biografii Kazimierza Moczarskiego (2009), książki pt. „Bunt. Strajki w Trójmieście w sierpniu 1980 roku” (2015). Opracowała także listy więzienne Zofii i Kazimierza Moczarskich (2015).

eprasa.pl e47b8e13bb



FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

GDY diabeł UKRYWA DOWODY

Czterdzieści lat przed słynnymi procesami czarownic w Salem Hugh Parsons został wyprowadzony z celi w Bostonie i postawiony przed sądem. Miał on zdecydować, czy jest czarownikiem i czy zostanie powieszony.

Wojciech Szot

1 RP

eprasa.pl e47b8e13bb

Z **MALCOLMEM GASKILLEM*,**
HISTORYKIEM, ROZMAWIA WOJCIECH SZOT

WOJCIECH SZOT: Napisałeś niezwykłą książkę o procesie o czary. Żeby o nim opowiedzieć, musimy zacząć od Williama Pynchona, przodka znanego pisarza Thomasa Pynchona. Urodzony w 1590 roku William w wieku 40 lat przypływa do Ameryki i zakłada osadę Roxbury w miejscu, które dziś jest dzielnicą Bostonu. Kilka lat później zakłada Springfield w dolinie rzeki Connecticut, 150 km w głąb lądu.
MALCOLM GASKILL, AUTOR KSIĄŻKI „CZAROWNICE ZE SPRINGFIELD. ŻYCIE I ŚMIERĆ W NOWYM ŚWIECIE”: To niesamowity człowiek. W Anglii był kimś, na kogo nigdy byśmy nie zwrócili uwagi – kancelistą w jednej z parafii. To człowiek wykształcony, który dopiero w Nowym Świecie ma okazję zaprezentować swoje talenty – zmysł ekonomiczny, umiejętności przywódcze, inteligencję i odwagę.

W Bostonie Pynchon zobaczył, że jednym z najbardziej pożądanych towarów są bobrze futra. Używano ich m.in. do robienia kapeluszy. A bobrze futro sprowadzało się z doliny rzeki Connecticut. Pynchon zaczął kombinować: osiedlę się tam i opanuję handel futrami, odcinając konkurencję od Bostonu. Plan się udaje. Springfield zaczyna być atrakcyjnym miejscem do osiedlania się. Ale żeby to zrobić, trzeba kupić od Pynchona ziemię. Często na kredyt. W efekcie wszyscy, którzy się tam osiedlali, stawali się od niego zależni – od Pynchona zależało, ile mieli ziemi i w jakim miejscu.

To fascynujący moment, w którym możemy obserwować tworzenie się amerykańskich miast. Oczywiście odbywało się to w dużej mierze w wyniku oszukiwania rdzennych mieszkańców. Często nie znali oni koncepcji własności ziemi i podpisywali niekorzystne dla siebie umowy.

Hugh i Mary Parsonsowie, najważniejsi bohaterowie twojej książki, sprowadzają się do Springfield, gdy rządzona przez Pynchona osada funkcjonuje od kilku lat.
– To od razu stawia ich w gorszej sytuacji. Nie mogą kupić ziemi w dobrym miejscu, dlatego mieszkają z dala od centrum miasteczka. To mało prestiżowe miejsce.

W tamtych czasach ludzie byli przywiązani do hierarchii silniej niż dzisiaj. W Anglii każdy wiedział, kim jesteś, łatwo było podtrzymywać różnice klasowe, ale też wiadomo było, jakiego zachowania można się po kimś spodziewać. W Nowej Anglii trzeba było ustanowić nowe hierarchie. Miejsce zamieszkania stawało się jednym z najważniejszych wyróżników czyjegoś miejsca w społeczeństwie.

Parsonsowie nie byli wysoko na drabinie społecznej Springfield. Ważne jest też to, że osiedlili się w okolicy, w której mieszkało wielu Walijczyków. Co prawda posługiwali się oni językiem angielskim, ale jednak kulturowo nieco się różnili od Anglików. Parsonsowie mogli czuć się wyalienowani i trudniej było im się dogadać z sąsiadami.

Pewien mit na temat osadników mówi, że byli jednolitą grupą, która po przybyciu na miejsce stała się „Amerykanami”. W rzeczywistości przywozili ze sobą z Wysp Brytyjskich różnorodność kulturową. Między mieszkańcami Springfield od samego początku istniało poczucie odrębności – zarówno pod względem klasowym, jak i tradycji kulturowych. Początki Stanów Zjednoczonych to nie jest historia równych sobie ludzi, którzy mają te same szanse i tylko od nich zależy, jak je wykorzystają.

Hugh Parsons był ceglarzem.
– Oznaczało to, że nie tylko umiał budować murowane domy, ale przede wszystkim wznosić kominy. Ceglany komin jest bezpieczniejszy niż zwykłe palenisko. Jeśli budujesz komin, twój dom zaczyna też inaczej wyglądać. Posiadanie komina oznacza status. Pracując dla najbogatszych mieszkańców Springfield, Parsons przyczyniał się do zwiększenia ich odrębności od reszty. To dzięki niemu stawali się elitą. Budziło to zawiść.

Sam Parsons nie był też osobą, która dawała sobie w kaszę dmuchać. Wiedząc, jak ważną pełni funkcję, twardo negocjował.

Parsonsowie wprowadzają się do Springfield w latach 40. XVII wieku, a oskarżenie o czary pojawia się kilka lat później.
– Wyobrażamy sobie, że działo się to mniej więcej tak: umiera ci krowa, oskarżasz sąsiada o czary, on trafia do więzienia, potem przed sąd i kilka dni później umiera w męczarniach.

Czyli nie wybiegasz na ulicę i nie krzyczysz: „Czarownik!”?
– Oskarżenie o czary bierze się z miesięcy, a nawet lat aluzji, insynuacji, podszeptów i plotek. Wydaje nam się, że to jest szybszy proces tylko z powodu dat w dokumentach sądowych. Trzeba jednak pamiętać, że rzadko kiedy rejestrują one to, co się działo przed ostatecznym oskarżeniem.

Procesy o czary pokazują, że mówimy o czymś w rodzaju sieci, która oplata oskarżaną osobę bardzo powoli. Zaczyna się od podejrzeń, zawiści, niechęci, jakichś drobnych oskarżeń. Przekonanie, że ktoś próbuje cię skrzywdzić za pomocą czarów, jest efektem kumulacji tych emocji. I kontaktu z innymi, którzy też czują podobnie. Żeby dzisiaj zrozumieć przyczyny oskarżenia, musimy poznać, w jaki sposób funkcjonowała społeczność, w której się ono pojawiło. Dlatego tak wiele uwagi poświęcam w książce odtworzeniu codzienności Springfield.

Jak wygląda chronologia tego oskarżenia?
– W 1648 roku pojawiają się pierwsze napięcia. Dochodzi do śmierci kilkorga dzieci, w tym wnuków Pynchona. To budzi podejrzenia, podobnie jak śmierć krowy sąsiadów Parsonsów. Wiosną 1650 roku Mary Parsons oskarża o czary inną kobietę, Mercy Marshfield. W tym czasie jej dorosła już córka, Sarah Miller, zaczyna miewać dziwne ataki.

Sytuacja się zagęszcza, gdy na początku 1651 roku chorują Martha i Rebecca, córki pastora George'a Moxona. Część sąsiadów jest przekonana, że dziewczynki są opętane przez demony, ale Moxon i jego żona twierdzą, że użyto czarów, co podkreśla niewinność ofiar i odsuwa podejrzenia, że dziewczyny same sprowadziły na siebie cierpienia z powodu słabej pobożności.

To przełomowy moment, gdyż pastor był uważany za najbardziej wpływową osobę w całej społeczności. Jeśli jego rodzina padła ofiarą czarów, to ofiarami mogli być też inni. Mieszkańcy Springfield zyskali tym samym śmiałość, by zgłaszać swoje podejrzenia. Żeby oskarżyć kogoś o czary, musisz być pewny siebie – a nic nie dodaje takiej pewności siebie, jak fakt, że czary potwierdza ktoś, kto ma autorytet.

I tak w 1651 roku oskarżonym został Hugh Parsons.
– Najcięższym oskarżeniem, było to sformułowane przez żonę. Mary oskarżyła męża o zamordowanie ich niemowlęcia za pomocą magii. Sama też została oskarżona o dzieciobójstwo. Zmarła w tym samym roku w więzieniu. Hugh został przewieziony do Bostonu i rok później skazany za czary na śmierć, jednak Zgromadzenie Powszechne (General Court) uchyliło wyrok z powodów formalnych, co uratowało mu życie. Szczegółowo rekonstruuję tę historię w książce.

Kiedy rozpoczyna się proces w Bostonie, wielu mieszkańców Springfield zastanawia się, czy stawić się jako świadkowie. Problemem jest odległość, ale też to, że trzeba zostawić gospodarstwo czy biznes na dłuższy czas. Jednak wiele osób jest zdeterminowanych.
– Dla nich dochodzenie sprawiedliwości jest kwestią życia i śmierci. Trudno nam to dziś zrozumieć, ale skoro mieszkańcy Springfield uważali, że Parsonsowie mają magiczne moce pozwalające krzywdzić innych, to ich skazanie było jedynym sposobem na uratowanie świata.

Podczas procesu okazuje się, że czary bardzo trudno udowodnić. Cóż... diabeł ukrywa dowody. Dochodzi do konfliktu. Z jednej strony istnieje najwyższa konieczność – trzeba pozbyć się czarownicy, usunąć diabła ze swojego otoczenia. Z drugiej jednak – w świetle prawa nie do końca wiadomo, jak to zrobić. Dlatego też, choć sprawy o czary traktowane były bardzo poważnie, często kończyły się uniewinnieniem.

Kiedy mówimy o czarach, przeważnie chodzi o kobiety. W Springfield oskarżono o nie też mężczyznę. Płeć pomogła mu w sądzie?
– Płeć zawsze odgrywa ważną rolę. Mężczyzna z niższej klasy społecznej jest w gorszej sytuacji niż ten z wyższej, a każda kobieta znajduje się w mniej korzystnym położeniu niż jakikolwiek mężczyzna.

Kobiety były częściej oskarżane o czary, zwłaszcza w Anglii, Szkocji i Nowej Anglii. Być może wynikało to z jakiegoś specyficznego patriarchatu. Czary uznawano bowiem za przejaw słabości. Czarownik czy czarownica to osoba, która uległa diabelskim podszeptom i pokusom. Uleganie im uznawano za sprzeczne z etosem uczciwej pracy. Człowiek haruje w polu, wylewając siódme poty za marne grosze, a wtedy pojawia się diabeł i mówi: „Pokażę ci lepszą drogę”. Łatwiej było uwierzyć w to, że na takie skróty szybciej pójdzie kobieta.

W tej sprawie ciekawe jest to, że Parsonsa – jeszcze zanim pojawiło się oskarżenie – postrzegano jako osobę uległą wobec żony. Skoro nie umiał jej powstrzymać przed oskarżeniem innej kobiety, to znaczy, że stracił kontrolę nad własnym domem. Czyli był słabym człowiekiem. A słabi ulegają diabłu.

Czyli czarownica czaruje, bo jest słaba?
– Tak. Dzisiaj pewnie trudno nam pojąć, że ludzie mogli wierzyć w takie rzeczy, ale przyjrzyjmy się naszej rzeczywistości i zadajmy sobie pytanie: czy wszystko wyjaśniamy za pomocą racjonalnych argumentów? Gdy pochylimy się uważniej nad poszczególnymi przypadkami, dostrzeżemy w nich emocje i uczucia, które są nam dobrze znane.

Oskarżenia o czary wiązały się z wiarą w diabła i jego moc, ale najczęściej wynikały po prostu z konfliktów między ludźmi.

Zacznijmy od wiary.
– W tamtym świecie powszechnie wierzono, że we wszechświecie istnieją siły wpływające na życie na Ziemi. Do tych sił zaliczano diabła, demony oraz duchy. Wierzono, że człowiek może uzyskać dostęp do tych mocy i wykorzystać je przeciwko wrogom. Czary były bronią słabych. Jeśli jesteś z kimś w konflikcie i czujesz, że stoisz na przegranej pozycji, a do tego brakuje ci argumentów, logiczne wydaje się założenie, że przeciwnik korzysta z diabelskiej mocy.

Jednak przyczyny oskarżeń o czarowstwo są jeszcze bardziej skomplikowane. Powstaje pytanie: skoro wiara w czary była powszechna, to dlaczego oskarżenia o nie nie były częstsze? Osób, które stanęły przed sądem i zostały skazane na śmierć za czary, nie było zbyt wiele.

Jak brzmi odpowiedź na to pytanie?
– Musiał zaistnieć bardzo specyficzny splot okoliczności, aby ktoś mógł uznać, że padł ofiarą czarów. I wcale nie było tak, że wspólnota przyjmowała te oskarżenia za pewnik. Zdania sąsiadów były często podzielone. Takim oskarżeniom bardzo rzadko towarzyszyły dowody, zwłaszcza materialne. W efekcie o wszystkim decydowały emocje – zarówno indywidualne, jak i grupowe. To one decydowały o tym, czym kończyły się takie oskarżenia.

Twoja książka opowiada o procesie, który toczył się w Nowej Anglii w XVII wieku. Nie brakowało emocji między osadnikami...
– Koloniści rywalizowali o ograniczone zasoby, więc na porządku dziennym była wzajemna nieufność. W efekcie nawet drobne spory – o drzewo rosnące na miedzy albo szczekającego psa – potrafiły wywołać silne emocje. Ich nagromadzenie mogło prowadzić do sięgania po oskarżenie o czary.

W historii działa coś takiego jak prawo niezamierzonych konsekwencji. Gdy przyglądamy się jakimś wydarzeniom, nabieramy pewności, że niektóre ich sekwencje były nieuniknione. Dzieje się tak dlatego, że znamy rezultaty i wiemy, jakie były konsekwencje działań. Ale ludzie, którymi się zajmujemy, przecież tego nie wiedzieli. Ktoś, kto w XVII wieku wsiadł na statek w Anglii, niewiele wiedział o tym, co go czeka po drugiej stronie oceanu. Liczył na łut szczęścia. Nie każdy jednak wygrywa los na loterii, ale każdy z nas myśli, że to będzie właśnie on.

Tak samo było z kolonistami. Postrzegali Amerykę jako miejsce nowych szans. Dziką, niezagospodarowaną przestrzeń, gdzie będą mogli zacząć budować swój świat na nowo. Dla człowieka tamtych czasów Anglia była miejscem tłocznym – krajem rozwiniętym pod względem handlowym, infrastrukturalnym, z wieloma ośrodkami miejskimi, urzędami, biurokracją. W Ameryce nie było wielu udogodnień, ale była ziemia i – trochę pozornie – wolność od struktur. Najbardziej liczyła się jednak ziemia. Mając ją, można założyć rodzinę i stworzyć gospodarstwo domowe. W tamtych czasach ktoś, kto nie miał rodziny, był skazany na życie na łasce społeczeństwa.

Jednocześnie, o czym często zapominamy, ci „nowi ludzie” przywieźli ze sobą wiele starych spraw. Niektórzy się znają, pamiętają swoje przewiny, mają wobec siebie pretensje. Zabierają ze sobą też przekonania, które im wpojono w starym świecie, takie jak wiara w czary. Do tego dochodzi bardzo agresywna rywalizacja.

Jednym z mitów na temat Nowego Świata jest ten, że przybysze chcieli tam stworzyć pokojowe społeczeństwo oparte na współpracy.
– Koloniści uważali, że są wybrani przez Boga do zbudowania tu nowej rzeczywistości, zgodnej z jego zaleceniami. Była to presja, której nie mogli sprostać. Poczucie niespełnienia oczekiwań przeradza się w poczucie winy, porażki, w kompleksy. W efekcie między kolonistami panowała olbrzymia zawiść, zazdroszczono tym, którym było choć trochę lepiej. Taką osobę można było oskarżyć o czary.

Oskarżenie o czary jest zatem bardziej złożonym zjawiskiem niż po prostu szukanie kozła ofiarnego. Wynikało z głębokiego, emocjonalnego konfliktu wewnętrznego pomiędzy wyznawanymi ideami a rzeczywistością.

Pisząc książkę o jednym z najciekawszych procesów o czary w XVII-wiecznej Ameryce, musiałeś zrozumieć człowieka tamtych



FOT. EDMUNDSLATER/WIKIMEDIA COMMONS (CC BY-SA 4.0)

***Malcolm Gaskill**

• angielski historyk zajmujący się kryminalistyką, magią, czarami, spirytualizmem oraz zjawiskami nadprzyrodzonymi. Członek Royal Historical Society.

eprasa.pl e47b8e13bb



• **Widok miasta Springfield nad rzeką Connecticut, gdzie toczył się proces Mary i Hugh Parsonsów. Obraz Alvana Fishera z 1819 roku** FOT. ZE ZBIORÓW BROOKLYN MUSEUM

czasów. Jak wygląda taki proces wcielania się?
– Moim zadaniem jest stworzenie pomostu między czytelnikiem a przeszłością. Chcę go zabrać w podróż, podczas której nie będzie tylko biernym odbiorcą historii, ale kimś, kto sam staje się śledczym. Jak to zrobić? Po pierwsze, muszę poznać tak wiele źródeł, jak to możliwe. Ale też wykorzystać wyobraźnię. To może brzmieć jak rodzaj herezji, ale jednym z narzędzi historyka jest fikcja. Na podstawie źródeł trzeba umieć opowiedzieć o emocjach zarówno ofiar, jak i ich oprawców. I mieć nadzieję, że gdyby nagle zmartwychwstali, powiedzieliby: „Tak, to czułem".

Nie da się tego zrobić z każdą osobą czy historią, ale w przypadku procesów o czary takich jak ten, którym się zająłem, mamy do czynienia z wieloma materiałami: dokumentami, relacjami, listami.

W procesie odtwarzania przeszłości pojawia się też pewne osobliwe, niemal upiorne odczucie.

Na czym ono polega?
– Gdy pracowałem nad książką, pojechałem do Springfield. To było ponad dekadę temu. Miasto wydawało mi się duszne, nieprzyjazne. Nie wierzę w duchy, a jednocześnie Springfield sprawiało na mnie wrażenie miasta naznaczonego obecnością duchów.

W 2026 roku, pięć lat po „Czarownicach ze Springfield", wydałeś „Worlds of Fear and Wonder: Living with the Supernatural, Past and Present" (Światy strachu i zachwytu. Życie ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Dawniej i dziś), książkę o historii zjawisk osobliwych i dziwnych. Uważasz, że za 200 lat – o ile jako gatunek przetrwamy – ludzie spojrzą na nasze czasy i powiedzą, że również żyliśmy w epoce wiary w nadprzyrodzone zjawiska?
– Jestem tego absolutnie pewien. Spójrzmy choćby na okres po pandemii koronawirusa – gwałtowny wzrost teorii spiskowych w erze „postprawdy". Teorie spiskowe to przejaw często wręcz fanatycznej wiary w wyimaginowaną prawdę, na którą nie ma żadnych dowodów.

Jako gatunek jesteśmy skłonni do religijności. Jedynie w „zachodnim świecie" wykształcił się silny sceptycyzm wobec tej skłonności. W większości zakątków globu ludzie wciąż wyznają poglądy, które uznajemy za przesądy. Wynika to właśnie ze zdolności człowieka do wiary. Mniejsza o to, czy chodzi o czarownice, Boga, astrologię czy cokolwiek innego. Jesteśmy po prostu tak ukształtowani. Przyszłe pokolenia dostrzegą też, że żyliśmy w epoce pełnej niepokoju oraz zagrożeń rozumianych w kategoriach egzystencjalnych.

Dostrzegam, że stajemy dzisiaj przed podobnymi problemami jak kiedyś mieszkańcy Springfield. Oni czuli, że nawet jeśli będą ciężko pracować, ich trud może się nie opłacić. Wystarczy, że diabeł przejmie stery. My też obawiamy się takiego diabła – możemy go widzieć w postaci niektórych polityków, szefów wielkich korporacji czy sztucznej inteligencji.

W „Worlds of Fear and Wonder" piszesz o alchemikach, którzy starali się przeniknąć na dwory królewskie, by zdobyć fundusze i przychylność władców. Bez ich pieniędzy alchemia by nie istniała. Dziś też żyjemy w świecie, w którym otacza nas mnóstwo alchemików?
– Alchemików postrzegamy jako szalonych magów, którzy próbowali zamienić pospolite metale w złoto. W rzeczywistości jednak dążyli do odkrycia prawdy o tym, jak zbudowany jest świat. A poprzez prawdę – do zdobycia władzy. Podobnie jest z dzisiejszymi technoguru czy przedsiębiorcami z branży AI – oni również dążą do celu. Nierzadko brutalniej niż alchemicy.

Od dekad zajmujesz się historią czarów, alchemii, metafizyki. Czy czasem pojawia się w twojej głowie myśl: a może to prawda?
– Moi przyjaciele, którzy nie podzielają moich zainteresowań historycznych, też mi nie ufają, gdy mówię, że nadal nie wierzę. Zresztą niektórzy historycy również są tym zaskoczeni.

Interesuje mnie rekonstrukcja pewnej historycznej rzeczywistości, a nie praca nad swoją wrażliwością metafizyczną. Mam sporo sympatii wobec ludzi, którzy wierzą w „dziwne" rzeczy. Rozumiem ich, ale to nie znaczy, że podzielam te przekonania. Czasem tylko zdarza mi się czuć pewien niepokój. Myślę jednak, że to nieodłączny element procesu twórczego. Gdyby nie on, prawdopodobnie nie udałoby mi się opowiedzieć tak dokładnie o przeszłości. ●



Czarownice ze Springfield. Życie i śmierć w Nowym Świecie

Malcolm Gaskill, przeł. Aleksandra Weksej
Wydawnictwo Bo.Wiem

Stare dobre czasy

Śląska sztuka sto lat później

Eksponaty na wrocławskiej wystawie w Pawilonie Czterech Kopuł nie są jedynie zabytkami, ale też obiektami kultu.

Brzezińska



W 1926 roku dwóch kuratorów, Heinz Braune i Erich Wiese, zorganizowało we wrocławskim Pawilonie Czterech Kopuł wystawę „Schlesische Malerei und Plastik des Mittelalters" (Śląskie malarstwo i rzeźba doby średniowiecza). Zgromadzili prawie 300 eksponatów, w tym niezmiernie cenne gotyckie rzeźby i obrazy sakralne, takie jak choćby Pieta z Kościoła Cystersów w Lubiążu czy krucyfiks z wrocławskiego Kościoła Bożego Ciała. Zachowała się dokumentacja tamtej wystawy, możemy więc prześledzić, w jaki sposób sprytnie zabiegali o wypożyczenie zabytków, przekonując nieufnych proboszczów, że zwierzchnik sąsiedniej parafii już zgodził się swoich skarbów na wystawę użyczyć.

Przygotowana z wielkim rozmachem, wystawa trwała niespełna trzy miesiące. Jej pokłosiem był także wydany parę lat później monumentalny katalog oraz sposób klasyfikacji dzieł sztuki. Braune i Wiese powiązali zabytki w warsztaty, nadając im nazwy od dzieł o wielkiej wartości artystycznej. W ten sposób cała grupa nastaw ołtarzowych została przypisana wprawdzie nadal anonimowemu, ale rozpoznawalnemu poprzez swój styl Mistrzowi ołtarza z Gościszowic, a z pracownią równie anonimowego Mistrza Lat 1486-1487 połączono szereg gotyckich zabytków. Można bez przesady rzec, że Braune i Wiese zmienili nasz sposób postrzegania średniowiecznej sztuki śląskiej, a przydomki, które ponadawali artystom, pozostały z nami do dziś, choć niektóre z ich atrybucji z czasem zakwestionowano.

W 100 lat później w nieco odmienionych wnętrzach Pawilonu Czterech Kopuł otwarto ekspozycję wymownie nazwaną „Stulecie. W rocznicę wielkiej wystawy sztuki średniowiecznej". Przed wiekiem Braune i Wiese wyeksponowali owe dzieła sztuki w zaskakująco oszczędny i nowoczesny wówczas sposób, na długich podestach wzdłuż ścian w salach pozbawionych ozdób i didaskaliów. Kuratorka dzisiejszej wystawy, dr Agata Stasińska, która ponownie zgromadziła najcenniejsze dzieła śląskiej sztuki średniowiecznej, w tym wiele takich, które wcześniej spotkały się dzięki wysiłkom Braunego i Wiesego, nawiązała do owej metody ekspozycji.

Ale oczywiście nie jest to już ta sama wystawa.

Niektóre zabytki zaginęły lub uległy zniszczeniu. Pozostały po nich jedynie zdjęcia, wyeksponowane dzisiaj pomiędzy obiektami, które przetrwały. Zdarzają się jednak i cudowne odkrycia i uzupełnienia, jak choćby Chrystus, którego Braune i Wiese nie znali, a który dzisiaj dołączył do grupy apostołów z kościoła św. Marii Magdaleny we Wrocławiu.

Właśnie to niezwykłe nakładanie się na siebie dwóch wystaw, tej dzisiejszej i tej sprzed stulecia, sprawia, że czas w Pawilonie Czterech Kopuł rozszczepia się i biegnie w kilku kierunkach. Układ eksponatów uwypukla ewolucję średniowiecznej sztuki śląskiej. Nowe mody i motywy wypierają stare i raptem Maryja, niegdyś zasypiająca na posłaniu, osuwa się w sen w charakterystycznym omdleniu, które znamy z krakowskiego ołtarza Wita Stwosza. Zmieniają się maniery, krzyżują wpływy czeskie, niemieckie czy flamandzkie. Jednocześnie widzimy, jak przez ostatnich 100 lat zmieniła się nasza percepcja sztuki średniowiecznej, stan badań czy standardy wystawiennicze.

Ale zmieniły się też same zabytki. Niektórych nie konserwowano i uległy degradacji. Inne odnawiano czy przemalowywano, niekiedy w zaskakujący sposób. W najbardziej spektakularnych przypadkach całkowicie zmieniły charakter, jak Maryja z dawnego Kościoła Klarysek, którą tak skutecznie przerobiono na Świętą Jadwigę Śląską, że zwiodła Braunego i Wiesego, by dzisiaj odzyskać pierwotną formę.

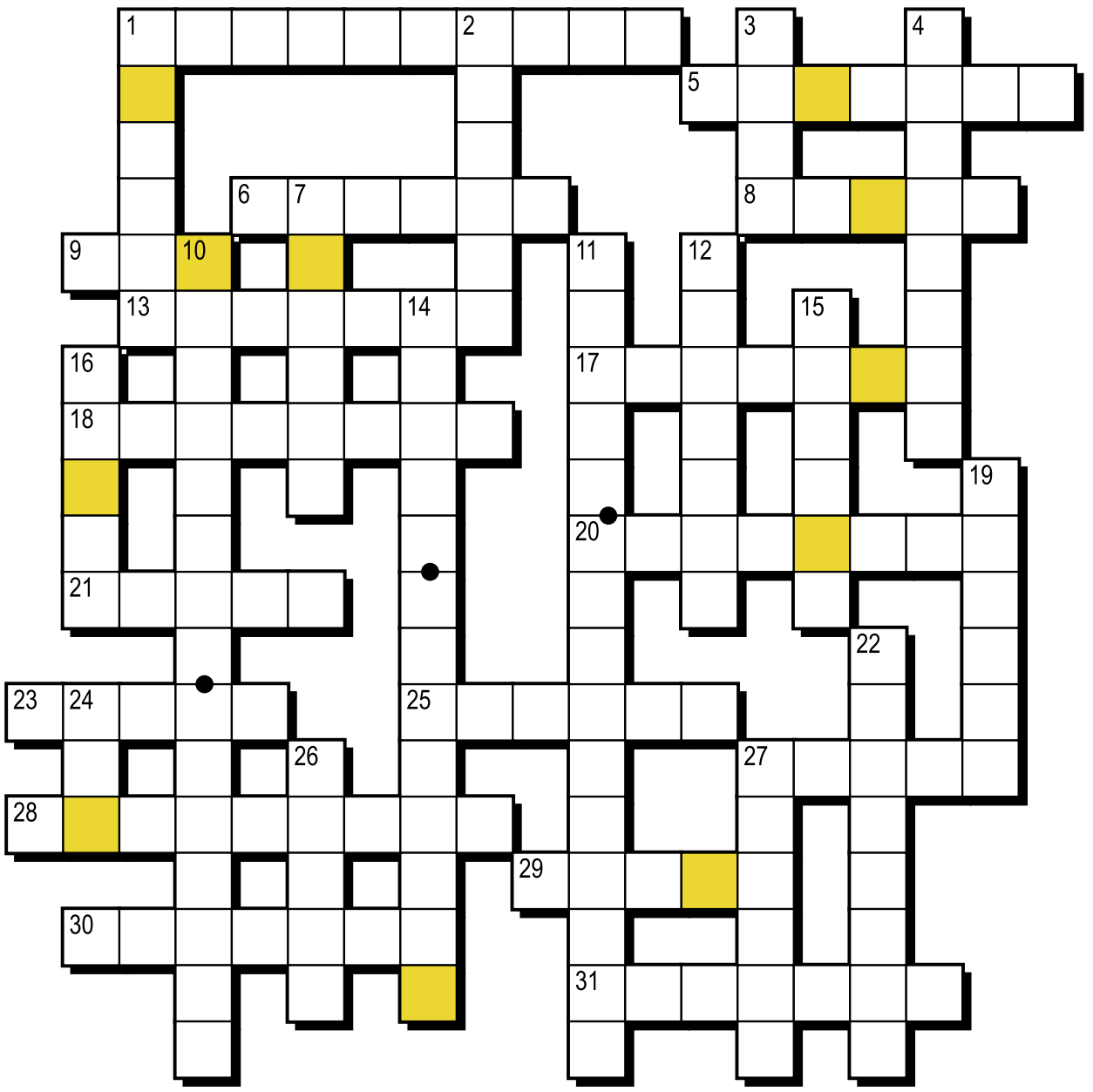
Umieszczone na wysokości wzroku eksponaty odsłaniają przed nami detale, które zwykle pozostają ukryte, kiedy podziwiamy sztukę sakralną w świątyniach. Spoglądamy więc z bliska na sznury, którymi owijano drewniane rzeźby, by na ramionach i nogach cierpiącego Chrystusa zamieniły się w nabrzmiałe żyły, na grymas maski lunarnej czy drobne kwiaty ukryte w tle. Ale te eksponaty nie są jedynie zabytkami muzealnymi i wybitnymi dziełami sztuki. Widzimy je również jako obiekty kultu, bliskie i osadzone w codzienności naszych protoplastów. Czasami z taką czcią dotykali stóp Ukrzyżowanego, że starli z nich farbę, a czasami bez większego nabożeństwa wyryli na wizerunkach świętych swoje inicjały i drobne napisy.

Bo wystawa w Pawilonie Czterech Kopuł dokumentuje zmianę, w bardzo różnych wymiarach, i gorąco ją polecam.

Anna Brzezińska – pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

eprasa.pl e47b8e13bb

weekendówka nr 230



TU SIĘ KRYJĄ STRUSIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) cecha, np. brak umiejętności lotu albo bardzo szybki bieg
5) strusie australijskie
6) ha, ha, ha! podczas oglądania przygód 11 pionowo
8) „... struś w panicznym strachu wtyka siwy łeb do piachu", w piosence Grażyny Łobaszewskiej
9) kita, naręcze, np. strusich piór
13) Strusiowie herbu ..., ród szlachecki (skojarz ze Starym Doktorem)
17) mama, tato i młode
18) ... ptasiej grypy, zagraża m.in. hodowlom strusi
20) strusia ..., czyli przymykanie oczu na rzeczywistość, uciekanie od odpowiedzialności
21) np. pampy, na których występują 26 pionowo
23) strusia lub kurza hodowla
25) twórczość Jana Brzechwy, autora wierszyka „Struś"
27) strusie
28) kontynent, na którym żyją 24 pionowo
29) okrywają ciało strusia
30) strusi – zdrowy, mogący strawić nawet najcięższej strawne pokarmy
31) jedno z państw, w których występuje struś północnoafrykański

Pionowo:
1) powab, gracja, np. w poruszaniu się
2) Adam, koszykarz, który zagrał w filmie „6 dni strusia"
3) strusie – mogą ważyć nawet 2 kg
4) imię Żamojdy, reżysera „6 dni strusia"
7) imię Balcara z zespołu Dżem (solowy album „Struś")
10) wędrując po świecie do Pacanowa, zdarzyło mu się dosiadać strusia
11) w kreskówkach bezskutecznie ścigany przez Kojota
12) chów zwierząt
14) śpiewa na płycie „Emu" zespołu Varius Manx
15) ... strusi, tak nazywane jest Oudtshoorn w RPA
16) projekcja filmu, np. „Księgi pustyni"
19) struś połyka je, by w żołądku rozdrabniać jedzenie
22) „Strusia ...", wiersz Andrzeja Waligórskiego (jak zwyczaj)
24) nielot w wyrazie „niemuzykalność"
26) nielot z Ameryki Południowej
27) chować głowę w ...

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 229 (krzyżowka L jak listopad)

POZIOMO:
9) laboratoria 10) ladaco 11) Lato leśnych ludzi 13) Lancelot 15) laweciarz 16) Lidl 18) lunatykowanie 19) longplay 23) Leokadia 25) Lipce 26) legalizacja 28) lunaparki 29) lulki 31) Latona 33) laurki 34) lamentowanie 35) liryki

PIONOWO:
1)La La Land 2) lodowce 3) lale 4) lornetka 5) Lincolny 6) laudacja 7) lapidarium 8) lordoza 12) lewkonia 14) Laura 16) Lelewel 17) Legnica 20) licealista 21) Longinowie 22) Liszt 23) Lolita 24) lajkoniki 27) lokal 29) Lear 30) Lee 31) Lewy 32) Luwr

HASŁO: Leczenie laserowe

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34454980

DO 23 LISTOPADA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

— na grudzień u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA 199,99 zł**



Dostęp także do Wyborcza.pl*

*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. **Cena sugerowana.

1 RP

eprasa.pl e47b8e13bb



Kraj/34455830

eprasa.pl e47b8e13bb

na narty

narty.wyborcza.pl

DODATEK DO „GAZETY WYBORCZEJ".
SOBOTA-CZWARTEK
14–19 LISTOPADA 2026

SPONSOR WYDANIA

Tirol
AUSTRIA



NOGA W BUCIE NIE MUSI BOLEĆ

O sztuce dopasowywania buta narciarskiego do każdej stopy

4 PROSTE ZMIANY NA STOKU,

dzięki którym spalisz więcej kalorii na wyjeździe zimowym

7 TRIKÓW,

które pomogą ci wycinać idealne łuki na śniegu

Gdzie jeździć, biegać i skakać

- OŚRODKI BEZ AUTA
- POMYSŁY NA BIEGÓWKI
- SNOWPARKI DLA KAŻDEGO

wyborcza

eprasa.pl e47b8e13bb

W poszukiwaniu idealnego skrętu

Narciarstwo to prosty sport. Chodzi w nim o to, żeby przemieścić się z góry na dół po ośnieżonym stoku, wycinając nartami większe lub mniejsze skręty. A żeby to zrobić bezpiecznie, trzeba mieć kontrolę nad nartami.

JAN SOŁTYS



JAN SOŁTYS
• Trener I klasy narciarstwa alpejskiego, Mistrz Polski Instruktorów 2026, współautor nowego „Podręcznika Nauczania Narciarstwa Zjazdowego SITN PZN", szef i główny trener firmy szkoleniowej Snowflake

FOT. SNOWFLAKE.PL

Trzy najczęstsze problemy, które trapią narciarza szukającego idealnego skrętu, to:
- Rozjeżdżające się w skręcie narty
- Stykające się kolana (tzw. pozycja X)
- Piekące uda.

Główne przyczyny tych problemów wynikają z jazdy „na tyłach" – czyli ze zgiętymi nogami i cofniętymi biodrami – oraz kładzenia się ciałem do środka skrętu.

Poprawna pozycja w skręcie powinna wyglądać tak: sylwetka lekko pochylona z rękami swobodnie wyciągniętymi w przód, minimalnie zgięte kolana.

Żeby wykonać idealny skręt, nad którym masz pełną kontrolę, musisz wykonać te trzy proste kroki w następującej kolejności:

1
Skończ poprzedni skręt w poprawnej pozycji.

2
Jeszcze zanim zaczniesz skręcać, przesuń ciężar ciała na zewnętrzną nartę nowego skrętu (to ta narta, która za chwilę pojedzie dłuższym torem).

3
Zakrawędziuj narty i pilnuj, żeby ciało w skręcie nie odchyliło się, kiedy narty przyspieszą.

narty.wyborcza.pl Redaktorka wydania: Anna Kwiatkowska. Grafik: Łukasz Rudnikowski. Fotoedycja: Marcin Kapica.
Okładka: Shutterstock. Na stronach 4–11, 23, 39, 44 zamieszczono materiały reklamowe, a na str. 43 materiał własny wydawcy.

eprasa.pl e47b8e13bb

7 TRIKÓW, które pomogą ci wykonać idealny skręt



Wojciech Macheta, trener PZN

FOT. NINA SEBASTIANOWICZ

1

Wyobraź sobie, że za język każdego buta masz wsunięty 100-złotowy banknot. Naciskaj piszczelem na języki butów tak mocno, żeby nie zgubić żadnego z nich. To pomoże ci utrzymywać prawidłową pozycję „na przodach".

2

Ustaw ciało tak, żeby suwak zapiętej kurtki znajdował się nad wiązaniami. Dzięki temu przesuniesz biodra do przodu i nie będziesz jechać w pozycji przypominającej siedzenie na sedesie.

3

Miej w polu widzenia swoje rękawiczki, zwłaszcza tę po wewnętrznej stronie skrętu. Dzięki temu uda ci się utrzymać stabilną pozycję, unikniesz niewskazanej rotacji i będziesz mieć większą kontrolę nad nartami.

4

Na początku skrętu szuraj zewnętrznym kijkiem po śniegu. To pomoże ci wcześnie przenieść ciężar ciała na zewnętrzną nartę i utrudni kładzenie się ciałem do środka skrętu.

5

W połowie skrętu ułóż ciało w kształt litery C. Twoje biodra utrzymuj od środka skrętu, a tułów i głowę – po jego zewnętrznej stronie.

6

Znajdź charakterystyczny punkt na dole stoku (to może być np. stacja kolejki) i staraj się mieć go ciągle w polu widzenia. Dzięki temu twój tułów będzie się trzymał we właściwej pozycji.

7

Zaciskaj rękę na rękojeści kijka znajdującego się po zewnętrznej stronie skrętu, tak jakbyś chciał wycisnąć cytrynę. To pomoże ci magicznie ustabilizować przyjętą pozycję i trzymać tę rękę na wysokości bioder.

Pamiętajcie, najlepszy sezon jeszcze przed Wami!

eprasa.pl e47b8e13bb

A pamiętasz jak...?

Wróć do Tyrolu w Austrii po kolejne wspomnienia

Pamiętasz, jak przyjemnie było sunąć po szerokim, świetnie przygotowanym stoku, jak smakowało gorące kakao z mlekiem po intensywnym dniu na nartach? A to skrzypienie świeżego śniegu pod nartami i tę serdeczność austriackich gospodarzy – też pamiętasz? Wróć do Tyrolu w Austrii, by nie tylko utrwalić te wspomnienie, ale i przywieźć nowe. To tu czeka przygoda dla każdego.

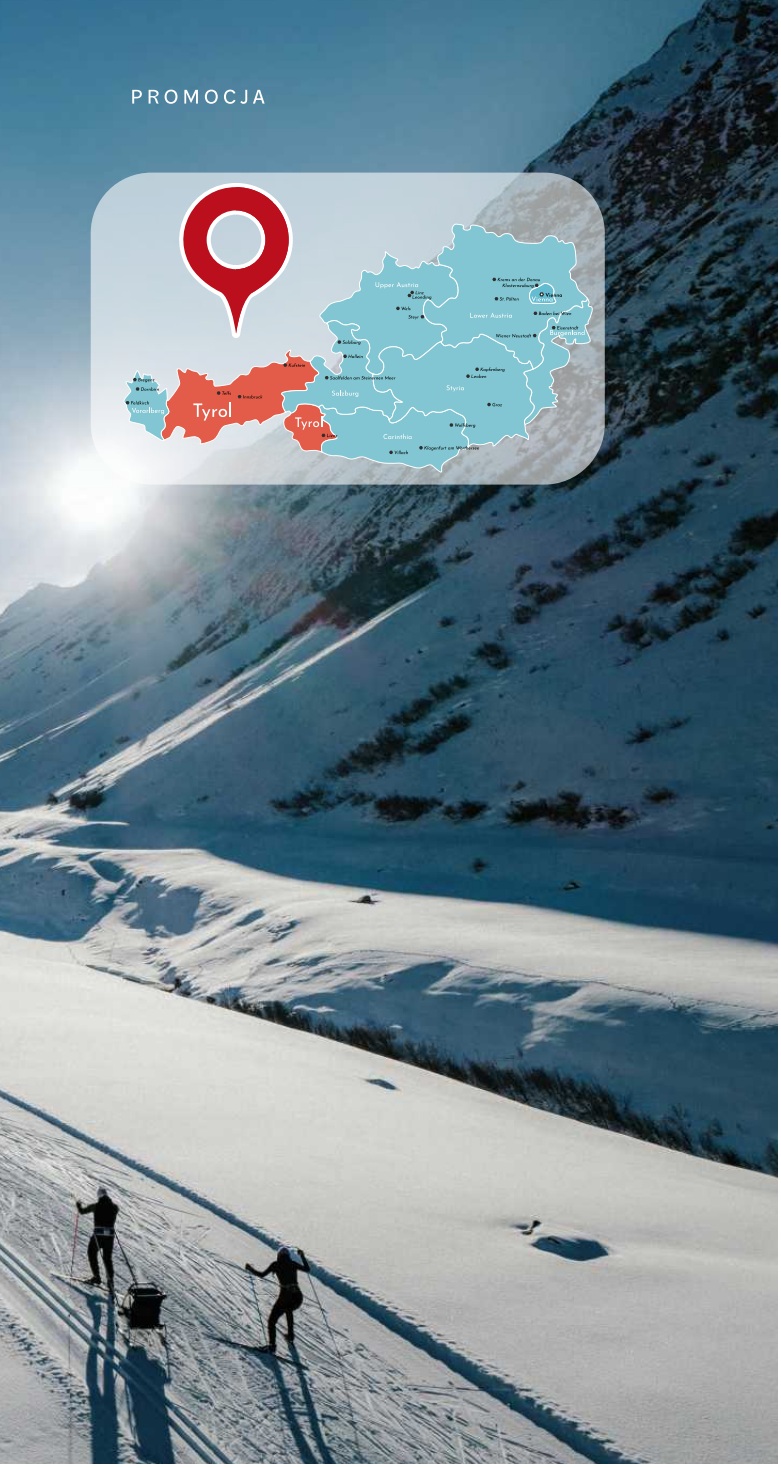


© Tirol Werbung_Heinzlmeier Bert

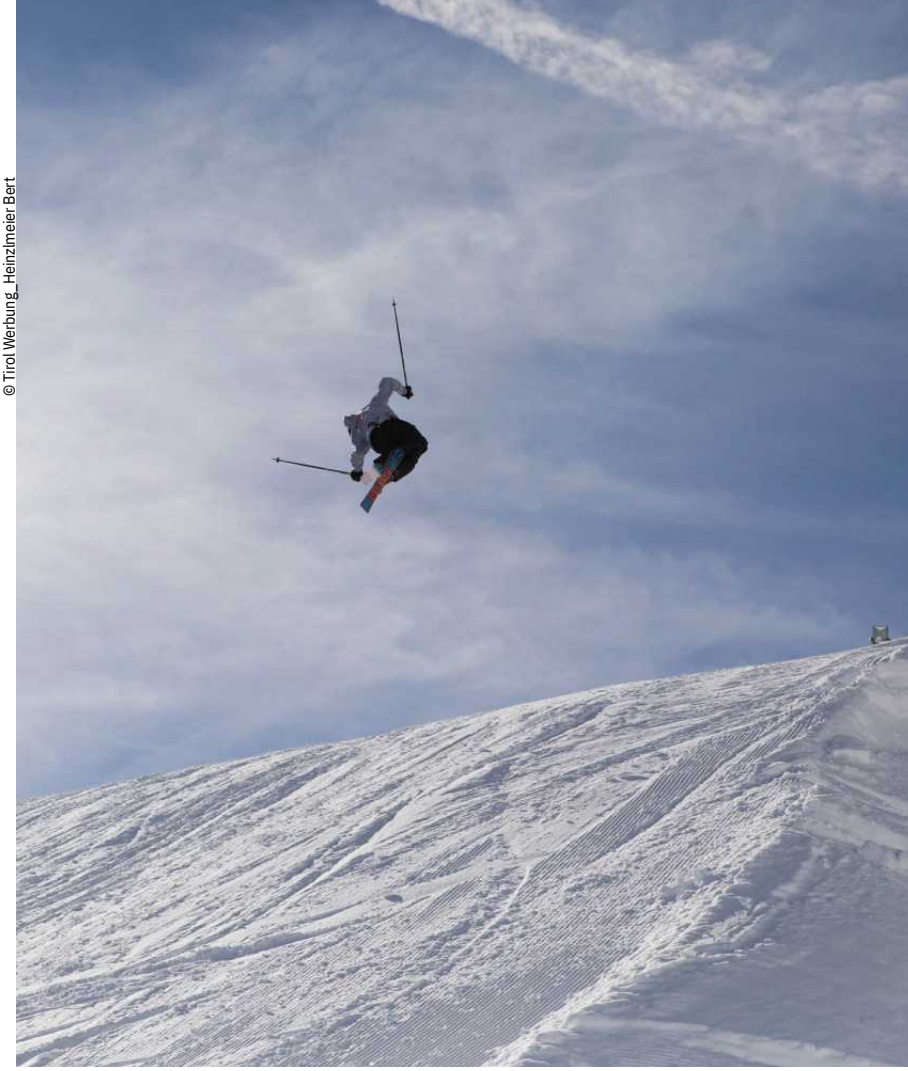
Kto był na nartach w Tyrolu w Austrii lata temu jako dziecko, a może całkiem niedawno – z paczką znajomych – ten wie, że wizyta tutaj zostaje w pamięci na wiele lat. Zapisuje się nie tylko świetnymi warunkami do uprawiania sportów zimowych, ale i wyśmienitymi daniami, w których przygotowanie austriaccy gospodarze wkładają całe serce. Można tu wracać regularnie i zawsze odkryć coś nowego – coś, co ponownie będzie zachęcało do powrotu. Bo taki jest Tyrol – gotowy, by spełnić wszystkie oczekiwania.

Zimą to prawdziwie bajkowa kraina, wymarzona do uprawiania sportów zimowych. Wybór ośrodków narciarskich odpowie na każde oczekiwania: od małych rodzinnych, po ogromne areny i stoki na lodowcu, które są otwarte przez cały rok. Łącznie 3400 kilometrów tras – to więcej niż trasa lądowa z Londynu do Aten. Jedne łagodne, inne bardziej strome, szybsze czy legendarne. Wszystkie doskonale przygotowane, oferujące zapierające dech w piersiach widoki.

eprasa.pl e47b8e13bb



© Tirol Werbung_Zimmermann Dominic



© Tirol Werbung_Heinzlmeier Bert

© Tirol Werbung_Zimmermann Dominic



To wszystko okraszone wyśmienitą kuchnią, pachnącą Kasspatzln – makaronem skąpanym w morzu roztopionego sera, wszelkiego rodzaju knedlami, Schlutzkrapfen – tyrolską wersją ravioli, omletem Kaiserschmarren czy jabłkowym strudlem Apfelstrudel. I tym, czego nie da się podrobić – austriacką gościnnością!

Czas wyruszyć w zimową podróż. Sprawdzić się na lodowcu Pitztal – tam, gdzie trenują alpejskie drużyny narodowe, połączyć wypoczynek ze zwiedzaniem Innsbrucka, pozwolić wyszaleć się dzieciom w Wilder Kaiser, szusować nocą w Brixental albo przejeżdżać między stokami Austrii a Szwajcarii w Ischgl. I cieszyć się zimą tak, jak lubi się najbardziej.

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
www.tyrol.pl/warszawa

eprasa.pl e47b8e13bb

Region Innsbruck.

Alpejska przygoda w miejskim wydaniu



© Innsbruck Tourismus_Jonas Schwarzwälder

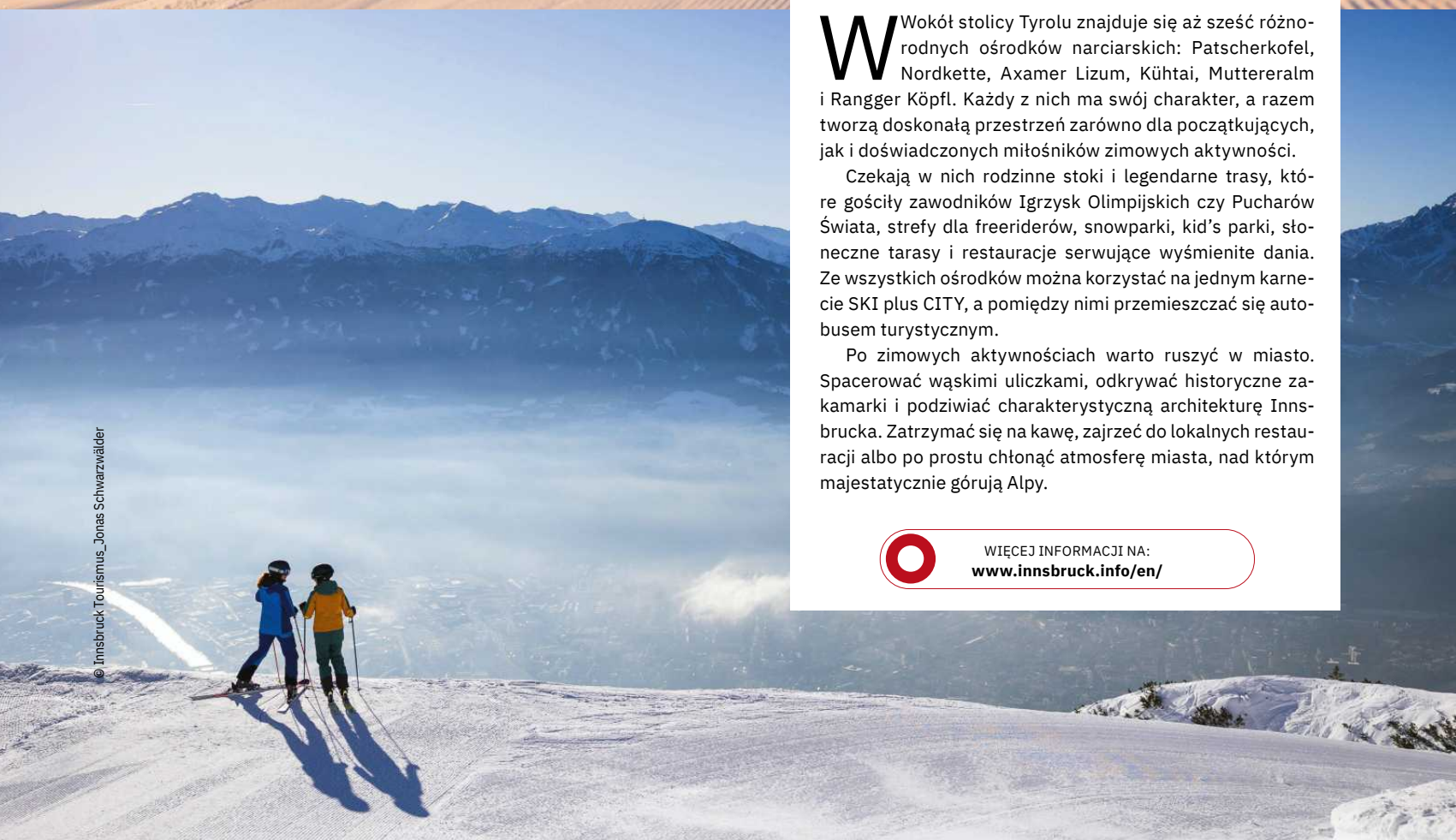
Rano możesz jeździć na nartach po dziewiczych stokach, spacerować górskimi szlakami, zjeżdżać po torze saneczkowym albo spróbować freeride'u. Po południu odkrywać sztukę, robić zakupy, przemierzać urokliwe uliczki i pełnymi garściami czerpać z après-ski. Innsbruck to miasto pełne możliwości, w którym nikt nie będzie się nudził.

Wokół stolicy Tyrolu znajduje się aż sześć różnorodnych ośrodków narciarskich: Patscherkofel, Nordkette, Axamer Lizum, Kühtai, Muttereralm i Rangger Köpfl. Każdy z nich ma swój charakter, a razem tworzą doskonałą przestrzeń zarówno dla początkujących, jak i doświadczonych miłośników zimowych aktywności.

Czekają w nich rodzinne stoki i legendarne trasy, które gościły zawodników Igrzysk Olimpijskich czy Pucharów Świata, strefy dla freeriderów, snowparki, kid's parki, słoneczne tarasy i restauracje serwujące wyśmienite dania. Ze wszystkich ośrodków można korzystać na jednym karnecie SKI plus CITY, a pomiędzy nimi przemieszczać się autobusem turystycznym.

Po zimowych aktywnościach warto ruszyć w miasto. Spacerować wąskimi uliczkami, odkrywać historyczne zakamarki i podziwiać charakterystyczną architekturę Innsbrucka. Zatrzymać się na kawę, zajrzeć do lokalnych restauracji albo po prostu chłonąć atmosferę miasta, nad którym majestatycznie górują Alpy.

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
www.innsbruck.info/en/



© Innsbruck Tourismus_Jonas Schwarzwälder

eprasa.pl e47b8e13bb

Pitztal.

Ciesz się zimą na najwyższym szczycie Tyrolu



© TVB Pitztal_Oliver Gartzke

Rozkoszuj się słońcem, podziwiaj widoki, skosztuj tradycyjnych tyrolskich specjałów i, po prostu, relaksuj się. A to wszystko w trakcie zimowych aktywności. Idealne trasy zjazdowe, naturalny tor saneczkowy, miejsca do uprawiania narciarstwa biegowego, skituoringu czy freeride'u. Dla rodzin – łagodne trasy, dla wymagających czerwone i czarne. Na lodowcu Pitztal, najwyższym lodowcu w Tyrolu, zimowa przygoda rozpoczyna się od września i trwa aż do maja.



© TVB Pitztal_Severin Wegener

Lodowiec Pitztal to jeden z najpewniejszych pod względem śniegu terenów narciarskich – na wysokości do 3440 m n.p.m. obecność świeżego puchu jest zawsze gwarantowana. Na samym szczycie czeka „Café 3440" – najwyższa kawiarnia w Austrii. Kto wjedzie nowoczesną kolejką nie tylko po kawę i zapierające dech w piersiach widoki na trzytysięczniki, ale i weźmie ze sobą narty, zjedzie w dół czerwoną lub czarną trasą lodowcową. Doświadczeni freeriderowcy też mają tu pole do popisu.

Możliwości rozszerzono o sąsiednie tereny narciarskie Rifflsee i Hochzeiger. Łącznie Pitztal oferuje 121 kilometrów tras zjazdowych: od łatwych, doskonałych dla rodzin, po naprawdę wymagające. Ośrodki nie rozczarują snowboardzistów, miłośników biegówek, sanek czy skitouringu. Na miłośników trików czekają dwa snowparki, w tym trasy typu funline. Tu przygoda czeka naprawdę na każdego.

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
www.pitztal.com/en



© TVB Pitztal_Severin Wegener

eprasa.pl e47b8e13bb



© TVB Kitzbüheler Alpen-Brixental_Mathäus Gartner

Oddaj się zimowemu szaleństwu **w dolinie Brixental**

Ponad 500 km doskonale przygotowanych tras, nowoczesne wyciągi i zachwycające widoki na Alpy Kitzbühelskie. Do tego tereny do wędrówek na rakietach śnieżnych, pieszych wycieczek i różnorodne trasy skiturowe. Jeśli stawiasz na aktywny i różnorodny wypoczynek zimą, to dolina Brixental będzie doskonałym wyborem.



© TVB Kitzbüheler Alpen Brixental_Mathäus Gartner

Zimą dolina Brixental, obejmująca miejscowości Brixen im Thale, Kirchberg in Tirol i Westendorf, zmienia się w prawdziwy raj dla miłośników zimowego wypoczynku. Dzięki dwóm ośrodkom narciarskim: KitzSki oraz SkiWelt Wilder Kaiser – Brixental, na odwiedzających czeka imponujący wybór zimowych aktywności.

Ośrodek KitzSki zachwyca różnorodnością tras dostosowanych do każdego poziomu zaawansowania – od łagodnych stoków dla początkujących po bardziej wymagające zjazdy dla doświadczonych narciarzy. SkiWelt Wilder Kaiser – Brixental, jeden z największych połączonych ośrodków narciarskich w Austrii, to ulubione miejsce dla rodzin.

Ale 500 km tras to dopiero początek. Tory saneczkowe, szlaki do wędrówek, trasy skitourowe, a do tego karta gościa Brixental Guest Card, która umożliwia bezpłatne korzystanie z autobusów i pociągów na terenie całego regionu oraz liczne zniżki na wstęp do rozmaitych atrakcji i obiektów rekreacyjnych. Pora pakować walizki i wyruszyć po zimową przygodę.

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
www.brixental.tirol/en



© TVB Kitzbüheler Alpen Brixental_Mathäus Gartner



© TVB Kitzbüheler Alpen Brixental_Mathäus Gartner

eprasa.pl e47b8e13bb



81 nowoczesnych wyciągów, ponad 275 km tras narciarskich i 80 schronisk – dzięki takiej ofercie zimowy wypoczynek będzie więcej niż udany. Wilder Kaiser przyciąga nie tylko zimową ofertą, ale i spektakularnymi górskimi krajobrazami, autentycznym klimatem tyrolskich wiosek i serdeczną gościnnością.



Wilder Kaiser. Zimowy raj dla rodzin

Region Wilder Kaiser to idealne miejsce dla rodzin poszukujących aktywnego wypoczynku w górach. Zimą kluczową rolę odgrywa tu oczywiście narciarstwo. Z czterech zlokalizowanych w regionie miejscowości: Ellmau, Going, Scheffau i Söll – zyskuje się bezpośredni dostęp do SkiWelt Wilder Kaiser-Brixental – jednego z największych w Austrii połączonych ośrodków narciarskich, oferującego 275 kilometrów tras i 81 nowoczesnych wyciągów.

Zima w Wilder Kaiser to jednak coś więcej niż tylko narty. Idealne dni na nartach można urozmaicić pieszymi wędrówkami lub tymi na rakietach śnieżnych, jazdą na sankach czy trekkingiem z lamami. Region oferuje mnóstwo okazji do odkrywania zaśnieżonych krajobrazów, podziwiania górskich panoram, delektowania się tradycyjną kuchnią tyrolską czy po prostu – relaksu i czerpania radości z pobytu na świeżym powietrzu.

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
www.wilderkaiser.info/en



© TVB Wilder Kaiser_Mathäus Gartner

© TVB Wilder Kaiser_Mathäus Gartner





© TVB Wilder Kaiser_Mathäus Gartner

eprasa.pl e47b8e13bb

PROMOCJA

Ischgl.

Bezpieczna zimowa zabawa na najwyższym poziomie



© TVB Paznaun-Ischgl

Narciarstwo na najwyższym poziomie, nowoczesne wyciągi, gwarancja śniegu i legendarne wydarzenia. W Ischgl można zacząć zjeżdżać nartach w Tyrolu, a skończyć w Szwajcarii. To prawdziwy synonim zimy bez granic.

Sercem Ischgl jest teren Silvretta Arena Ischgl /Samnaun. To łącznie 239 kilometrów tras, rozciągających się na wysokości sięgającej 2872 m n.p.m. Na jednym karnecie można zjeżdżać zarówno po tyrolskiej stronie, jak i szwajcarskim Samnaun. Rozległe, świetnie przygotowane trasy i nowoczesne wyciągi zapewniają idealne warunki zarówno do przyjemnej jazdy carvingowej, jak i dla ambitnych miłośników sportów zimowych – fanów freeride'u, snowboardingu. Ischgl Snow Park oferuje dwa tereny: funline i bag oraz trasę do speedline'u.

Poza stokiem ofertę aktywności sportowych uzupełniają tereny do uprawiania narciarstwa biegowego, wędrówek na rakietach śnieżnych, jazdy na sankach, wspinaczki lodowej. Ale w Ischgl dzień nie kończy się wraz z ostatnim zjazdem czy zejściem ze szlaku. Skąpane w słońcu tarasy, górskie schroniska i znakomite restauracje zapraszają do relaksu i odkrywania smaków tyrolskiej kuchni. Restauracje z gwiazdkami Michelin zadbają o podniebienia najbardziej wymagających. A o prawdziwy relaks dbają termy Silvretta z saunami i ciepłymi basenami.

WIĘCEJ INFORMACJI NA:
www.ischgl.com/en



© TVB Paznaun-Ischgl



© TVB Paznaun-Ischgl



© TVB Paznaun-Ischgl



© TVB Paznaun-Ischgl

eprasa.pl



© TVB Pitztal_Oliver Gartzke

Pitztal

- jeden z najpewniejszych pod względem śniegu terenów narciarskich
- „Café 3440” – najwyżej położona kawiarnia w Austrii
- zapierające dech w piersiach widoki na trzytysięczniki



© TVB Kitzbüheler Alpen-Brixental_Mathäus Gartner

Brixental

- dwa ośrodki narciarskie z mnóstwem możliwości: KitzSki oraz SkiWelt Wilder Kaiser – Brixental
- ponad 500 km tras narciarski, tory saneczkowe, szlaki do wędrówek, trasy skitourowe
- Brixental Guest Card, umożliwiająca bezpłatne korzystanie z autobusów i pociągów w tym regionie



© TVB Wilder Kaiser_Mathäus Gartner

Wilder Kaiser

- dostęp do jednego z największych i najnowocześniejszych terenów narciarskich
- 275 kilometrów tras, 81 nowoczesnych wyciągów i 80 schronisk
- trasy do wędrówek pieszych i w rakietach śnieżnych oraz trekking z lamami

© Innsbruck Tourismus_Luca Jänichen

Region Innsbruck

- sześć różnorodnych ośrodków narciarskich
- legendarne trasy, które gościły zawodników Igrzysk Olimpijskich czy Pucharów Świata
- karta SKI plus CITY, umożliwiająca korzystanie na jednym karnecie z 12 ośrodków

© TVB Paznaun-Ischgl

Ischgl

- 239 kilometrów tras, rozciągających się na wysokości sięgającej 2872 m n.p.m.
- jeden karnet i stoki zarówno po tyrolskiej stronie, jak i szwajcarskim Samnaun
- wiele wydarzeń kulturalnych i sportowych

epras...8e13bb



Stoki
tuż za progiem hotelu

W tych stacjach samochód nie będzie ci potrzebny. Wszędzie tam, gdzie dostać się musisz, dojedziesz na nartach albo dojdziesz piechotą.

ANNA KWIATKOWSKA

eprasa.pl e47b8e13bb



Isola 2000

FOT. SHUTTERSTOCK

Przysłowie „kto rano wstaje, temu pan Bóg daje” na nartach sprawdza się podwójnie. Nieskalany śnieżny sztruks, trasa gładka jak lodowisko, pustki na wyciągach i na stokach. A że natura uczyniła mnie raczej sową niż skowronkiem, jeśli na stoku chcę być pierwsza, to najbardziej lubię na narciarskim wyjeździe zamieszkać jak najbliżej stoku. Dla kogoś, kto jak ja uważa szóstą rano za środek nocy – każdy zaoszczędzony na dojeździe kwadrans jest na wagę złota.

Ferie w dzieciństwie spędzałam w Bukowinie Tatrzańskiej. Wystarczyło przejść przez szosę, przypiąć narty i trawersem dojechać do pierwszego wyciągu. A jak się zapomniało czapki (o kaskach wtedy jeszcze nikt nie słyszał), dziesięć minut wystarczyło, żeby iść po nią do kwatery i wrócić.

Kiedy zaczęłam wyjeżdżać w Alpy, zachłysnęłam się możliwościami. Razem z grupą przyjaciół rok w rok wybieraliśmy ośrodki, które oferowały setki kilometrów tras. Żeby skorzystać z pełni możliwość karnetu, codziennie jeździliśmy do innej stacji, dojazd czasem zajmował i kilkadziesiąt minut. Przy większej grupie logistyka stawała się koszmarem. W rezultacie, choć ja chciałam na sztruks, docierałam na rozjeżdżony stok tuż przed południem. Ktoś chciał wracać po kilku godzinach, ale musiał czekać na długodystansowców. Jechaliśmy w jedno miejsce, ale część grupy chciała w inne. I zawsze ktoś był niezadowolony.

Aż pewnego roku F. zarządził wyprawę do niedużej francuskiej stacji położonej nad Niceą. I tam zaczęła się moja miłość do ośrodków, gdzie na stok można dojść z buta, wrócić prawie pod drzwi na nartach. I każdy może wyjść czy wrócić kiedy chce, można się w ciągu dnia przebrać, położyć, zjeść niekoniecznie w knajpie.

I owszem, coś za coś. Nie wszystkie stacje zbudowane na stokach mają ten niepowtarzalny alpejski urok i duszę. Ale nie można mieć wszystkiego.

Przedstawiam cztery moje ulubione ośrodki „ski-in/ski-out” i jeden, do którego ciągle się jeszcze nie wybrałam, choć planuję to od lat.

1

FRANCJA
ISOLA 2000, STACJA Z WIDOKIEM NA MORZE ŚRÓDZIEMNE

Stacja nad Niceą, o której wspomniałam, to Isola 2000. Działa od ponad pięćdziesięciu lat. Położona jest na wysokości 2000 m n.p.m. (stąd jej nazwa) w Alpach Nadmorskich. Te tereny jeszcze w czasie II wojny światowej należały do Włoch. Przypadły Francji na mocy Traktatu Paryskiego z 1947. Jeszcze w latach 60. w miejscu, gdzie dziś jest stacja, stały szałasy pasterskie i wypasało się bydło.

Na wysokości 870 m n.p.m. leży wioska Isola (to od niej pochodzi drugi człon nazwy stacji). Drogą ze stacji do wioski jedzie się kilkanaście minut (to 17 km). Kursują też autobusy. Warto w czasie urlopu któregoś dnia zjechać do Isoli, bo jest naprawdę urocza.

Do Isoli 2000 można dojechać samochodem, ale na miejscu będzie nam zupełnie zbędny. Hotele, apartamentowce, restauracje, sklepy, wyciągi wszystko jest tu w niewielkiej odległości i wszędzie da się dojść w kilka minut. Z wielu stoków można zjechać na nartach prosto pod dom.

FOT. ADOBE STOCK

Podróż autem z granicy w Gorzyczkach to przy sprzyjających warunkach ok. 15 godzin. Dużo wygodniej jest się tu dostać samolotem i autobusem. Z Warszawy do Nicei lata LOT i Wizz Air. A z lotniska do stacji kursują regularnie autobusy. Ostrzegam jednak, że większość z 90 km, które dzielą lotnisko od stacji, to górskie serpentyny, a wytrawni nicejscy kierowcy prowadzą po nich autobus jak po torze wyścigowym. Jeśli ma się nawet bardzo lekką chorobę lokomocyjną – warto zaopatrzyć się w leki i wiadome torebki.

Tereny narciarskie Isoli 2000 rozciągają się między 1820 a 2610 m n.p.m. Gdy nie ma chmur, ze szczytu Cime de Sistron można zobaczyć Morze Śródziemne. To jedno z niewielu miejsc w Europie, gdzie rano można jeździć na nartach, a późnym popołudniem – spacerować po plaży. A w kwietniu co odważniejsi nawet ryzykują kąpiel w morzu.

Isola 2000 w pigułce

- Strona internetowa: isola2000.com
- Sezon 2026/2027 zaczyna się 6 grudnia, kończy 19 kwietnia
- Wyciągi działają w godzinach 9-17
- Tereny narciarskie leżą na wysokości 1800-2610 m n.p.m
- Trasy: łącznie 120 km, 45 tras w tym: 3 czarne, 13 czerwonych, 22 niebieskie, 7 zielonych
- Liczba wyciągów: 20

2

AUSTRIA
KÜHTAI, Z NARCIARNI PROSTO NA STOK

Kilka lat temu odkryłam Kühtai – niedużą (w porównaniu do wielkich resortów, ale wystarczającą na potrzeby tygodniowego urlopu) stację nieopodal Innsbrucka.

Wioska, w której latem mieszka kilkanaście osób, zimą ożywa. Kühtai leży na wysokości 2020 m n.p.m. Zdarza się, że warunki do jeżdżenia utrzymują się tu aż do maja. →

eprasa.pl e47b8e13bb



Kühtai

FOT. GETTY IMAGES

→ Wyciągi zaczynają się tu tuż za drzwiami hoteli i pensjonatów. Gdy byłam tam na wyjeździe szkoleniowym, moja grupa mieszkała w hotelu, z którego okien widać było nasz treningowy stok. Na przerwę można było wrócić do pokoju, wyciągnąć się na łóżku, czy napić herbaty. A kiedy trenera zmogła grypa – prowadził zajęcia z pokoju, obserwując nas przez lornetkę i udzielając porad przez krótkofalówkę.

Jeśli liczba tras w Kühtai okaże się dla nas zbyt mała – na tym samym karnecie można jeździć w stacji w Hochoetz. Dojechać tam trzeba skibusem, a trwa tylko kwadrans.

Cały teren narciarski leży powyżej granicy lasu, wokół tras znajduje się dużo otwartego terenu do jazdy poza trasami. I do tego w wiele miejsc można się dostać bez długich podejść, prosto z wyciągu (m.in. Z DreiSeenBahn, GaisKogelBahn i KaiserBahn).

Jedną z propozycji na après-ski w Kühtai jest wizyta w lodowym barze, ozdobionym w środku lodowymi rzeźbami. Ku mojemu zdziwieniu podano nam w nim grzańca z ...białego wina. Dziwić przestałam się szybko, bo gdy z moim kubkiem o mało nie wywinęłam orła w drodze do stolika, wyobraziłam sobie, jak wyglądałyby ściany baru, gdyby regularnie ktoś oblewał je czerwonym winem.

W niecałą godzinę z Kühtai można dostać się do Innsbrucka. To dobra okazja, żeby odwiedzić to miasto, które większość narciarzy pędzących do tyrolskich kurortów tylko omija autostradą. A jeśli będziecie w okolicy przed Bożym Narodzeniem, to koniecznie odwiedźcie jeden z aż siedmiu świątecznych jarmarków: pod Złotym Dachem, na Marktplatz, na deptaku Maria-Theresien-Strasse, w dzielnicy Wilten, w dzielnicy St. Nikolaus, na skoczni Bergisel i wysoko ponad miastem, w dzielnicy Hungerburg-Nordkette.

Samolotem do Innsbrucka

• Zimą (połączenie startuje 5 grudnia) z Warszawy do Innsbrucka w każdą sobotę latać będą linie Austrian Airlines. Lot potrwa godzinę i 40 minut. W niektórych (droższych) taryfach transport kompletu sprzętu (narty lub deska, buty kask) jest w cenie biletu.

• Z lotniska w Innsbrucku można autobusami dojechać do większości tyrolskich ośrodków. Podróż do Kühtai trwa około godziny, a np. do Ischgl – 1,5 godz.

Kühtai w pigułce

- Strona internetowa: kuehtai.info
- Sezon 2026/2027 zaczyna 27 listopada 2026, kończy 11 kwietnia
- Wyciągi działają w godz. 9-16.15
- Tereny narciarskie leżą na wysokości 2020-2520 m n.p.m.
- Trasy: łącznie 51 km, w tym 10,5 km łatwych, 34 km średnich i 5 km trudnych
- Liczba wyciągów: 12

eprasa.pl e47b8e13bb

3

WŁOCHY
PASSO DEL TONALE, NARCIARSTWO NA PRZEŁĘCZY

Passo del Tonale to górska przełęcz, przez którą przebiega granica między Lombardią a Trydentem. Przez stulecia przez przełęcz przepędzano stada i transportowano towary między dolinami. W czasie I wojny światowej toczyła się tu „biała wojna" między Królestwem Włoch a Austro-Węgrami.

Na początku XX w. narciarstwo zawitało do leżącego o ponad 600 m niżej miasteczka Ponte di Legno. Na przełęczy wyciągi oraz hotele zaczęły wyrastać dopiero w latach 60. Wszystko zostało zbudowane tak, żeby narciarzom było jak najwygodniej. Z większości hoteli i wielkich apartamentowców na stok można dojść w kilka minut. Restauracje, wypożyczalnie znajdują się tuż przy stokach.

Stacja nie jest zbyt urodziwa, ale coś za coś. Ale jeśli od szusowania po sztruksie o świcie wolisz leniwe poranki i śniadanie w urokliwej kafejce – możesz zamieszkać w Ponte di Legno. Dzięki zbudowanej w 2015 r. gondoli z miasteczka na przełęcz nie trzeba jechać krętą drogą.

Z Passo del Tonale można też dostać się na lodowiec Presena – to przy dzisiejszym klimacie gwarancja, że nawet jak pogoda i śnieg nie dopiszą – urlop nie będzie zmarnowany. Ale warto pamiętać, że gdy jest tłoczno, trasa z samego szczytu bywa „zmuldzona" i jeśli nie jesteś narciarzem doświadczonym, może ci sprawić kłopoty.

Passo Tonale – Ponte di Legno w pigułce

- Strona internetowa: pontedilegnotonale.com
- Sezon 2026/2027 zaczyna się 28 listopada, kończy 2 maja
- Wyciągi działają w godz. 8.30-17
- Tereny narciarskie leżą na wysokości 1121-3000 m n.p.m.
- Trasy: łącznie 100 km, 46 tras, w tym 13 niebieskich, 25 czerwonych i 8 czarnych
- Liczba wyciągów: 29

→

Do Bolzano w 2,5 godziny

• Linia Sky Alps uruchamia w tym roku sezonowe bezpośrednie loty na lotnisko w Bolzano w Dolomitach. W każdą sobotę od 12 grudnia samoloty tej linii będą latać z Okęcia do Bolzano i z powrotem. Lot ma potrwać 2 godz. 20 minut.

• Prosto z lotniska można autobusem dostać się m.in. do Corvary i Alta Badii. Inna opcja to autobus na dworzec w Bolzano, i stąd podróż lokalnym autobusem do np. Val Gardeny czy Alpe di Susi.

FOT. SHUTTERSTOCK



Passo del Tonale

eprasa.pl e47b8e13bb

4

AUSTRIA
GURGL, STACJA NA KOŃCU DOLINY

Gurgl to uproszczona nazwa ośrodka na końcu doliny Ötztal, który kiedyś nazywał się Obergurgl-Hochgurgl. Kilka lat temu marketingowcy doszli do słusznego wniosku, że to nie jest wdzięczna nazwa do promocji resortu.

Pierwszy raz odwiedziłam to miejsce jeszcze w czasach tej podwójnej nazwy. Na szczyt Festkogel (3038 m n.p.m.) wjeżdżało się wtedy wyciągiem z pojedynczymi krzesełkami (podobnym do tego, jaki do 2017 r. woził turystów na Kopę w Karpaczu). Mam lekki lęk wysokości, więc była to nie lada przygoda. W 2006 r. wyciąg zastąpiła nowoczesna ośmioosobowa gondola. Jest wygodniej i szybciej i cieplej, ale trochę tego starego wyciągu żal.

Obergurgl leży na wysokości 1930 m n.p.m., a Hochgurgl na 2150 m n.p.m. Ta pierwsza miejscowość to alpejska wioska, z kościółkiem, ryneczkiem i deptakiem. Hochgurgl to stacja narciarska, zbudowana dla wygody narciarzy. Jest tu mnóstwo hoteli i pensjonatów, z których do wyciągów można dojść w kilka minut. Dzięki gondoli Top Express, uruchomionej w 1997 r., obie stacje są dobrze skomunikowane i można się po nich poruszać bez odpinania nart.

W Gurgl nie ma tłumów, większość „weekendowych" narciarzy i tych, dla których od „ski" ważniejsze jest „après-ski", dociera do Sölden (największego ośrodka w dolinie) i już tam zostaje.

W tym sezonie tłoczniej może być w weekend 21-22 listopada, bo w Gurgl w tych dniach rozgrywane będą zawody Pucharu Świata (slalom kobiet w sobotę, mężczyzn – w niedzielę). I jest

FOT. ADOBE STOCK



Gurgl

eprasa.pl e47b8e13bb



Gudauri

FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

to fantastyczna okazja, żeby w czasie jesiennego urlopu narciarskiego zobaczyć na żywo najlepszych alpejczyków.

Gurgl w pigułce

- Strona internetowa: gurgl.com
- Sezon 2026/2027 zacznie się 13 listopada, zakończy 25 kwietnia
- Wyciągi działają w godz. 9-16
- Tereny narciarskie leżą na wysokości 1800- 3030 m n.p.m.
- Trasy: łącznie 112 km, w tym 35 km niebieskich, 55 km czerwonych i 22 km czarnych
- Liczba wyciągów: 25

5

GRUZJA
GUDAURI, CZYLI MOŻE NIE ZAWSZE TRZEBA JEŹDZIĆ W ALPACH

W marcu 2018 r. moi przyjaciele postanowili przetrzeć szlaki i pojechać na narty nie za zachód – a na wschód. Do Gruzji. Wrócili z opowieściami o dobrze przygotowanych stokach tuż za drzwiami hotelu i fantastycznej kuchni. Wtedy pomyślałam, że powinnam tam pojechać. Gudauri jest ciągle na mojej liście miejsc do odwiedzenia. Może mi uda się pojechać tej zimy?

A co mnie zachęciło?

To jedna z tych stacji, która powstała od zera i jest zaprojektowana tak, by narciarzom było jak najwygodniej. Wszędzie można się dostać na nogach lub na nartach, samochód nie jest potrzebny. Można się więc i wyspać, i być na stoku, gdy tylko ruszają wyciągi. Do tego ceny są ciągle niższe niż w Alpach czy na Podhalu. Stacja leży wysoko, na nartach jeździ się na wysokości 2000-3200 m n.p.m. i śnieg jest tu w zasadzie gwarantowany.

Z lotniska w Tbilisi do stacji można się dostać prywatnymi busami – tylko trzeba pamiętać, żeby miejsce zarezerwować wcześniej. Wiele hoteli, tych ciut droższych, zapewnia gościom własny transfer.

Nie jeżdżę poza trasami, ale dla tych, dla których to puch jest istotą narciarstwa, Gudauri może być rajem. Przyjaciele zachwalali szerokie stoki bez drzew, do których można się łatwo dostać, tylko trochę zbaczając z przygotowanych tras.

A dla narciarzy-smakoszy, którym już przejadły się alpejskie wursty i apfelstrudle, urlop w Gruzji to okazja to poznania i może pokochania chaczapuri czy lobio.

Gudauri w pigułce

- Strona internetowa: gudauri.ski
- Sezon 2026/2027 zaczyna 19 grudnia, kończy 18 kwietnia
- Wyciągi działają w godz. 10-17
- Tereny narciarskie leżą na wysokości 1990-3276 m n.p.m.
- Trasy: ok. 70 km przygotowanych tras
- Liczba wyciągów: 15

eprasa.pl e47b8e13bb

Wszyscy kochają biegówki

Biegać może każdy. W swoim tempie, na krótkich dystansach, nawet w miejskim lasku. Nieważny jest wynik ani styl, ale frajda z ruchu na świeżym powietrzu

MARZENA FILIPCZAK



Kaiserwinkl

egata.pl e4708a1f0

Pomysł wydawał się karkołomny: w gazecie poświęconej nartom postanowiłam udowodnić, że są one do niczego. To znaczy nie tak w ogóle, chodzi mi tylko o narciarstwo zjazdowe, ale w końcu o czym myślimy mówiąc: „jadę na narty?". Biegówki są traktowane jak uboższy krewny. Tymczasem to piękna aktywność, której nawet nie trzeba nazywać brzmiącym poważnie słowem „sport". Biegać może każdy, wystarczy wyjść z domu. Nie trzeba mieć specjalnego ubrania, drogiego sprzętu – można go wypożyczyć albo kupić z demobilu, ani nawet kondycji czy umiejętności. Na początek wystarczy po prostu iść, biec noga za nogą jakby się szurało, z czasem warto się nauczyć odpychać prawidłowo czy jeździć łyżwą. Nie trzeba nawet tras, choć oczywiście te przygotowane są bardzo wygodne. Biegać można po polnych i leśnych drogach, w parkach, nawet miastach. Ostatni sezon był tak łaskawy śniegowo, że wieczorem przebiegłam z Ochoty na Mokotów. I nie minęłam nikogo, kto by się do mnie nie uśmiechnął.

Nie są to tylko moje spostrzeżenia.
Leszek Kosiorowski, wiceprezes stowarzyszenia Bieg Piastów organizującego kultową, największą polską imprezę biegową w równie kultowym miejscu – Jakuszycach, przewodnik sudecki, miłośnik biegania na nartach (biegał w 11 krajach, także w zabójczych biegach z cyklu Worldloppet – ma tytuł: master) i bez nich (42 ukończone maratony): – Polacy przeżywają swoistą rewolucję. Odkrywają zalety aktywnego życia, a biegówki są zwyczajnie łatwe, naturalne jak bieganie. Poza tym wprowadzają w cudowny świat w zetknięciu z cudowną zaśnieżoną naturą. Takich doznań nie ma w żadnym innym sporcie.

Jacek Tracz, jeden z najbardziej pozytywnie zakręconych biegaczy w Polsce, instruktor, master Worldloppet, rozkręcił bieganie w rejonie Wzgórz Dylewskich: – Można biegać po trasach przygotowanych i spacerować poza nimi po dziewiczych terenach: przysypane śniegiem wyglądają absolutnie inaczej. Szukałem jakiegoś porównania i myślę, że biegówki to jest odpowiednik konia na Dzikim Zachodzie: wolność, przygoda, możliwość pojechania wszędzie. I są dla każdego. Miałem ostatnio grupę jogową emerytek z uniwersytetu III wieku. Wszystkie chciały iść na biegówki, powiedziały tylko, że jakby się przewróciły, to żeby je podnieść, bo same nie dadzą rady. Zabawa była przednia.

Sama zaczęłam podobnie i podobnie się zachwyciłam. Jakieś ćwierć wieku temu po raz pierwszy założyłam stare biegówki znajomej. Wybrałyśmy się razem do podwarszawskich lasów, przebijałyśmy się przez krzaki, wywracałyśmy na miedzach. Wróciłam zmęczona i uchachana od ucha do ucha, jak dziecko po zabawie na śniegu. Było mi zapewne łatwiej, bo jeździłam wcześniej na stokach i nie miałam problemu z utrzymaniem równowagi. Dalszy scenariusz napisał los: musiałam zrobić przerwę w wyjazdach na narty zjazdowe, zaczęłam odstawać od swojej grupy, z czasem coraz mniej czasu spędzałam na stoku, więcej – w lesie. Coś, co początkowo było substytutem, okazało się dużo bardziej dostępne, prostsze, tańsze, przestałam obawiać się kontuzji i tego, że wjedzie we mnie rozpędzony wariat. To, że biegówki są bezpieczniejsze, potwierdzają fakty. Statystyki prowadzone wśród zawodowców pokazują, że na jeden uraz w narciarstwie biegowym przypadają trzy w alpejskim. – Inny jest także charakter kontuzji. W alpejskim, gdzie sprzęt jest cięższy, a prędkości większe, są to głównie poważniejsze kontuzje dużych stawów. W biegowym – zwykle urazy przeciążeniowe, np. naderwanie mięśni – potwierdza dr Maciej Luterek, ortopeda, prywatnie zapalony narciarz alpejski. W przypadku amatorów sprawy mają się dodatkowo tak: – Dla narciarzy zjazdowych zwykle jest to aktywność sezonowa, zapominają, że dobrze byłoby być do niej przygotowanym. Narciarze biegowi to często ludzie aktywni, którzy letni ruch na świeżym powietrzu zimą zastępują biegówkami. Są więc lepiej zaadaptowani. Co nie znaczy, że nic im się nie stanie, mam kilku pacjentów z poskręcanymi kolanami, bo się zagapili i jedna noga poleciała gdzie indziej niż druga – dodaje dr Luterek.

Najwięcej biegaczy spotkałam w Skandynawii, zimą biegówki są tam normalne jak spacery. Z kempingu w położonym na dalekiej północy Szwecji mieście Kiruna zapamiętałam obrazek: rozsuwam rano wejście do namiotu i widzę mężczyznę sunącego między blokami do sklepu. Na północy Finlandii po raz pierwszy widziałam uprawy śniegu, przykryte matami kopce ciągnęły się jak długie gąsienice. Śnieg, a właściwie jego postępujący brak, jest jedynym problemem związanym z biegówkami. Ale jest to przecież problem wszystkich sportów zimowych i jeśli się w niego wgłębić, znowu dojdziemy do wyższości biegówek. Do biegania potrzeba go mniej niż do zjazdów. Śnieg można oczywiście wyprodukować, ale to kosztuje, zwłaszcza, gdy instalację trzeba zbudować i utrzymać wysoko w górach. Według włoskiej agencji informacyjnej AGI produkcja śniegu w Alpach na zboczu o długości jednego kilometra, szerokości ok. 50 metrów i grubości 40 cm kosztuje – uwaga – ok 30-40 tys. euro. W sezonie zwykle trzeba ją powtórzyć. Do tego dochodzą koszty środowiskowe związane z użyciem wody i energii. I tu wracamy do snowfarmingu, czyli uprawy śniegu. Zimą ratraki spychają go i formują w stosy, które przykrywa się matami izolacyjnymi. Do kolejnego sezonu udaje się zachować ok. 80 proc. zbioru, ratraki rozprowadzają go po trasach i gotowe. Według firmy Snowsecure, która opatentowała system przechowywania, taki śnieg jest lepszy, gęstszy →

FOT. TVB KAISERWINKL

epresa.pl e4708e13bb



Jakuszyce. Bieg Piastów

FOT. KRZYSZTOF ĆWIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

→ i bardziej przyczepny niż sztuczny, przechowanie wymaga 80-85 proc. mniej energii niż wytworzenie sztucznego. Jednak w narciarstwie alpejskim na większa skalę się nie sprawdza: zbyt trudno go rozprowadzić na stokach i potrzeba go więcej. Pionierami upraw są Skandynawowie, na zeszłorocznym śniegu można pojeździć np. w Finlandii (Levi i Ruka), Norwegii (Tromso, Lillehamer), ostatnio staje się popularny także w Alpach (np. Seefeld w austriackim Tyrolu). Dzięki temu sezon biegowy wydłużył się do sześciu-siedmiu miesięcy.

Oto 10 pomysłów na bieganie w Polsce i niedaleko niej. Uwaga do kilometrażu tras: faktycznie jest mniejszy, bo część tras, np. różnych pętli albo szlaków na bieganie klasyczne i łyżwą, się pokrywa.

1

POLSKA, SUDETY
KRÓLOWA I DAMY DWORU

Trasy biegowe znajdziecie we wszystkich polskich górach. Ale królowa, a właściwie polsko-czeski sojusz królewski, jest jedna: Izery i ich chłodniejszy mikroklimat z szansą na długo leżący śnieg. Jakuszyce – tę nazwę prawdopodobnie każdy słyszy jako pierwszą na hasło: „biegówki w Polsce". Jest to najwyżej położona dzielnica Szklarskiej Poręby, do której można dojechać z jej centrum szynobusem kursującym widokową linią Kolei Izerskiej. Punkt centralny to Polana Jakuszycka z wypożyczalniami, instruktorami, startem i metą Biegu Piastów – najstarszej, największej i najbardziej znanej imprezy biegowej w Polsce (13-21 lutego 2027 r). Oprócz biegu głównego jest cykl biegów na krótszych i dłuższych dystansach, najwięcej fotografów przyciąga bieg retro z zawodnikami na oldskulowych drewnianych nartach i w pumpach.

Sieć tras po polskiej stronie liczy ok. 100 km, łącznikiem można przejechać na trasy czeskie. Bodaj najpopularniejsza, odpowiednia nawet na „szuranie", prowadzi z polany do stacji turystycznej Orle i opcjonalnie dalej do legendarnej Chatki Górzystów. To schronisko na odludziu w budynku dawnej szkoły pozostałej po przedwojennej osadzie. Warunki są spartańskie, ale warto zatrzymać się dla atmosfery i gwiazd, bo noce na tym odludziu są ciemne jak kiedyś; istnieje tu Izerski Park Ciemnego Nieba.

Sudety, ok. 100 km na wschód od Jakuszyc: nadal zimno, dziko, dużo tras. Ciekawe są te w Górach Stołowych, poprowadzone na otwartych terenach, co pozwala cieszyć się widokami na ostańce i poszarpane bloki skalne. Dobrą bazą wypadową jest Karłów, najwyżej położona wieś w paśmie, za którą zaczyna się

eprasa.pl e47b8e13bb

słynny szlak po kamiennych schodkach na Szczeliniec Wielki. Na nartach można przedostać się też na trasy po stronie czeskiej.

Kolejna miejscówka: masyw Śnieżnika i sąsiednie góry Bialskie, które częściowo znajdują się w Czechach, gdzie są znane jako Rychlebské Hory (czyli: Góry Złote). To najmniej zagospodarowane pasmo w polskich Sudetach: dzikie, niemal bezludne wyżyny z rozległymi kopułami. Szlaki utrzymuje gmina Stronie Śląskie, za ich jakość i jasność informacji powinna dostać medal. Ich oś biegnie przez kilka miejscowości na wysokości 600-800 m n.p.m., odchodzą od niej odnogi w górę, tworząc sieć ok. 60 km. Jest połączenie z trasami czeskimi (schronisko Paprsek), co daje razem już ok. 150 km. Można się stąd przedostać również na drugą stronę masywu Śnieżnika w Góry Bystrzyckie (stacja Spalona) i kolejne 40 km przygotowanych tras.

Przebieg ratrakowanych odcinków po polskiej i czeskiej stronie: **bilestopy.cz**.

2

POLSKA, MAZURY
TĘDY NA GRUNWALD

Pagórki porośnięte lasem bukowym, wąwozy, głazy. Cisza, dzikość, mało ludzi. Według legendy Bóg zaczął tworzyć Wzgórza Dylewskie ostatniego dnia pracy jako coś ekstra, ale kiedy poszedł spać wkroczył na nie diabeł i zdemolował. Na szczęście nie zniszczył wszystkiego, a jedynie dodał pięknu surowego pazura.

W rzeczywistości wyniesienia i wąwozy stworzył cofający się lodowiec. W tej okolicy dosyć solidne: widoczna z daleka, wyniesiona 100 metrów ponad otoczenie Góra Dylewska jest najwyższym wzniesieniem (312 m n.p.m.) całej Polski północno-wschodniej. Warto na nią wejść dla lapidarium geologicznego z głazami narzutowymi, a przede wszystkim – panoramy z wieży. Widać z niej pola Grunwaldu i kilka jezior z Jeziorem Drwęckim i Jeziorakiem na czele.

Wzgórza Dylewskie są jedną z najlepszych „nie-górskich" miejscówek w Polsce: są tu trasy wytyczone (np. popularna Wysoka Wieś-Dylewo) i wiele zwykłych ścieżek, wypożyczalnie, instruktorzy, na przełomie stycznia i lutego odbywa się Bieg Sasinów (5 i 10 km). Przede wszystkim jednak to ładne widokowo i spokojne miejsce, gdzie aktywność można połączyć z poznaniem czegoś. Część wzgórz objęta jest parkiem krajobrazowym, drugie tyle leży w jego otulinie.

Przeciwny, północno-wschodni kraniec Mazur to Mazury Garbate, rozległe pagórki w rejonie Gołdapi i Olecka. Puszcze Romincka i Borecka, słynne wiadukty w Stańczykach, piramida w Rapie, kurhany, trójstyk granic – to tutaj. W lesie Kumiecie na obrzeżach Gołdapi odbywa się Bieg Jadźwingów, czyli najstarszy bieg w regionie, jest tu kilka przygotowanych tras pętli. Jednak biegać można wszędzie, po leśnych duktach, polnych drogach, zamarzniętych jeziorach. Eldorado to Wzgórza Szeskie: wyraźny garb w krajobrazie, pasmo sięgających 300 m n.p.m. moren czołowych ciągnące się 30 km między Oleckiem i Gołdapią. Niby

FOT. JACEK TRACZ



Wzgórza Dylewskie

Mazury, ale w zasadzie bez jezior, lasów, ludzi, z wyraźnie chłodniejszym klimatem.

Bieganie w tej części Polski uzupełnia Puszcza Piska, najstarszy i największy las krainy wielkich jezior. Mniej więcej w połowie drogi między Piszem i Rucianem Nidą leży miejscowość Wiartel. To serce tzw. wioski narciarskiej Wiartel, czyli sieci połączonych tras, miejsc noclegowych i wypożyczalni. Szlaki są głównie łatwe, poprowadzone po płaskim, przy wystarczająco grubej pokrywie lodowej można biegać po jeziorach Wiartel i Brzozolasek.

3

ESTONIA
GDZIE MISTRZYNI CZUJE SIĘ JAK W DOMU

Tereny płaskie, zalesione, do tego – mało ludzi i kontynentalny klimat z mroźnymi zimami. A w góry na narty zjazdowe – daleko. Dla Estończyków biegówki mają status sportu niemal narodowego, biegają wszyscy i wszędzie, tory narciarskie są nawet na przedmieściach Tallina, w zalesionych parkach Pirita i Nõmme. Prawdziwym biegowym edenem jest mroźne południe kraju. To Estonia zupełnie inna od tej, jaką znam nie tylko ja. W kraju płaskim jak deska, porośniętym morzem trzcin na zmianę z gęstym lasem, w którym wysokość najwyższej góry (Suur Munamagi, 317 m n.p.m.) turyści powtarzają jako anegdotkę, trafiamy w inną scenerię: na pojezierze z pagórkowatymi wzniesieniami. Biegowe numer jeden to położone godzinę jazdy od Tartu miasteczko Otepää. Ot, kilka ulic z drewnianymi domami, ratusz, XIX-wieczny kościół, jezioro na obrzeżach; poza Estończykami i miłośnikami biegów mało kto o nim słyszał. Chyba, że słuchał Justyny Kowalczyk, która wiele razy wspominała, że jest to dla niej miejsce →

eprasa.pl e47b8e13bb



Otepää

FOT. SHUTTERSTOCK

→ magiczne, w którym czuje się jak w domu. To właśnie tam w 2006 r. stanęła po raz pierwszy na podium w Pucharze Świata, a rok później – po raz pierwszy w nim zwyciężyła.

Zimowym centrum miejscowości jest położone na obrzeżach centrum sportowe Tehvandi ze skocznią, strzelnicą i startem na trasy dla zawodowców i amatorów. Można stąd pobiec kilkunastokilometrową oświetloną trasą do osady Kääriku, w której jest kolejny stadion do uprawiania narciarstwa. We wsi liczącej około 100 mieszkańców! Na rozgrywany w Otepää maraton Tartu (w tym sezonie: 27-28 lutego) zjeżdżają tysiące widzów, transmisje na żywo w telewizji Estończycy oglądają tak jak Polacy piłkarzy na mistrzostwach. Jedynym, co może o tej porze roku stanąć z biegami w konkury, jest tradycyjna estońska sauna wpisana niedawno na listę UNESCO. Rytuał, który przeżył okupację sowiecką, po brawurowym filmie „Siostrzeństwo świętej sauny" znany na całym świecie. Po dniu spędzonym na bieganiu – doskonały.

4

LITWA
JAK W NAJLEPSZYCH WYOBRAŻENIACH

Do Ignalina, małego miasta położonego na najbardziej wysuniętym na wschód kawałku Litwy, ciągną na treningi zawodowcy i amatorzy. Kilometraż przygotowanych tras nie wygląda może imponująco, ale od czego leśne drogi Auksztockiego Parku Narodowego. Ten najstarszy park w kraju to pofałdowana, zalesiona kraina usiana jeziorami. Wielu z nas, zamykając oczy, zapewne tak wyobraża sobie Litwę. Na żywo najlepiej na nią spojrzeć ze wzgórza Ladakalnis: panoramiczny widok na pagórki i sześć jezior jest jednym z najlepszych w kraju. Do Ignalina zimą warto przyjechać nawet, jeśli nie jest się miłośnikiem nart. Na niedalekim jeziorze Lusiai odbywa się impreza Trauk stintelę, co dosłownie znaczy: ciągnij stynkę (terminu na 2027 jeszcze nie podano). Te małe rybki łowi się w przeręblach, używając tradycyjnych drewnianych narzędzi i sieci, a potem wspólnie grilluje i zjada, czemu towarzyszą tradycyjna muzyka, kąpiele i sauna. Podobną imprezę, choć bez tradycyjnej otoczki widziałam na Mierzei Kurońskiej, jest to ciekawe przeżycie.

5

SZWECJA
ZRÓBMY SOBIE ŚNIEG NA CAŁY ROK

Dziwnie się czuję, zaczynając pisanie o Półwyspie Skandynawskim nie od mojej ulubionej Norwegii, ale co robić: jedne z najstarszych znanych światu nart znajdują się w muzeum w szwedzkim mieście Umeå. Jakiś Saam przemierzał na nich śniegi 5200 lat temu. W Szwecji odbywa się najbardziej znany, najstarszy, największy i najdłuższy narciarski bieg świata. Bieg Wazów to 90 km historyczną trasą z Sälen do Mory, którą przyszły król Gustaw Waza uciekł w XVI w. przed duńskimi wojskami. Jego posąg wita zawodników tuż za

eprasa.pl e47b8e13bb

metą. To również Szwedzi jako jedni z pierwszych wytoczyli ciężkie działa do walki z topniejącym śniegiem. Żeby ratować ukochaną dyscyplinę dwie dekady temu wybudowali pierwszy na świecie tunel narciarski. Podziemna, poprowadzona pod zboczem, trasa w Torsby ma 1287 m i dwa równoległe tory pozwalające zatoczyć pętlę z wjazdami i zjazdami. Przede wszystkim: bezpieczne minus 3 st. C, co pozwala śmigać przez cały rok. Miejscowość i jej okolica z siecią tras jest oficjalnym centrum przygotowań do Wyścigu Wazów. On sam odbywa się nieco dalej na północ w prowincji Dalarna, gdzie na łagodnych wzniesieniach wytyczono 250 km tras. Jeszcze kawałek na północ i jesteśmy w rejonie Funäsfjällen z systemem połączonych tras o imponującej długości ponad 300 km. Opisywać kolejne trasy mogłabym długo i ciężko by mi było taką wyliczankę skończyć. Kto nie wierzy, niech zajrzy na listę ośrodków i regionów na **visitsweden.com**. Obejmuje właściwie cały kraj.

6

NORWEGIA
W MROŹNĄ JASNĄ NOC

Wędrując po zamarzniętym jeziorze w okolicy Narviku spotkałam młodą Norweżkę, która przemierzała je na nartach, z pulkami i dwoma psami. Jak wielu innych młodych postanowiła sobie zrobić przerwę między szkołą i dorosłym życiem. Nie pojechała jednak do Azji, tylko szła pieszo przez cały kraj: 2,5 tys. km w sześć miesięcy. O nocach w namiocie w temperaturach poniżej minus 30 st. C opowiadała jak o wyjściu do lasu. Dla nas, z perspektywy Norwegów ludzi południa, ich kraina jest pełna takich ekstremalnych atrakcji. Narty w ciemnościach w czasie nocy polarnych – przy okazji: te ciemności są dużo przyjemniejsze od naszej szarzyzny, bo gwiazdy, lampy odbijają się od śniegu. Biegówki po bułki na śniadanie. Przyczepa kempingowa na środku zamarzniętego jeziora i łowienie w przeręblі.

Za kołem podbiegunowym właściwie każda miejscowość ma zadbane szlaki do biegania, ale to jednak wyprawa, bo z Oslo leci się tam często dłużej niż do Oslo np. z Warszawy. Proponuję coś bliżej: Lillehammer i całą dolinę Gudbrandsdalen z jedenastoma terenami na biegówki i łącznie 2300 km tras. Niektóre wiodą na jej obrzeża, np. na przedpola Jotunheimen, czyli najwyższego masywu górskiego na półwyspie. Panoramiczne widoki na niego roztaczają się z kultowej trasy w dolinie: szlak Peera Gynta, tytułowego bohatera dramatu Henryka Ibsena, w wersji zimowej na biegówki ma ok. 80 km. Jest świetnie utrzymany, ma dobre zaplecze noclegowe, a na pokonanie go trzeba 7-8 dni, bo jest sporo podjazdów i zjazdów. Inny, łatwiejszy →

PROMOCJA

Damska kurtka narciarska **Gliding**
została stworzona z myślą
o ekstremalnych warunkach górskich.

Zaawansowana membrana ARED 35/35K zapewnia wysoką wodoodporność i oddychalność, a technologia AEP Kinematics gwarantuje pełną swobodę ruchów dzięki elastycznej tkaninie i ergonomicznemu krojowi. Ciepłe wypełnienie, wiatroszczelna konstrukcja oraz uszczelnione szwy zapewniają komfort i ochronę nawet podczas intensywnych dni na stoku. To niezawodne połączenie zaawansowanej ochrony, wygody i trwałości.







eprasa.pl e47b8e13bb



Bieg Wazów

FOT. ULF PALM

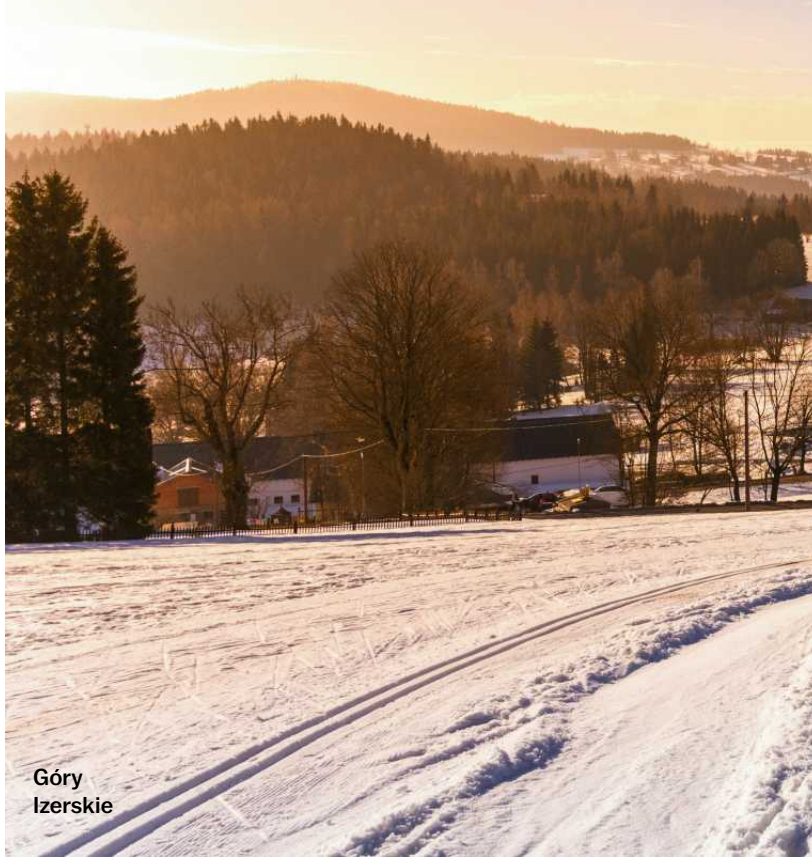
→ pomysł na zimową przygodę w rejonie: 170 km z Høvringen przez skalisty bezdrzewny płaskowyż Rondane do Lillehammer. Odcinki dzienne Szlaku Trolla mają 22-38 km, można zlecić transfer bagaży, sprzęt wypożyczyć na starcie, oddać na mecie.

7

FINLANDIA
TUNTURI – PIĘKNE SŁOWO I PIĘKNE MIEJSCE

Finowie jak wszyscy mieszkańcy półwyspu bieganie na nartach wyssali z mlekiem matki. Na południu sezon trwa od grudnia do lutego, na północy – najpóźniej od listopada do kwietnia/maja. Tyle teorii, bo położone na wybrzeżu Helsinki od lat cierpią na brak śniegu, ratunkiem dla ich mieszkańców jest hala kryta albo wyjazd 100 km na północ do Lahti. Na 170-kilometrową sieć tras można tam ruszyć z centrum miasta.

Po świetne trasy i zimę jak z obrazka lepiej jednak pojechać dalej na północ – do Kuusamo/Ruki albo jeszcze bardziej tzw. autostradą arktyczną łączącą Rovaniemi z Oceanem Arktycznym. To odludna kraina rozległych przestrzeni, pięknych widoków, reniferów i tunturi. Pod tą nazwą kryją się jedne z najstarszych gór na ziemi: niewysokie rumowiska skalne porośnięte niską roślinnością. Powstało od nich słowo tundra. Piękne, dzikie, a równocześnie stosunkowo łatwo dostępne znajdziecie w parku narodowym Urho Kekkonena. Bazą wypadową jest położona 250 km na pół-



Góry Izerskie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e47b8e13bb

noc od Rovaniemi wieś Saariselkä nazywana najbardziej wysuniętym na północ kurortem Europy. Sieć ratrakowanych szlaków ma 200 km (w tym ponad 30 km oświetlonych), odnóg i dróżek nie zliczysz. W biegówkach w wydaniu fińskim fajne jest to, że przy trasach znajduje się dużo wiat, schronów z kominkami, nawet chatek, w których można odpocząć i się ogrzać. Ponieważ tunturi to otwarte przestrzenie, a zimą słońce stoi nisko nad horyzontem, wschody i zachody trwają długo, okolica wygląda jak namalowana złotem. Nocą zaś na scenę wkraczają zorze polarne. W Levi można je podziwiać w warunkach luksusowych – z przeszklonych piramid. To największy ośrodek narciarski w kraju z 27 wyciągami na zboczach góry o tej samej nazwie (531 m n.p.m.). Dookoła wytyczono 230 km tras na biegówki, osobne szlaki na wędrówki zimowe, 20 km dróg dla fat-bików. Jest tylko jedno ale: jest tu naprawdę mroźno, nocami temperatura spada do minus 30 st. C, lepiej więc przyjechać w marcu.



FOT. SHUTTERSTOCK



eprasa.pl e47b8e13bb

8

CZECHY
CO BY BYŁO, GDYBY MARIA CURIE-SKŁODOWSKA TU NIE DOTARŁA

Naturalnym przedłużeniem tras w polskich górach są te w Czechach. Sami Czesi w miłości do biegania nie ustępują Skandynawom. Są tu szlaki przygotowane, warunki do biegania poza nimi, świetny serwis Bílé Stopy, który pozwala śledzić aktualne ratrakowanie.

Do najlepszych rejonów biegowych zalicza się: Góry Izerskie i Karkonosze. Magistrala Izerska to 170-kilometrowa sieć, na którą można wejść np. z Bedrzychowa. Kręgosłup 100-km Magistrali Karkonoskiej wytyczono grzbietem tych gór, jest to dość wymagająca przygoda na kilka dni z noclegami w schroniskach, ale w sieci są też łatwiejsze odnogi w niższych partiach. Kolejny świetny region blisko polskiej granicy to Jesioniki z 60 km tras, częściowo w okolicy najwyższego szczytu pasma (Pradziad, 1491 m n.p.m.). Warto jednak ruszyć też dalej, tym bardziej, że w tym przypadku to wcale nie tak daleko.

Biegowy raj w wersji czeskiej nazywa się Rudawy. 150-kilometrowe pasmo na granicy czesko-niemieckiej to góry dzikie, rozległe, spłaszczone, ich wschodnia część była scenografią „Opowieści z Narnii". Osią 300 km tras jest Magistrala Rudawska (Magistrala Krušnohorská) położona na trzech osobnych terenach, odbijające od niej krótsze trasy. Mekka biegaczy to Boží Dar, zamieszkałe przez kilkaset osób, najwyżej położone w kraju (1028 m n.p.m.) miasteczko. Dookoła jest 120 km tras biegowych dodatkowo połączonych z niemieckimi, nieco niżej leży Jachymów (Jachymov). To dawne miasteczko górnicze, w którym Maria Curie-Skłodowska pozyskała rudę uranu do badań, które zaprowadziły ją do Nagrody Nobla. Gdy tu była, Jachymów był już pierwszym na świecie uzdrowiskiem radonowym. Kuracjuszy leczono i leczy się nadal, radioaktywną wodą z zalanych szybów, co m.in. przynosi ulgę stawom.



Seefeld

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e47b8e13bb



Kaiserwinkl

FOT. TVB KAISERWINKL

9

AUSTRIA
LUKSUSOWO I JAKBY ZA DARMO

Kraj nazywany „największą biegówkową miejscówką w Europie" z 300 regionami i tysiącami kilometrami tras, z których większość jest otwarta od grudnia do marca, dłużej – na lodowcach. W mniejszych ośrodkach są darmowe, w większych bywają opłaty, ale: goście hoteli/pensjonatów zwykle dostają lokalne karty, które zapewniają darmowy transport i wstęp na ratrakowane trasy. Jest dużo szkółek, instruktorów, wypożyczalni.

Tylko jeden region – Tyrol – oferuje 4 tys. km tras, zdecydowanie spokojniejszych i mniej obleganych niż stoki zjazdowe. Największy i najbardziej znany ośrodek to Seefeld in Tirol, 40 minut od Innsbrucka (także regularne pociągi). Położoną na płaskowyżu na wysokości ok. 1200 m n.p.m. miejscowość za sprawą smukłej wieży przy kościele św. Oswalda widać z daleka. Wraz z czterema mniejszymi (Leutasch, Moesern-Buchen, Reith, Scharnitz) tworzy region Olympiaregin Seefeld, który gościł mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym, biathlonie, zimową olimpiadę. Oferuje on prawie 250 km ratrakowanych tras, od najłatwiejszych w dolinach przez łagodne zbocza po góry.

Średnie i łatwe szlaki znajdziecie w tyrolskim ośrodku Kaiserwinkl (kilka miejscowości połączonych siecią 120 km); głównie łatwe, panoramiczne – w rejonie Achensee. Wytyczono je wokół największego tyrolskiego jeziora ciągnącego się 8-kilometrową rynną.

10

NIEMCY
PRZEZ WSPANIAŁY PRZYPADEK

Na koniec coś na pierwszy rzut oka nieoczywistego. Bo i kto myśląc: „narty" dodałby jako cel: „Niemcy"? Tymczasem przygotowano w nich ok. 2 tys. km tras biegowych. Jeden z najlepszych kierunków to Bawaria, a w niej: słynny Oberstdorf (70 km tras w dolinie plus łącznik z Austrią na kolejne 50 km); Alpy Ammergawskie (180 km, głównie łatwych); Las Bawarski (100 km).

Stosunkowo blisko mamy w góry Harz w środkowej części kraju. Szerokie, wypiętrzone na 1000 m n.p.m. pasmo ciągnie się na długości 110 km. To góry stare – najstarsze skały mają 500 mln lat, surowe, kopulaste, zerodowane, nigdzie indziej w Niemczech na tak niewielkim terenie nie ma tylu różnych formacji geologicznych. Bardziej surowy jest też klimat, na najwyższym szczycie Brocken (1142 m n.p.m.) wieje jak nigdzie indziej w Niemczech. Ta nietypowość ciągnęła ludzi jak magnes, wielki Goethe wszedł na Brocken trzykrotnie, a kilka dekad potem wydarzył się przypadek, który zmienił oblicze regionu. Do jednego z tutejszych miast w 1870 r. przyjechali na studia młodzi Norwegowie. Przywieźli ze sobą deski, na których poruszali się po śniegu. Region rozwinął się w raj dla biegaczy: dziś jest tu 500 km tras. ◆

eprasa.pl e47b8e13bb



Laax

Jak wybrać snowpark dla siebie

Nie czytać opinii, gdzie są najlepsze linie pro

Austria, Francja, a może Pireneje? Opisujemy wybrane, najlepsze snowparki w Europie. Riderzy z dużym doświadczeniem radzą, na co zwracać uwagę przy wyborze miejscówki.

SŁAWOMIR SZYMAŃSKI

eprasa.pl e47b8e13bb

Zacznijmy od pewnego problemu powtarzającego się w różnych snowparkach.

– Rzadko się zdarza, żeby linie S i M, czyli coś dla 90 proc. tych, którzy chcą skakać, były fajnie zaprojektowane pod względem prędkości, lądowań itd. Małe skocznie są często za krótkie, za płaskie. Szejperzy [osoby budujące elementy w snowparku – przyp. red] zajmują się głównie liniami L i XL, to zazwyczaj jest dopieszczone, ma fajne kąty wybicia i lądowania. A pozostałe są robione jakby przy okazji, bo muszą być – mówi Andrzej Lesiewski, narciarz, który zaczął swoją przygodę z freeskiingiem pod koniec lat 90.

Jego rada?

– Nie czytać opinii, gdzie są najlepsze linie pro, bo 12-17 metrów mało kto skacze, jeśli nie mówimy o zawodach. Szukać takich snowparków, gdzie są dobrze zrobione linie M i S – podpowiada.

Na jakie snowparki warto zwracać uwagę? Pytam o to jeszcze Macieja Milo, trenera SITS Freestyle AZS AWF Wrocław.

– Najważniejsze jest przygotowanie: czy ktoś dba o najazdy i zeskoki, czy są bezpieczne. Dobrze też, żeby przeszkody były zróżnicowane zarówno pod względem rodzaju, jak i technicznie. Tak, żeby podczas jednego zjazdu można było wykonać kilka tricków. I jeszcze jedno: osobiście lubię takie miejsca, gdzie można spokojnie usiąść i odpocząć. Snowboard to też turystyka. Zawsze namawiam moich kursantów, żeby rozejrzeli się po górach i podziwiali widoki – opowiada.

DOKĄD WARTO SIĘ WYBRAĆ

Andrzej Lesiewski na pierwszym miejscu wymienia Laax. Przy czym kolejność – jak mówi – jest tu przypadkowa, bo „wszystko zależy z kim i po co" miałby się wybrać w konkretne miejsce.

Dlaczego Laax?

– Ikona. Ten snowpark jest zawsze dobrze przygotowany. Ma też pełnowymiarowy pipe, co jest rzadkością w Europie, a w którym lubię jeździć i moje dzieci też już są na tyle duże, żeby tam pojeździć – zaznacza.

Jeśli pozostajemy w Szwajcarii, to jego zdaniem bardzo ciekawym miejscem jest też Corvatsch w St. Moritz.

– Poza linią XL, na której odbywają się Puchary Świata i Europy, są też fajnie zrobione linie L, M oraz S. To snowpark nie tak popularny jak Laax, bo resort jest premium, przez co młodzieży jest mniej. Ale mają tam pipe z 2025 roku, świeżo wybudowany, wykuty w skale, idealnie ułożony pod względem nasłonecznienia. To ważne, bo często w pipe'ach jest tak, że jedna strona jest zmrożona, a druga roztopiona. Tam tego problemu nie ma – podkreśla.

Co dalej? Snowpark w miejscowości Avoriaz, niedaleko Genewy, ale po francuskiej stronie granicy.

– Mały, ale dobrze zaprojektowany – dodaje Lesiewski.

Zaznacza, że są tam właściwie dwa snowparki, w tym jeden naturalny w lesie (The Stash): – Ale ten jest dość wymagający. Natomiast w tym głównym snowparku w Avoriaz są przede wszystkim linie małe i średnie, które na dodatek mają fajne kąty i proporcje. To wyróżnia ten obiekt, bo większość dużych parków ma dobrą linię pro, a cała reszta jest dobudowana przy okazji. Natomiast w Avoriaz w ogóle nie ma linii pro, są za to takie, na których pojeżdżą wszyscy – od dzieciaków do zaawansowanych amatorów. Poza tym jest tam orczyk, więc można sobie zrobić dużo kółek, zjechać kilkanaście razy lub nawet więcej. Inaczej niż np. Livigno, które było popularne w Polsce. Tam, przez długi wyciąg, dało się zrobić 8-9 przejazdów w ciągu dnia i to wszystko. Zresztą po igrzyskach ten snowpark w ogóle wygląda już inaczej – opowiada.

Podpowiada, żeby zajrzeć też w Pireneje. Dokąd konkretnie? Dla niego najciekawszy jest tam snowpark El Tarter w Andorze, w ośrodku narciarskim Grandvalira.

– Jest znany w świecie, bo kilka zawodników robi tam swoje eventy. Byłem tam kilka razy, zawsze był dobrze przygotowany, może nie pod kątem skoczni, ale railowo i jibowo – mówi Andrzej Lesiewski.

Pireneje są co prawda dość daleko, ale jeśli jedzie się samochodem. Szybciej i wygodniej jest polecieć do Girony lub Barcelony.

Kto jest gotowy na dłuższą wycieczkę, może też wsiąść w samolot i wybrać się w miejsca, jakich w Europie nie ma. Jak snowparki np. w Copper Mountain w Colorado czy Mammoth Lakes w Kalifornii.

– To, ile jest tam przeszkód i jak to jest zrobione, od najmniejszych do największych skoczni, robi ogromne wrażenie. Można tam zrobić 20-30 rzeczy w jednym przejeździe. W Europie nigdzie czegoś takiego nie widziałem – stwierdza.

Dodaje, że w Polsce jednym z najfajniejszych miejsce dla młodzieży jest Snowpark w Białce na Kotelnicy: – Nie ma tam dużych skoczni, ale jest idealny pod naukę i progres – od pierwszego skoku na wprost po fajne 720 czy pierwsze flipy. →

FOT. ANDREAS MONSBERGER/@MONEPIC.AT

oprasa.pl e47b8e13bb



Laax

FOT. ©LAAX/WEISSE ARENA GRUPPE



Les Deux Alps

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Hintertux

→

MOŻNA TEŻ POSZUKAĆ BLIŻEJ

A które snowparki w Europie poleca Maciej Milo? Najpierw wymienia Les Deux Alps, o którym mówi „legendarny", dalej Laax: – Można powiedzieć, że tam się śpi na stoku. Ten snowpark jest bardzo mocno rozwinięty. Coś bliżej Polski? Tu wymienia Absolut Park we Flachau, gdzie, jak mówi, jest bardzo dużo różnych sekcji, od małych jibowych, po duże.

– Fajne snowparki to również Hintertux, a zaraz obok Mayrhofen w Zillertal w Tyrolu. Można do tego dodać Stubai, również w Tyrolu, na lodowcu. Oprócz snowparków freestylowcy lubią też skorzystać z freeridu, a w Austrii jest sporo miejsce, gdzie można tak pojeździć – opowiada.

A jeśli ktoś szuka ciekawej „miejscówki" naprawdę blisko, to w Czechach znajduje się snowpark Vitkowice, położony niedaleko Harrachova, czyli np. z Wrocławia wychodzą ok. 3 godz. samochodem.

Maciej Milo: – To krótki snowpark, ale wielu rajderów jeździ tam trenować. Mają tam skocznie i rurki, Czesi starają się to robić na dobrym poziomie – podsumowuje.

WYBRANE SNOWPARKI W EUROPIE

• Ośrodek w Laax powstał na obraz i podobieństwo ośrodków amerykańskich. Bywa nawet nazywany „Kalifornią Alp Szwajcarskich" ze względu na swój rozmach i panującą atmosferę. Właściwie znajduje się tam pięć snowparków o zróżnicowanym poziomie trudno-

eprasa.pl/e47b8e13bb



FOT. © MONEPIC



FOT. MARKUS ROHRBACHER

Flachauwinkl

ści. Częścią jednego z nich, nazwanego NoName, znajduje się „superpipe" uznawany za największy w Europie (220 metrów długości, 22 metry szerokości i prawie 7 metrów wysokości). Laax znajduje się ok. 140 km na wschód od Zurychu, niedaleko granicy austriackiej i niemieckiej. Nie jest to więc ośrodek bardzo oddalony od Polski.

• Betterpark Hintertux w Tyrolu przedstawia się jako „najwyżej położona i najbardziej śnieżna miejscówka freestyle'owa w Austrii". Dobre warunki gwarantuje fakt, że ten park działa na lodowcu Hintertuxer Gletscher. A znacząca wysokość, sięgająca ponad 3000 metrów n.p.m., ma jeszcze jedną zaletę – dodatkową atrakcją są tam przepiękne, panoramiczne alpejskie krajobrazy. Znajdują się tam również tereny freeride'owe, więc można poszaleć w głębokim śniegu.

• W tych okolicach, też w dolinie Zillertal, działa PenkenPark Mayrhofen. Położony jest może niżej niż Betterpark Hintertux, bo na niecałych 2000 metrów n.p.m., ale przecież to nadal wysoko. Ten snowpark oferuje bardzo zróżnicowane atrakcje. Wyżyją się tam zarówno wytrawni riderzy, jak również tacy, którzy nabywają wprawy. Snowparki w Tyrolu – jest ich oczywiście więcej niż te dwa – mają ten atut, że z Polski można do nich dotrzeć względnie szybko i dość wygodnie niemieckimi autostradami.

• Największy w Austrii i, spośród opisanych tu, położony najbliżej Polski jest Absolut Park we Flachau, niedaleko Salzburga. Jest tam zarówno linia pro, jak i taka dla dzieci oraz początkujących, jak również wszystko, co pomiędzy. Na długości ok. 1,5 km znajduje się tam w sumie ponad 100 różnych przeszkód. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że Absolut Park jest też jednym z najbardziej popularnych obiektów tego rodzaju w Europie, więc bywa tam tłoczno.

• Jeśli chodzi o snowparki francuskie, to dość często wskazywany jest Les Deux Alps. Ośrodek jest wyjątkowy pod tym względem, że funkcjonuj zarówno latem (wtedy jeździ się wyżej na lodowcu), jak i zimą (wówczas niżej, na wysokości „tylko" 2600 m n.p.m.). Zimowy snowpark składa się tam z sześciu stref, zróżnicowanych pod względem trudności. Pewną wadą tego miejsca jest natomiast znaczna odległość z Polski. Ośrodek Les Deux Alps znajduje się niedaleko Grenoble, a więc już wcale niedaleko Lazurowego Wybrzeża. ◆



ANDRZEJ LESIEWSKI
• Prezes Polskiego Stowarzyszenia Freeskiingu



MACIEJ MILO
• Trener SITS Freestyle AZS AWF Wrocław

eprasa.pl e47b8e13bb



To, ile spalimy kalorii na nartach i jak bardzo wzmocnimy mięśnie, zależy od własnej motywacji. Zapytałam instruktora narciarstwa, jak zmaksymalizować efektywność dnia spędzonego na stoku.

EWA TOMKOWSKA

4 PROSTE ZMIANY NA STOKU, które sprawią, że spalisz więcej kalorii na wyjeździe zimowym

eprasa.pl e47b8e13bb

Jazda na nartach to dla mnie wielka przyjemność. Wyjazd zimowy często wspominam lepiej niż letni. Cieszą mnie chwile spędzone na śniegu.

Po wyjeździe na narty zawsze miałam też poczucie, że zrobiłam coś dobrego dla swojej kondycji i zdrowia. W końcu jazda na nartach to też sport, czyli dobry trening.

Ale czy zawsze? Niekoniecznie, dużo zależy od nas samych – mówią instruktorzy narciarstwa i naukowcy. Osoba, która jeździ od otwarcia stoku do jego zamknięcia, na pewno spali więcej kalorii niż ta, która wstanie o godzinie 10, a o 15 uda się na apres ski.

Moje koleżanki – narciarki rekreacyjne – wysyłają mi przed wyjazdem zimowym rolki na platformach społecznościowych, które konfrontują wyobrażenie o spalanych kaloriach na nartach z rzeczywistością, czyli krótkimi zjazdami i długimi przerwami na kiełbaskę, szarlotkę, piwo, czekoladę z bitą śmietaną lub kurczaka w panierce. – Zauważyłaś, że narciarstwo zjazdowe uprawiają często ludzie otyli, a na biegówkach nie ma osób z nadwagą – skwitowała jedna z moich przyjaciółek, siedząc na après ski.

Eksperci nie są zgodni co do korzyści płynących z dnia spędzonego na lekkiej, rekreacyjnej jeździe na nartach.

Niektórzy wskazują, że narciarstwo łączy w sobie ćwiczenia siłowe i kardio, więc przypomina rozszerzony trening HIIT (z ang. High-Intensity Interval Training), czyli trening interwałowy o wysokiej intensywności. Podkreślają, że jazda na nartach wzmacnia mięśnie, poprawia koordynację ruchową i uszczęśliwia.

Inni eksperci sceptycznie podchodzą do wliczania rekreacyjnej jazdy na nartach do wysiłku kardio, zwłaszcza gdy stoki są zatłoczone. Spokojny zjazd porównują raczej do zajęć pilatesu.

Jedno z badań udowadnia, że pół dnia rekreacyjnej jazdy na nartach, czyli około dwóch i pół godziny, wliczając w to czas spędzony na wyciągu krzesełkowym, może przynieść podobne korzyści zdrowotne jak godzina jazdy na rowerze.

Intensywność treningu narciarskiego wyznaczamy więc na wyjeździe zimowym sami. To, ile spalimy kalorii i jak bardzo wzmocnimy mięśnie, zależy od własnej motywacji.

Zapytałam instruktora narciarstwa, jak zmaksymalizować efektywność dnia spędzonego na stoku, czyli co zrobić, by jazda na nartach była jak prawdziwy trening.

1
PRZYGOTUJ SIĘ NA KILKUDNIOWY WYSIŁEK

Rozpoczęcie przygody z jakimkolwiek sportem wymaga odpowiedniego przygotowania organizmu do ciągłego wysiłku fizycznego. Podobnie jest z jazdą na nartach. Trening przygotowujący →



Zanim wyjedziemy na narty warto wzmocnić mięśnie nóg. Wystarczą proste ćwiczenia siłowe, np. przysiady i wypady

FOT. ADOBE STOCK (2)

eprasa.pl e47b8e13bb

→ do wyjazdu sprawi, że organizm zacznie adaptować się do nowych bodźców, przez co zdecydowanie łatwiej przyjdzie wykonanie intensywnego treningu.

Mięśnie będą gotowe na ruch, a my będziemy mogli jeździć dłużej i częściej.

– Jeśli ktoś nie jest aktywny fizycznie, to taki idealny czas przygotowań do wyjazdu narciarskiego trwa 6-8 tygodni. Pierwsze dwa tygodnie przygotowań powinniśmy poświęcić na ruch angażujący całe ciało, czyli aktywność globalną, np. bieganie, jazdę na rowerze lub pływanie. Taki ruch pobudzi układ oddechowy do zwiększonego wysiłku i zadziała na cały aparat mięśniowy – tłumaczy Jakub Infulecki z Zakładu Sportów Wodnych i Zimowych AWF w Warszawie.

– Po dwóch tygodniach uprawiania tej aktywności, cztery tygodnie przed wyjazdem, trzeba zacząć wzmacniać mięśnie. Szczególnie te, które najintensywniej pracują podczas uprawiania narciarstwa, czyli mięśnie nóg. Mogą być to proste ćwiczenia siłowe, np. przysiady i wypady. Ważne są też mięśnie pleców i brzucha. Je wzmocnimy, wykonując np. unoszenie i opuszczanie wyprostowanych nóg w leżeniu na plecach i pompki. Można też robić ćwiczenia na obie te partie ciała jednocześnie, np. unoszenie nóg w zwisie lub plunk. A trzy tygodnie przed wyjazdem warto dodać ćwiczenia imitacyjne, czyli takie, które obejmują ruchy wykonywane w narciarstwie alpejskim. Polecam trening na niestabilnym podłożu. Będzie to m.in. stanie na jednej nodze na bereciku (trzy serie po 15 sekund) lub przeskoki z nogi na nogę z jednosekundowym utrzymaniem równowagi – dodaje instruktor narciarstwa.

Osoby, które na co dzień są aktywne fizycznie, mogą poświęcić na przygotowania trochę mniej czasu. Ale dobrze, by były to minimum trzy tygodnie, a w skład treningu powinny wchodzić ćwiczenia siłowe i imitacyjne.

2

POSTAW NA WYZWANIE – WYBIERZ TRUDNY STOK

Rodzaj terenu, na którym uprawiamy sport, ma dla wielu dyscyplin duże znaczenie. Nierówność stanowi często dla ciała wyzwanie. Na przykład bardziej męczące jest wchodzenie pod górę niż chodzenie po płaskim.

W narciarstwie ta zasada też istnieje.

– Ale duże znaczenie ma w tym wypadku poziom naszej jazdy. Dla narciarza początkującego, jeżdżącego łukami płużnymi, sama ilość wykonanych przejazdów może doprowadzić do maksymalizacji treningu. Liczy się głównie ilość powtórzeń. Osoby początkujące z reguły szybciej się męczą, bo ruchy wykonywane w narciarstwie są dla nich czymś nowym, powodują tym samym zmęczenie zarówno fizyczne, jak i psychiczne – podkreśla Jakub Infulecki.

Nachylenie stoku prowadzi do zwiększenia intensywności treningu u narciarzy zaawansowanych i średnio zaawansowanych.

– Wybór czerwonej lub czarnej trasy wiąże się ze zmianą promienia skrętu i techniki jazdy. Na mocno nachylonym stoku, siłą rzeczy, wykonamy też więcej skrętów. To tak, jakbyśmy na siłowni zrobili więcej powtórzeń danego ćwiczenia. Im bardziej stok jest nachylony, tym prędkość zjazdu jest większa. Wytrzymywanie przeciążeń podczas szybkiego zjazdu jest dużym wysiłkiem – tłumaczy instruktor.

FOT. ADOBE STOCK



Warto zacząć dzień na nartach od rozgrzewki

eprasa.pl e47b8e13bb



Więcej kalorii spalimy, jeśli będziemy pokonywać całą trasę bez zatrzymywania się po drodze

FOT. ADOBE STOCK

Wyzwania narciarskie wymagają więcej od mięśni. Nasze ciało, gdy napotyka problemy, pracuje ciężej. – Niektórzy narciarze mogą się też zmęczyć na sztucznie wymuldzonych trasach lub fun slopach, czyli stokach z „wymuszonymi" elementami zabawy. Zmotywują one do innej techniki jazdy – dodaje instruktor z AWF-u.

3

ZRÓB TRASĘ NA RAZ. NIE ZATRZYMUJ SIĘ

Podczas grupowego wypadu na narty często zatrzymujemy się, żeby pogawędzić i odetchnąć. Nie ma w tym nic złego, ale wtedy najczęściej nie zmuszamy naszego ciała do intensywnego treningu.

Narciarze, którzy chcą przyspieszyć tętno podczas zjazdu i wzmocnić dolne partie ciała, powinni spróbować zjechać bez zatrzymywania się, niezależnie od stopnia trudności trasy.

– Jeżeli wybierzemy sobie półtorakilometrową trasę i przejedziemy ją na raz, to na pewno bardziej się zmęczymy, niż jeżeli zrobimy podczas takiego zjazdu trzy przerwy. Zmniejszanie ilości przerw na długich trasach jest dobrym sposobem na podkręcenie treningu – radzi Jakub Infulecki.

W ograniczeniu ilości przerw podczas zjazdów pomóc może sprawdzenie przed wyjazdem mapy ośrodka narciarskiego. – Warto znaleźć miejsca, gdzie można zrobić długi zjazd. Jeśli ośrodek ma tylko krótkie trasy, wtedy dobrze jest wyznaczyć sobie z góry, ile zjazdów z danego stoku wykonamy. Dzięki temu łatwiej będzie określić jakość treningu.

Nie można co prawda kontrolować pracy wyciągów, ale idealnie byłoby, gdyby stosunek aktywności ruchowej do odpoczynku wynosił jeden do czterech – mówił w „The New York Times" Keith Diaz, fizjolog sportowy z Columbia University Irving Medical Center. Na przykład, jeśli zjazd na nartach zajmuje nam około pięciu minut, to 20 minut powinniśmy wjeżdżać na górę.

– Żeby trening był intensywny, warto zacząć dzień o 9 rano. Na początku wykonać rozgrzewkę, a później jeździć do godziny 12. Następnie zrobić godzinną przerwę na lunch, a później ponownie wrócić do jazdy. Blok zjazdowy warto, by zajął około trzy godziny – mówi Jakub Infulecki.

Wpływ na ilość wykonywanych przerw mają też często nasi współtowarzysze podróży. Jeśli na kogoś musimy czekać podczas zjazdu, to prawdopodobnie ilość przerw będzie większa. Żeby tego uniknąć, można wybrać się na wyjazd zorganizowany, gdzie uczestnicy są podzieleni na grupy zgodnie z poziomem jazdy.

4

CZĘSTO SKRĘCAJ

Skręt na nartach angażuje mięśnie korpusu, czworogłowe, pośladków i mięśnie stabilizujące. Dodatkowo zwiększa intensywność pracy układu krążenia.

Krótkie i częste skręty zapewniają więc większy wydatek energetyczny.

Generują też duże przeciążenia. Nasz organizm musi włożyć znacznie więcej energii w to, aby przeciwdziałać sile, która próbuje wyrzucić nas z trasy. ◆



JAKUB INFULECKI

• Ekspert z Zakładu Sportów Wodnych i Zimowych AWF w Warszawie

eprasa.pl e47b8e13bb

Bootfitting

Jak jeździć na nartach bez bólu i z pełną kontrolą



Pierwszy dzień sezonu. Nowe piękne buty, entuzjazm sięgający zenitu i po czterech godzinach jazdy stopy, które błagają o litość. Większość narciarzy zna to uczucie i uznaje je za normalne, bo przecież „but narciarski to nie kapeć" i „musi boleć".

TYTUS OLSZEWSKI

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e47b8e13bb

Aleksander Szot z Bootfitting Center i Michał Magiera, instruktor wykładowca narciarstwa alpejskiego SITN PASS (wcześniej przez sześć lat bootfitter i serwisman w KrakowSport), są co do tego zgodni: boleć nie musi i nie powinno.

Dobrze dopasowany but, jak mówi Szot, to taki, o którym po założeniu po prostu przestajemy myśleć. A jeśli w ciągu dnia na stoku zaczynamy wyczekiwać momentu, kiedy go zdejmiemy, to znaczy, że coś jest nie tak.

NAJCZĘSTSZY BŁĄD NARCIARZY

Zapytani o najczęstszy błąd amatorów obaj bootfitterzy wskazują to samo: rozmiar. To nie tylko kwestia komfortu, ale i bezpieczeństwa – narciarstwo to sport, w którym w mgnieniu oka osiąga się prędkości rzędu kilkudziesięciu km na godz., a gdy stopa w za dużym bucie nie jest właściwie ustabilizowana, odbiera to narciarzowi kontrolę nad nartami.

Wszystko zaczyna się w sklepie ze sprzętem narciarskim. Klient wkłada stopę do buta, nie zapina klamer i czuje palcami koniec skorupy. Uznaje, że but jest za mały i sięga po większy. – Ułożenie stopy jest w bucie narciarskim zupełnie inne niż w codziennym – tłumaczy Aleksander Szot. – Trzeba najpierw zapiąć dwie górne klamry i ugiąć kolano, żeby pięta się cofnęła – dopiero wtedy da się ocenić właściwy rozmiar.

Dlatego, jeżeli kupujesz buty po raz pierwszy, albo poprzednie były za duże lub niewygodne, to koniecznie w sklepie poproś o pomoc sprzedawcę, który zmierzy ci stopę i powie, jakiej długości skorupa będzie dla ciebie najlepsza.

Od 2018 roku wszystkie buty mają skorupy zmieniające się co centymetr. Rozmiary „połówkowe", czyli np. 25,5 czy 27,5 od pełnych – odpowiednio 25 czy 27 – różnią się tylko grubością wkładek.

NIE CENA JEST NAJWAŻNIEJSZA

Obaj eksperci zgadzają się, że samodzielne dobranie buta praktycznie się nie udaje. Jest zbyt wiele parametrów (długość, szerokość, objętość), które różnią się między markami i modelami.

Dobre dobranie buta zaczyna się od rozmowy, nie od przymiarki. Aleksander Szot opowiada, że pyta klientów, jak wygląda ich wymarzony dzień na nartach, bo dla jednej osoby to nocne wyjście na skitury i zjazd o wschodzie słońca, dla innej spokojna jazda krajobrazową trasą z rodziną. Każdej z tych osób trzeba dobrać inny sprzęt.

Michał Magiera przestrzega, żeby nie kierować się marką buta ani jego ceną. Każdy producent projektuje buty pod własny, wyidealizowany model stopy, niekoniecznie pasujący do naszych nóg. – Większość producentów jest na podobnym poziomie zaawansowania technologicznego. Trzeba wybrać ten but, który pasuje do naszych potrzeb – tłumaczy Magiera.

Jak ważne dla narciarza są buty, pokazuje zachowanie zawodowców. Zawodnicy, jeśli muszą lecieć samolotem, buty zabierają ze sobą do kabiny. Bo jeśli linia lotnicza zgubi im narty, to w najgorszym wypadku pożyczą je od innego zawodnika z teamu danej marki. A idealnie dopasowanego buta zastąpić się nie da.

BUT PRAWIE NA WYMIAR

Są narciarze, którym dobrze dobrany „sklepowy" but w zupełności wystarczy. Czasem wymaga drobnych poprawek skorupy, które można zrobić w większości specjalistycznych sklepów.

Ale dla wielu osób taki but ciągle może nie być idealny. Bo mają „trudne stopy": koślawość, wysokie podbicie, różnice w wysklepieniu, płaskostopie poprzeczne, wystające kostki wewnętrzne, haluksy.

I wtedy warto skorzystać z usługi nazywającej się bootfitting – to dopasowanie masowo produkowanego buta to naszych indywidualnych potrzeb.

Warto wiedzieć, że nie wszystkie marki poddają się przekształceniom tak samo łatwo. Są buty, które po jakimś czasie od modyfikacji wracają po pierwotnego kształtu. Wśród marek, które dają im pole do manewru, obaj bootfitterzy wymienią Heada, Nordikę i Atomika.

– Dobry bootfitter powinien sam dobrze jeździć na nartach, żeby wiedzieć o co klientowi chodzi – twierdzi Michał Magiera. Ocenę potrzeb klienta zaczyna często od obejrzenia nagrania z jego jazdy.

CO DZIEJE SIĘ W WARSZTACIE BOOTFITTERA?

W idealnej sytuacji do bootfittera przychodzi świadomy narciarz, który wie, czego chce i razem dobierają najlepszy dla niego model buta. Bootfitter najper mierzy gołą stopę klienta w skorupie bez buta wewnętrznego. Maksymalna przestrzeń między stopą a butem u początkującego narciarza to ok 2,5 cm. Im bardziej zaawansowany narciarz, tym ta odległość powinna być mniejsza. Bo ciaśniejszy but pozwala lepiej kontrolować narty. Kiedy but jest już dobrze dobrany, kolejne kroki to:

- Dopasowanie skorupy. Można ją poszerzyć (przez odbarczanie, czyli zmianę kształtu, lub frezowanie, czyli szlifowanie) w punktach, gdzie uciska.
- Wygrzanie buta wewnętrznego, żeby się idealnie ułożył do kształtu stopy i łydki
- Dobranie wkładki.

→

Bootfitting to dopasowanie masowo produkowanego buta do indywidualnych potrzeb klienta FOT. WIKTOR BARON



eprasa.pl e47b8e13bb



Personalizowanie butów za pomocą pianki poliuretanowej
FOT. WIKTOR BARON

→ Rzeczywistość bywa jednak inna. Najczęściej do bootfittera zgłaszają się ludzie, którzy okazyjnie kupili buty na wyprzedaży, albo „odziedziczyli" je po bracie czy koledze.

Takie „przypadkowe" buty często są więc za duże, nie odpowiadają parametrami potrzebom czy umiejętnościom narciarza. I nawet bootfitter ich nie uratuje. Jedyne co może zaproponować, to kupno nowych butów.

ILE KOSZTUJE DOPASOWANIE BUTÓW?

Przy butach dla narciarzy rekreacyjnych często wystarczy wygrzanie lub odbarczenie w jednym czy dwóch miejscach – da się to zrobić w godzinę za 200-400 zł.

Buty dla zaawansowanych, którzy próbują też jazdy sportowej i potrzebuję więcej uwagi – to już jedna do trzech wizyt i 300-1000 zł, nie licząc ceny za wykonanie wkładki.

Wykonanie spersonalizowanej wkładki to ok. 650-700 zł

Zawodnicy to zupełnie inna skala: ustawienie pionu cholewki, planowanie podeszew, liftery, spojlery, kapcie wtryskowe i trzy-cztery dni testów na stoku. – Koszt kompletnego przygotowania buta dla zawodnika potrafi sięgać nawet 3000 zł – mówi Magiera.

JAK DBAĆ O BUT?

Amatorski zmodyfikowany but może służyć od dwóch do siedmiu sezonów, a o tym, na którym końcu tego przedziału wylądujemy, decyduje głównie pielęgnacja i intensywność użytkowania, nie tylko jakość wykonania poprawek.

Jak dbać o buty narciarskie:
- Suszyć je po każdym dniu na stoku
- Do chodzenia po asfalcie czy żwirze używać gumowych nakładek ochronnych
- Wymieniać zużyte fleki (twarde elementy z przodu i tyłu podeszwy)
- Przechowywać je, szczególnie między sezonami, zapięte, bo inaczej skorupa straci kształt.
- Im wyższe umiejętności narciarza i intensywność używania butów, tym ich żywotność krótsza. But instruktora czy amatora-zawodnika wytrzyma dwa-cztery sezony, zawodnika profesjonalnego – najwyżej jeden.

CZYM I DLA KOGO SĄ „WTRYSKI"?

Wtryski, czyli but wewnętrzny personalizowany za pomocą pianki poliuretanowej, to przede wszystkim rozwiązanie dla zawodników. Według Szota mają sens również dla zaawansowanego, dobrze jeżdżącego amatora – przede wszystkim dla komfortu. To też ratunek dla nóg o parametrach mocno odbiegających od standardu, czyli bardzo wąskiej stopy w połączeniu z grubą łydką, albo odwrotnie. Żaden seryjnie produkowany model, nawet po standardowych modyfikacjach, nie dopasuje się w takich przypadkach w stu procentach, a wtrysk, formujący się indywidualnie wokół całej stopy i podudzia, daje taką możliwość.

Koszt kapci wtryskowych (materiał i wykonanie) to od 1300 do 2000 zł.

Michał Magiera przestrzega jednak, że to nie jest rozwiązanie dla każdego. – To trochę tak, jakby do rodzinnego kombi wstawić fotel z bolidu Formuły 1 – będzie trzymać znakomicie w zakrętach, ale czy tego potrzebujemy na codzienne dojazdy do pracy czy wyjazd nad morze? – żartuje.

Prostszym rozwiązaniem dla osób, którym za pomocą rozwiązań standardowych butów dobrze dopasować się nie udało, są wtryski częściowe. Specjalnym żelem wypełnia się tylko wybrane części buta. ◆



ALEKSANDER SZOT
• Bootfitter, magister fizjoterapii na AWF w Krakowie, narciarz freeride'owy i kolarz DH/MTB. Twórca pierwszego na świecie mobilnego punktu bootfittingowego Bootfitting Center, właściciel studia bootfittingowego w Rybarzowicach koło Szczyrku.



MICHAŁ MAGIERA
• Instruktor Wykładowca Narciarstwa Alpejskiego SITN PASS, ISIA Card, trener narciarstwa alpejskiego PZN, współpracujący z salonem Kraków Sport jako bootfitter i serwisman.

4 sygnały, że warto iść do bootfittera

1
• Ból pojawia się w tym samym miejscu po określonym czasie jazdy (kostka, podbicie, łydka).

2
• Musisz mocno dociskać klamry, żeby stopa nie latała w bucie.

3
• Stopy szybciej marzną niż u innych osób.

4
• Czujesz potrzebę odpinania klamer po każdym zjeździe, mimo że jeździsz rekreacyjnie, a nie zawodniczo.

eprasa.pl e47b8e13bb



Gruzja na narty.
Od freeride'u po rodzinne stoki

Gruzja coraz wyraźniej zaznacza swoją obecność na zimowej mapie Europy. Kaukaz oferuje nie tylko dobre warunki śniegowe i spektakularne widoki, ale też coś, czego wielu narciarzom dziś brakuje: dużą różnorodność.



Największym i najbardziej rozwiniętym ośrodkiem w Gruzji jest Gudauri. Szerokie stoki, wysokogórskie położenie i możliwość jazdy poza trasami przyciągają bardziej doświadczonych narciarzy oraz fanów freeride'u. Zupełnie inny charakter ma Bakuriani – to spokojniejszy, bardziej rodzinny ośrodek, dobry dla osób stawiających pierwsze kroki na stoku i tych, którzy chcą połączyć jazdę z relaksem.

Dla poszukujących surowego, górskiego klimatu ciekawą propozycją jest Mestia w Swanetii. Narciarstwo spotyka się tu z wysokogórskimi miejscowościami, kamiennymi wieżami i bardziej kameralną atmosferą. Jest jeszcze Goderdzi, które przyciąga ciszą, lasami i bliskością natury, z dala od największych kurortów.

A jeśli ktoś chce pójść o krok dalej, jest Bakhmaro – bez klasycznych wyciągów, za to z catskiingiem, freeridem i rozległym terenem do jazdy poza przygotowanymi trasami.

Ale narty są tu tylko częścią oferty. Po kilku dniach w górach można przenieść się do Tbilisi, gdzie, zamiast typowego après-ski, czekają siarkowe łaźnie, lokalne restauracje i wino produkowane metodą, której tradycja liczy tysiące lat. To właśnie ta kombinacja sprawia, że Gruzja może być ciekawym kierunkiem dla narciarzy, chcących przeżyć coś zupełnie nowego.



eprasa.pl e47b8e13bb

Czy system BOA
wyprze klamry z butów narciarskich?

Rewolucja sprzętowa czy chwilowa moda? System BOA wdarł się szturmem do sklepów narciarskich. Czy klasyczne klamry do zapinania butów odejdą do lamusa?

TYTUS OLSZEWSKI

Wystarczy postać chwilę przy wyciągu, żeby usłyszeć charakterystyczny terkot kręconego pokrętła, którym coraz więcej narciarzy zapina dziś swoje buty. System BOA, znany wcześniej ze snowboardu, rowerów czy butów trekkingowych, w ostatnich sezonach wszedł do świata nart zjazdowych na dobre. Nie widać go jednak podczas zawodów Pucharu Świata, który dla wielu konsumentów jest wyznacznikiem. O wady i zalety tego systemu zapytaliśmy ekspertów: Bartosza Gawrońskiego, Category Managera w polskim oddziale HEAD oraz Marcina Packa, właściciela specjalistycznego salonu narciarskiego KrakowSport.

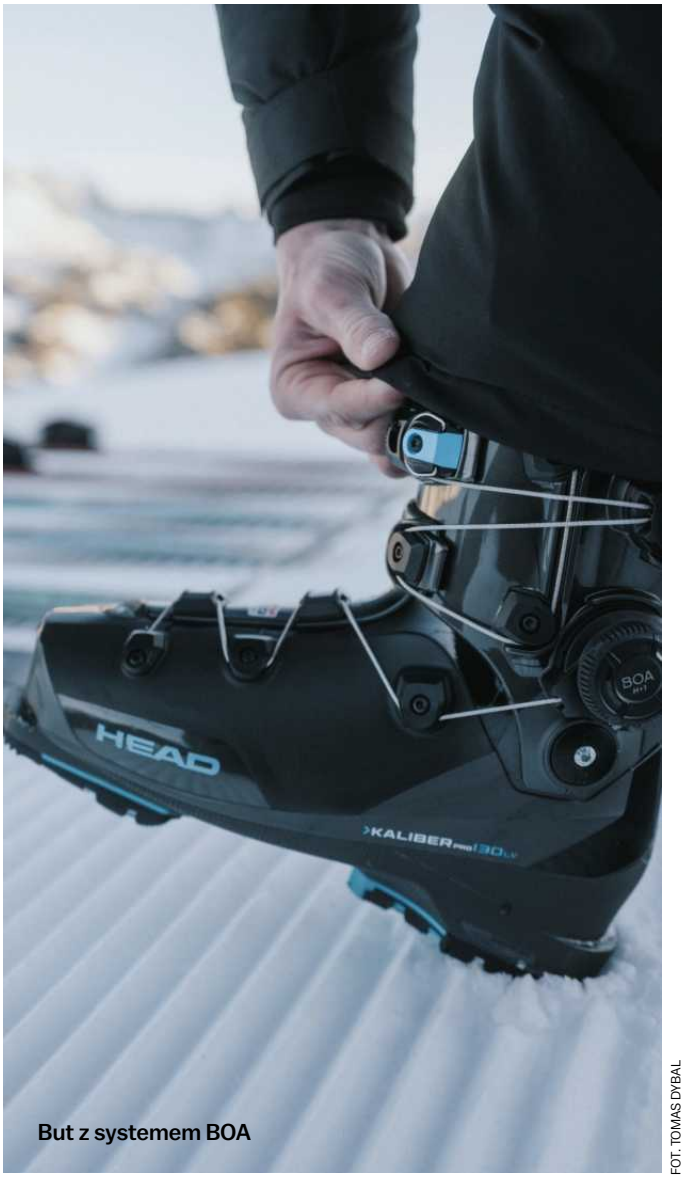
CO TO JEST TO BOA?

System BOA to mechanizm do zapinania butów narciarskich, w którym klamry z zapadką zastąpiła cienka wytrzymała linka, naciągana za pomocą pokrętła. W wersji stworzonej specjalnie do butów zjazdowych, oznaczonej symbolem „H+il", mechanizm oparty jest na przekładni, która pozwala regulować docisk w obu kierunkach ze skokiem o zaledwie 0,25 mm, czyli dużo dokładniej niż w przypadku klamer.

Technologia trafiła do świata sportu na przełomie wieków. Firma Boa Technology powstała w 2001 r. w Kolorado, a jej pierwszym produktem był system precyzyjnego sznurowania butów snowboardowych, stworzony we współpracy z markami K2 i Vans. Tam BOA przyjęło się na tyle dobrze, że, jak zauważa Bartosz Gawroński, nawet w wypożyczalniach sprzętu trudno dziś znaleźć tańsze buty ze sznurówkami, bo klienci chcą mieć pokrętło.

Po snowboardzie BOA podbiło kolarstwo, turystykę górską i skituring. Najpóźniej system trafił do narciarstwa alpejskiego. W sezonie 2023/2024 zadebiutował w modelach Atomic, Fischer, K2 i Salomon, rok później dołączyły Nordica i Tecnica, a w sezonie 2025/2026 – Head i Dalbello.

Według danych producenta system BOA w porównaniu do zapięć z klamrami o 13 proc. redukuje nacisk na grzbiet stopy, o 16 proc. zwiększa przyleganie pięty i dolnej części stopy w skorupie, poprawia efektywność przekazu siły na krawędź narty do 6 proc. oraz poprawa kontrolę i stabilność przy inicjacji skrętu o 10 proc.



But z systemem BOA

FOT. TOMAS DYBAL

eprasa.pl e47b8e13bb

BOA TO WIELE SYSTEMÓW

BOA w bucie narciarskim to różnych rozwiązań, w zależności od tego, gdzie umieszczono pokrętło. – BOA jest stosowane we wszystkich butach dla amatorów. Nie ma go natomiast w butach dla zawodników. Żaden producent się na to nie zdecyduje, dopóki BOA nie będzie używane przez najlepszych zawodników, ścigających się w Pucharze Świata – tłumaczy Bartosz Gawroński.

BOA to nie jest oczywiście rozwiązanie dla każdego. Po pierwsze – cena. Buty z tradycyjnym zapięciem są na razie tańsze. Po drugie – przyzwyczajenie.

– System wyglądem i działaniem budzi u wielu klientów wątpliwości. Ale od początku znalazło się wielu klientów, gotowych zaryzykować. Nie mamy sygnałów, że ktoś żałuje zakupu butów z BOA – mówi Marcin Pacek. – Zainteresowanie butami z systemem BOA rośnie z sezonu na sezon. Co więcej, coraz więcej osób przy kupnie buta od razu zaznacza, że chce buty wyłącznie z pokrętłem. Nie ma już producentów, którzy nie mieliby w ofercie butów z BOA.

Marcin Pacek ocenia, że BOA jest już w około połowie butów w sklepach. I przewiduje, że za kilka sezonów widok narciarza w butach bez pokrętła będzie rzadkością.

Na razie nie wymyślono specjalnego rozwiązania dla dzieci. To, co dziś reklamowane jest jako „junior BOA", to zwykle po prostu zmniejszone skorupy butów dla dorosłych, a nie osobno zaprojektowany produkt dla najmłodszych stóp. Na to trzeba będzie jeszcze poczekać – nowości w segmencie juniorskim zazwyczaj trafiają na rynek jako jedne z ostatnich.

PUCHAR ŚWIATA BEZ BOA

Mimo rosnącej popularności wśród amatorów, na nogach zawodników startujących w Pucharze Świata wciąż nie zobaczymy butów z systemem BOA. Co nie oznacza, że inżynierowie z firmy BOA i czołowych firm produkujących sprzęt próżnują. Ale prace muszą potrwać – jak tłumaczą obaj eksperci to nie kwestia gorszej jakości tej technologii, tylko zupełnie innej skali wymagań.

– U zawodników w czasie jazdy działają zupełnie inne siły i przeciążenia niż u zwykłych narciarzy. Buty narciarskie dla nich, poza wyglądem, niewiele mają wspólnego z butami dla amatorów. Nie twierdzę, że system BOA jest za słaby, ale żeby nowy system dostosować do potrzeb zawodowców potrzeba dużo czasu i testów – twierdzi Marcin Pacek.

Jest też bardziej prozaiczny powód – zawodnicy mają buty spięte tak ciasno, że po każdym przejeździe je rozpinają. Klamry mają precyzyjnie ustawione i mają pewność, że za każdym razem dopną buty tak samo. Całkowite poluzowanie i ponowne dokręcenie BOA do dokładnie tego samego punktu byłoby bardziej czasochłonne i mniej pewne, bo trudno zagwarantować, że dokręci się je dokładnie tak samo, jak przy poprzednim zjeździe.

Pojawiają się informacje, że firma BOA pracuje nad systemem przeznaczonym specjalnie do butów zawodniczych – możliwe, że w formie kilku mniejszych pokrętеł zamiast jednego.

TRWAŁOŚĆ, KTÓRĄ TRUDNO ZAKWESTIONOWAĆ

Obaj eksperci chwalą niezawodność systemu BOA. – Reklamacje, że przestał działać, prawie się nie zdarzają. To dzięki temu, że system był przez lata stosowany w innych sportach i jest już dobrze sprawdzony – mówi Marcin Pacek.

Samo pokrętło jest, jak to ujmuje Bartosz Gawroński, „pancerne" i zaprojektowane tak, by przy uderzeniu wypadło z gniazda, zamiast się urwać, a następnie dało się je z powrotem zatrzasnąć. Zaletą jest też unifikacja: w butach wszystkich marek stosowany jest dokładnie ten sam element, więc w razie awarii, nawet za granicą, wystarczy udać się do dowolnego sklepu z tym systemem, żeby dostać zamiennik. Dla porównania: klamra jest specyficzna dla danej marki i modelu, gdy się popsuje, trzeba ją zastąpić oryginalną. BOA oferuje też klientom dożywotnią gwarancję na sam mechanizm. ◆



BARTOSZ GAWROŃSKI

• Category Manager odpowiedzialny za sporty zimowe w oddziale marki HEAD w Polsce. Instruktor narciarstwa alpejskiego oraz doświadczony tester sprzętu. Aktywny zawodnik kategorii Masters.



MARCIN PACEK

• Założyciel i właściciel specjalistycznego salonu narciarskiego KrakowSport. Instruktor narciarstwa alpejskiego oraz ekspert biorący udział w licznych testach sprzętu.

BOA w pigułce

ZA:

• Błyskawiczne, wygodne zapinanie – bez wysiłku i bez konieczności precyzyjnego trafiania w zapadkę klamry.

• Mikroregulacja co 0,25 mm – możliwość drobnej korekty docisku w ciągu dnia, bez zdejmowania rękawic.

• Wysoka niezawodność i uniwersalność serwisowa – ten sam komponent u wszystkich producentów, dożywotnia gwarancja na sam mechanizm.



FOT. ADOBE STOCK

PRZECIW:

• Mniejsza możliwość niezależnej regulacji siły docisku w różnych strefach buta niż przy klasycznej klamrze.

• Cena – buty z klamrami są tańsze.

eprasa.pl e47b8e13bb

Lubimy śnieg i słońce.

Ale nasze oczy ich nie znoszą

FOT. ADOBE STOCK



FOT. CARRERA (6)

Już starożytni Inuici z Alaski wiedzieli, że odbijające się od śniegu promienie słońca są niebezpieczne dla wzroku. Swoje „gogle" robili z kawałków poroża lub drewna. Wycinali w nich wąskie szczeliny i do twarzy mocowali za pomocą paska ze ścięgna karibu.

XVIII-wieczni pionierzy wspinaczki w Himalajach i Alpach chronili oczy szmacianymi maskami z otworami na oczy.

Gogle, z przyciemnianymi szkłami, które przypominały już te dzisiejsze, weszły do użytku w ostatniej dekadzie XIX w. Soczewki, które początkowo były prostym przyciemnianym szkłem, z czasem stawały się coraz bardziej zaawansowane. W 1893 roku brytyjski lekarz i zapalony narciarz Claude Wilson przestrzegał: „Podczas przebywania na śniegu niezbędne są przyciemniane gogle. Warto zabrać ze sobą co najmniej dwie pary; choć w większości alpejskich wiosek można nabyć tanie zamienniki, pod wieloma względami ustępują one tym produkowanym w Anglii".

Dziś szanujący się narciarz nie wyjeżdża na urlop bez gogli z kilkoma szybkami do wymiany (dwie: na słońce i na pochmurny dzień – to absolutne minimum) i z filtrem UV oraz pary porządnych okularów przeciwsłonecznych, które przydają się w przerwie między zjazdami i po nartach. I nie chodzi tu tylko o modę. Biel śniegu w połączeniu z wysokością stanowi realne zagrożenie dla naszego wzroku. Świeży śnieg odbija aż do 90 proc. promieniowania słonecznego, co podwójnie naświetla oczy (promienie docierają z góry oraz odbijają się od podłoża).

Ślepota śnieżna (ostre zapalenie spojówek i rogówki) to bolesne poparzenie oczu promieniami ultrafioletowymi. Musimy pamiętać, że nawet w pochmurny dzień nasze oczy nie są bezpieczne – chmury nie zatrzymują całkowicie promieniowania UV. ◆

eprasa.pl e47b8e13bb

Od 19 listopada
w kioskach,
salonikach prasowych
i na prenumerata24.pl

MAGAZYN ZIMOWY

SPORT.PL+

wyborcza

ROZMOWY Z
MACIEJEM
MACIUSIAKIEM
I APOLONIUSZEM
TAJNEREM

RAPORT O STANIE
POLSKICH SKOKÓW

W NUMERZE TAKŻE:
- BIEGI NARCIARSKIE
- BIATHLON
- NARCIARSTWO ALPEJSKIE
- SNOWBOARD
- ŁYŻWIARSTWO



Top 10
POLSKICH
TALENTÓW
W SKOKACH

CO TY WIESZ
O TELEMARKACH?
Quiz, krzyżówka
i inne
łamigłówki

WYDANIE SPECJALNE
GAZETY WYBORCZEJ
NR 2/2026
CENA: 29,99 ZŁ VAT: 8%
ISSN: 0860-908X
Indeks: 424765

Numer w sprzedaży
od 19.11.2026

MISJA
KACPRA TOMASIAKA

prenumerata24.pl KulturalnySklep.pl



SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

ERSTE Leasing

ENEOS MOTOR OIL

ERGO HESTIA

YOKOHAMA

eprasa.pl e47b8e13bb

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

16 / Catherine Lacey
Ubezpieczenie zdrowotne to rodzaj miłości

24 / Zdrowie
Łatwiej razem wstać z kanapy

wyborcza



ANNA KIEŁBASIŃSKA

Jest Ania poza *sportem*

– rozmowa Joanny Wiśniowskiej

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 45 (1416) SOBOTA – CZWARTEK, 14-19 LISTOPADA 2026

eprasa.pl e47b8e13bb

WYBRANE MIEJSCA NOCLEGOWE NA TWOJE ZIMOWE WAKACJE



HOTEL LÄRCHENHOF ★★★★
www.laerchenhof-katschberg.at



FALKENSTEINER HOTELS & RESIDENCES
www.falkensteiner.com



DAS KATSCHBERG ★★★★ˢ
www.das-katschberg.at



PIRKER'S NATUR- & BIO FAMILIENHOTEL ★★★
www.pirkers.bio



HOTEL MALTEINERHOF ★★★★
www.malteinerhof.at



SMILEYS KINDERHOTEL ★★★★
www.smileyhotel.at

Inne propozycje zakwaterowania

Południe Austrii

eprasa.pl e47b8e13bb

KARYNTIA

WAKACJE ZIMOWE W REGIONIE KATSCHBERG LIESER-MALTATAL

80 kilometrów tras narciarskich w regionie Katschberg oraz bogata oferta sportów zimowych stwarzają idealne warunki na niezapomniane zimowe wakacje. Narciarstwo zjazdowe, narciarstwo wysokogórskie, narciarstwo biegowe, saneczkarstwo czy zimowe wędrówki – tutaj w pełni rozkoszujesz się zimą.



www.katschberg.at

eprasa.pl e47b8e13bb

Podziękujesz sobie



NATALIA MAZUR

Rozsyp koło łóżka, po tygodniu poczujesz odmianę. Postaw w łazience, nie pożałujesz. Inteligentni ludzie regularnie robią te pięć rzeczy. Pij codziennie przed śniadaniem, po miesiącu sobie podziękujesz. Albo twoja skóra ci podziękuje. Albo jelita. Albo wszyscy razem będziecie sobie dziękować chórem.

Mam słabość do poradników. Każ mi coś zjeść, przestawić lub wsmarować – możesz mieć pewność, że kliknę. Niekoniecznie wykonam polecenie, ukoi mnie samo poczucie, że sprawczość jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy coś robić przez trzy minuty dziennie, a świat stanie się lepszy, a moje szczęśliwe życie będzie się ciągnąć w nieskończoność.

Jeszcze lepiej niż poradniki działają teksty Olgi Woźniak, która zagląda pod powierzchnię popularnych zaleceń. Jak powszechnie wiadomo, małżeństwo przedłuża życie. No dobra, ale czy organizm – choćby wspomniane jelita – potrafi sprawdzić, czy mamy na palcu obrączkę? W badaniach epidemiologicznych małżonkowie wypadają lepiej od samotnych, rozwiedzionych i owdowiałych, ale może przyczyna leży gdzie indziej niż w podpisanych w urzędzie kwitach?

Albo taki seks. Turbozdrowy, „lek na wszystko" – pisze Olga Woźniak. I sprawdza doniesienia naukowców. Okazuje się, że wśród badaczy brak zgody, czym właściwie seks jest: czy niezbędna jest penetracja, czy wystarczy inna forma intymności? I że nie ma żadnych naukowych dowodów na to, że seks uprawiany określoną liczbę razy w tygodniu potrafi przedłużyć życie. Możesz więc odetchnąć, jeśli nie wyrobiłaś tygodniowego limitu – obowiązkowa dawka nie istnieje, a ty jeszcze pożyjesz.

W obu przypadkach morał jest podobny: obietnica sprawczości jest kusząca, ale życie jest bardziej skomplikowane niż poradnikowe nagłówki. Może się okazać, że będziesz mieć dobre życie, spędzając czas na czynnościach nieprzynoszących wymiernych korzyści. Na przykład na czytaniu powieści – niczym Catherine Lacey, autorka „Biografii X" i wydanych właśnie po polsku „Odpowiedzi". W rozmowie z Agatą Pyzik pisarka przyznaje, że potrafi tak spędzać całe dnie. I że najbardziej fascynują ją rzeczy, których zoptymalizować się nie da.

Czytajmy więc, kochajmy się i żyjmy po prostu. Jestem przekonana, że inteligentni ludzie robią to regularnie, zarówno po śniadaniu, jak i przed nim.

PS Tak, pamiętam, kilka tygodników temu publikowałyśmy tekst Olgi Woźniak o tym, że czytanie dla przyjemności rozwija mózg. Czytajmy mimo wszystko! ▲

Natalia Mazur – redaktorka „Wysokich Obcasów"



NOWE „WYSOKIE OBCASY EXTRA" LISTOPAD 2026

- **TEMAT NUMERU:** Jedzenie to nowa religia. Czy dieta może nas ocalić?
- **NA OKŁADCE:** Florence Pugh o akceptacji dla ciała i miłości do jedzenia
- **PSYCHOLOGIA:** Natchnienie to nonsens, a tworzyć nie każdy może
- **URODA:** Czy krem z nazwiskiem lekarza na etykiecie gwarantuje skuteczność?

Numer dostępny z książką lub magazynem „Psychologia. Żyć lepiej".

- **Kup w punkcie sprzedaży prasy lub zamów online z darmową dostawą na:**

https://prenumerata24.pl/pl/c/Wysokie-Obcasy-Extra/32

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Natalia Mazur

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 2-3, 5, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 45 (1416)
NA OKŁADCE:
ANNA KIEŁBASIŃSKA
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl e47b8e13bb

Koniec z puszeniem.

Francuski sposób na niesforne kosmyki



Głęboka odbudowa włosów to dziś kluczowy element świadomej pielęgnacji, bez którego trudno o efekt zdrowych i sypkich pasm. Poznaj linię DESSANGE Paris Keratin Morphose, która dzięki połączeniu fitokeratyny oraz kwasu hialuronowego gwarantuje jedwabistą gładkość aż do 10 dni.

Grafiki pękają w szwach, a dwie godziny na fotelu w salonie fryzjerskim stały się luksusem, na który rzadko możemy sobie pozwolić. Na co dzień żyjemy w pędzie, ale w kwestii wyglądu nie mamy ochoty na kompromisy. Zmieniający się lifestyle sprawił, że do codziennej pielęgnacji podchodzimy dziś pragmatycznie. Wymagamy natychmiastowych efektów bez tracenia czasu. Odpowiedzią na tę potrzebę staje się nowy trend, w którym zaciera się granica między kosmetykami używanymi w salonie fryzjerskim i w domu.

W tę potrzebę idealnie wpisuje się kultowa francuska marka DESSANGE Paris, której historia sięga lat 50. Brand łączy profesjonalne podejście z wygodą codziennego stosowania, a linia Keratin Morphose to ratunek dla zniszczonych i puszących się włosów. Zainspirowana salonowym rytuałem, trzystopniowa pielęgnacja bazuje na inteligentnym połączeniu roślinnej fitokeratyny i kwasu hialuronowego. Pierwszy ze składników precyzyjnie uzupełnia ubytki w strukturze pasm i chroni je przed wilgocią, drugi zaś dba o głębokie nawilżenie i elastyczność.

Rutynę otwiera regenerujący szampon, po którym nałożona na pięć minut kremowa maska natychmiast przywraca pasmom sprężystość, sypkość i zdrowy blask bez efektu obciążenia. Dopełnieniem całości jest aktywowane ciepłem serum domykające i zabezpieczające włókno włosa przed wilgocią aż do 10 dni. Efekt jedwabistej gładkości i pełnej kontroli nad pasmami uzyskiwany jest po użyciu prostownicy, a cała linia dostępna jest wyłącznie w drogeriach Hebe. ✦

eprasa.pl e47b8e13bb



ANNA KIEŁBASIŃSKA

Wyszłam z *bańki*

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego – choć dookoła są ludzie – czasem czuję się samotnie. Ktoś zwrócił mi uwagę, że większość swojego roku dzieliłam z kimś pokój, zawsze ktoś był obok

eprasa.pl e47b8e13bb



eprasa.pl e47b8e13bb

Z **ANNĄ KIEŁBASIŃSKĄ**, WICEMISTRZYNIĄ OLIMPIJSKĄ,
ROZMAWIA **JOANNA WIŚNIOWSKA**
ZDJĘCIA **MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL**

j

Jak tam emeryturka?
– No wspaniale! Zobacz, wtorek, samo południe, a my siedzimy z kawą w parku, słoneczko świeci.

Ale nogi dziś bolą?
– Tak, to spaczenie zawodowe, głowa nie umie odpuścić: przedwczoraj startowałam z partnerem w Hyroxie [wyścigu łączącym bieganie z treningiem siłowo-wytrzymałościowym]. Bolące nogi to pozostałość po wysiłku, który sobie zafundowałam.

A kręgosłup i biodro bolą?
– Jest całkiem okej, trzymam core mięśniowy w napięciu. Zresztą nie mam wyjścia, potrzebuję się ruszać, choć nie w takim wymiarze jak kiedyś. W końcu mogę używać sportu do tego, żeby moja głowa czuła się dobrze.

Jak to?
– Kiedy trenujesz zawodowo, aktywność fizyczna nie jest narzędziem do lepszego samopoczucia psychicznego. Gdy jesteś sportowcem, ruch to twoja codzienność, przed którą czasem chcesz uciekać, organizm się broni, ale nie masz wyjścia, robota musi zostać wykonana.

Jak w zwykłej pracy.
– No tak, tylko że... Doprowadzasz swoje ciało do momentu, w którym kończy się to wymiotami i półgodzinnym leżeniem na tartanie w miejscu, gdzie się akurat padło. To nie jest ruch dla zdrowia psychicznego.

Trudno za tym tęsknić?
– Mnie tego w ogóle nie brakuje, tymczasem słyszę od koleżanek, które przestały trenować, że one to by znowu chciały się zajechać. Ja za to lubię sport w naturze, z innymi ludźmi, aktywności, których nie znam z czasów swojej kariery.

Na przykład?
– Narty, na których spędzasz czas ze znajomymi, bez ciśnienia, bez wyników, bez rywalizacji.

To ta wolność po zakończeniu kariery sportowej, o której opowiadasz w wywiadach?
– Tak, ale wiesz co? Czasami sobie myślę, że powinnam mieć pracę biurową, w określonych warunkach i godzinach. A zaraz potem cieszę się, że jestem sama sobie szefową. Praca na freelance wiąże się z dużą niepewnością, dopiero się jej uczę. Dziś cieszę się, że mogę tu z tobą siedzieć, ale jeszcze niedawno martwiłabym się o bieżące wydatki.

Wyszłaś z bańki?
– Kiedy jeszcze trenowałam i ktoś mi mówił, że my, sportowcy, żyjemy w bańce, to się z tym nie zgadzałam. Przecież byłam otwarta na pozasportowe rzeczy, inni opowiadali mi o swoim życiu, miałam swoje gospodarstwo domowe. Jednak dopiero teraz widzę, że faktycznie tak jest, choć wielu z nas nie zdaje sobie z tego sprawy.

Jakie to życie?
– Masz praktycznie cały rok zaplanowany nie przez siebie, ale przez European lub World Athletics albo twojego trenera i menedżera. Jesteś objęta szkoleniem, większość czasu spędzasz na zgrupowaniach, mieszkasz w pokoju hotelowym. Wiesz, ostatnio skapnęłam się, że to ma znaczenie.

Dlaczego?
– Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego – choć dookoła są ludzie – czasem czuję się samotnie. Ktoś zwrócił mi uwagę, że większość swojego roku dzieliłam z kimś pokój, zawsze ktoś był obok. Teraz uczę się tego, że to ja mogę spontanicznie do kogoś zawitać lub ktoś do mnie. Te społeczne rzeczy to chyba największe wyzwanie po wyjściu ze sportowej bańki. Nagle orientujesz się, że masz trzydzieści kilka lat i nie należysz do żadnej pozasportowej grupy. Z jednej strony wiesz, dlaczego tak jest, w końcu tyle lat spędziłaś, poświęcając się dla sportu. Z drugiej zaś pojawia się najgorsza myśl ever, że widocznie nikt cię nie lubi. Choć wiem, że nie tylko mi to przyszło do głowy.

Bolesne.
– To oczywiście skrajność, ludzie spoza środowiska sportowego mogą tak pomyśleć. Zakładam, że niejedyna mam takie odczucia po zakończeniu kariery.

Czuję, że wyszłam z bańki także wtedy, gdy codziennie muszę myśleć o gotowaniu lub o zamiataniu podłogi. Do regularnego zamiatania zmusza mnie kot Bolek.

Kolejna nowość?
– Tak, w końcu jestem odpowiedzialna za inne istnienie niż ja sama. Sport jest egoistyczny, angażujesz się w 100 proc. w projekt pt. „Rozwój osobisty". Gdy liczą się setne sekundy, nie da się inaczej, przecież na najwyższym poziomie wszyscy mają talent i najlepszych trenerów.

Jaki jest ten pierwszy dzień sportowej emerytury? Budzisz się rano i...
– Gdy powiedziałam po swoich ostatnich zawodach, że kończę karierę, myślałam, że póki trwa sezon, jeszcze gdzieś wystartuję. Ale dosłownie tydzień, może dwa później dostałam informację, że jeden z moich partnerów wycofuje się ze wspierania mnie. To się wydarzyło podczas oficjalnego wydarzenia: ludzie dookoła, mam zaraz wyjść na scenę, a tu informacja, że to koniec. Nie umiałam powstrzymać łez. To był reality check, zejście na ziemię.

eprasa.pl e47b8e13bb



Pokazujemy więcej ciała. Dzięki temu przychodzi więcej sponsorów. *Oczywiście to pułapka*

To opowieść o samotności po karierze? W tym przypadku pierwsi wykruszają się sponsorzy.
– Byli też tacy, którzy mówili, że cenią sobie naszą współpracę, więc ze mną zostali. Nie musiałam się martwić, czy przeżyję na sportowej emeryturze. Wiadomo, mam oszczędności, ale nie chcę tego przejeść.

Kibice też szybko zapominają?
– Raczej nie, bo jak ktoś mnie rozpozna, to odczuwam taką samą energię jak wcześniej. Podobnie w serwisach społecznościowych. Śledzę statystyki swojego instagramowego profilu, widzę, że część ludzi odeszła, bo skończyły się treści związane z karierą zawodniczki. Jednak sporo zostało i mam poczucie, że ich ciekawi Ania, a nie tylko sukces. Poza tym dalej działam w sporcie, promuję aktywność, pokazuję, że jest super, nie musi być nudna czy straszna. Zwłaszcza gdy podchodzi się do niej w sposób zbilansowany.

Są sportowcy, którzy przedłużają karierę z powodu lęku przed tym, co ich czeka?
– Tak, znam niejeden taki przypadek, choć wiele osób nie chce się do tego przyznać. Ja się przygotowywałam do zmiany, miałam różne projekty na boku, a i tak nie zdawałam sobie sprawy, jak brutalna ona będzie. Do tego jestem otwarta i kontaktowa, mieszkam w dużym mieście, dookoła są ludzie. A mimo wszystko był ten lęk. Pojawia się też poczucie braku sensu i pytanie o tożsamość.

Teraz szukam swojej drogi, podobnie jak na początku sportowej kariery.

A są sportowcy, którzy nie mają takich cech charakteru czy możliwości, mieszkają w mniejszej miejscowości. Osoby, które były na pierwszych stronach gazet, nie są już gwiazdami. Mówi się, że w środowiskach biznesowych pożąda się olimpijczyków i byłych sportowców, ale potem – mam wrażenie – osiągnięcia z przeszłości nie mają znaczenia.

Dlaczego?
– Dla biznesu ma znaczenie to, co tu i teraz, co można sprzedać. Uczę się, że nie wszyscy mają takie wartości jak ja. W stowarzyszeniu Good Sports Society, które założyłam wraz z Anią Jagaciak, jeden z projektów to „Strategia jutra", będziemy działać w temacie dwutorowości karier sportowców. Ma to pomóc sportowcom zobaczyć w sobie coś więcej, dostrzec, że posiadają umiejętności, które mogą przełożyć na drugie życie, po karierze. Chcemy to robić poprzez np. warsztaty czy przykłady innych zawodników. To jeden projekt. Drugi związany jest z ogromnym problemem, którym jest aktywizacja młodych ludzi, słuchałam o tym podczas wizyty studyjnej przy Komisji Europejskiej w Brukseli. To misja całej Europy, jak zmotywować młodych, ale i starszych.

Może dzięki pomocy sportowców na emeryturze?
– Przed naszym spotkaniem siedziałam nad wnioskiem do programu ministerstwa „Wielki mistrz", dla byłych sportowców, żeby mogli promować wartości i przekazywać je młodym. Pojawiają się opcje, tylko trzeba się zorganizować, zainwestować pieniądze, bo założenie stowarzyszenia kosztuje. A na końcu i tak nie wiesz, czy dostaniesz dotację.

Ciągle pojawia się wątek twojej emerytury, a ty masz dopiero trzydzieści kilka lat. W tym wieku ludzie mają rodziny, ustabilizowane życie itp.
– Przez 20 lat życia byłam sportsmenką, to był cały mój świat. Jednak dzięki pracy z mental coachem, terapii oraz bliskim ludziom wiedziałam, że istnieje Ania poza sportem. Dodat-

eprasa.pl e47b8e13bb

kowo moja choroba autoimmulogiczna uświadomiła mi, że nie tylko wygląd i sport są ważne.

Sportowcy zmieniają kluby, miejsca, trenerów, ale sedno ich życia się nie zmienia. W pewnym momencie to wszystko się kończy. Czytam mnóstwo badań i wynika z nich, że sportowcy, którzy mają pasję lub w trakcie kariery zaczęli działać dwutorowo, lepiej radzą sobie po zakończeniu kariery. Bardzo pomaga udzielanie się w sporcie, choć już w innej roli: nadal jesteś w tym środowisku, masz misję, poczucie sensu.

Można też wtedy liczyć od czasu do czasu na zainteresowanie mediów.

– Kiedyś częściej udzielałam wywiadów, dlatego gdy do mnie napisałaś, ucieszyłam się. Ale ogólnie jest ich mniej. Przykre jest to, że zainteresowanie tym potencjałem nie jest tak duże. Mamy doświadczenia, przeżycia i wnioski, które pojawiają się po tym, jak emocje opadną. Dzięki temu łatwiej nam widzieć pewne rzeczy, a potem podzielić się naszym doświadczeniem z tego, co jest dziś. Na przykład tym, jak wygląda to przejście lub jak zarządzić karierą. Perspektywa czasu sprawia, że człowiek więcej widzi.

Wystąpiłam jakiś czas temu na TEDxie. Chciałam odpowiedzieć na pytanie: „Czy charakter wystarczy, żeby wygrać?". Przygotowania do wystąpienia pozwoliły mi spojrzeć z innej perspektywy na moją karierę i pogodzić się z pewnymi rzeczami.

Czy problemem nie jest to, że sportowców utożsamia się głównie z ciałem, nie umysłem?

– Myślę, że masz rację, twoja praca opiera się na ciele, którego wygląd często jest komentowany. A na najwyższym poziomie sportowym bardzo ważna jest głowa.



Przygotowywałam się do zmiany, miałam różne projekty na boku, a i tak nie zdawałam sobie sprawy, *jak brutalna ona będzie*

Co, gdy ciało już nie jest tak młode?

– Ostatnie lata mojej kariery były dla mnie sportowo najlepsze. Była forma, były wyniki. A tu nagle pojawiła się o dziesięć lat młodsza Natalia Kaczmarek, która szybciej się regeneruje, ma więcej zasobów.

Myślisz sobie: „No kurde, ja do formy, którą ona już osiąga, dochodziłam latami, szukałam trenera, który wiedziałby, jak wykorzystać moje zasoby i jak już osiągnęłam swój szczyt, to nie mogę być w swoim kraju numerem jeden?".

Mówię to pół żartem, pół serio. Nie byłam na Natalię zła, jestem pełna podziwu dla jej osiągnięć. Każdy sportowiec chce być pierwszy, ale wygrywa lepszy. Podczas Diamentowej Ligi Natalia była druga, ja trzecia, dzieliły nas setne sekundy, ale to o niej się mówiło i pisało. Tak samo po mistrzostwach Europy: gdy znowu stanęła na drugim stopniu podium, ja na trzecim. Sponsorzy z prywatnego sektora chcą współpracować z jedną przedstawicielką tego dystansu. Natalia jest młoda, perspektywiczna, jest szansa na dłuższą współpracę. W starszą zawodniczkę nie ma już co inwestować.

Więc z jednej strony cieszysz się, że po trzydziestce dochodzisz do takich sukcesów – jesteś wysoko w Europie, łapiesz się do finału mistrzostw świata, a jednocześnie nie korzystasz z tego finansowo, w ten sposób wynagradzając sobie lata tak ogromnego wysiłku.

eprasa.pl e47b8e13bb

Ale wiesz, u kobiet i tak jest łatwiej niż u mężczyzn, bo my pokazujemy jednak więcej ciała.

Brzmi to strasznie.
– Dzięki temu przychodzi więcej sponsorów. Oczywiście to pułapka, trzeba uważać.

Jest w naszej dyscyplinie zawodniczka, która rozkręciła swój wizerunek, nie mając sukcesów sportowych w seniorskim sporcie. Wiem, że w tę stronę idzie świat, ale mi się to nie podoba. Dla mnie ważne są inne wartości, takie jak sprawczość, odwaga, zdrowa relacja z ciałem, z niepowodzeniami i przeszkodami, konsekwencja i cierpliwość oraz – co najważniejsze – autentyczność i przekazywanie ich młodym ludziom. Rola sportowców wiąże się z odpowiedzialnością, tymczasem coraz częściej promowany jest przede wszystkim nasz wygląd, i to w bardzo seksualizowanej formie. To nie jest dobry przykład dla młodych dziewczyn, przecież nie każda tak wygląda. Promowanie swojej seksualnej atrakcyjności dobrze działa biznesowo, pytanie jednak: czy tego chcesz w życiu?

Sportowy influencing?
– Nikomu nie możesz tego zabronić, ale gryzie mi się to z promowaniem sportowych wartości. Wiele z nas mogłoby ustawić inaczej kamerę i tworzyć podobny sportowy kontent. Bo to działa, to się klika. Mam wrażenie, że w przypadku takich dyscyplin jak nasza to, że występujemy w określonych strojach, przyciąga pewnego rodzaju odbiorcę do tego typu treści. Ale żeby nie było: nie chodzi mi o to, że teraz trzeba się zakrywać, jednak każda z nas ma wybór i robi to, co jest zgodne z jej zasadami. Ja stawiam na autentyczność, co zresztą doceniają marki, z którymi współpracuję.

Chciałabym więcej autentyczności u sportowców. Wielu z nich to niewolnicy swojego wizerunku.
– Sportowcy żyją w lęku: powiem szczerze, przeczyta to moja rywalka i dowie się o moich słabościach. Jest też strach przed krytyką. A może sponsor nie będzie zadowolony? Więc na wszelki wypadek wolisz nic nie mówić.

I lecą tymi wyuczonymi regułkami, kopiuj-wklej, że „zostawili całe serducho na bieżni".

Nie da się tego słuchać.
– A przecież jesteśmy ludźmi, mamy gorsze samopoczucie, problemy rodzinne...

Kobiety – okres.
– Tak, choć u mnie PMS był gorszy. W tej kwestii bardzo dużo dała mi praca z rywalkami z innych krajów. U nich był czas na chorobę i gorsze dni, na płacz na treningach, bo coś nie wyszło, na zmęczenie i tęsknotę za rodziną. Wtedy zrozumiałam, że nie muszę mieć chorej ambicji, nadwyrężać zdrowia psychicznego i fizycznego, bo wydaje mi się, że rywalka robi każdego dnia wszystko na 100 proc.

Jak było w Polsce?
– Kilka osób uważało, że ściemniam, mówiąc, że choruję, bo chcę na siebie zwrócić uwagę. To jest ciągła rywalizacja, nie ma tu miejsca na słabość.

Jak dałaś sobie z tym radę?
– Szłam dalej. W końcu przychodziła nowa energia, wiara, że się uda, a także siła, by radzić sobie z tym, co nieprzyjemne.

Wróćmy do kobiecych wątków.
– Bardzo interesuje mnie temat zdrowia kobiet w sporcie, problemów hormonalnych, menstruacyjnych, a często i zaburzeń odżywiania. Wprowadzamy w stowarzyszeniu projekt „Her Game, Her Future", który ma edukować o zdrowiu. W pewnym momencie zawodniczki zdają sobie sprawę, że mają te trzydzieści kilka lat, nie mają rodziny, a czasu jest coraz mniej. Słyszałam o sportsmenkach, które przez lata nie miały miesiączki.

Jedna z czołowych polskich sportsmenek opowiadała mi, że na igrzyskach nie walczyła o medal przez to, że zaniedbała sprawę okresu.
– Żeby osiągać sukcesy, musisz mieć topkę na każdej płaszczyźnie. Brak okresu czy naciągnięty mięsień, to sygnał od ciała.

Czasami sportsmenki oddzielają życie hormonalne i menstruacyjne od sportowego, jakbyśmy miały dwa osobne ciała. Musisz trenować, bo twoje rywalki trenują, więc ciśniesz. A potem może być za późno.

Chcemy mówić o tym, co jest OK, a co nie. Nie tylko zawodniczkom, a także trenerom oraz trenerkom. Stworzymy poradnik, który będziemy rozsyłać po klubach i związkach. Czasem jedna wskazówka może wiele zmienić. Zwracamy uwagę na przykład na badanie dotyczące rezerwy jajnikowej. Chcemy, żeby sportsmenki były świadome, że życie nie kończy się na sporcie.

Wręcz się wtedy zaczyna?
– To kolejny jego rozdział.

Sportsmenki nie rozmawiają między sobą lub z trenerami?
– Wszystko zależy od charakteru. Kiedy mówiłam trenerom, że mam okres, często odpowiedzią była chwila ciszy. Potem sobie myślałam, że przecież ja mam i będę miała okres co miesiąc i nie mam na to wpływu.

Ale coś się zmienia, Ewa Swoboda i Iga Świątek mówią o tym otwarcie.
– I to jest fajne, ale chciałabym, żeby zawodniczki uczyły się tym zarządzać. Są dni, w których hormony ci sprzyjają, robisz na treningu robotę konia, a są dni, w których nie wychodzi i wtedy trzeba umieć nie brać tego sobie na głowę. Zaakceptuj i poczekaj, to jest normalne. Ale spróbuj dziś o tym napisać w serwisach społecznościowych.

Co wtedy?
– Zaraz ktoś napisze, że jesteś ohydna, że o tym mówisz.

Czujesz misję?
– Zabrzmi to pompatycznie, ale tak. Chcemy w Good Sports Society, żeby w centrum był człowiek, a nie trofea. Jeśli zadbasz o siebie, da ci to więcej przestrzeni do zaangażowania się w sport. Ale i poczucie, że ogarniasz swoje życie. ▲

eprasa.pl e47b8e13bb



Odbijam piłeczkę *Europie*

Czystą energią można się cieszyć w Berlinie, Zurychu czy Wiedniu. Europejczykom przypada to, co najlepsze – środek tej opowieści. Mało kto się zastanawia, jak wygląda jej początek w Ameryce Południowej

Z **DAGMARĄ WYSKIEL**
ROZMAWIA **ALICJA GARDULSKA**

Antofagasta to górnicze miasto na północy Chile, wciśnięte między pustynię a Pacyfik. Od Warszawy dzieli ją ponad dwadzieścia godzin lotu. Dagmara Wyskiel, polska artystka sztuk wizualnych, mieszka tu od 2001 roku. Spotykamy się przy zabytkowym molo w centrum miasta. Chce mi pokazać jedno z miejsc, w którym co dwa lata wystawia prace artystów z całego świata. Bo Dagmara jest dyrektorką Międzynarodowego Biennale Sztuki Współczesnej SACO w Antofagaście. Przy molo dostaję pierwszą lekcję o Chile.

– Nie wejdziemy – mówi Dagmara po krótkich negocjacjach ze strażnikiem. – Zamknięte, bo zamknięte. Trudno, jedziemy do nas.

Rozsiadamy się więc na niewielkim patio w siedzibie jej organizacji. Jako osłona przed słońcem służą wzorzyste płachty.

Dagmara: – To wydruki obrazów portugalskiego artysty, który przyjechał do nas na rezydencję, by badać nielegalne przejścia graniczne w Andach. Taki recykling sztuki. Ale też ciekawa historia. Bo podczas jego rezydencji wpadłam na pomysł wystawiania artystów na opuszczonych billboardach, których tu jest mnóstwo. Zrobiłam badania terenowe i wyspecjalizowałam się w rozpoznawaniu, które mogą być niczyje.

I nikt nie zapukał do was o pieniądze?
– Nigdy. Okazało się, że to pozostałości po tablicach informacyjnych, które trzeba stawiać, kiedy buduje się publiczną drogę, szkołę czy most. Nikt tego nie sprząta. Najstarsze, które namierzyłam, zostały postawione 15 lat temu. Dosłownie więc przykrywamy zaniedbanie władz.

Porozmawiajmy o pustyni. Mnie pierwsze zetknięcie z nią pozbawiło słów. Ty mówisz czasem w wywiadach, że się w niej zakochałaś.
– Na początku mnie wystraszyła. Jechałam nocnym autokarem z zielonej La Sereny do Antofagasty. Przebudziłam się, kiedy zaczęło świtać, i zorientowałam, że jesteśmy na środku głębokiej pustyni. Spanikowałam. Pomyślałam, że autobus na pewno się zepsuje i wszyscy umrzemy. Długo uważałam, że życie w takim miejscu jest zupełnie nienaturalne.

A jednak żyjesz w Antofagaście od 25 lat.
– Nie zostałam od razu. Po 1989 roku, kiedy Polska i Chile wróciły do demokracji, otworzyły się nowe możliwości. Hiszpański znałam z liceum, kiedy nadarzyła się okazja, by pojechać z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na semestr do La Sereny, skorzystałam. Potem już regularnie kursowałam między Krakowem a Antofagastą.

Czegoś mi tu nie mówisz.

eprasa.pl e47b8e13bb



Pustynia na początku mnie wystraszyła. Długo uważałam, *że życie w takim miejscu jest zupełnie nienaturalne*

„Jeśli istnieje Bóg i uprawia jakiś sport, to musi być golf" – mówi Wyskiel. Piłeczki golfowej użyła w projekcie „Gra mieszana". Na pierwszym zdjęciu w dolinie meteorytów Quillagua, na drugim w obserwatorium ALMA

– Bo weszłybyśmy w serial wenezuelski z wieloma osobistymi wątkami.

Jasna sprawa.
– W 2001 r. zdecydowałam, że zostaję. I co ważne, ta decyzja nie wynikała z sercowych pobudek. Czułam, że w Antofagaście będę miała dużo do zrobienia. Moje dzieci poszły tu do szkół, w telefonie miałam więcej kontaktów chilijskich niż polskich i coraz większe poczucie, że to, co robię, ma sens. Z czasem dotarło do mnie, że w pewien sposób powtarzam historię własnego ojca.

Jak to?
– Ojciec budował za Gierka polonistykę na Uniwersytecie Śląskim w Sosnowcu. Badacz literatury międzywojnia porzucił artystyczny Kraków dla górniczego miasta. Ja zostawiłam Kraków dla brudnej, pustynnej i górniczej Antofagasty na drugim końcu świata. I tak jak on, robię rzeczy, których wcześniej nie było.

To rzeczywiście była artystyczna pustynia?
– Istniały może dwa stowarzyszenia malarzy sztalugowych. O miejscu, jak nasze – przestrzeni stworzonej dla sztuki z własną biblioteką i programem rezydencji – nie było mowy. Zresztą to ciągle jest teren stygmatyzowany, odrzucony przez krajowych artystów i ludzi kultury. Pustynia chyba ich zniechęca i przeraża, bo na południu Chile, gdzie jest ładnie i zielono, dużo się dzieje.

Zawsze mnie ciągnęło do eksperymentów – nie tylko artystycznie, ale organizatorsko. W Krakowie wszystko już powiedziano, zbudowano i oznaczono szyldem. Nie ma szczeliny, w którą można by wcisnąć ziarenko i pozwolić mu zakwitnąć. Tu brakuje tylko ziarenek, przestrzeń jest. Można wziąć jej tyle, ile się zdoła ogarnąć.

Teraz twoje Międzynarodowe Biennale Sztuki Współczesnej SACO odwiedza 60 tys. osób.
– A zaczęło się w 2012 roku od międzynarodowej wystawy. Aby wykorzystać to, że razem z pracami przyjeżdżają do Antofagasty artyści i kuratorzy, zaproponowaliśmy program dla lokalnej społeczności. Nasłuchałam się wtedy, że sztuka współczesna jest tak hermetyczna, że nikt na to nie przyjdzie. A przyszli, i to tak tłumnie, że powtarzaliśmy imprezę co roku. Aż stała się organizowanym co dwa lata międzynarodowym biennale sztuki.

Nie robię tego sama, dyrektorem produkcji jest mój partner Christian Núñez. Wychowaliśmy przez te lata kilkudziesięciu mediatorów sztuki, współpracujemy ze szkołami. I cały czas powtarzamy, że sztuka jest dla wszystkich, co jest szokujące dla elit artystycznych z Santiago. Czasem słyszę, że elitarną sztukę wystawiać górnikom na pustyni to nie wypada.

A ty w końcu oswoiłaś pustynię. Twój znak rozpoznawczy to porzucona na Atakamie dwunastometrowa piłeczka do golfa.
– Jeździłam z nią przez wiele lat i „upuszczałam" w różnych miejscach, nie tylko na pustyni, ale także w portach i w obserwatorium astronomicznym.

Wyobraziłam sobie, że jeśli istnieje Bóg i uprawia jakiś sport, to musi być golf. Golf to scenografia dla strategicznych rozmów i negocjacji. I wyobraziłam sobie, że ta piłeczka wpadła wszechmogącemu w jakąś szczelinę.

Piłeczka golfowa to też symbol angielskiej potęgi. Pod koniec XIX wieku Anglicy byli w Chile niczym bogowie. Zbili fortuny na wydobywanej na Atakamie saletrze [to azotany, wykorzystywane m.in. przy

eprasa.pl e47b8e13bb

produkcji żywności i amunicji] i przenosili się całymi rodzinami do Chile. W Europie arystokracja traciła swój status, a oni tu mieli lokajów, niańki, kucharki.

Ten rozdział historii dla Chilijczyków nie został zamknięty – ma bolesne momenty, które dotyczą niemal niewolniczych relacji. Dlatego umieściłam piłkę np. w porcie w Valparaiso, przez który Europejczycy wpływali do Chile. Odbijam piłeczkę Anglikom.

Odbijasz piłeczkę także w innych sprawach, np. podejściu do tzw. czystej energii. Mieszkanie tu musi zmieniać perspektywę, prawda?

– Chile nie ma szans na odejście od górnictwa. To są cztery epoki wydobycia na olbrzymią skalę: od guano, przez saletrę, do miedzi, a teraz także lit. Tych terenów nie można porównywać do Zagłębia Ruhry czy Śląska, nie można zamknąć kopalni i zacząć uprawiać winogron czy truskawek. Bo tu nic nie urośnie. W tej części kraju miasta są skazane na ekstraktywizm [rabunkowe wydobycie]. Nie zostałam zwolenniczką górnictwa, ale zżymam się, kiedy ktoś z zewnątrz próbuje ewangelizacji ekologicznej na Chilijczykach.



Na wystawie „Oratorium na konstytucję Ziemi" Dagmara Wyskiel opowiada o obywatelskim projekcie chilijskiej konstytucji


Wystawa „Lekkość litu", Kraków 2023 r.

Chile jest pierwszym globalnym producentem miedzi, drugim na świecie dostawcą litu. A zapotrzebowanie na to białe złoto"będzie tylko rosło; bo lit jest kluczowym składnikiem akumulatorów, które zasilają niemal wszystkie cyfrowe urządzenia i pojazdy elektryczne.

– A widziałaś samochody elektryczne w Antofagaście? Czystą energią można się cieszyć w Berlinie, Zurychu czy Wiedniu. Europejczykom przypada to, co najlepsze – środek tej opowieści. Mało kto się zastanawia, jak wygląda jej początek w Ameryce Południowej i koniec, prawdopodobnie w Afryce.

Lit na Atakamie pozyskuje się z rozległych solnisk, zużywając ogromne ilości wody. Dosłownie wysysa się ją z tego i tak już najsuchszego miejsca na planecie, niszcząc delikatne ekosystemy. Zagrożone są całe gatunki, np. tak spektakularne jak flamingi andyjskie. Ale też te, które niełatwo dostrzec i się nad nimi wzruszyć, jak ekstremofile, organizmy, które mogą opowiedzieć naukowcom np. o początkach życia na Ziemi.

Opowiadasz o tym w cyklu „Lekkość litu".

– Zaczęło mnie denerwować to europejskie podejście. Wszyscy chcemy być ekologiczni, ale nie ma nawet refleksji, że całe bogate ekosystemy zostaną złożone na ołtarzu ekologicznego pierwszego świata. W Chile nie ma żadnej sensownej polityki, która by próbowała ratować solniska. Tak samo było z miedzią, nikt się nie przejmował skutkami ubocznymi. Wszystko jest do dyspozycji, kiedy znajdzie się minerał, na który jest popyt na świecie. To kolejna odsłona kolonializmu.

***

Zrobił się wieczór, Dagmara zabiera mnie na kolację. Kiedy jedziemy Uberem, pytam ją o protesty z 2019 roku. Zaczęło się od Santiago i sprzeciwu wobec podwyżki cen biletów na metro o 30 pesos, ale szybko prze-

eprasa.pl e47b8e13bb

rodziło się w masowy protest przeciwko władzy w najbardziej neoliberalnym państwie świata. Jego symbolem stało się hasło: „Nie chodzi o 30 pesos, chodzi o 30 lat".

Dagmara: – Został mi w głowie taki obraz z tamtych dni: jechałam główną ulicą miasta, tą samą, którą teraz jedziemy. Niedaleko są największe koszary w regionie. Przeciwległym pasem w stronę centrum jechały samochody wojskowe, wozy opancerzone i inne, niekończący się sznur. Pierwszy raz w dorosłym życiu widziałam z bliska taką demonstrację siły.

A potem zaczęły się zamieszki. Pewnie widziałaś obrazki głównie z Santiago, ale w Antofagaście też się działo, płonęły opony, latały koktajle Mołotowa, nocami w otwartych oknach kobiety biły chochlami w dna garnków. Policja strzelała gumowymi kulami, mierząc w oczy. W wyniku protestów w całym kraju zginęło 36 osób, a tysiące zostało rannych lub aresztowanych. Stwierdziłam wtedy, że trzeba głośno mówić o tej wewnętrznie uprawomocnionej, państwowej przemocy.

W 2022 roku wystawiłaś w Santiago wystawę „Reserved Law". Analizowałaś ponad 200 lat historii niepodległego Chile właśnie pod kątem wewnętrznej przemocy. Każdą datę zapisałaś na oddzielnej tabliczce, na biało lub na czerwono.
– Wcześniej zrobiłam podobną wystawę o Polsce.

Słyszałam czasem od Chilijczyków, że my w Polsce budujemy kulturę, instytucje państwowe, drogi itd. od tysiąca lat, a oni dopiero od dwustu. Rozumiem tę perspektywę, bo my też często ją przyjmujemy, mówiąc, że mamy prawo być w tyle, bo zatrzymała nas historia.

Postanowiłam im pokazać, z czym się w ciągu tego tysiąclecia mierzyliśmy: pomalowałam polską historię na biało i czerwono i wyszło mi, że połowę tego czasu spędziliśmy na wojnie. Tylko że w polskim przypadku wróg był zewnętrzny. A Chile miało wojnę o Pacyfik (1879-83), kilka drobnych konfliktów, i tyle.

Po wydarzeniach z 2019 roku postanowiłam sprawdzić, statystycznie wykazać, po co Chile ma armię. Nie badałam tego sama, to nie mój kraj, i to by było bezczelne. Zdobyłam grant, który pozwolił mi współpracować z pięcioma historykami o różnych specjalnościach. Potwierdziło się, że w Chile działania wojskowe służą wewnętrznej kontroli, budowaniu machiny strachu i są wymierzone w obywateli.



DR DAGMARA WYSKIEL

– absolwentka wzornictwa przemysłowego na ASP w Krakowie, doktorat zrobiła na Wydziale Rzeźby ASP. Od 2001 r. mieszka w Chile. Współzałożycielka i dyrektorka artystyczna Międzynarodowego Biennale Sztuki Współczesnej SACO w Antofagaście. Pokazywała swoje prace w większości krajów Ameryki Południowej, a także m.in. w Chinach, Anglii, Indonezji, Stanach Zjednoczonych i Polsce

Protesty wymusiły na władzy zgodę na rozpisanie referendum w sprawie zmiany konstytucji, która powstała za czasów Pinocheta. „Za" było 80 proc. Chilijczyków. Ale kolejne projekty ustawy zasadniczej – i ten napisany przez Chilijskie Zgromadzenie Konstytucyjne, i ten przygotowany potem przez prawicę – zostały odrzucone w referendach w 2022 i 2023 roku. Opowiadasz o tym na wystawie, którą można już oglądać w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie.
– Mocno przeżywałam prace nad obywatelskim projektem. Mój partner kandydował do Zgromadzenia Konstytucyjnego z listy niezależnej. Była tam też prawniczka, która wygrała z ubezpieczycielem precedensową sprawę o wypłatę zaoszczędzonej emerytury kobiecie w ostatnim stadium raka, była mikrobiolożka walcząca o cenne ekosystemy na Atakamie, był chłopak, który wyciągnął tysiące dzieciaków z narkotyków, był przedstawiciel rdzennej społeczności Lickanantay, który walczy o prawa mniejszości etnicznych. Łączyło ich chyba tylko to, że nie po drodze im było z żadną partią polityczną. To był niesamowity czas dogadywania się.

Na potrzeby warszawskiej wystawy wybrałam z projektu 30 zdań.

Jak te 30 pesos i 30 lat.
– Tak. I jeszcze mocniej jestem przekonana, że ten projekt nie był ani anarchistyczny, ani wywrotowy – jak przekonywały nas tysiące zaprzęgniętych do kampanii referendalnej botów – był wyjątkowy, porządkujący świat. Może momentami zbyt poetycki, ale przecież można było niektóre rzeczy doprecyzować w aktach wykonawczych. Znalazły się w nim zapisy o ziemi i niebie gwieździstym, o prawach zwierząt, o dobru nadrzędnym przyrody i o wymiarze duchowym świata.

To nie mogło się udać. Gdyby taka konstytucja weszła w życie, trzeba by zacząć chronić solniska, podwodne rzeki, lodowce. Byłoby to trudne, biorąc pod uwagę znaczenie przemysłu wydobywczego w Chile. Gdyby chodziło wyłącznie o wpływy do budżetu, to byłyby jakieś szanse, ale za wydobyciem stoją potężne prywatne interesy. Nie jest tak, że w Chile dzięki górnictwu wszystkim jest lepiej, bo ludzie mają dobre bezpłatne szkoły i przychodnie. Przeciwnie.

Ruszyła wielka machina propagandowa, 62 proc. ludzi zagłosowało przeciw projektowi. Potem prawica napisała własną konstytucję, wzorowaną na obecnej, mocno kapitalistycznej; wyrzuciła wszystkie ekologiczne wątki. I ludzie znowu powiedzieli „nie".

Myślisz, że ten gniew z 2019 roku wróci?
– Trudno powiedzieć. Zazwyczaj wraca, kiedy rządzi prawica. A w grudniu 2025 roku wybory prezydenckie wygrał skrajnie prawicowy piewca czasów Pinocheta – Antonio Kast.

Czego musiałaś się nauczyć, by się odnaleźć w Chile?
– Chilijskiego, który jest zdeformowaną wersją hiszpańskiego. Kiedy tu przyjechałam, mówiłam poprawnym, książkowym językiem, co nie brzmiało za dobrze. Musiałam opanować sztukę owijania w bawełnę. Tu nie można odpowiedzieć „nie", bo to niegrzeczne. Jeśli ktoś zapyta, czy masz czas w weekend, odpowiadasz np. „pozwól, że się zastanowię" albo „obawiam się, że to by było dla mnie nieco skomplikowane, by umówić się na weekend". Jako Europejka jestem nauczona, że odpowiadanie wprost oszczędza czas.

Musiałam nauczyć się czasem odpuszczać. Nie buntować się za każdym razem, kiedy słyszę, że coś będzie, kiedy będzie. Albo że coś jest zamknięte, bo zamknięte. ▲

Prace Dagmary Wyskiel można oglądać na wystawie pt. „Oratorium na konstytucję Ziemi" w CSW Zamek Ujazdowski w Warszawie do 28 marca 2027 roku.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl e47b8e13bb



eprasa.pl e47b8e13bb

To, czego nie *zoptymalizujesz*

Mieszkaliśmy w idealnym mieszkaniu na Brooklynie, on był „kimś" i ja byłam „kimś", wszyscy nas lubili, a jednak czegoś brakowało. Zastanawiałam się: co jest ze mną nie tak, skoro nie potrafię cieszyć się obecnością tej osoby?

Z **CATHERINE LACEY**, PISARKĄ, ROZMAWIA **AGATA PYZIK**

Mary, bohaterka „Odpowiedzi", które właśnie miały polską premierę, z braku funduszy zatrudnia się w eksperymentalnym programie jako „emocjonalna partnerka" bogatego aktora. Powieść porusza rozpalające kwestie: kryzys uczuć w późnym kapitalizmie, zmiany definicji miłości, molestowanie seksualne – choć pisałaś ją na długo przed apkami i #metoo.

– Dziś to wygląda, jakbym celowo chciała napisać powieść na modne publicystyczne tematy. A ja po prostu byłam młodą kobietą w Nowym Jorku, nie miałam pieniędzy i pragnęłam zostać pisarką. „Odpowiedzi" pisałam w 2015 roku, kiedy nikt nie mógł przewidzieć sejsmicznych skutków #metoo.

Żeby zarobić, od najmłodszych lat chwytałam się dorywczych prac. Jako pomocnica na farmie, niania, kucharka w restauracji, asystentka artysty, prowadziłam też hostel-kooperatywę. Żeby móc dalej pisać, sprzedałam nawet własne komórki jajowe.

Przez jakiś czas byłam też asystentką żydowskiej rodziny. Płacili mi za wykonywanie domowych prac, ale też zadań emocjonalnych, dlatego nie nazywałam siebie nianią czy sprzątaczką. Przed świętem Pesach kazali mi sprzątać szafki: właścicielka stwierdziła, że nie trzeba ich jakoś gruntownie czyścić, wystarczy przetrzeć w środku. Wykonując tę czynność, zrozumiałam, że w gruncie rzeczy uczestniczę w religijnym rytuale tej rodziny. Pracowałam dla pieniędzy, a jednak czułam się tej rodziny częścią.

A kiedy przestałam dla nich pracować, po prostu zniknęli z mojego życia, z dnia na dzień.

Pisząc „Odpowiedzi", byłam też w poważnym związku. W ciągu dwóch lat zerwaliśmy, wróciliśmy do siebie, wzięliśmy ślub i się rozwiedliśmy. Stawiając temu czoła, próbowałam zrozumieć: jak właściwie funkcjonuje związek? Skąd wiadomo, że jesteśmy w relacji, która jest dla nas dobra? Skąd pewność, że druga osoba nas kocha? I skąd wiemy, że sami kochamy tego kogoś?

Jeśli każdego dnia czujesz się, jakbyś waliła głową w mur, próbując rozgryźć, co jest w twoim życiu nie tak, prawdopodobnie nie jesteś tam, gdzie powinnaś! Czasem po prostu trzeba odejść. Zadałam proste, ale nie naiwne pytanie: czy sama miłość nie wystarczy? Okazuje się, że nie. To jedna z tych spraw, które może nie brzmią jak oryginalny wniosek, ale są zarazem kluczowe i absolutnie decydują o twoim życiu. Być może potrzebowałam rozpisać to do rozmiaru powieści, żeby wybrzmiało w pełni. Dziś wiem, że zbyt obsesyjnie analizowałam rzeczy, które były proste.

Ludzie myślą, że pisarz zaczyna pisanie od idei. U ciebie punktem wyjścia było życie.

– Wszystko sprowadzało się do tych dwóch kwestii: jak zapewnić sobie byt, finansowo i logistycznie, oraz jak rozpoznać, jak „działa" miłość. Z tego narodził się zabieg fabularny: eksperyment przeprowadzany przez pewnego mężczyznę i osobę, którą zatrudnia do jego przeprowadzenia. Pisanie o tym nie było łatwe, bo równolegle sama mierzyłam się z trudnymi kwestiami, jakich dotyka powieść.

Ale nie napisałaś autofikcji.

– Moja pierwsza powieść była bardzo osobista. A ja mam zasadę: nie robię drugi raz tego samego. Muszę czerpać jakąś przyjemność z długiego i samotnego procesu, jakim jest pisanie. Z drugiej strony książka jest zawsze swego rodzaju efektem ubocznym tego, przez co akurat przechodzisz. Są w tej historii elementy, które odczuwam jako głęboko osobiste, choć nie są autobiografią.

Czasami autorzy kierują się jakąś platońską ideą „idealnej książki", bardzo ciężko pracują nad tekstem, który wcale nie jest dla nich osobisty. A trzeba być gotowym włożyć w książkę cząstkę siebie.

Bohaterkami twoich powieści często są kobiety wywodzące się z restrykcyjnych religijnie środowisk. Taka jest Mary, taka jest X z „Biografii X". Sama się wychowałaś w takiej niemal sekcie Metodystów.

– Nasz dom nie należał do sekty, ale znajdował się w głębokim, wiejskim Missisipi w latach 90. Biblia wprost określała nasze życie. Moja relacja z Jezusem, moja wiara, była najważniejszą sprawą w życiu. Wszyscy dookoła żyli w ten sposób, więc ja też. Do piętnastego roku życia, kiedy poszłam do szkoły, nie znałem żadnej osoby innego wyznania.

Szkoła okazała się antytezą wszystkiego, czego uczono mnie na obozach letnich, podczas studiowania Biblii czy w chórze kościelnym.

A seks?

– Nawet kiedy zaczęłam porzucać wiarę, byłam silnie przywiązana do idei czystości. Byłam pewna, że wrócę do wspólnoty.

Oddaliłam się od Kościoła za sprawą literatury. Studiowałam mity i konstrukcje innych religii i niesłychanie mnie to frapowało. Mój dziecinny światopogląd legł w gruzach.

Wcześniej żyłam w izolacji, w ramach określonego stylu życia, wierzyłam, że tekst religijny wyjaśnia wszystko: dlaczego tu jesteśmy, dokąd trafiamy po śmierci, odpowiada na każde pytanie budzące niepokój czy dezorientację. A potem nagle to wszystko zostało mi odebrane.

Dziś zdaję sobie sprawę, że załamanie nerwowe, które przeszłam w wieku 20 lat, wiązało się właśnie z utratą tej głębokiej

CATHERINE LACEY

– ur. w 1985 r., amerykańska pisarka, autorka m.in. powieści „Biografia X", „Odpowiedzi" i „Pew". Za „Biografię X" otrzymała Nagrodę Literacką Lambda, a jej książki były nominowane do wielu prestiżowych wyróżnień, w tym Nagrody im. Dylana Thomasa. Mieszka w Meksyku

eprasa.pl e47b8e13bb

wiary. Zostałam zupełnie sama, z pustką w rękach. To był szok.

W twoich powieściach pojawia się gra między niewinnością a skalaniem. Twoje bohaterki, jak Mary w „Odpowiedziach", zdają się wierzyć w to, że ludzie są dobrzy i mówią prawdę – a przecież dorastanie polega na dostrzeżeniu, że ludzie prawie nigdy jej nie mówią!
– Ten moment utraty niewinności, choć niezbędny, jest straszny. Do dziś trochę zazdroszczę ludziom, którzy potrafią odczuwać wiarę z taką intensywnością. Każdego roku zastanawiam się: może znów zacząć chodzić do kościoła? Może tym razem odkryję w tym coś innego?

Wychowałam się w bardzo katolickiej rodzinie i utrata wiary była dla mnie przełomowa. W Polsce, kraju, który nigdy nie przeszedł rewolucji seksualnej, trudno było się wyzwolić z tych nakazów i zakazów, które we mnie żyły. Kiedy jednak w końcu zaczęłam powoli się wyzwalać, największym szokiem było dla mnie to, że dla innych ludzi seks nie jest niczym wyjątkowym, a już zwłaszcza nie ma mocy niszczącej.
– Przez długi czas pisanie o seksie było dla mnie zupełnie nie do pomyślenia. W „Odpowiedziach", jak zauważyłaś, nie ma seksu! To w końcu powieść o kobiecie, która odgrywa rolę „emocjonalnej dziewczyny", prawda? Zadaję tutaj pytanie, czy może istnieć relacja, w której jest miłość, ale nie ma seksu? Czy jedna osoba mogłaby doświadczać różnych rodzajów miłości z różnymi ludźmi, czy może byłby to ten sam rodzaj miłości w każdej z tych relacji?

Kiedy masz 20 parę lat, masz być dorosła – a przecież chwilę temu byłaś dzieckiem. Ja długo nie byłam wolna, nie potrafiłam prosić o to, czego pragnęłam, i wciąż bardzo chciałam wierzyć, że nie jestem biseksualna. Swoją wypieraną biseksualność tłumaczyłam sobie dorastaniem w kulturze lat 90., gdy ciało Britney Spears czy Christiny Aguilery bez końca podawano nam na talerzu.

A przecież pożądanie nie działa tak, że po prostu wiesz, kim jesteś.

Biseksualność polega raczej na tym, że istnieją w nas różne aspekty, które mogą ujawniać się na rozmaite sposoby i w różnych konfiguracjach. Osoba, którą byłam w relacji z kobietą, bardzo różniła się od tej, którą byłam w relacji z mężczyzną, niezależnie od tego, czy chodziło o stały związek, czy flirt. Gdy ktoś przejmował w relacji całą męskość, ja byłam kobieca. Z kolei w relacji z mężczyzną o bardziej kobiecych cechach mogłam wydobyć z siebie więcej męskości.

Tak właśnie odebrałam „Odpowiedzi" – to opowieść o niechęci do odgrywania pewnych ról genderowych, do których jesteśmy zmuszeni, chociaż czujemy się kimś innym.
– Dokładnie. Spotykając się z kobietą, zadałam sobie pytanie: skąd właściwie bierze się to, co męskie i kobiece? Bo przecież pierwiastki męskie i żeńskie istnieją w relacjach między ludźmi, a także wewnątrz każdego z nas – i mogą się przejawiać na wiele różnych sposobów. Nie trzeba być osobą niebinarną czy queerową, żeby dostrzec w sobie oba te rodzaje impulsów.

Najważniejsze jest, z czym czujesz się dobrze, kim jesteś i kim chcesz być w relacji romantycznej. Jaką część siebie chcesz w niej pokazać? Kwestia seksu jest tu właściwie drugorzędna. Ludzie przeceniają mechanikę samego aktu. Istotne nie jest to, jak, ale co ta osoba w tobie uruchamia i czy chcesz za tym podążyć.

Żeby móc dalej pisać, sprzedałam nawet *własne komórki jajowe*

Kiedy jako małe dzieci przeżywamy miłości, nie chodzi w nich o seks, bo tego jeszcze nie znamy ani sobie nie wyobrażamy, ale o to, kim chcesz być. Jeśli dziecko czuje pociąg do różnych osób, niezależnie od ich płci, to wynika z tego, że z tymi osobami może być różnymi wersjami siebie.

Często tworzysz bohaterów o niepewnej, niezdeterminowanej seksualności.
– Dorastałam w skrajnie homofobicznym środowisku, przez co rozwikłanie tej splątanej kwestii płci było trudne i zajęło mnóstwo czasu. Dziś nie wstydzę się już o seksie pisać ani rozmawiać. Przez wiele lat, jeśli zdarzyło mi się napisać jakąś scenę erotyczną, od razu ją usuwałam. Nie ze względu na pruderyjność, ale nie chciałam, żeby ludzie postrzegali mnie jako pisarkę opętaną seksem ani jako taką o sztywnej seksualności, bo to oznaczałoby, że i ja musiałabym się określić. W tym czasie kultura pochłonięta była dyskusjami o queerze i czy można wyjść poza płeć kulturową i seksualną. A ja chciałam zachować różne możliwości, potencjalność bycia różnymi osobami. Nie jestem pewna, czy to było wyparcie, ale na pewno był to rodzaj ucieczki przed określeniem się, kim jestem w swoim pisaniu.

„Odpowiedzi" są w wielu kwestiach prorocze: jedni są tak biedni, że sprzedają własne ciała, a inni niby mają pełnię władzy, ale są nieudolnymi przegrywami. Pokazałaś, jak absurdalnie ograniczone i dziwnie uporządkowane mają być dzisiaj nasze skolonizowane przez kapitał życia.
– Już ponad dekadę temu spotykałam w Nowym Jorku dziwnych bogatych facetów jeżdżących na festiwal Burning Man, wcierających w skórę jad żaby na odporność, uczestniczących w rytuałach ayahuasca, a jednocześnie zamieniających życie nas wszystkich w piekło. Spotykałam ludzi święcie przekonanych, że da się zoptymalizować absolutnie wszystko.

A dla mnie bycie artystą polega właśnie na braku optymalizacji. Nie da się sobie zaprogramować wydajności w dziedzinie idei. Rozumiem, że można pragnąć dążenia do doskonałego zdrowia, relacji, codziennej rutyny, czegokolwiek. Jestem tylko człowiekiem, więc wizja, że życie mogłoby być łatwiejsze, wydaje się kusząca, prawda?

Ale potem patrzę na to, jak faktycznie spędzam swoje dni – np. czytając powieści. To przecież zupełnie nieefektywne zajęcie, nie da się z niego wyciągnąć żadnego wymiernego zysku. A jednak gdyby mi to odebrano, całkowicie bym się załamała. Mogłabym być w idealnym związku, mieszkać w doskonałym domu, mieć mnóstwo pieniędzy, wszystko, czego dusza zapragnie, ale gdybym nie mogła pisać ani czytać, po prostu bym zwariowała. Tak naprawdę te niedające się zoptymalizować rzeczy mnie najbardziej fascynują.

To tak jak z tamtym związkiem sprzed ponad dekady: mieszkaliśmy w idealnym mieszkaniu na Brooklynie, byliśmy taką miłą parą, on był „kimś" i ja byłam „kimś", wszyscy nas lubili, a jednak czegoś brakowało. Zastanawiałam się: co jest ze mną nie tak, skoro nie potrafię po prostu cieszyć się obecnością tej osoby? Musiałam porzucić związek „jak z obrazka" i zrobić coś, co może być powodem do wstydu, czyli rozwieść się po zaledwie roku małżeństwa. Czy to znaczy, że po rozwodzie nagle odkryłam sekret szczęścia i zrozumiałam, co robię – nie, ja tylko nie mogłam już dłużej w tym tkwić. Ale może zrozumiałam jedno: sta-

eprasa.pl e47b8e13bb

wianie wielkich, zasadniczych pytań zbija z tropu i prowadzi donikąd.

Czytając „Odpowiedzi", pomyślałam, że zadania kolejnych partnerek, od Emocjonalnej po Gniewną, to byłby wreszcie dobry użytek z AI. Niech roboty wypełniają potrzeby mężczyzn, żebyśmy mogły zająć się czymś innym.

– Jestem za tym, aby AI wykonywała rzeczy, których ludzie nie mają ochoty robić. Ale znaleźliśmy się w punkcie, w którym próbujemy zaprząc AI do wszystkiego. Mam znajomego w Meksyku, gdzie teraz mieszkam. Jest cudowny, queerowy, pełen energii. Ale używa AI do szkicowania swoich pomysłów. Próbuję mu uświadomić, że łączenie idei jest samym sednem pracy twórczej! To niepowtarzalne doświadczenie wewnętrznego procesu, kiedy z chaosu wydobywa się jasność, dzięki tobie samemu, twojemu myśleniu, dzięki książkom, które czytasz. Jeśli tego nie zrobisz, nigdy nie zbudujesz w mózgu ścieżek, dzięki którym będziesz mógł wpadać na nowe pomysły.

Zlecanie tego maszynie i dodawanie kosztów środowiskowych to jedna z najgłupszych rzeczy, jakie potrafię sobie wyobrazić. A jeszcze opiera się na kradzieży. Nie będę okradać Toni Morrison. Nie będę okradać Dostojewskiego. Nie będę okradać współczesnych autorów.

Wykorzystajmy technologię do walki z rakiem albo usuwania śmieci z oceanów.

Wiem, że napędza cię miłość do samego pisania, ale czy myślisz kiedykolwiek o tym, że zwiększając swoją produktywność, jednocześnie uczestniczysz w systemie, który obniża wartość twojej pracy?

– Bardzo chcę skończyć książkę, bo mam pomysły na następną, albo chcę napisać do niej scenariusz filmowy. Jednocześnie część mnie sprzeciwia się myśleniu o samej sobie jako o artystce płodnej i produktywnie zarządzającej czasem. Jednak biorąc pod uwagę, ile miałam prawdziwych prac, zwłaszcza w kuchniach – i to była harówka, którą czujesz w nogach – trudno mi patrzeć na pisanie jak na inne prace. Jestem po nim odświeżona i szczęśliwa, czuję się lepiej, a nie gorzej. Czy można przykładać do tego zajęcia te same wyznaczniki?

Nie. Ale wiem, że sprawy mogłyby potoczyć się inaczej.

Mogłabyś nadal wieść niepewną egzystencję pisarki z klasy robotniczej w Nowym Jorku. Kiedy ktoś zapytał mnie, czy „Odpowiedzi" są o miłości, odpowiadam mu: nie, są o braku ubezpieczenia zdrowotnego.

– Choć z drugiej strony ubezpieczenie zdrowotne to też rodzaj miłości. To nie jest miłość romantyczna, ale wyraz troski, poczucie, że jest się wartościowym członkiem społeczności. Ale zgadzam się – chodzi tu przede wszystkim o brak ubezpieczenia zdrowotnego.

Dziś apki to skrajne uprzedmiotowienie drugiego człowieka. Mimo to wciąż szukamy, bo wierzymy, że istnieje prawdziwa intymność. Jak ty w pierwszym małżeństwie.

– Aplikacje randkowe w czasach, gdy pisałam książkę, jeszcze nie istniały. Były strony internetowe, takie jak OkCupid.com. Trzeba było usiąść, napisać o sobie na profilu, zbudować jakiś obraz siebie w sieci. Poznałam mnóstwo osób przez OkCupid. Muszę przyznać, że całkiem dobrze się bawiłam.

Miałam nadzieję na prawdziwą intymność – w końcu czytałam o tym w książkach, słyszałam w piosenkach, że istnieją relacje, które potrafią być naprawdę głębokie, znaczące i dające oparcie. Kobiety często wchodzą w relacje, w których stają się czyjąś asystentką-pracownikiem. Sama weszłam w taką relację, którą opisałam w kolejnej książce – „Mobius Book". Byłam kochana, tyle że w specyficzny sposób, ale z biegiem lat stało się jasne, że w rzeczywistości byłam właśnie pracownikiem. Nie równorzędną partnerką. A potem wręcz okazało się, że istniała hierarchia, w której dobrowolnie uczestniczyłam. W tej relacji była ogromna intensywność – dokładnie to, czego wtedy pragnęłam. Był w tym dramat o niemal religijnym wymiarze i uniesieniu. I było w tym szaleństwo – a ja właśnie tego szaleństwa chciałam. Wydawało mi się, że właśnie tego mi brakuje.

Od kilku lat jestem w związku po prostu cudownym. To może być kwestia wieku: trudno wiedzieć, czego się chce, kiedy się jest bardzo młodym. Myślę też, że jest istotne, że oboje mamy za sobą rozwód. Kiedyś oboje postawiliśmy wszystko na jedną kartę, i to się posypało. I choć po czymś takim można stracić nadzieję, to jednak ją masz. Kiedy dramy już minęły, relacja ma ogromny potencjał.

Najlepsze jest jednak to, że jako osoba biseksualna jestem w związku z biseksualnym mężczyzną, co jest pierwszym takim układem w moim życiu.

Czuję naiwny optymizm. W moim życiu pojawiły się nowy romantyzm, stabilność i radość.

Jaki jest ten inny, nieheteronormatywny romantyzm?

– Uważam, że świat, nie tylko ten obecny czas, jest pełen zamętu i mroku, spraw poza naszą kontrolą. Pełna porozumienia więź z drugą osobą może być swoistym zaworem bezpieczeństwa. Już na samym początku mojego związku z Danielem podjęłam decyzję: nigdy nie powiem mu niczego, czego później mogłabym żałować. Czasem mówimy bolesne rzeczy, żeby pokazać, jak bardzo cierpimy – a to niszczy więź między dwojgiem ludzi. Można mierzyć się ze swoimi mrocznymi stronami, niekoniecznie raniąc drugą osobę.

Ale to kwestia znalezienia tej właściwej osoby. Czasem jesteśmy w relacji z kimś, kogo tak naprawdę nie potrafimy zobaczyć takim, jaki jest. Nasze doświadczenia, nieprzepracowany ból i stare zranienia nakładają się na niego i wywołują emocje, które wcale go nie dotyczą. Wtedy reagujemy nie na partnera czy partnerkę, lecz na własną przeszłość. Moim zdaniem taka relacja ma niewielkie szanse.

Poza tym Daniel to pierwszy mężczyzna, który nie czuje się zagrożony moją bardziej męską stroną, która wcale nie wydaje mi się taka męska, ale za męską była uznawana przez poprzednich partnerów. Z kolei Daniel jest kobiecy, dorastał w kulturze machismo, gdzie oczekiwano od niego określonego toksycznego sposobu bycia i zachowania wobec kobiet, co było zaprzeczeniem jego osobowości.

Ludzie są często przerażeni wykraczaniem poza utarte schematy, np. byciem bardzo męską kobietą albo bardzo kobiecym mężczyzną, bo to zmienia dynamikę relacji, również heteroseksualnej. Natomiast ja już wiem, że w moim życiu chodzi o balansowanie między tym, co męskie, a tym, co żeńskie. ▲

Spotkania z Catherine Lacey: 14 listopada we Wrocławiu (Filia nr 5 MBP), 15 listopada w Łodzi (Dom Literatury), 16 listopada w Warszawie (Pardon To Tu przy al. Armii Ludowej 14)



CATHERINE LACEY
„Odpowiedzi"
Przekład: Kaja Gucio
wydawnictwo Czarne

FOT. ANNA HUIX / MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e47b8e13bb

Złożone w *ofierze*

Nasze bohaterki muszą zapłacić za coś, czego nie zrobiły. Miały swoje plany. Wiedziały, kim chcą być, co chcą osiągnąć, zupełnie tak jak my

TEKST **ZUZANNA KOWALCZYK**

Kasia i Klara, dwie siedemnastolatki z Polski, nie mogły wyglądać mniej podobnie. Niebieskie oczy i blond włosy Kasi Wincza kontrastują z ciemniejszą karnacją i brązowymi lokami Klary Hammudeh. Gdy występują razem na scenie, w rolach Azizy i Lesyi, w napisanej przez Klarę sztuce „Iphigenia Variations", czuć ich różne wrażliwości, ale i zawiązaną już w dzieciństwie bliskość.

Mama Kasi pokazuje mi ich wspólne zdjęcia z czasu, gdy obie miały sześć lat. Patrząc, jak się bawią po powrocie z zajęć aktorskich, nie mam wątpliwości, że dziewczyny łączy szczególna, niemal siostrzana więź.

– Nasze bohaterki różni wygląd, zachowanie, miejsce zamieszkania, ale ten spektakl pokazuje, że ich historia jest taka sama. Bo i doświadczenie młodości przerwanej nagle przez wojnę bywa podobne, niezależnie od charakteru i miejsca konfliktu – opowiada mi Klara po ich występie na Fringe'u w Edynburgu, jednym z największych i najstarszych festiwali sztuk performatywnych na świecie, na którym ich spektakl o nastoletniości napotykającej konflikt zbrojny wyreżyserował kanadyjski twórca teatralny, pracujący w Polsce, John Weisgerber.

W OKU CYKLONU

Kiedy Kasia usłyszała, że jej przyjaciółka ze szkoły musicalowej pisze sztukę teatralną, kibicowała jej z całych sił. Kiedy dowiedziała się, że spektakl opowiada o dwóch młodych dziewczynach, których nadzieje i plany przerywa tocząca się obok okupacja, nie miała wątpliwości, że to ważny projekt. A kiedy Klara poinformowała ją, że dzięki wsparciu rodziców sztukę uda się wystawić na edynburskim Fringe'u i chciałaby zaprosić ją jako aktorkę do udziału w jej wystawieniu, nie mogła uwierzyć, że przyjaźń z zajęć teatralnych otwiera przed nią taką szansę.

Kasia od lat grała już w rozmaitych produkcjach, od filmu i teatru po role dubbingowe, ale wystąpienie na EdFringe'u, w poruszającej roli dramatycznej, w wieku zaledwie siedemnastu lat, było czymś, o czym nawet nie śniła.

Bo Fringe to rzeczywiście nieprzeciętne doświadczenie. „Szanowni państwo, informujemy, że jesteśmy zmuszeni oczekiwać na autobus, który zawiezie was na terminal, trochę dłużej niż zwykle. Przepraszamy za utrudnienia. Lotnisko przeżywa wzmożone obłożenie w związku z odbywającym się w mieście Fringe'em" – takim komunikatem przywitał mnie w sierpniu Edynburg. Nie minęło dużo czasu, gdy zrozumiałam, jak bardzo stolica Szkocji zmienia się w tak zwanym sezonie festiwali.

> Fringe od swojego zarania był festiwalem twórców alternatywnych, debiutujących, *reprezentujących mniejszości i wszelką inność*

Spacer po głównym deptaku Edynburga w połowie sierpnia przypomina przeprawę przez ocean. Gdy przychodzi coroczny czas Fringe'a, na którym tylko w tegorocznej edycji zaprezentowano ponad 4 tys. projektów artystycznych z 77 krajów świata, miasto ląduje w oku teatralnego cyklonu. A i sam Fringe jest zaledwie jedną z sześciu odbywających się w tym czasie imprez.

Nie sposób przedrzeć się więc przez tłumy okupujące Royal Mile bez otrzymania dziesiątek ulotek promujących spektakle, musicale, stand-upy, występy cyrkowe, drag show, wykłady filozoficzne, doświadczenia VR i immersyjne performansy. W ciągu tylko pierwszej godziny spaceru wręczono mi reklamy musicalu o endometriozie, wieczoru poetyckiego inspirowanego Virginią Woolf, spektaklu science fiction o zbrodniach wojennych, monodramu sygnowanego mianem „nowej wersji Fleabag" czy burleski stanowiącej parodię Shreka.

Przez kilka dni miałam okazję zobaczyć zarówno wielkie teatry, wypełnione po brzegi przez największych światowych komików, jak i małe, oddolne występy, mieszczące się w pubach, piwnicach, na dziedzińcach, a nawet na cmentarzu, w starym kontenerze czy saunie, poruszające tak rozległe problemy, jak krytyka kapitalizmu, prześladowanie osób queerowych, zbrodnie Izraela czy zjawisko groomingu. Cel jest prosty: zaskoczyć. Zabrać głos. I dać szansę na eksperyment.

Jeśli chcieć szukać tu wspólnego mianownika, to jest nim fakt, że Fringe od swojego zarania, a więc 1947 roku, był festiwalem tych, którzy niegdyś nie mieścili się w głównym nurcie sztuki: twórców alternatywnych, debiutujących, reprezentujących mniejszości i wszelką inność. Dziś to najbardziej znana na świecie trampolina dla talentów scenicznych, która ściąga do Szkocji wznoszących się artystów i artystki z całego globu. I ważna soczewka do przyglądania się temu, czym żyje współczesny teatr.

WSPÓLNA TWARZ WOJNY

Dla Klary pomysł na spektakl „Iphigenia Variations" narodził się podczas pracy z nauczycielem pisania, irakijsko-brytyjskim autorem sztuk teatralnych, Hassanem Abdulrazzakiem. Była akurat tuż po wyjeździe do Jordanii, na którym przygotowywała materiały dla projektu „Harbingers", wspierającego nastoletnich, aspirujących dziennikarzy. Przywiozła stamtąd dwa artykuły i cztery wywiady wideo, w tym rozmowy z dziećmi z Gazy leczonymi w Ammanie, członkiem parlamen-

eprasa.pl e47b8e13bb

eprasa.pl e47b8e13bb



Kasia Wincza od lat grała w rozmaitych produkcjach, ale wystąpienie na EdFringe'u było czymś, o czym nawet nie śniła

– Od małego interesuję się mitami, w dzieciństwie mama czytała mi związane z mitologią książki. Byłam przekonana, że musi istnieć jakaś antyczna historia, która mogłaby posłużyć do opowiedzenia dzisiejszych dylematów młodych ludzi.

Swoimi poszukiwaniami podzieliła się ze swoją nauczycielką polskiego. To właśnie ona opowiedziała jej po raz pierwszy o postaci Ifigenii – córce Agamemnona i Klitajmestry, która w mitologii greckiej pojawia się w kontekście tragicznej historii: jej ojciec miał ją złożyć w ofierze Artemidzie, aby umożliwić greckiej flocie wypłynięcie do Troi. – Od razu pomyślałam, że to świetne tło dla opowieści o młodych dziewczynach, oddawanych przez rodziców żołnierzom, nierzadko po to, by chronić resztę rodziny – stwierdza Klara.

Rozmawiamy również o tle, jakie dla jej inspirowanego Eurypidesem spektaklu stworzył Christopher Nolan, wprowadzając akurat do kin swoją głośną „Odyseję". Dla obu dziewczyn współczesne interpretacje mitologii są szczególnie ciekawym wątkiem w dzisiejszej popkulturze. Lubią historie, które są monumentalne, ale jednocześnie na wskroś ludzkie. W blockbusterowym kinie brakuje im jednak głosów ludzi w ich wieku, z ich dylematami, bolączkami i perspektywą.

tu Jordanii oraz menedżerem jordańskiej platformy edukacyjnej, która zdigitalizowała palestyński program nauczania dla uczniów przebywających w Gazie.

W swojej sztuce Klara nie chciała się jednak skupiać wyłącznie na Palestynie. – Zależało mi na tym, aby pokazać w szerszej skali to, co dzieje się z młodymi osobami, które wbrew swojej woli znajdują się nagle w środku konfliktu, na który nie mają wpływu. Napisać coś bardziej uniwersalnego – o okupacji w zderzeniu z nastoletniością.

W dniu premiery spektaklu na szkockim festiwalu w Gazie wciąż miały jednak miejsce incydenty zbrojne pomimo teoretycznie obowiązującego zawieszenia broni. Zaledwie dzień później, 13 sierpnia, sytuacja jeszcze bardziej się zaostrzyła. Reuters wspominał o izraelskich nalotach, w których odnotowano kolejne śmiertelne ofiary.

W tym samym czasie Rosja przeprowadzała falę ataków, głównie w obwodach kijowskim i chersońskim. Ukraina dokonywała kontrofensywy na rosyjską bazę

> Tak jak nasze bohaterki i my mamy siedemnaście lat, planujemy swoje życie, *marzymy o dalszych krokach*

Floty Czarnomorskiej oraz infrastrukturę portową w Noworosyjsku. Huti zaatakowali statek handlowy „Tihamah" w cieśninie Bab al-Mandab na Morzu Czerwonym. W wojnie domowej w Sudanie doszło do zaostrzenia walk w Kordofanie Północnym. Izrael kontynuował rozmowy z Libanem dotyczące rozbrojenia Hezbollahu.

W tym sensie Klara ma rację, że nie ma znaczenia, o jakim konflikcie opowiada ich sztuka. – Ona opowiada o każdym konflikcie zbrojnym, bo każdy konflikt tak samo uderza w ludzi – tłumaczy.

WIECZNIE ŻYWE MITY

Nic więc dziwnego, że inspiracją dla pisanego przez Klarę przy wsparciu Abdulrazzaka tekstu stał się tekst Eurypidesa.

Właśnie dlatego same postanowiły zabrać głos. Z „Iphigenia Variations" przebija motyw bezradności i niewinności. Dwie młode dziewczyny u progu dorosłego życia doświadczają wojny wkraczającej do ich domów, brutalnie odzierającej je z marzeń i planów na przyszłość.

– To był dla mnie od początku kluczowy aspekt tego spektaklu – że te dziewczyny, nastolatki, mają przerwaną młodość, przerwaną swoją własną historię i zarówno one, jak i widzowie nic nie mogą z tym zrobić – opowiada Klara, gdy po spektaklu omawiamy emocjonalne reakcje zgromadzonej we wczesne, środowe popołudnie widowni.

– A do tego nasze bohaterki muszą zapłacić za coś, czego nie zrobiły. Miały swoje plany. Wiedziały, kim chcą być, co chcą

eprasa.pl e47b8e13bb

osiągnąć, zupełnie tak jak my. Aż nagle pojawiają się żołnierze i wszystko obraca się w gruzy – dopowiada wciąż wzruszona po występie Kasia, która swoją adaptacją roli Lesyi doprowadziła widzów do łez.

PRZYSZŁOŚĆ NA WOJNIE

Dla Klary praca nad spektaklem była formą przepracowania własnego poczucia bezradności wobec dziejących się na świecie konfliktów. – To bardzo często obecny temat w naszych rozmowach ze znajomymi – to, co dzieje się obecnie na świecie, jak to wpływa na nasze poczucie bezpieczeństwa, sprawczości, sposób myślenia o szansach na przyszłość. Choć są to duże sprawy, to dotykają przecież pojedynczych ludzi, również młodych, czasem bezpośrednio, czasem nie, jeśli ma się szczęście tak jak my. Ale niezależnie od tego, gdzie się żyje, nie sposób tego ignorować.

Według badania przeprowadzanego przez UCE Research na zlecenie projektu ENTR w Onecie ponad 58 procent młodych Polaków boi się wybuchu III wojny światowej. W 20 procentach te obawy zostały określone jako „duże".

– Ciężko myśli się o własnej przyszłości, gdy wokół torpedują cię doniesienia z coraz większej liczby miejsc objętych konfliktami – opowiada Kasia. – Tak jak nasze bohaterki i my mamy siedemnaście lat, planujemy swoje życie, marzymy o dalszych krokach. To dla mnie duży ładunek emocjonalny, odegrać rolę takiej samej dziewczyny jak ja, tyle że mającej dużo mniej szczęścia od losu. I myślę, że to ważne, że jako młode dziewczyny opowiadamy o innych młodych dziewczynach.

Dla obu nastolatek wymarzona przyszłość na ten moment wiąże się z teatrem. Klarę ciągnie do produkcji teatralnej, Kasię – do aktorstwa i reżyserii. Ale obie zostawiają sobie otwartą furtkę na to, by przekonać się, czy to na pewno ich ścieżka. Początek mają jednak bez wątpienia imponujący. Obie są poruszone tym, że ich projekt udało się wystawić na edynburskim Fringe'u – festiwalu, który słynie z promowania oddolnego, niezależnego teatru, młodych twórców i tego, co najciekawsze poza zinstytucjonalizowanym obiegiem sztuki.

Choć w swoim założeniu Fringe miał być przestrzenią oddaną w ręce ludzi z „obrzeża", swoją skalą szybko przerósł oficjalne, narodowe imprezy, takie jak choćby Edinburgh International Festival. Mimo że odbywa się co roku równolegle z pięcioma innymi festiwalami, konsekwentnie jest wśród nich tym największym i najbardziej znanym.

– To wielkie szczęście tu być, pośród tych wszystkich twórców, w tym artystycznym chaosie. Jesteśmy z siebie dumne – mówią zgodnie dziewczyny.

WYMIANA WRAŻEŃ

„Iphigenia Variations" zgrabnie wpisała się w złożony komentarz do dzisiejszych wyzwań, jaki co roku przebija z festiwalu. Na fringe'owych scenach nie zabrakło tym razem wątków palestyńskich, irańskich, syryjskich czy ukraińskich. Sama wybrałam się choćby na pokaz palestyńskiego cyrku, który jeździ po Europie, aby zwracać uwagę na to, co dzieje się obecnie w Gazie. Ale ważnym elementem wydarzenia są w ogóle szeroko rozumiane tematy związane z prawami człowieka, w tym mniejszości seksualnych i etnicznych. To kluczowe założenie imprezy: mówić o tym, co ważne, ale nie z wyżyn instytucji.

Ze sztuką może przyjechać na Fringe'a każdy. No, oczywiście pod warunkiem, że znajdzie na to budżet – przynajmniej taki, który pozwoli zatrzymać się na kilka dni w Edynburgu, co w okresie festiwalowego sezonu nie jest łatwym zadaniem.

Najważniejsza jednak pozostaje wymiana – realny dialog, jaki odbywa się w tym czasie na scenach i ulicach. Wzajemne inspiracje oraz możliwość zaprezentowania się przed międzynarodową publicznością. I zabieranie głosu w sprawach dla siebie istotnych. Na przykład wtedy, gdy dwie młode dziewczyny z Polski mogą opowiedzieć o tym, co je przejmuje, własnymi słowami, na poważnej scenie.

– Wzrusza mnie, że mogłam wystawić ten spektakl w takim miejscu i okolicznościach. Zwłaszcza dzisiaj, w rzeczywistości, w której konflikty zbrojne są wszechobecne, również w życiu moich rówieśników w innych częściach świata – mówi Klara. ▲



Klara Hammudeh interesuje się mitami. Inspiracją dla „Iphigenia Variations" był tekst Eurypidesa

FOT. MIKOŁAJ TRÓLKA

eprasa.pl e47b8e13bb



Małżeństwo *konserwuje*, ale...

Miłość, poczucie bezpieczeństwa, seks, a może ktoś, kto wreszcie zapisze nas do lekarza? Naukowcy sprawdzili, czy samo zadowolenie ze związku spowalnia biologiczne starzenie

eprasa.pl e47b8e13bb

TEKST **OLGA WOŹNIAK**
RYSUNEK **MACIEJ SIEŃCZYK**

Są razem od trzydziestu lat. Lubią swoje towarzystwo, śmieją się z tych samych żartów, czasem kończą za siebie zdania. Wieczorem serial, wino, coś dobrego do jedzenia. W ankiecie na udany związek swojemu daliby dziesięć na dziesięć.

Druga para też jest szczęśliwa, ale wieczorem spaceruje, wcześniej gasi światło i częściej gotuje w domu. Ich związek wcale przez to nie jest mniej udany. No i konserwuje ich organizmy skuteczniej niż wieczory na kanapie. Tak przynajmniej sugeruje badanie opublikowane w 2026 r. w „Brain, Behavior, and Immunity".

Stephanie Wilson, psycholożka zdrowia i rozwoju z Uniwersytetu Alabamy w Birmingham, wraz ze swoim zespołem zajrzała szczęśliwym parom w metryki komórek. Wyniki studzą romantyczny zapał: nie starcza samo zadowolenie ze związku, żeby lepiej się zestarzeć. Potrzeba jeszcze... zdrowiej żyć. Tak, wiem – banał. Najwyraźniej można być świetnie dobraną parą i zgodnie pielęgnować zgubne nawyki.

Okazuje się bowiem, że kiedy partnerzy gorzej spali lub mniej zdrowo jedli, część wskaźników wypadała niekorzystnie, choć oboje byli z małżeństwa zadowoleni.

OBRĄCZKA ZAMIAST ELIKSIRU

Od dziesięcioleci badania epidemiologiczne pokazują, że osoby pozostające w małżeństwie przeciętnie żyją dłużej niż samotne, rozwiedzione czy owdowiałe. Rzadziej umierają przedwcześnie, a w części badań mają też lepsze zdrowie psychiczne i fizyczne. Niestety, nie tak łatwo było ustalić, co właściwie daje im tę przewagę.

W 2010 r. Julianne Holt-Lunstad z Uniwersytetu Brighama Younga i jej współpracownicy zebrali wyniki 148 badań obejmujących ponad 308 tys. osób. Przewaga tych, którzy mieli mocniejsze więzi z innymi, była wyraźna: ich szanse na dożycie końca obserwacji były o 50 proc. większe niż u osób ze słabszymi relacjami.

Najsilniejszy związek z przeżyciem ujawniał się wtedy, gdy badacze uwzględniali całą sieć relacji: rodzinę, przyjaźnie, kontakty z innymi ludźmi. Sama obrączka znaczyła mniej niż to, ilu bliskich mamy wokół siebie. Okazało się, że organizmowi wystarcza dobre towarzystwo, a nie jest zbyt pryncypialny w kwestiach matrymonialnych.

Pozostaje też efekt selekcji: osoby zdrowsze, zamożniejsze i stabilniejsze życiowo mogą częściej zawierać i utrzymywać małżeństwa. Rozwód czy wdowieństwo mogą pogarszać zdrowie, lecz problemy zdrowotne również zmieniają sytuację rodzinną. Przyczyna i skutek plączą się tu skuteczniej niż kabel od słuchawek w torbie.

Dlatego badacze coraz mniej skupiają się na samym związku, a częściej pytają, jak nam jest obok drugiej osoby. W metaanalizie z 2014 r., opublikowanej w „Psychological Bulletin", Theodore Robles z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles i jego współpracownicy zebrali 126 publikacji obejmujących ponad 72 tys. osób. Lepsza jakość małżeństwa wiązała się z korzystniejszymi wynikami zdrowotnymi, między innymi dotyczącymi ryzyka zgonu i reakcji układu sercowo-naczyniowego na stres. Zależności były niewielkie, ale powtarzały się w wielu badaniach.

KOMÓRKI NIE OBCHODZĄ ROCZNIC

Biologicznego starzenia nie mierzy się liczbą zmarszczek. Naukowcy mają do tego bardziej wyrafinowane narzędzia, między innymi zegary epigenetyczne. Analizują one zmiany chemiczne w DNA, które wpływają na aktywność genów i częściowo zmieniają się wraz z wiekiem. Dzięki nim można oszacować, czy nasz organizm wykazuje cechy typowe dla osób młodszych, czy starszych od nas. Nie są jednak niezawodne. Różne zegary mierzą różne aspekty starzenia i nie zawsze pokazują ten sam wynik.

Zespół Wilson wykorzystał również dwa inne wskaźniki: długość telomerów, czyli ochronnych zakończeń chromosomów, które często skracają się z wiekiem, oraz aktywność genu p16INK4a, związanego ze starzeniem się komórek.

Badacze przez dwa lata obserwowali 107 par w wieku od 40 do 87 lat. Analizowali ich relacje, sen, dietę, stan zdrowia i próbki krwi. Przyglądali się też temu, jak partnerzy rozmawiają o problemach i dzielą się dobrymi wiadomościami.

Wyniki okazały się zaskakująco niejednoznaczne. Osoby bardziej zadowolone ze związku wykazywały mniejszy wzrost aktywności p16INK4a, ale jednocześnie ich telomery skracały się bardziej. Znaczenie miały też codzienne nawyki. U szczęśliwych par, które źle spały lub niezdrowo jadły, niektóre wskaźniki starzenia wypadały gorzej. Natomiast gdy dobrej relacji towarzyszyły zdrowa dieta i sen, obserwowano korzystniejsze wskaźniki stanu zapalnego.

Badanie było niewielkie, a część zależności straciła istotność statystyczną po zastosowaniu bardziej rygorystycznych analiz. Nie sposób więc na jego podstawie rozstrzygnąć, czy szczęśliwe małżeństwo odmładza.

Wyniki podsuwają jednak ciekawą myśl: bliskość może wzmacniać nasze codzienne przyzwyczajenia. Również te, których komórki wolałyby nie dostawać w prezencie od ukochanej osoby.

WSPÓLNIK OD SAŁATKI I FRYTEK

Jedno rzuca palenie, drugie też próbuje. Jedno zaczyna biegać, drugie kupuje buty na siłownię. Ale można również zgodnie uznać, że spacer do samochodu wyczerpuje dzienny limit ruchu.

W 2015 r. Sarah Jackson, Andrew Steptoe i Jane Wardle z University College London przeanalizowali dane uczestników angielskiego badania podłużnego nad starzeniem, English Longitudinal Study of Ageing. Sprawdzali zmiany dotyczące palenia, aktywności fizycznej i masy ciała.

Ludzie częściej zmieniali nawyki, gdy partner robił to razem z nimi. Wspólna zmiana miała silniejszy związek z sukcesem niż życie u boku osoby, która od dawna zachowywała się zdrowo. Najwyraźniej łatwiej ruszyć z kimś z tej samej kanapy, niż dogonić człowieka, który od 20 lat z zachwytem wstaje na jogging.

W związku wspólnie układamy rozkład jazdy: kolacje, zakupy, weekendy, sen. Z czasem negocjacje znikają, zostają rytuały. Wilson wskazuje, że szczęśliwe małżeństwo może je wzmacniać w obu kierunkach. Bliskość pomaga utrzymać wspólne gotowanie i ruch, ale także podjadanie przy serialach i zarywanie nocy.

Wtedy propozycja zmiany diety może zabrzmieć jak wypowiedzenie umowy o wspólnych przyjemnościach. Niby chodzi o frytki, ale trochę również o nas.

KOCHANIE, ZAPISAŁAM CIĘ DO LEKARZA

Co ciekawe, małżeństwo zdaje się bardziej służyć zdrowiu mężczyzn niż kobiet. W 2025 r. chiński zespół Xiana Cuia prze-

eprasa.pl e47b8e13bb

analizował dane 2420 Amerykanów po pięćdziesiątce. Wykorzystując zegary epigenetyczne GrimAge i GrimAge2, badacze ustalili, że mężczyźni, którzy nigdy się nie ożenili, mieli mniej korzystne wskaźniki biologicznego starzenia niż żonaci. U kobiet różnice były słabsze.

Podobne wyniki przyniosło badanie opublikowane w 2026 r. w „Frontiers in Aging", obejmujące 762 uczestników amerykańskiego projektu MIDUS. Kawalerowie znów wypadli gorzej od żonatych, ale u kobiet analogicznej zależności nie stwierdzono.

Dlaczego? Jedno z możliwych wyjaśnień kryje się w kalendarzu rodzinnych wizyt lekarskich, który często znajduje się pod zarządem kobiety. To ona pamięta o badaniach, szczepieniach i receptach, zauważa niepokojące objawy i przypomina o mierzeniu ciśnienia. Pełni funkcję domowej centrali opieki zdrowotnej, bez etatu i godzin zamknięcia. Partner może na tym zdrowotnie zyskiwać, choć koszty tej niewidzialnej pracy nie rozkładają się po równo.

To jednak hipoteza, której przywołane badania nie weryfikowały. Możliwe też, że kobiety częściej utrzymują bliskie relacje poza małżeństwem, podczas gdy dla mężczyzn partnerka bywa głównym źródłem codziennego wsparcia. Jedno jest pewne: obrączka nie wszystkim zapewnia ten sam pakiet korzyści.

KŁÓTNIA ZOSTAWIA ŚLAD NA SKÓRZE

Nawet wspólne spacery i zdrowe kolacje nie pomogą, jeśli przy stole regularnie latają talerze. I wcale nie muszą latać dosłownie.

W 2005 r. Janice Kiecolt-Glaser z Uniwersytetu Stanowego Ohio wraz ze współpracownikami zaprosiła do eksperymentu 42 małżeństwa. Pary dwukrotnie spędzały dobę w szpitalnej jednostce badawczej. Podczas jednego pobytu rozmawiały o czymś, w czym mogły się nawzajem wspierać, podczas drugiego miały przedyskutować sprawę będącą źródłem konfliktu. Naukowcy za każdym razem wykonywali uczestnikom niewielkie, kontrolowane uszkodzenia skóry i obserwowali, jak szybko się goją.

Okazało się, że po kłótni rany goiły się wolniej. Co więcej, u par, które podczas rozmów okazywały sobie najwięcej wrogości, gojenie przebiegało w tempie stanowiącym zaledwie 60 proc. tempa obserwowanego u par mniej wrogich. Badacze odnotowali również zmiany w produkcji cytokin, czyli cząsteczek, za pomocą których komórki układu odpornościowego komunikują się między sobą i regulują stan zapalny.

Małżonkowie kończyli kłótnię, ale ich organizmy jeszcze długo odczuwały jej skutki. Napięcie w związku nie zatrzymuje się bowiem na poziomie emocji. Może wpływać na pracę układu nerwowego, gospodarkę hormonalną, odporność i zdolność organizmu do regeneracji.

Oczywiście nie oznacza to, że każda sprzeczka odbiera nam kilka godzin życia. Konflikty zdarzają się nawet w szczęśliwych związkach. Ważne jednak, jak się kłócimy i co dzieje się później. Bo choć słowa nie zostawiają prawdziwych siniaków, jak widać, potrafią utrudnić gojenie całkiem realnych ran.

SEKS NA RECEPTĘ?

W poradnikach długowieczności seks występuje niemal jako lek na wszystko. Poprawia nastrój, redukuje stres, wzmacnia odporność, a przy okazji odmładza. Brzmi zachęcająco, tylko nauka nie bardzo potrafi wystawić mu rachunek za te wszystkie zasługi.

> Zdrowe kolacje nie pomogą, jeśli przy stole *regularnie latają talerze*

Problem polega między innymi na tym, że zdrowsi ludzie zwykle mają też większe możliwości prowadzenia aktywnego życia seksualnego. Co jest więc przyczyną, a co skutkiem? Do tego dochodzą wiek, przyjmowane leki, choroby przewlekłe, samopoczucie i jakość relacji z partnerem.

Joshua Cameron i Pablo Santos-Iglesias przeanalizowali 63 publikacje dotyczące seksualności osób po sześćdziesiątce. W przeglądzie opublikowanym w 2024 r. w „International Journal of Sexual Health" zwrócili uwagę na dość podstawowy kłopot: naukowcy nie potrafią nawet uzgodnić, co właściwie liczyć jako aktywność seksualną. Jedni uwzględniają wyłącznie penetrację, inni także pieszczoty i pozostałe formy intymności. Trudno porównywać wyniki, skoro każdy mierzy trochę coś innego.

Nie ma dziś przekonujących dowodów, że seks uprawiany określoną liczbę razy w tygodniu spowalnia biologiczne starzenie albo wydłuża życie. Wiemy natomiast, że satysfakcjonujące życie seksualne może sprzyjać dobremu samopoczuciu i bliskości. I może na tym poprzestańmy. Bo jeśli jeszcze seks zamienimy w obowiązkowy zabieg przeciwstarzeniowy, skończy się wpisywaniem go do kalendarza między wizytą u dentysty a wymianą opon.

DŁUGOWIECZNOŚĆ BEZ AKTU ŚLUBU

Przyjaźń, rodzina, sąsiedzi czy grupa bliskich znajomych również mogą dawać nam wsparcie, poczucie bezpieczeństwa i przynależności. Metaanaliza Holt-Lunstad pokazała, że dla zdrowia znaczenie ma cała sieć naszych relacji, a nie tylko obecność obrączki na palcu.

Życie w pojedynkę nie musi przecież oznaczać samotności. Można mieszkać samemu i mieć wokół siebie ludzi, na których zawsze można liczyć. Można też dzielić z kimś łóżko i czuć się bardziej samotnym niż na bezludnej wyspie.

Rubryka „stan cywilny" niewiele mówi o tym, czy ktoś nas wspiera, szanuje i daje nam poczucie bezpieczeństwa, czy raczej jest źródłem codziennego stresu. Nie ma też podstaw, by twierdzić, że jakikolwiek związek jest lepszy dla zdrowia niż jego brak. Być może część korzyści przypisywanych małżeństwu zawdzięczamy po prostu temu, że jest obok ktoś, kto zauważy, że źle się czujemy, przypomni o wizycie u lekarza albo wyciągnie nas na spacer.

Z najnowszego badania Wilson płynie zresztą dość mało romantyczny wniosek. Nawet najszczęśliwszy związek nie zastąpi snu, ruchu ani zdrowego jedzenia. Może natomiast pomagać nam o nie zadbać. Albo przeciwnie, utrwalać przyzwyczajenia, które powoli rujnują nam zdrowie.

Może więc zamiast zastanawiać się, czy miłość odmładza, warto przyjrzeć się temu, jak razem żyjemy. Do czego się nawzajem zachęcamy, na co sobie pozwalamy i z czego tak zgodnie rezygnujemy. W romantycznych opowieściach miłość pokonuje wszystkie przeszkody. W biologii dobrze byłoby, gdyby na początek nie przeszkadzała nam się wyspać. ▲

eprasa.pl e47b8e13bb



TO CO NA DESER?

Czworo influencerów i cztery zapachy, tylko dwa tysiące numerowanych flakonów każdego zapachu. TIERE to niszowa marka perfum, która chce tworzyć zapachy we współpracy ze znanymi osobami. Na razie jest ich czwórka. Jedną z nich jest Lara Gessler. Zapach Dessert Menu nawiązuje do kulinariów. Pod warstwą z cytrusów skrywa kompozycję korzennych przypraw, woń cygara i egzotycznego drewna i szałwię. Każdy drop jest limitowany ***(100 ml/615 zł, Tierescents.pl).***

ROZJAŚNIANIE CERY

Ta hiszpańska marka do pielęgnacji twarzy specjalizuje się w kuracjach dermatologicznych. Theramid Azid to idealne na jesień rozjaśniające serum z kwasem azelainowym (15%) do codziennej pielęgnacji cery reaktywnej, zaczerwienionej i trądzikowej, zmniejsza też przebarwienia ***(30 ml/175 zł, Beautygeeks.pl).***





ŚWIĄTECZNY MAKIJAŻ

Szukasz pomysłu na prezent? Uwielbiana przez klientki marka Westman Atelier ma teraz limitowane świąteczne zestawy. W Petite Party znajdziesz cztery kosmetyki w minirozmiarach: róż Mini Baby Cheeks w odcieniu Poppy, rozświetlacz Lit Up w odcieniu Toast, grafitową kredkę Mini Eye Love You i czarny tusz do rzęs ***(369 zł).***



BLASKI I CIENIE

Krem pod oczy Eye Recipe marki Skin Office Paris zawiera kompleks peptydów i składników aktywnych z brunatnych alg. Pomaga zmniejszyć widoczność zmarszczek, drobnych linii, cieni i opuchnięć pod oczami, a także poprawia jędrność skóry wokół oczu i górnej powieki. Zapewnia natychmiastowy efekt napięcia, świeżości i blasku ***(20 ml/711 zł, Galilu.pl).***



DLA CERY DOJRZAŁEJ I WRAŻLIWEJ

Nowa gama dermatologicza Eau Thermale Avène – Hyaluron Activ Procedure – stworzona została dla skóry dojrzałej i wrażliwej. Oparta jest na retinalu, kwasie hialuronowym i niacynamidzie ***(Lifting cream, 30 ml/147 zł).***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

eprasa.pl e47b8e13bb

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

Temat numeru:
Jedzenie to nowa religia. Czy dieta może nas ocalić?

Herstoria:
Dla Mary Cassatt niezależność była jak Gwiazda Polarna, która prowadziła ją przez życie

Psychologia:
Natchnienie to nonsens, a tworzyć nie każdy może



Zamów na prenumerata24.pl z dostawą do domu lub z bezpłatną dostawą do paczkomatu



Numer dostępny **z książką**
lub magazynem **„Psychologia. Żyć lepiej”**

eprasa.pl e47b8e13bb